

***ELIZABETH LOWELL***

***Niewinna jak grzech***

Tytuł oryginału: *Innocent as Sin*

Przekład: *EWA BŁASZCZYK*

# *Rozdział 1*

*Afryka*

*Koniec marca*

Rand McCree w brudnym moro, spryskany rodkiem przeciwko owadom, czał si za nierówn osłon z trawy. Otwór wyci ty w lu no splecionych d błach w cało ci wypełniał du y obiektyw. Cho sło ce prawie zupełnie schowało si za horyzontem, Rand si pocił. Nawet tego nie zauwa ył. W Demokratycznej Republice Kamd erii ludzie pocili si zarówno na tropikalnym wybrze u, jak i w poro ni tej karłowat ro linno ci rodkowej cz ci kraju. Dzi ki temu wiedzieli, e yj .

Przez obiektyw aparatu Rand obserwował buntowników – czy te , w zale no ci od pogl dów politycznych, bojowników o wolno – którzy czekali przy wielkich ci arówkach na południowym kra cu n dznego, z trudem wydartego naturze piaszczystego skrawka ziemi, jaki w tej cz ci Afryki słu ył za pas startowy.

Brat Randa poderwał si , kopi c przy tym le cego mi dzy nimi kałasznikowa.

– Połó si – powiedział łagodnie Rand. – Samolot kiedy wyl duje.

– Co mnie ugryzło – mrukn ł Reed.

– Zrobił e wszystkie szczepienia?

– Tak.

– No to czemu marudzisz?

– Czuj si jak darmowy bank krwi.

Rand si u miechn ł.

– I słusznie.

– Jakim cudem mnie w to wci gn łe ?

– Ja? To ty ci gle nawijał e o yciowej szansie, eby zrobił zdj cia najbardziej niebezpiecznego handlarza broni , odk d...

– Dobra ju , dobra – przerwał Reed. – Nie przypominaj mi.

– Tylko dwa razy dziennie.

– Cz ciej. Co najmniej dwa razy, od kiedy...

– Cicho!

Reed zamilkł. Wtedy usłyszał zawodz cy warkot turbo migłowca. Uniósł pot n lornetk i

zaczął wpatrywać się w popielate niebo tam, skąd dochodził dźwięk.

– Mam go! – zawołał. – Wyląduj o trzeciej, ląd nisko. Naprawdę nisko. – Zagwizdał cicho przez szybę. – Pilot z jajami. Albo pijany. Maszyna niemal kosi trawę.

– Takie są uroki nielegalnego latania. – Rand starał się uchwycić nieoznakowany, nieoświetlony iljuszyn II-4, kiedy samolot zbliżył się do pasa ziemi. – Obserwuj okolice. Nie chcę tłumaczyć, co tutaj robimy.

– Nikt nie będzie pytał – parsknął Reed. – Po prostu nas zastrzel. Rób, co mówi ...

– Ląduj. – Głos Reeda drżał z emocji. – Masz go?

– Tak. Pilnuj, żeby słowo nie odbijało się od szkła lornetki.

– Pocałuj mnie gdzieś. Dopadniemy syberyjskiego dupka, który zabija dzieci.

Rand uśmiechnął się od ucha do ucha. Identyczny brat bliźniak – co to oznacza? e... jest identyczny. Rozmawiali ze sobą, bo mogli. Ale nie musieli – rozumieli się bez słów.

Nie ma co się zastanawiać.

Samolot ukazał się w polu widzenia. Bez oznaczeń. Bez liczb. Bez żadnych znaków identyfikacyjnych.

A to ci niespodzianka.

Rand w milczeniu wziął się do pracy.

## ***Rozdział 2***

***Kamderia***

***Wczesny ranek***

Mieczysław znany jako Sybirak siedział za drugim pilotem i obserwował busz przesuwający się szybko po obu stronach samolotu. Ukraiński pilot w ostatniej chwili uniósł dziób iljuszyna i posadził metalowego ptaka na ziemi z takim hukiem, jakby ktoś walnął kijem bejsbolowym w blaszany trumn.

Turbo migła zaczęła powoli zmieniać kierunek, wyjechała niesamowicie. Spod kół uniósł się czerwony pył, który przywarł do płynu hydraulicznego na obu skrzydłach. W pierwszych promieniach słoneczna smara wyglądała jak krew.

Ciarki czekały na załadunek. Uzbrojeni mężczyźni nie drgnęli, kiedy samolot przeleciał zaledwie półtora metra nad ich głowami.

Obaj piloci, klękając w dwóch językach, mocowali się ze sterami. Wspólnymi siłami udało im się zapanować nad samolotem, który sunął rodkiem w skiego pasa, ocierając się bokiem o ziemię. Niebieskie kombinezony mężczyzn pociemniały od potu. Kiedy lot przeciwko jednej maszyny w złym stanie był niczym wyrok śmierci w zawieszaniu.

Wlewał się z zewnątrz do kabiny pilotów. Ale w porównaniu z tym, co czekało ich na pasie startowym, ryzykowne i dławienie rozklekotanego samolotu było bułką z masłem.

W połowie długości pasa udało im się wyhamować. Maszyna zaczęła się trząść, brzęczała, chybotała i w końcu zatrzymała. Pilot opuścił przednie koło i wrzucił wsteczny, rozpoczynając długie cofanie do miejsca, gdzie czekali mężczyźni.

– *Niet* – oznajmił Sybirak.

Pilot nie protestował. Był zawodowcem, ale doskonale wiedział, do kogo należy samolot.

– Nie wyłącza silników, ale nie zmieniaj pozycji – polecił po rosyjsku Sybirak. Zrzucił pas bezpieczeństwa opinając jego masywny tors. Wstał. – Niech bydlaki podejść do nas.

Popatrzył na ciarki i mężczyzn stojących prawie pół kilometra od nich.

– Mylisz, czy to pułapka? – spytał zdenerwowany drugi pilot.

– Oczywiście jest pułapka – odparł Sybirak.

Mówiąc to, przykucał i przez lornetkę przyglądał się ciarkom. Po chwili kierowcy włączyli silniki i samochody ruszyły w stronę samolotu, wzbijając tumany kurzu. Wieszko przemieszczała się wzdłuż krawędzi pasa, ale jeden jechał samym rodkiem.

Może to niewinna pomyłka.

A może celowa. Śmiertelna.

Sybirak wyjął krótkofalówkę z tylnej kieszeni białego kombinezonu. Włączył mikrofon.

– Powiedźcie temu idiocie, żeby zjechał z pasa, albo natychmiast startujemy – warknął po angielsku.

– Och, taaaak, *b'wana* – odpowiedział ktoś melodyjnym głosem.

– Nie bądź bezczelny, Da'ana, bo wyrwę ci serce i rzucę tym poganom na północy.

Radio zazgrzytało, kiedy mężczyzna na linii wyłączył mikrofon.

– Zostań przy sterach – nakazał pilotowi Sybirak. – Zaciśnij hamulce, ale niech turbo migła chodzi.

– A jeśli wpadnie w nie któryś z buntowników?

– Nie słyszałeś? Głupota jest najwiskaz zbrodni.

Odwrócił się i ostrym tonem wydał po bułgarsku rozkazy ludziom w komorze załadunkowej. Bułgar, szef załadunku, zaczął szarpać się z szerokimi podwójnymi drzwiami kabiny pilotów.

Sybirak wyjął spod składanego siedzenia półautomatyczny karabin izraelski i skierował się w stronę luku towarowego. Stojąc w otwartych drzwiach, patrzył, jak pierwsza ciężarówka ustawia się równo z poziomem podłogi komory załadunkowej samolotu.

Z tyłu siedzieli dwaj Afrykanie ubrani w obszarpane spodnie moro. Pod ich kosturami leżały płócienne worki wypełnione towarem. Jeden ze strażników trzymał w ręce kałasznikowa. Drugi miał przewieszony przez ramię karabinek snajperski.

Sybirak włączył radiostację, sięgnął po krótkofalówkę i po francusku odezwał się do przywódcy buntowników:

– Startujcie za dwadzieścia minut. Jak chcecie towar, to się ruszajcie.

Podjechała druga ciężarówka. Zeskoczyła z niej gromada spoconych czarnych robotników. Podeszli do pierwszego samochodu, szybko zrzucili ciężkie worki na stanowisko załadunkowe i zaczęli wdrapywać się na pokład samolotu.

Sybirak zadbał, żeby wszyscy zauważyli jego uzi. Murzyni wyciągnęli puste ręce, pokazując, że nie są uzbrojeni, po czym przenieśli worki do przodu. Kiedy pierwsza ciężarówka została rozładowana, Sybirak kopniakiem sprawdził, czy worki na pokładzie są ciężkie i pełne, i stanął z boku. Robotnicy zdjęli pięć z dwudziestu drewnianych skrzynek z tylniej części luku transportowego i przenieśli je na ciężarówkę.

Pierwsza została rozładowana, załadowana ponownie i odjechała w ciągu zaledwie trzech minut.

Sybirak obserwował oddalający się samochód i podjeżdżający na jego miejsce kolejny. Robotnicy znów zabrali się do pracy, a rozładunku tym razem pilnowało dwóch uzbrojonych strażników w wojskowych szortach.

Sybirak chodził po luku towarowym, palił papierosa i rozglądał się dookoła. Słońce stało już wysoko nad horyzontem. Spiekota równikowej Afryki dawała się we znaki. A jednak biali mieszkańcy

Europy Wschodniej i czarni Afrykanie, począwszy, sprawnie wymieniali towar. W tej grze nikt nie był nowicjuszem.

Kiedy rozładowano czwartki arówek, Bułgar przywołał jednego z robotników, fink przeciągnął niesiony przez niego ciężki płócienny wór, wyjął czarny kamień i zaniósł go Sybirakowi.

– Jak się dzisiaj? To koltan? – spytał Sybirak w jednym z sześciu znanych mu języków.

Bułgar wzruszył ramionami.

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Koltan – stwierdził Sybirak. Zgasił papierosa na podłodze luku i podszedł do drzwi. Słona tyle rozszedł dni, nie zrobiliby w konia Sybiraka. Ani jego rosyjskich dostawców. Nie wspominał o Joao Fouquetcie, który kontroluje niemal cały handel bronią w Ameryce Południowej. W świecie bezprawia równie istnieją sojusze, układy, rozejmy i brutalne wojny.

Przy ciężarówkach pojawiła się zakurzona toyota pikap wyładowana ciężką bronią maszynową. Z kabiny wyskoczył przystojny czarny mężczyzna w białym wyprasowanym mundurze i podszedł do miejsca załadunku.

– Jak podróż? – zapytał Sybiraka po francusku.

– Uganda nie bardzo uwierzyła w twoje fałszywe papiery, nie niby to kałasznikowy z demobilu. Odnierż u mniechnął się szeroko.

– To dlatego, nie dostarczył mi je ich minister obrony, nie dajcie działki swoim zwierzchnikom.

– Tak pomyślałem. Ile od ciebie wzięć?

– Pięćdziesiąt tysięcy.

– Widocznie czuje się winny. Dopisze sobie do rachunku jeszcze dwadzieścia pięć tysięcy. Zobaczysz, jak będzie płacił za następny transport.

Odnierż wzruszył ramionami.

– Gdzie są wyrzutnie granatów?

Sybirak wskazał tył samolotu.

– Dostaniesz je, jak zobacz diamenty.

Afrykanin wsunął rękę do kieszeni spodni i wyjął skórzany sakiewkę. Rzucił ją Sybirakowi, który zwał woreczek w dłoń i wysypał na niego jego zawartość. Promienie słońca padły na wielkie twarde kamienie przypominające nierówne kostki lodu.

– Lekkie – stwierdził Sybirak.

– To idealne kamienie do Antwerpii – odparł wojskowy. Wskoczył zwinnie na pokład samolotu i podszedł do pięciu dużych drewnianych skrzyń. – Moi Afrykanie z południa twierdzą, że z każdego wyjdzie kilka dwu- i trzykaratowych brylantów.

Sybirak wyjął z kieszeni jubilerski lup i przyjrzał się kamieniom.

– Mo liwe, ale za dokumentację będziesz musiał zapłacić ja. Nawet cholerni Belgowie dają potwierdzenia, że kamienie nie są przedmiotem sporu. Nikt nie chce diamentów splamionych krwi.

– Łatwo „wypruć” diamenty. Dorzuciłem sto kilo koltanu za twoje papierkowe roboty.

Sybirak uśmiechnął się lekko.

– Producenci tranzystorów z Pragi będą zadowoleni.

– Wiacie bro dostarczajcie Czesi – skwitował wojskowy. – I dobrze. Jest lepszej jakości niż to mołdawskie gówno, które przywiozłeś ostatnio.

– Kałasznikowy nie są jednakowe – wyjąknął Sybirak, uśmiechając się ponownie. – Widziałem to po cenie. – Pokaż mi granatniki.

– Wybierz który.

Wojskowy wskazał skrzyni, na chybił trafił.

Sybirak przywołał ładowacza, który rozpiął pasy zabezpieczające skrzynię, przeniósł ją pod drzwi, postawił i uniósł wieko. Na wbudowanej półce leżały sześć podwieszanych wyrzutni. Ładowacz wysunął mniejszy pojemnik i otworzył. W środku znajdowało się dwanaście granatów, ułożonych głowicami do góry.

Afrykanin wziął wyrzutnię i granat, podszedł do otwartych drzwi i pokazał bro swoim ludziom. Krzyknął coś w plemiennym dialekcie. Sybirak zrozumiał tylko słowo *uhuru* – będzie nazwa dla waszej Kamdarii. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi zaczęło wiwatować. Strażnik z kałasznikowem wycelował bro w powietrze i wystrzelił na olep.

Sybirak stanął w drzwiach obok przywódcy buntowników. Spojrzał na samozwańczą armię i się uśmiechnął. Szpiegów, których miał w jej szeregach i w obozie sił Kamdarii, donieśli mu, że rebelianci są o krok od doprowadzenia do upadku jednego z najbardziej stabilnych zachodnioafrykańskich krajów bogatych w ropę. Jeśli wygrają, rozgorzeje długa i brutalna walka plemienna.

A on otrzyma koncesję na ropę za to, że dostarczy bro zwycięzcom.

Przewrócił w myślach stron w swojej księdze rachunkowej i zaczął przygotowywać ostatni etap planu, który miał go przeprowadzić od nielegalnego handlu bronią do handlu ropą z bezpiecznej Ameryki. Teraz, kiedy buntownicy otrzymali wieńce dostaw broni z czasów radzieckich, rząd Demokratycznej Republiki Kamdarii będzie potrzebował lepszej. I dostarczy ją on, Sybirak.

Zarobi wiele milionów amerykańskich dolarów, a do tego pozna odpowiednich ludzi i będzie mógł liczyć na obecny afrykański reim. W rezultacie zdobędzie to, czego nie kupi się za pieniądze na międzynarodowym rynku ropy.

Ropy nie poplamia krew.

Dostrzegł błysk wiatła dochodzący z kamienistego wzgórza około trzystu metrów od pasa startowego.

Natychmiast ukrył się w ciemnym wnętrzu samolotu. Może jacy buntownicy próbują uciec z broni, koltanem i diamentami. A może rzeka Kamd erii zorientował się, że on sprzedaje broń obu stronom?

Uniósł lornetkę i przyjrzał się miejscu, w którym zauważył błysk.

Wśród krzaków porastających wzgórze dostrzegł coś, co mogło być kryjówką snajpera, i wydało mu się, że widzi w środku jakichś ludzi. Ale nie miał pewności. Mołdawska lornetka nie była najlepszą jakością.

Zniecierpliwiony odwrócił się do strażnika uzbrojonego w karabin maszynowy.

– Daj mi to – powiedział, wskazując gestem na broń.

Strażnik wahał się, ale na rozkaz dowódcy oddał karabin.

Sybirak, nadal stojąc w mroku, oparł broń na skrzyni i przyjrzał się z boku wzgórz. Teleskopowy wizjer wyraźnie ukazał szczegóły.

Dwóch mężczyzn. Biali. Twarze mieli zasłonięte – jeden przez aparat z bardzo długim obiektywem, drugi przez lornetkę polową.

Mężczyzna z aparatem przykucał, ale przez lekkie zasłonięcie krzaków Sybirak dostrzegł, że zmienia film.

Zaklął głośno, uwiadamiąc sobie, co to oznacza. Fotograf miał co najmniej jeden film, na którym uwiecznił jego nadzorującego rozładunek, dowódcę buntowników sprawdzającego broń, diamenty i koltan oraz buntowników wymachujących bronią dostarczoną wbrew zakazom Unii Afrykańskiej i mimo embarga ONZ. Jeśli zdjęcia zostaną opublikowane, sprawa trafi na pierwsze strony gazet.

– Będzie zrujnowany. Resztę życia spędzi w piekle libijskiej wolności. – Broń jest sprawna? spytał, wciąż patrząc przez teleskopowy wizjer karabinu.

Dowódca przetłumaczył jego słowa strażnikowi.

Ten uśmiechnął się szeroko, kiwnął głową i odpowiedział.

– Zasięg: dwieście pięćdziesiąt metrów – przetłumaczył dowódca.

Wziewanie skwitował Sybirak. Wycelował w fotografa. Jeśli go trafi, ten z lornetką będzie próbował ratować kolegę. W ten sposób dostanie obu. Sybirak położył palec na spuście.

Mężczyzna z lornetką przesunął się lekko. Przez długą chwilę on i Sybirak trwali w bezruchu, przyglądając sobie. Kiedy Sybirak nacisnął spust, mężczyzna z lornetką rzucił się na fotografa i odsunął go. Padł strzał. Ptaki zaskrzeczały i poderwały się do lotu.

Na spodniach moro mężczyzny z lornetką pojawiła się krew. Sybirak próbował strzelić ponownie, ale zapiaszczony zamek stawiał opór. Zanim znów namierzył kryjówkę w krzakach, mężczyzna już tam nie było. Klęczęc, wypalił kilka razy na olep, po czym stanął w drzwiach i wskazał palcem wzgórze.

– Szpiedzy! – krzyknął. – Zabijcie ich!



Dowódca rebeliantów ryknął na swoich ludzi. Buntownicy ruszyli biegiem w stronę wzgórza, ale dwaj mężczyźni nie wyskoczyli z kryjówki i zaczęli wspinać się po zboczu. Partyzanci zaczęli strzelać, lecz oni byli już za daleko, żeby ich trafić.

Sybirak przyłożył karabin do ramienia i oddał jeszcze dwa strzały, bez większej nadziei na sukces. Karabin snajperski nie sprawdza się w przypadku ruchomych celów. Zdegustowany, rzucił broń na skrzyni. Po chwili ranny mężczyźni upadł. Nareszcie!

Zanim Sybirak zdążył ponownie wycelować, fotograf schylił się, podniósł rannego towarzysza, wsunął go w nosidło strażackie i zniknął za grzbietem wzgórza.

– Silny. Bardzo silny. – Sybirak był zaskoczony. Czego takiego się nie spodziewał.

– Za nimi, durnie! – rozkazał oniemiałym buntownikom. Dowódca przetłumaczył i rebelianci puścili się przed siebie w stronę wzgórza. Ledwie przebiegli kilkanaście metrów, po drugiej stronie rozległ się odgłos uruchamianego silnika. Chwilę później spod kół land-rovera uniosły się tumany piachu.

Sybirak spojrzał na dowódcę, który tylko wzruszył ramionami.

– Tam jest szlak prowadzący do trzech dróg. Dwie z nich kontroluje wojsko Kamerii.

Sybirak był w ciekły. Zawsze zachowywał maksymalnie ostrożność w swojej brutalnej wspinaczce na szczyt brutalnej profesji. Nikt nigdy go nie sfotografował.

– Przygotuj się do startu! – krzyknął do pilota. Zawyły silniki.

– Dorwij tych dwóch – rozkazał dowódcy buntowników. – Dostarcz mi ich film, a ja dam ci dwa działa i miotawic bojowy.

Afrykanin uśmiechnął się szeroko. Skoro Sybirak płaci milion w pierwszym podejściu, w drugim zapłaci więcej.

– Zdobądź kliszę. A później się potargujemy.

Drzwi maszyny zamknęły się z hukiem i samolot zaczął rozpryskiwać się po piaszczystym pasie, rozpraszcając buntowników jak ziarnka piasku.

## ***Rozdział 3***

***Pi lat później***

***Okolice Phoenix, Arizona***

***Koniec marca, czwartek, 8.30***

Kayla Shaw wyszła z małego murowanego domku i włożyła ostatnie rzeczy do forda explorera. Nie było tego wiele. Kilka zdjęć, lejce wygrane przez babci, trofea matki zdobyte w jej dziecięcych skokach przez beczki, ulubiona strzelba myśliwska ojca. Drobiazgi – skarbnica wspomnień. Po pracy przyjedzie jeszcze raz i spakuje ubrania.

Mogła mieszkać tu jeszcze miesiąc, ale czuła się nieswojo w roli najemcy, a nie właściciela.

Kiedy znalazła bezpieczne miejsce dla małego, nieoprawionego w ramach pejzażu, przypomniała sobie, jakiego rodzaju podniecenie, gdy zobaczyła ten obraz na wyprzedzającym. Było to tuż po śmierci jej rodziców i w panoramie lasu przed wiatrem dostrzegła coś, co mówiło o czasie, samotności i tęsknocie nadziei wschodu słońca, który raczej się wyczuwało, niż widziało. Kiedy przeczytała tytuł obrazu: *Był i nie był*, wiedziała, że musi go kupić.

Dotknęła nazwiska namalowanego w lewym dolnym rogu. R. McCree pomógł jej przetrwać trudny czas. Szukała innych jego albo jej obrazów, ale na ścianach już nic trafiła.

Oparła się o metalowe ramy drzwi samochodu i rozejrzała dookoła po Suchej Dolinie – czterohektarowym ranczo, które przez całe życie było jej domem. Pod wpływem słońca ceglane ściany domu przybrały popielaty odcień, a drewniany płot nabrał cudownej szarej barwy. Przyległa stodoła sprawiała wrażenie opuszczonej, jak wiatrak przy dawnym zbiorniku wody dla bydła – wiatrak, który nadal zaopatrywał w wodę dom i zagrody.

Cztery hektary wspomnień.

Chłodna poranna bryza otuliła ją smutkiem. Kayla miała nadzieję, że nowy właściciel pokocha Suchą Dolinę tak jak ona i jej rodzice. Miała nadzieję, ale nie miała pewności. Sprzedała ranczo osobie nieznanej, której nigdy nie widziała, o której istnieniu dowiedziała się za pośrednictwem agenta.

– Zmiana, zmiana, zmiana – rzuciła, odgarniając ciemne włosy z oczu. – Witaj, żegnaj, witaj – nowe życie. I żegnaj, cię żegnaj.

Mimo droczywego smutku wiedziała, że postąpiła właściwie, sprzedając ranczo. Umowy dzierżawy stanowych pastwisk dawno wygasły, a bez dzierżawy nie sposób było się utrzymać. Na czterech hektarach Suchej Doliny głód cierpiałyby nawet jedna krowa. Ranczo było małym kawałkiem pustyni na najodleglejszym krańcu aglomeracji miejskiej Phoenix. Dom, zapuszczony w tym samym stopniu co ziemia, wymagał gruntownego remontu. Mimo to podatki systematycznie podwyższano, bo okręgowy doradca wycenił ziemię na podstawie jej potencjalnej, a nie rzeczywistej wartości.

egnaj, ranczo.

Witaj, kariero w prywatnej bankowości.

Nie lubiła swojej pracy, ale kiedy da jej propozycję o przeniesienie spotykała się z grzecznymi, ale stanowczymi odmowami.

Wobec dziewczynie nie trzeba, żeby zaczęłyśmy się o ucieczce.

Nie jestem już dziewczyną, pomyślała Kayla. Jestem dorosła. Wielu ludzi nie lubi swojej pracy, ale nie zwracają na to uwagi i pracują dalej.

– Pomyśl o przyszłości ci jak o wyprawie na inny kontynent – powiedziała głośno – gdzie wszystko jest nowe i niezbadane.

Praca prywatnego doradcy bankowego bywała fascynująca, ale nie stłumiła w Kayli zamiłowania do podróży.

W takim razie nie myśl o nowych kontynentach i o podróży dookoła świata. Jesteś już dorosła i masz dorosłe obowiązki.

Kayla usiadła na fotelu kierowcy, zabezpieczyła plik dokumentów, żeby nie ześlizgnęły się z siedzenia pasażera, spojrzała na czek przypięty do dużej teczki. Zajmuj się prywatną bankowością, miała do czynienia ze znacznie większymi kwotami na czekach, lecz żadną z nich nie należało do niej. Pieniądze klientów były ich pieniędzmi; jeżeli w ogóle o nich myślała, były dla niej po prostu liczbami, które należało przemieścić z jednego miejsca na inne.

Czek przypięty do teczki był jej – dwieście czterdzieści sześć tysięcy czterysta siedem dolarów.

Dokładnie.

Bezwiednie spojrzała na zniszczony plecak pod siedzeniem pasażera. Mogłabym pojechać w takim miejscu na wiecie, pomyślała. Ale pieniądze kiedyś się skończą. A wtedy zostanie niczym.

To była całkiem pokaźna suma, lecz krwiożerczy rynek nieruchomości Phoenix połknął ją w całości i nawet nie czknie.

Odwróciła wzrok od plecaka i włączyła silnik. Miała nadzieję, że jej następną transakcją z nieruchomościami będzie równie czysta i prosta jak ta. Za radą agenta założyła ranczo wysokiej ceny.

I znalazła kupca.

Agent klienta podszedł do transakcji profesjonalnie, jak na prawnika przystało. Dostała kwotę, jakiej chciała, z potrąconymi kosztami sprzedaży i wynajmu za najbliższy miesiąc, i pojechała na ranczo, żeby się spakować.

Dziękując swoje konto w banku American Southwest przeleje własne pieniądze. Wprawdzie nie rozwiązywały wszystkich problemów, ale dawały poczucie bezpieczeństwa finansowego, którego nie miała nigdy wcześniej.

Może to poczucie bezpieczeństwa pomoże jej poradzić sobie z Elen Bertone, najbardziej wymagającą klientką w wiecie prywatnej bankowości.

## ***Rozdział 4***

***Phoenix, Arizona***

***Czwartek, 8:40***

Drogi skórzany fotel zaskrzypiał pod ciężarem Andre Bertone'a. Niewiele biurowych krzeseł było na tyle masywnych, żeby udźwignąć tak potężne cielsko – metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i sto trzydzieści kilogramów wagi, z czego większość stanowiły mięśnie. Telefon satelitarny, który Andre trzymał przy uchu, w jego dłoni wyglądał jak okrusek.

Do ucha Bertone'a wlewał się melodyjny akcent brazylijskiego portugalskiego. Choć jego język brzmiał pięknie, treść rozmowy przyprawiła Andre o wypieki. Niewielu ludzi na świecie mogło nim dyrygować. Jednym z nich był João Fouquette.

– Wiem, że strasznie się niecierpliwisz... – usiłował wtrącić Bertone.

Fouquette nie przestał mówić.

– ...trzeba wyprzeć ponad miliard dolarów, żeby zapłacić za broń. Pieniądze są z Francji, Liechtensteinu i Dubaju. Liczyłem, że ty...

– Nigdy ci nie zawiodłem – przerwał mu znowu Bertone. – Wyluzuj, przyjacielu. Wszystko jest w porządku. – Poza tym, dupku, połowa z tych pieniędzy jest moja, dodał w myślach.

Ogromne ryzyko, ale Bertone nie zaszedłby tam, gdzie jest, gdyby był nie miał.

– Nie wszystko jest w porządku – upierał się Fouquette. – Neto wynajął St. Kilda Consulting.

– Co? Myślałem, że Neto jest nasz.

– Był, dopóki się nie dowiedział, kogo naprawdę popierali my podczas rewolucji pięć lat temu.

Bertone wzruszył ramionami. Sprzymierzeńcami są ludzie, którym się jeszcze nie dowodziło, a póki nie słyszy interesom.

– Domyślam się, że to dlatego nie chciał przedłużyć z nami kontraktów naftowych.

Fouquette nie wysilił się, żeby odpowiadać na pytanie retoryczne.

– Ceny ropy niedługo pójdą w górę. Dostawy z Kamerii chcemy sprzedawać po nowych cenach. Przyspieszyli my planowaną rewolucję. Czy twoi dostawcy mają broń, której potrzebujemy?

– Jak tylko zobacz pieniądze, my zobaczymy broń. O broń nie jest trudno. Jedyne problemy to transport i dystrybucja. – W tym Bertone miał spore doświadczenie. Dostrzegł słabe punkty w handlu bronią, kupił samoloty, zatrudnił pilotów i dorobił się majątku, przewożąc ładunki, których transportu nikt inny by się nie podjął.

– Cokolwiek zrobisz, nie używaj starej pralni – uprzedził go Fouquette. – St. Kilda

prawdopodobnie ma LuDoca na oku i czeka, żeby uderzył.

– LuDoc nie żyje.

Fouquette się roze miał.

– Wić w końcu się połąpał, a cię rolował?

– Pracuję nad nowym kanałem. Jest naiwna jak dziecko.

– W takim razie masz dzieło, żeby zmienił twoje naiwne niewiniątka w dziwkę. Dostawa broni musi się odbyć natychmiast.

– Co? Dał mi cztery tygodnie na...

– Pretensje miej do Neta – uciął Fouquette. – To ten bydlak wciągnął w to St. Kilda. Musz szybko ruszyć pieniądze i jeszcze szybciej dostarczyć broń wrogom Neta.

– Kiedy dostanę pieniądze? – spytał Bertone.

– Jak tylko otworzysz konto, ka dy z udziałowców przeleje swój ciężar w ciągu czterdziestu minut godzin.

– Do soboty? – mruknął Bertone. – Nie mogę zrobić, a w weekend bank...

– Nie interesuj mnie twoje problemy – przerwał mu Fouquette. – Mój sponsor stracił cierpliwość, odkąd został prezydentem. Natychmiast otwórz konto.

– Może Brazylia potrzebuje nowego prezydenta. Da się to chyba załatwić, co?

– Nieprzekonująco. Jeśli szybko nie wyśle się broni, żeby obalił Nową Republikę Kamderyi Neta, wylecisz z roboty. A ty, mój syberyjski przyjacielu, będziesz martwy.

## ***Rozdział 5***

***Manhattan***

***Czwartek, 12.15***

Były ambasador James B. Steele wtoczył się do sali konferencyjnej na pięćdziesiątym siódmym piętrze UBS Building, jakby to on był właścicielem stacji telewizyjnej, która miała tam siedzibę. Był piętnaście minut spóźniony, ale nie przeprosił. Grał w tym spotkaniu wielką rolę nie pięć osób, którym kazał czekać.

– Dzień dobry – rzucił do wszystkich i do nikogo.

Podjechał wózkiem elektrycznym do palisandrowego stołu konferencyjnego. Nie mógł jednak zająć miejsca, bo na przeszkodzie stanął mu skórzany fotel.

– Ups. Ja go zabiorę – powiedział szybko Ted Martin.

Kierownik produkcji był głównym ogniwem kontaktowym Steele'a z UBS przez ostatnie dwa miesiące zbierania informacji i negocjacji. Rzucił się, żeby odsunąć fotel na bok, a Steele podjechał do stołu. Znalazł się naprzeciwko najwłaściwszego człowieka w pomieszczeniu, Howarda Prossera, pełnomocnika producenta programu *wiat w godzinę*.

Steele pozdrowił Prossera i skinął głową Brentowi Thomasowi. Brent, najprzystojniejszy spośród korespondentów wojennych, był jednym z najpopularniejszych reporterów stacji. I najambitniejszym. Na szczęście dla Steele'a, był również bystry i chętny do wystąpienia przed kamerą.

– Deb Carroll, nasz starszy konsultant. – Martin wskazał kobietę, która nie brała udziału w żadnym z wcześniejszych spotkań. – Jej zadaniem jest sprawdzenie faktów, zanim materiał zostanie wyemitowany.

Steele skinął głową.

– Z radością odpowiem na pani pytania.

Uśmiech Carroll zdradzał, że raczej w to wątpi.

– Stanley Carson, prawnik z naszej firmy – przedstawił Prosserowi ostatniego z obecnych. – Należał, żeby wziął udział w tym spotkaniu.

Brwi Steele'a, niemal czarne, mimo że włosy miał już siwe, uniosły się.

– Strata czasu, panie Carson. Prawda jest wystarczająco obroniona zarówno przed zniesławieniem, jak i pomówieniami.

– Wolimy unikać procesów, niż się bronić.

– St. Kilda Consulting nie przejawia takiej niechęci do konfliktów, prawnych czy innych –

oznajmił Steele. – Pan Thomas może i ma ładną buzi, ale nie jest głupi. Bardzo starannie sprawdził w tki, które mu podali my, o czym z pewno ci przekona się pani Carroll.

– Przeleciałem tysiące kilometrów jednym z najgorszych samolotów, jaki kiedykolwiek oderwał się od ziemi – odezwał się Thomas wyszkolonym głosem, w którym mieszały się oburzenie i entuzjazm. – Wszystko po to, żeby odnaleźć tych dowódców rewolucji, o których mi pan powiedział. Mam wspaniałe wywiady z nimi wszystkimi. Dzięki temu handel broni nabierze ludzkiej twarzy. Pan Prosser nawet zastanawia się, czy nie powi ci tematowi całego godzinnego odcinka.

Prosser się skrzywił.

– Nie podjęto jeszcze ostatecznej decyzji, czy będzie to krótki, czy długi materiał. Brakuje pewnych kluczowych elementów, głównie z wywiadem z głównym bohaterem programu, panem Bertone.

Steele pokręcił lekko głową.

Kiedy ustalimy, gdzie przebywa, powiemy panu, a wtedy Thomas i ekipa filmowców będą mogli się z nim spotkać. Ale Andre Bertone nie udzieli wywiadu. To nie leży w jego naturze.

Prosser uśmiechnął się szeroko.

– Nie ma problemu. Nasi widzowie milczenie odbierają jako przyznanie się do winy.

– Chwileczkę – wtrącił Carson. – Zanim pozwolę tej stacji wyemitować atak na człowieka, który jest niewiarygodnie bogatym biznesmenem i – jak twierdzi Thomas – dyplomata ONZ, chcę zobaczyć dowody.

Steele wiedział o akredytacji dyplomatycznej Bertone'a, ale był zaskoczony, że wie również równie oni. Spojrzał na Thomasa.

– Dobra robota – powiedział. – Jeśli kiedyś będzie chciał pan rzucić pracę w telewizji, proszę przyjść do mnie, do St. Kilda.

– Dziś chcieliśmy właśnie porozmawiać o St. Kilda Consulting – rzekł Prosser. – Trochę się, hm, niepokoiśmy pewnymi aspektami pańskiej organizacji...

– I tym, jak raczej niechlubna reputacja pańskiej firmy może wpłynąć na nasz wizerunek – dodał Carson. – W europejskiej prasie pojawiają się opinie, że St. Kilda Consulting jest prywatnym wojskiem, które pracuje dla tego, kto zaoferuje wyższe stawki. UBS nie może sobie pozwolić, żeby utożsamiano ją z najemnikami. Takie stanowisko słychać z sześćdziesiątą pierwszego piętra.

Steele spojrzął na konsultantkę, która z zainteresowaniem studiowała lakier na swoich paznokciach.

– Wiacie czyta pani „Le Figaro” – zagadnął do niej po francusku.

Zaskoczona położyła dłonie na teczkę w niemal obronnym geście.

– Domyślam się, że przyniosła pani ze sobą artykuł – powiedział Steele, przechodząc na angielski.

Konsultantka wzruszyła ramionami i otworzyła teczkę.

– To jedna z czołowych europejskich gazet – odezwała się. – Nie aden szmatławiec.

– Proszę puścić artykuł dookoła – polecił Steele. – Kiedy powinien zobaczyć, co się wykorzystuje, żeby podważyć wiarygodność St. Kilda Consulting.

Podawała Prosserowi kartkę – kserokopię artykułu.

– Nie znam francuskiego – wyjaśnił.

– Interesujący nas fragment znajduje się mniej więcej pół strony niżej – powiedział Steele, biorąc od niego kartkę. – Proszę korygować moje tłumaczenie, jeśli pani chce, pani Carroll.

Wyjęła drugą kopię artykułu z teczki i ledziła wzrokiem, kiedy Steele tłumaczył.

– „Jak podają dobrze poinformowane źródła wywiadowcze, St. Kilda Consulting, najemna firma ochroniarska z siedzibą w Stanach Zjednoczonych, doskonale znana z tego, że pobiera niebotyczne opłaty od prywatnych klientów z całego świata, rozszerza swoją działalność na Afrykę i Amerykę. Istnieją dowody, że grupa ta, która oficjalnie działa jako niezależna firma konsultingowa zajmująca się ochroną i bezpieczeństwem, zamierzała sparaliżować legalną wymianę handlową pomiędzy kilkoma francuskimi firmami a klientami we francuskiej strefie wpływów w Afryce, obejmującej kilka państw po obu stronach równika. Ukrywany jest wprawdzie fakt, że działania St. Kilda są wspierane, a może nawet potajemnie finansowane przez amerykański lub nawet sam rząd, ale detektywi z różnych krajów badają wszystkie wątki”.

Steele spojrzał na konsultantkę.

– Rzetelne tłumaczenie – powiedziała, lekko zaskoczona.

– Nie tak przedstawiono mi treść artykułu – oznajmił Carson. – Gazeta może i jest poważna, ale to zwykłe plotki, a nie prawdziwe dziennikarstwo.

Carroll ponownie zaczęła studiować swoje paznokcie.

– Autor jest cenionym dziennikarzem – wyjaśnił Steele. – Ma doskonałe źródła informacji wśród francuskich polityków i służył bezpieczeństwu i właśnie dlatego jego atak jest tak interesujący. Nie miał żadnego powodu, żeby poruszać ten temat, ani żadnego haka, jak to nazywacie w swoim biznesie. Po prostu obrzuca błotem.

Prosser się skrzywił.

Martin powoli stawał się spokojny.

Carroll doszła do wniosku, że przemasuje paznokcie na krwistoczerwony kolor.

– Atak na St. Kilda cięgnął Steele – najprawdopodobniej ma źródło w jednej z największych francuskich spółek energetycznych. Firma szuka koncesji na handel ropą w całej Afryce. W przeszłości płaciła za takie koncesje broń, amunicję, a nawet maczetami, jak ta, którą posłużyło się wiele lat temu, żeby odrabiać Johnowi Neto.

– Chwileczkę – wtrącił Brent Thomas. – Twierdzi pan, że za wszystkim stoi jakaś francuska korporacja naftowa, która pociąga za sznurki, handlując bronią w zamian za ropę, i jednocześnie nie sięga plotki za pośrednictwem wpływowych dziennikarzy?



– Tak.

– To albo najbardziej szalona, albo najbardziej niesamowita historia, jak w życiu słyszałem.

– Jedno i drugie – oznajmił Steele.

Carson się pochylił.

– Mnie obchodzi wyłącznie Andrew Bertone. On pourywa nam jaja, jeżeli nie spodoba mu się to, co powiemy.

– Bertone pracuje dla tej firmy naftowej – wyjaśnił Steele. – Jeżeli jest się mi dzynarodow korporacją obracając miliardami dolarów i ze ciętymi powiazaniami politycznymi, nie kupuje się osobiście samolotów pełnych broni i nie dostarcza jej bezpośrednio buntownikom, którzy w zamian dadzą wieloletnie koncesje na ropę, gdy dojdą do władzy.

Carson zaczął notować.

– Andre Bertone po redniczy w interesach tej firmy – ciągnął Steele. – Kiedy był zwykłym przeciwnikiem. Buntownicy podkradali spore ilości ropy z rurociągów przesyłowych i sprzedawali ją Bertone'owi w zamian za karabiny szturmowe. Dzięki temu kupił samoloty i zatrudnił pilotów. Teraz jest mi dzynarodowym pośrednikiem w handlu ropą i – jeżeli Neto zostanie obalony – zacznie kontrolować miliony baryłek potencjalnej produkcji Kamerunii, które będzie wysyłał Francuzom z długoterminowym zyskiem miliarda dolarów.

– Miliarda? – spytał zdumiony Prosser. – To znaczy tysiąca milionów dolarów?

– Wliczając dochody z łapówek, owszem – potwierdził Steele. – Właśnie dlatego niektórzy bardzo wpływowi i potężni ludzie w Paryżu nie są zadowoleni. Nie chcą, aby St. Kilda wtrącała się do rewolucji, dzięki której tak bardzo by się wzbogacili.

– Mam nadzieję, że jest pan w stanie tego dowiedzieć się – zagadnął Carson.

– Ale skąd, mecenasie – odparł Steele. – Dlatego radzę nic o tym nie wspominać w programie. Tego rodzaju zarzuty spotyka się jedynie w ródłach wywiadu, a później, oczywiście, w podręcznikach historii. Ale to nieistotne.

– Dla mnie istotne.

– Dlaczego? Pańska stacja musi jedynie udowodnić, że Andre Bertone jest, lub był, mi dzynarodowym handlarzem broni, „sprzedawcą mierci”, jak nazywa go pan Thomas. Pański dziennikarz już położył fundament pod tę historię. Teraz ja oferuję panu najwiskaz atrakcję tego programu.

Wyjść ze3 TD [(d)-100sii, kalendarz „7(c)-16.11(-)-160.959493-34.-14.301(j)17(e)-J 2.959wózku3.699(l)10W]

– Tak – potwierdził Steele.

– Deb, ty masz nasze jedyne zdj cie Bertone'a. To on? – Podał wydruk konsultantce, która wyj ła inn fotografi ze swojej teczki.

– Mo liwe – stwierdziła. – To zdj cie jest niewiele wyra niejsze ni to nasze.

– Zostało zrobione pi lat temu z kryjówki w pobli u piaszczystego pasa startowego podczas wojny domowej, wskutek której obalono Monarchi Republika sk Uhuru i ustanowiono Now Demokratyczn Kamd eri – wyja nił Steele.

– Nasze ma dziesi lat – powiedział Martin. – I prawd mówi c, nie mamy nawet pewno ci, czy to zdj cie Bertone'a. Dostałem je od kumpla z Langley. Powiedział, e jedynej fotografii, na której na pewno jest Bertone, wła nie sprzed pi ciu lat, nie udało mu si zdoby . Mo e to wła nie ta.

Steele wiedział, e to na pewno ta.

Prosser przegl dał kolejne fotografie przedstawiaj ce załadunek worków kontrabandy i rozładunek czego , co wygl dało na skrzynie z broni .

Wreszcie wyj ł zdj cie, które ukazywało Bertone'a ze snajperskim karabinem w dłoniach, patrz cego przez lunet .

– Bo e! – j kn ł przera ony. – Wygl da, jakby namierzał fotografa.

– Bo namierzał – odparł Steele. – Prosz zwróci uwag , e nie trzyma palca na spu cie.

– I tak si ciesz , e to nie byłem ja. – Prosser odetchn ł gł boko. – To b dzie wspaniały materiał, je li uda nam si go uwiarygodni .

– Prosz spojrze na ostatnie zdj cie.

Prosser si gn ł po ostatni fotografi . Wszyscy przy stole oprócz Steele'a przesun li si , eby na ni spojrze .

Bertone był słabo widoczny w ciemnym wn trzu samolotu, ale nie uległo w tpliwo ci, e przestał obserwowa , a zacz ł działa . Palec trzymał na spu cie.

– Strzelił kilka sekund pó niej – wyja nił Steele. – Zgin ł młody chłopak.

Prosser znów westchn ł.

– Cholera.

– Zdj cia łatwo sfingowa – wtr cił Carson. – We my cho by materiały CBS o Gwardii Narodowej.

Steele si roze miał.

– To akurat były marne falsyfikaty. Nie kupiłaby ich adna agencja wywiadowcza i nie powinien był kupi aden szanuj cy si dziennikarz.

– Chodzi o to, e... – zacz ł Carson.

– Fotografie z komputera mogłyby być sfałszowane, zwłaszcza przy obecnym poziomie techniki cyfrowej – przerwał mu Steele. – Odbitki, które przyniosłem, są reprodukcjami. Negatywy trzymam w sejfie.

– Wietnie – powiedział Prosser. – Z odbitkami można kombinować, ale negatywy naprawdę cię oszaleją.

– Jeśli UBS zgodzi się na moje warunki – oznajmił Steele, kłamiąc z łatwością dyplomaty, którym kiedyś był – pokażę negatywy. Dopilnuj tego, żebyście mogli zrobić wywiad z fotografem.

– Przecież przed chwilą powiedział pan, że został zabity – odezwała się Carroll.

– Powiedziałem, że kto został zabity. To był obserwator. Może czyżna, który robił zdjęcia, czyje.

Martin się rozpromienił.

– To kiedy możemy zrobić wywiad?

Steele spojrzał na swój komórek. Brakowało mu wiadomości. Do diabła, Faroe, czy to dla ciebie za wiele odezwa się od czasu do czasu?

– W ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Ale najpierw musi się pan zgodzić na moje warunki.

– Nikt nie opublikuje mojego materiału – zapewnił Martin.

– Nie miałbym nic przeciwko temu – odparł Steele. Ale jeśli będą filmowani pracownicy St. Kilda, nie pokażę ich twarzy i zniekształcę głosy. To nie podlega dyskusji.

Prosser się skrzywił.

– Ale...

– Bez dyskusji powtórzył Steele. – Martin wiedział o tym od początku. I zanim przyjdzie wam do głowy wyrolować mnie albo moich pracowników, pomyślcie o tym, że St. Kilda jest dobrym przyjacielem, ale złym wrogiem.

Prosser wyglądał na poirytowanego, ale nie protestował.

– A co pan z tego ma?

– Dziennikarze rzadko pytają dobrego informatora o motywacje – odparł Steele. – Darowanemu koniowi... i tak dalej. Etyka dziennikarska wymaga jedynie tego, żebyście byli pewni, że moje informacje są rzetelne. A są.

– Sprawdzimy to – rzucił Prosser, zerkając na Carroll. – Może pan być tego pewien.

Steele się uśmiechnął.

– Jestem.

Prosser bębnił palcami o stół, myśląc intensywnie.

– W tej chwili mamy materiał na dziesięciominutowy program – powiedział w końcu. –

Potrzebujemy wi cej.

– Poplecznicy Bertone'a zaczynają się denerwować – odparł Steele. – Mo liwo ci powoli się skończy. Wchodzi pan w to albo nie. Wi cej spotka nie będzie.

– Gdyby my dostali jakieś aktualne zdjęcie Bertone'a – wtrcił szybko Martin – co, co dodałoby materiałowi pikanterii. Inaczej ludzie nie uwierzą, że filantrop Bertone kiedy był przemycającym broń zabójcą.

Steele skinął głową.

– W sobotę Bertone'owie wydają wielkie przyjęcie w swojej posiadłości Pleasure Valley – powiedział. – Nad tą atmosferą i paskudnym otoczeniem. Może by?

– Tak, o ile na zdjęciu będzie Bertone – zgodził się Martin. – I przydałyby się informacje o tym, jak Bertone omija prawo bankowe. Sumo, o jakich pan mówił, nie da się przelewać legalnie, nie zostawiając ladu.

Steele zmrużył oczy. Je li Kayla Shaw ma zamiar ocalić głowę, wyda im swojego szefa...

– Zrobimy, co się da.

– Interes ubity – oznajmił Prosser.

– Wietnie! – ucieszył się Martin.

## ***Rozdział 6***

***Pleasure Valley, Arizona***

***Piątek, 10.31***

Kayla Shaw podjechała szybko do bramy posiadłości Eleny i Andre Bertone'ów utrzymanej w toskańskim stylu. Dwuhektarowa działka budowlana pod Castillo del Cielo została wydarta suchym, skalistym wzgórzom niecałe dwa lata temu. Teraz teren ten emanował bogactwem i przepychem. W ród kolumn z importowanego włoskiego marmuru i niży szkło, ozdobna terakota i miedź.

Kayla podejrzewała, że pod marmurem znajdują się stare dobre stiuki z Arizony.

Według bankowych danych Bertone'owie zapłacili za ziemię ponad pięć milionów dolarów. Kolejne dziesięć wydali na budowę domu, domku gościnnego, budynków dla służby, basenów, ogrodów i strzeżonej bramy u stóp wzgórza. Za basenem mieli nawet i dowisko dla helikoptera oraz mały helikopter czekający na kadełko.

Nie wszyscy ludzie, którzy spełniali ich królewskie zachcianki, byli zatrudnieni bezpodmiotowo. Bertone'owie mieli ponad sto dwadzieścia pięć milionów dolarów na rachunku w American Southwest, co uprawniało ich do korzystania ze szczególnego poziomu usług. Kayla płaciła rachunki Bertone'ów, obracała pieniędzmi z ich wielu kont, pokrywała debety i deficyty i składała wizyty domowe w Castillo del Cielo, aby odebrać zlecenia i zostawić pokwitowania. Jednym słowem: była gościnnym. Wprawdzie inaczej wyobraziła sobie bankowość, zwłaszcza prywatną, ale opłacała się.

Czekajcie, a strażnik wyjdzie ze swojej budki i przepuści was przez bramę, przyglądał się niecierpliwie ciekawie przy budynku ochrony. W Castillo del Cielo roczne rachunki za wodę w olbrzymich fontannach, imponujących rozmiarów elementach wodnych i trzech basenach wynosiły niemal tyle, co czek w jej torebce. Kayla, dziewczyna wychowana w znacznie skromniejszych warunkach, czuła się niezręcznie, widząc tego rodzaju ekstrawagancje, ale czując jej dziecięcej natury rozkoszowała się grami wiatel, tańcząc w wodzie i zapachem wody. Mimo że była to woda chlorowana.

Wyjrzała przez okno samochodu na budkę strażnika, w której młody mężczyzna spokojnie rozmawiał przez telefon. Jimmy Hamm pracował dla Bertone'ów od dwóch miesięcy. Był gadatliwym byłym piłkarzem drugiej ligi i gapił się na jej nogi przy każdej sposobności.

Zastanawiała się, czy miałby tak samo ochotę na flirt, gdyby wiedział, że to ona przygotowuje czekoladki z wyplat, które podpisywała Elena.

– Pani B. mówi, że może pani wjechać, ale proszę się pospieszyć – oznajmił, wychodząc z budynku i uśmiechając się do Kayli. – Spóźnie pani? Nigdy się pani nie spóźnia.

Kayla spojrzała na zegar na desce rozdzielczej.

– Nie.

– Jest zdenerwowana – wyjaśnił Hamm, opierając się o drzwi eksplorera. – Stary wrócił.

– Pan Bertone?

– Zjawił się w czwartek późnym wieczorem. Bo chyba to on siedział z tyłu w limuzynie. Ale nie dam głowy, bo nigdy go nie widziałem. – Pochylił się do okna. – Za dnia te nigdy go nie widziałem – wyszeptał. – Myli pani, jest wampirem?

Kayla przewróciła oczami.

– Prowadzi interesy na całym świecie.

– Jakie interesy? Narkotykowe?

– Narkotykowe? – Roze miała się i pokręciła głową. – Zmień lekarza, Jimmy. Pan Bertone handluje ropami i innymi surowcami naturalnymi. A teraz otwórz mi bramę, bo przez ciebie się spóźnie.

Hamm niechętnie odszedł od samochodu i uruchomił mechanizm bramy.

Kayla wrzuciła bieg i przejechała, rozbawiona i zirytowana zarazem zainteresowaniem niemiłych i pracodawcami, jakie Jimmy uporczywie okazywał. Z podrywami była w stanie sobie poradzić, ale Bertone'owie bardzo cenili swoją prywatność. Bogate rodziny są celem dla każdego, począwszy od rozmaitych organizacji zbierających fundusze, na złodziejach i porywaczach kończąc. Bogactwo utrzymuje świat na dystans za pomocą bram, kamer i całej witalnej służby, prawników i bankowców.

Na miejscu Bertone'ów robiłaby to samo. Zwłaszcza, że mieli troje małych dzieci, które trzeba było chronić przed szkodliwym światem.

Porzuciła w myślach ostatnie szczegóły związane z jutrzejszym wielkim przyjęciem, wjechała na parking przy garażu. Wyłączyła silnik i odruchowo chwyciła swój skórzany aktówkę i torebkę. Zawahała się, włożyła kopertę z czekiem do aktówki i ruszyła w stronę tylnego wyjścia, gdzie znajdowało się biuro Eleny. Po drodze pomachała brazylijskiemu kierowcy, Antoniowi, który mył potłuszczonego czarnego hummera. Wzdłuż wyłożonej płytkami ścieżki rosły lilie, sięgające niemal głowy. Wszystko było zielone i pachniało zielenią.

Zieleni pieniędzy.

– Tutaj! – krzyknęła Elena.

Kayla obróciła się gwałtownie, nie zmieniając rytmu. Najwidoczniej jej pracodawczyni była na tarasie pomiędzy olimpijskich rozmiarów basenem a brodzikiem dla dzieci.

– Spóźniła się – zauważyła Elena. – Ale zostawiłam dla ciebie drugie wiadanie.

Kayla osunęła się na krzesło stojące pod parasolem.

– Według mojego zegarka tylko o minutę – powiedziała radośnie. – A za to może pani wini swojego strażnika, który za każdym razem, kiedy przyjeżdżam, wychodzi z siebie, żeby mnie oczarować.

– Trudno mu się dziwić. – Elena posłała jej promienny uśmiech mi dzynarodowej królowej piknocy, którą kiedy była. – Jesteś atrakcyjną młodą kobietą, która godziwie zarabia na życie, a on byłym lekkoatletą, który nie lubi pracować.

Elena była olnieważ co piknęła, a urodzenie trójki dzieci tylko wyszło na dobre jej figurze.

Bystra, uparta, miała ambicje towarzyskie i była arogancka w sposób, na jaki może sobie pozwolić tylko pokaźna kobieta z kilkoma setkami milionów w banku.

Kayla nie potrafiłaby polubić Eleny ani też jej zaufa, ale jednocześnie nie była nią zafascynowana.

Pani B., wychowana w brazylijskich slamsach, doskonale zdawała sobie sprawę z różnic między biedą a bogactwem i między rodziną a samotnym zmaganiem się ze światem. Była kochającą matką, a jej dzieci, żywiołowe i nad wyraz pewne siebie, pobierały lekcje w domu, ponieważ szkoły publiczne nie mogły im zapewnić ochrony przed ewentualnym porwaniem.

Niezależnie od tego, co Kayla myślała o Elenie jako o człowieku, szanowała jej oddanie dla potomstwa.

– Gdzie dzieci? – spytała.

Rozejrzała się dokoła, pewna, że zobaczy Mirandę, Xaviera albo Jonathana wyglądających zza którejś z marmurowych kolumn przed domkiem na basenie. Bywała u Eleny częściej, niż wymagały interesy, bo uwielbiała dzieci Bertone'ów.

– Poprosiłam Marię, żeby zajęła się nimi w domu, dopóki nie skończymy interesów – wyjaśniła Elena.

Tak, pomyślała Kayla. Nie będzie pogawędki.

– Co mam załatwić? – spytała, wyciągając cyfrowy dyktafon. Polecenia Eleny rzadko ograniczały się do dwóch czy trzech.

– Kilka spraw. – Elena spuściła głowę i spojrzała na Kaylę zza włoskich okularów przeciwsłonecznych. – Czy dopięte sprawy finansowe związane z Tygodniem Sztuki Pustynnej?

– Nie wiem, jak reszta festiwalu, ale do pani przedsięwzięcia wszystko jest przygotowane. Szkoda tylko, że nie można na tego nazwać inaczej niż Szybki Rysunek. – Kayla starała się zachować neutralny ton, lecz przychodziło jej to z trudem. Gdyby to ja była szanującym się malarzem, pomyślała, naostrzyłabym koniec pędzla i upadła na niego, żeby tylko nie brać udziału w tym konkursie. Nieważne, że pierwsza nagroda jest dwadzieścia pięć tysięcy. Jest w tym wszystkim coś poniżej tego.

Elena wzruszyła ramionami.

– Nie ja wymyśliłam te nazwy. Ja tylko daję pieniądze i miejsce.

Sztuka jest bardzo ważna.

Zwłaszcza dla ludzi statusu, pomyślała cierpko Kayla. Upór we wspinaczkę po szczeblach drabiny społecznej był jednym z mniej czarujących cech Eleny.

Gdyby wychowała się w środowisku slamsów, te chciałaby być akceptowana przez najwzrostszych tego świata, upomniała się w duchu. Po prostu zazdrości jej urody. Bo jest czego zazdrościć.

Kayla zmusiła się, żeby wrócić myśleniami do konkursu Szybkiego Rysunku, który stanowił część dorocznego festiwalu, organizowanego w celu zbiórki funduszy na Muzeum Pustynne Scottsdale. Do malowania tego samego tematu w dwugodzinnym konkursie zaproszono trzydziestu pięciu artystów. W

tym roku Bertone'owie zrobili wrzenie, proponując na miejsce konkursu swój posiadłość i obiecując



– Chćnie zdeponujć ten czek na którymkolwiek wskazanym przez panić koncie – powiedziała.  
– Ale e bank, który wystawił czek, nie jest mi znany, muszć zadać kilka pytań.

– Pytań? – Elena zrobiła surową minę. – Jesteś pracownicą banku, nie policjantką.

Kayla westchnęła. Nie po raz pierwszy miała do czynienia ze wzburzeniem klienta, którego chciała przesłuchać. I na pewno nie po raz ostatni.

Ale prawo jest prawem.

– Przepisy nie sć moją pasją, ale nie mogę ich zmienić – wyjaśniła. – Je li nie bę dę przestrzegać przepisów, wydział proceduralny American Southwest dopadnie mnie i jak nic stracę pracę.

– Na to, eby się martwić o pracę, jest za późno – odezwał się zza Kayli Andre Bertone. – Niech się pani raczej martwi o swoją wolność.

## *Rozdział 7*

*Seattle*

*Pi tek, 9.36*

Rand McCree roztarł ółt farb , któr wła nie wylał na ciemnozielony impregnowany płaszcz Barobour.

– Cholera – mrukn ł.

Nie pierwszy raz poplamił si farb . I na pewno nie ostatni. Z jaskraw plam na ramionach jedna z jego ulubionych koszul wygl dała jak abstrakcja Jacksona Pollocka. Wiatr zdmuchn ł mokre płótno ze sztalug i cisn ł mu je na plecy, kiedy sikał przy pobliskim drzewie. To wła nie ryzyko malowania w plenerze.

Kiedy on i Reed mieli si ze swoich poplamionych ubra .

Kiedy , upomniał si Rand. Teraz Reed nie yje, a ty tak. I mo esz zrobi tylko to, o co ci prosił – malowa i y za dwóch.

Wbił sztalugi w wilgotn , zimn ziemi . Ł ka na skraju starego lasu jodłowego Douglasa od trzech pokole była ulubionym miejscem rodziny McCree – babki, matki i bli niaków. onkile, które babka z matk posadziły na ł ce, rozrosły si z k pki słonecznego blasku do złocistej chwały rozmiarów basenu olimpijskiego. Najlepsze dla kwiatów były wiatr, chłód i deszcz. Północno-zachodnie wybrze e Pacyfiku zapewniało je w obfito ci.

Rand naszkicował kilka kresek na białym, wie o zagruntowanym płótnie. Pierwsza linia, falista, na wysoko ci jednej trzeciej od góry, zaznaczała horyzont; druga kilka centymetrów ni ej – kraw d klifu. Zostały trzy pi te płótna na ł k i kołysane wiatrem ółte plamy onkili.

Przyjrzał si proporcjom i uznał, e potrzebny jest element, który poprowadziłby wzrok widza przez ł k w stron nieba, intensywnie bł kitnego, jakie wida tylko po deszczu wiosennym rankiem.

Przeniósł jodł rosn c na ł ce o trzydzie ci metrów, uzyskuj c efekt, którego potrzebował. To jest wła nie rado tworzenia: pozwala wyobra ni rz dzi brutaln , niezmienn i cz sto szpetn rzeczywisto ci .

Zanim Rand zd ył doko czy mieszanie koloru na onkile, usłyszał słaby warkot małego helikoptera. Okiem my liwego zmierzył horyzont w stron wschodu, w kierunku Seattle. Samolot zni ył si nad wod , uniósł o trzydzie ci metrów, zbli aj c si do wyspy, i skierował prosto na niego.

Rand wstrzymał oddech i poczuł si lekki jak podmuch wiatru. Widział ju ostrzeliwanie z helikoptera. Ostatni raz, kiedy Reed le ał ranny na pokładzie maszyny St. Kilda. Ledwie wystartowali, zaatakował ich inny helikopter. Rand miał szcz cie – zestrzelił go kałasznikowem, gdy przelatował przy drugiej próbie ostrzelania.

Ale szcz cie dopisało mu za pó no. Kule przeszły Reeda, który krwawił od ran. Umierał.

We si w gar , zganił si w duchu. To było pi lat temu. Nikogo prócz ciebie to nie obchodzi.

Helikopter zwolnił. Pi dziesi t metrów od niego usiadł na ł ce, któr malował Rand. Płozy maszyny zgmiotły traw i onkile.

Rand czekał, wstrzymuj c oddech.

Drzwi kabiny otworzyły si i z helikoptera wyszedł wysoki, szczupły m czyzna w niebieskich d insach i wiatrówce z goreteksu.

Chocia Rand odszedł z St. Kilda Consulting pi lat temu, nadal miał tam przyjaciół. Natychmiast rozpoznał Joe Faroe'a, który przed rokiem otarł si o mier w strzelaninie z magnatem narkotykowym na granicy meksyka skiej.

Faroe schylił głow , chroni c si przed migłem helikoptera. W tej chwili dotarło do niego, e idzie po zniszczonych kwiatkach.

– Przepraszam, Rand – odezwał si . – Mam nadziej , e adnego nie zmia d yli my na dobre.

– Ja te .

– Przypuszczam, e gdybym podał ci r k , r bn łby mnie.

– Niezły pomysł – przyznał Rand. Obwinał Faroe'a za mier Reeda, co było nie do ko ca sprawiedliwe. – Przez ciebie marnuje mi si wiatło – powiedział. – Nie chc rozmawia o starych czasach, bo nie były zbyt zabawne. Nie chc z tob pi , bo ju w ogóle nie pij . I z cał pewno ci nie chc wraca do St. Kilda Consulting. Straciłem upodobanie do bezsensownych przygód w pechowych miastach i przegranych krajach. Wi c wsiadaj z powrotem do helikoptera i znikaj.

Faroe potarł kark i stłumił u miech.

– Grace miała racj . Powinienem być j zabra . Nie byłby tak nie grzeczny dla kobiety w ci y.

Rand spojrział na horyzont. Kiedy lubił Faroe'a. Nie on ponosił win za to, co spotkało Reeda. Ka dy z nich był dorosły i wiadomy swoich czynów. Kln c pod nosem, przeczesał palcami bujn czupryn , wcisn ł czapkę na głow i starał si zachowywa jak cywilizowany człowiek.

Bo bez wzgl du na to, czy b dzie chamski czy grzeczny, ciepły czy oschły, Faroe nie da mu spokoju, dopóki nie załatwi tego, co chce.

– Słyszałem, e byłe ranny i dorobiłe si ony i dziecka – zagadn ł Rand.

– Mał e stwo okazało si o wiele mniej bolesne.

Rand prawie si u miechn ł.

– Słyszałem, e jest s dzi .

– Dobrze słyszałe . Ale zrezygnowała. Teraz mo e wykorzystywa cały swój potencjał i kompetencje i nie ogranicza jej adna biurokracja.

– Jest dobra dla ciebie – stwierdził Rand, zaskakuj c ich obu. – Ostatnim razem, kiedy do mnie

przyjechała, skończyła się awantura.

Faroe uśmiechnął się jak grzeczny chłopczyk.

– Tak, przy niej trochę złagodniałem.

Rand przyjrzał mu się leniwie.

– Ale do ideału dużo ci jeszcze brakuje.

– Cieszy cię to, prawda?

Rand skinął głową i się poddał.

– Czego chcesz?

– St. Kilda odnalazła Sybiraka.

Rand stanął jak wryty. Serce zaczęło mu walić jak młotem, a zmysły wyostrzyły się boleśnie, budząc w nim uśpięty od lat instynkt myliwego. Długo szukał zabójcy swojego brata, ale bezskuteczne próby przyprawiły go jedynie o frustrację, a własny rzędnica rzucał mu kłody pod nogi.

– Jesteś pewien? – spytał.

– Na bank. Masz jeszcze negatywy?

– Tak.

Faroe czekał. Rand zaczął zbierać przybory malarskie.

– Za drzewami jest moja chata. Tam porozmawiamy.

## ***Rozdział 8***

***Pleasure Valley***

***Pi tek, 10.37***

Kayla Shaw była dziewczyną ze wsi, urodziła się i wychowała na ranczo. Ujeżdżała konie, strzelała, zabijała węża małym scyzorykiem, który zawsze nosiła przy sobie. Ale odnosiła dziwne wrażenie, że jej nie chodzi o do wiadczenie w zabijaniu, do Bertone'a a tylko o jej brakuje.

„Na to, żeby martwić się o pracę, jest za późno. Lepiej niech się pani martwi o swoją wolność”.

Mówiąc to, Bertone zabrał jej dyktafon.

Nie prosiła, żeby jej go oddał. Wiedziała, że tego nie zrobi.

– Jestem przekonany, że jest tak samo dyskretny jak nasza mała bankierczka – powiedział Bertone, zerkając na nią.

U siebie Eleny miał pocieszyć Kaylę. Nie pocieszył.

– Nie ma się czego – bała rzuciła pani Bertone, wskazując ci kłopot, którą Kayla upuściła na stół. – To dla ciebie wielka okazja. Każdej kobiecie potrzebne są własne rodki. W ten sposób się uwolnisz.

Kayla w milczeniu przygłodała się Bertone'om. Wyczuwała, że im mniej powie, tym większa szansa uchronienia się przed ugrzaniem w ruchomych piaskach, które nagle poczuła pod stopami.

Andre usiadł obok niej i położył płaską kopertę na białym lnianym obrusie.

– Albo się pani uwolni – oznajmił – albo straci wolność. Wybór należy do pani.

Kayla z trudem przełknęła ślinę, mając nadzieję, że w jej głosie nie będzie słychać przerażenia.

– Jaki wybór?

– Do prosty. Jest pani przestępczynią.

– Co?

– A to, czy poniesie pani konsekwencje – cięgnął Bertone – zależy tylko od niej.

– Nic nie zrobiłam – powiedziała Kayla.

Bertone się uśmiechnął. Nie po to, by dodać jej otuchy.

– Zataiła pani pochodzenie pięciu milionów dolarów brudnych pieniędzy.

Kayla nie była w stanie wydusić z siebie słowa, więc pokręciła tylko głową.

– Prosz mi wierzy – oznajmił Bertone, miej c si z ironii sytuacji. – Pieni dze były brudne. A pani je wyprała. Według pani rz du nale y si za to do dziesi ciu lat w wi zieniu federalnym.

– Ja tylko wiadczyłam panu i pa skiej onie rutynowe usługi bankowe – zdołała wykrztusi Kayla.

Bertone pogładził dłoni br zow kopert .

– Otworzyła pani kilka kont w American Southwest na działalno mojej ony na rzecz sztuki, prawda?

Kayl przeszedł dreszcz.

– Za to wła nie mi płac – za otwieranie rachunków.

– I przyjmowała pani liczne wpłaty z naszych banków z Aruby i Barbados, eby zapelni te konta – ci gn ł Bertone.

– Tylko wtedy, kiedy Elena miała bardzo wysokie rachunki. – Kayla spojrzła na pracodawczyni .

Elena popijała kaw i przegl dała rubryk towarzysk w gazecie.

– Nie zapominaj o rosyjskich obrazach, które kupiłam kilka miesi cy temu na urodziny Andre – wtr ciła, nie podnosz c głowy. – Chodziło o kilka milionów dolarów. Konkretnie mówi c, pi .

– Zapłaciła pani tyle, ile chciała galeria – powiedziała Kayla. – Moim zdaniem o wiele za du o, ale ja nie zajmuj si wycenianiem dzieł sztuki.

– Czy ródło pochodzenia pieni dzy wykorzystanych do zapłaty jest dobrze udokumentowane? – spytał Bertone, patrz c na ni wzrokiem drapie nika, który wła nie rzuca si na ofiar .

Kayl na zmian ogarniało odr twienie i wzburzenie. Dokonała przelewu, bo Elena zapewniła j , e dostarczy dokumentacj do transakcji, gdy tylko obrazy przejd odpraw celn .

Teraz zrozumiała, dlaczego Elena była „zbyt zaj ta”, eby zebra dokumenty.

– Widz , e zaczyna pani rozumie – powiedział Bertone. – Otworzyła pani konta i zapelniła je, nie maj c jasno ci co do ródła pochodzenia rodków.

– To uchybienie w procedurze – broniła si Kayla. – Grozi za nie najwy ej grzywna, na pewno nie wi zienie.

– W ci gu ostatnich miesi cy było kilka takich uchybie – oznajmiła Elena. – Kawy, Andre?

– Dzi kuj – odparł i znów spojrzł na Kayl . – Kiedy te uchybienia si zsumuje, tworzą niepokoj cy schemat praktyk przyzwolenia i współudziału banku. Pani praktyk, Kaylo.

Adrenalina nakazywała jej ucieka .

Rozs dek zwyci ył.

Bank wywierał na ni siln presj , eby Bertone'owie byli zadowoleni. Przymkn ła oko na kilka niewinnych drobiazów, wiedz c, e Steve Foley, szef wydziału prywatnej bankowo ci, rozebrałby si

do naga, wskoczył na tańczących pogo i za piewał: „Jestem kobiet , usłysz moje wołanie”, byle tylko Andre Bertone trzymał u niego swoje miliony.

Nie możesz walczyć . Nie możesz uciec. Myślisz, nakazała sobie w panice. Nie masz wyboru.

Bertone sirobnął kawę , niemal cedząc ją przez rzadkie woski.

Kayla odwróciła się do Eleny.

– Tym mi się państwo odwdzięczaj za pomoc?

– Nie – odpowiedział Bertone, zanim jego ona zdążyła się odezwać . – Dostaje pani to. – Podniósł brzoź kopertę i podał Kayli.

Patrzyła na niego jak na węża.

– No dalej – zachcał ją Bertone. – Co się stało, już się nie odstanie.

– To znakomita okazja – dodała Elena. – Nie bądź takim niewiniątkiem.

Kayla wzięła kopertę . Wiedziała, że trzęsienie jej się rękami, ale nie mogła nic na to poradzić . Wyjęła plik dokumentów i szybko je przekartkowała.

Polecenie przelewu.

Zrzeczenie się własności.

Jej podpis.

Podpis Bertone'a na marginesie.

Olińto ją .

– To pan kupił moje ranczo.

– Tak – przyznał. – Zapłaciłem pani niebotyczną sumę za kilka akrów piachu i stary, zniszczony dom. Niezależnie od tego, co twierdzi Izba Rozwoju Phoenix, na tym odludziu zacznie się coś dziać dopiero za wiele lat. Kto by się spodziewał, że taki mi dzynarodowy przedsiabiorca jak ja zapłaci tak wiele za tak niewiele?

ośdek przykleił się Kayli do kręgosłupa. Nikt w to nie uwierzy. Ona sama nie wierzyła. Już nie.

Bertone zaczął wymieniać po kolei, licząc na palcach.

– Otworzyła pani rachunki, obracała pani pieniądze bez odpowiedniej dokumentacji, nigdy nie poprosiła pani nawet o kopie paszportu mojego czy mojej żony.

Kayla chciała zaprotestować . Ale nie mogła. Każda z rzeczy, które zrobiła, sama w sobie nie stanowiłaby problemu. Ale wszystkie razem...

– Widz , że pani rozumie. – Bertone wznosił toast za jej zdrowie filiżanki kawy. – Dla podejrzliwego umysłu kupno rancza będzie wyglądało jak zapłata za nielegalne usługi, które pani świadczyła.

## ***Rozdział 9***

***Seattle***

***Pi tek, 9.39***

Rand McCree w milczeniu włożył niemal czyste płótno do pakamery, a składane sztalugi ustawił w rogu starej cedrowej szopy, która służyła mu za pracownię. Miał nadzieję, że zwykle czynnie ci pomogą mu zapanować nad emocjami wywołanymi pojawieniem się Faroe'a.

St. Kilda znalazła Sybiraka.

Minęło pięć lat, ale to nie złagodziło ani trochę rozpaczy, jak czuł Rand, trzymając w ramionach swojego umierającego brata.

To powinienem być ja. Ale nie byłem.

Rand spojrzał na duży, emanujący energią obraz, zajmujący niemal całą ścianę pracowni. Był to widok wzburzonego morza zatytułowany *Szczęściarz za pół noce*. Obraz stworzony w pijackiej furii stanowił jego poegnanie z nadzieją na to, że przeszłość okaże się lepszą, niż się okazała.

„... za nas obu”.

A jednak Rand nie uciekł. Najpierw uciekł w alkohol, a teraz w tworzenie.

I czekał na sposobność zemsty.

– Wspaniały obraz! – ocenił Faroe. – Nigdy wcześniej nie widziałem twoich prac. Nie zrobisz sobie wstydu na Szybkim Rysunku.

– Szybkim Rysunku? A co to, zawody w strzelaniu?

Faroe się roześmiał.

– To samo pomyślałem, kiedy pierwszy raz usłyszałem tę nazwę.

– Jaki to ma związek z Sybirakiem? – spytał ostro Rand.

– Pieniądze.

– Z pieniędzmi związek ma wszystko, w ten czy inny sposób.

– Sybirak zarobił około pół miliarda dolarów, sprzedając broń obu stronom podczas wojny, jak udało mu się wytropić – wyjął Faroe. – Poza tym wszczął inne wojny, żeby interes mu się przywrócił.

Rand przeniósł wzrok z obrazu na Joego.

– Mów dalej.

– Po śmierci twojego brata Steele zaczął pomalutko rozbierać przykrywkę Sybiraka.



Rozszyfrowali my sze to samo ci, którymi si posługiwał, ale za ka dym razem, gdy trafiali my do ostatniego znanego miejsca jego przebywania, ju go tam nie było.

– Wiem.

Faroe skin ł głow ; nie był zaskoczony. Podejrzewał, e Rand zawsze był pół kroku za nimi, równie cierpliwy w swoim polowaniu jak Steele.

– Po tym jak CIA olała twoje zdj cia – zacz ł – przyczepiła si do St. Kilda niczym zła reputacja. W tym czasie przyjechała na północno-zachodnie wybrze e Pacyfiku i zacz łe znów malowa .

– Powiedz mi co , czego nie wiem.

– Sybirak jest opłacanym agentem KGB z akredytacj dyplomatyczn Libii. Zna sze j zyków i ma taki łeb, e pozazdro ciłby mu Albert Einstein.

– To by wyja niało, dlaczego udało mu si nas wykiwa – stwierdził Rand.

– Tak, bystry z niego chłopak. Wykupił niemal połow lekkiej broni z byłego Zwi zku Radzieckiego, kupił samoloty i pilotów do transportu i z olbrzymim zyskiem odsprzedał bro prywatnym armiom i partyzan tom na całym kontynencie afryka skim. W Ameryce Południowej te , ale jego specjalno ci jest Afryka. Zarobił pół miliarda dolarów, szerz c przemoc mi dzy narodami, stanami, plemionami i wioskami. Bez nie go Afryka miałaby o wiele bardziej stabilne rz dy i zaznałaby znacznie mniej cierpienia.

Rand spojrział na Faroe'a z ukosa.

– Daruj sobie kazania. Ja ju sobie odpu ciłem idealizm. Daj mi tylko adres i Sybirak jest martwy.

– To mo e by problem.

– Czemu?

– Ty si zmieniła , ale St. Kilda nie – odparł Faroe. – Nie działamy jako zamachowcy.

– Ja ju nie pracuj dla St. Kilda.

– Ale b dziesz pracował, je li chcesz ten adres.

Przez chwil słyca było tylko szum wiatru, z jednakow łatwo ci kołysz cego kwiatami i drzewami.

Rand spojrział na blizn na głowic Faroe'a.

– Domy lam si , e dorobiła si tego w Mi dzynarodowym Trybunale Sprawiedliwo ci.

– Nie. Ani wal c w Hectora Rivasa Osun z kryjówki snajperskiej. Mógł si podda . Nie chciał. Ja prze yłem. On nie.

– Skoro Steele nie chce mierci Sybiraka, to po co go tropił?

– Steele staje si niemiły, kiedy kto zabija jego pracownika. Zbiera dane na temat ka dego

oszusta, polityka i korporacji, dla których albo przeciwko którym mógłby pracować.

– Wiacie macie klienta.

Faroe skinął głową.

– Klient nie jest zainteresowany nielegalnym zakonem. Chce odnaleźć pieniądze Sybiraka i przejść je, zanim ten bydlak zdoła rozprętać kolejną lukratywną afrykańską wojnę.

– Wiacie staliście się jednym z gloryfikowanych tropicieli międzynarodowych mafików? – spytał z niedowierzaniem Rand.

– Bez pieniędzy dyktatorzy, przestępcy i inni ludzie są równie niebezpieczni jak nienależadłowa broń.

– A jak się ich wsadzi do piachu, są prawie tak niebezpieczni jak sny erotyczne – odparł Rand.

Faroe się roześmiał.

– Z prawdziwą przyjemnością będę się przysłuchiwał twojej rozmowie z Grace.

– Jeszcze nie powiedziały, czego ode mnie chcesz.

– Aby pojechał do pewnej pięknej i wystawnej posiadłości w Pleasure Valley w Arizonie i w dwie godziny namalował pejzaż.

– To wszystko?

– Chyba niemało.

Rand zmierzył Faroe'a wzrokiem.

– Co jeszcze?

– Nadal jesteś dobry w fotografowaniu? – spytał Joe.

– Przestałem się w to bawić pięć lat temu. Poza tym podobno potrzebujesz malarza?

– Potrzebuję fotografa z twoim wyglądem i umiejętnością.

– Z wyglądem? – Rand roześmiał się szorstko. – Nie kpij.

– Grace zapewniła mnie, że nawet z zarysem twarzy jesteś najprzystojniejszym z dostępnych fotografów. Elena lubi przystojnych mężczyzn. I mamy nadzieję, że pracownica banku ABS również polubi.

– Który z nas gada od rzeczy.

– Wchodzisz w to czy nie? – spytał Faroe.

– A co to wszystko ma wspólnego z Sybirakiem?

Faroe milczał.

– Czy to mnie zaprowadzi do Sybiraka? – nie dawał za wygraną Rand.

– Tak.

– Wchodz .

## ***Rozdział 10***

***Pleasure Valley***

***Pi tek, 10.41***

Chc c zyska na czasie, eby oceni rozmiary klatki, w jakiej uwi zili j Bertone'owie, Kayla ponownie przejrzała dokumenty depozytowe. Bardzo powoli. Dwa razy. Jednak serce biło jej zbyt szybko, skóra była lepka od potu, a mi nie bezwładne. Dzi ki Bogu, e mam na nosie okulary przeciwsłoneczne. Bez nich wygl dałabym jak o lepiony wiatłem królik.

W razie w tpliwo ci zachowuj si , jakby nigdy nic, powiedziała sobie.

– Panie Bertone – zacz ła – skoro wygl da na to, e ł czy nas wspólny interes, mog zwraca si do pana Andre?

Bertone wygl dał na zaskoczonego. Milczał. Kayla zdobyła si na u miech.

– Wi c o co w tym wszystkim chodzi, Andre? Czego ode mnie chcesz? Czego nie dawałam ci do tej pory?

Bertone zmierzył j wzrokiem, po czym odwrócił si do ony.

– Ma charakter.

– Ko te . – Elena zło yła gazet . – To dlatego je dzimy z batem i w ostrogach.

Od strony domu dobiegły dzieci ce glosy. Trzasn ły tylne drzwi. Elena poderwała si na nogi.

– Powinam była wiedzie , e Maria nie zapanuje nad dzie mi dłu ej ni kilka minut. Nie rozumie, e musz si bawi po cichu, wi c zawsze przy niej szalej . Zwłaszcza Miranda wyka cza t głupi kobiet .

Po tych słowach ruszyła szybkim krokiem w stron domu.

– Elena powiedziała pani, czego chce – oznajmił Bertone.

– Nowej niani? – Kayla ukazała w u miechu dwa rz dy idealnie białych z bów. Przykro mi, ale to nie wchodzi w zakres moich kompetencji.

Bertone zmru ył szare oczy i wskazał br zow kopert z czekiem.

– Niech pani zdeponuje ten czek na koncie funduszu rozrywki mojej ony. Czeków b dzie wi cej. I opiewaj ce na wy sze sumy. Prosz si przygotowa do przelania pieni dzy z jej konta na konto za granic , gdy tylko bank zacznie prac w poniedziałek. – U miechn ł si . – Pó niej nie b dziemy chcieli od pani adnych dodatkowych usług. Zapomnimy, e ta rozmowa w ogóle miała miejsce.

Kayla przesun ła palcem po ostrzu srebrnego no a, który le ał przy jej talerzu. T pe. Tak jak i

ona.

– Zakładam, że oczekuje pan, żebym zignorowała przepisy, które wymagają ode mnie upewnienia się, czy pieniądze zostały zdobyte w sposób legalny.

– Jeśli nie chce pani trafić za kratki. – Bertone prychnął pogardliwie. – Wasz rząd jest bardzo dziwny. Usiłuje z bankowców zrobić policjantów, ale realia w biznesie zmuszają ich do tego, żeby stali się przestępcami. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie było tak intrygujące.

Kayla rozciągnęła wargi w ponurym uśmiechu.

– Ma pan wiadomość, że jestem tylko szeregowym urzędnikiem banku American Southwest? Czeki, które mi pani da, nie powinny opiewać na zbyt wysokie sumy.

– Przecież przyjmowała już pani wpłaty Eleny.

– Zawsze istnieje możliwość szczegółowej kontroli wewnętrznej, zwłaszcza przy czeku na taką kwotę – powiedziała, spoglądając na kopertę. – Dwadzieścia milionów to duża suma, nawet dla banku.

Bertone zmarszczył brwi.

– Kontrola? Czy dokonuje jej pani szef?

– Nie. To zupełnie inny wydział.

Wpatrywał się w nią, szukając znaków zdradzających kłamstwo.

– O niczym takim nie słyszałem.

– Żeby dokładnie poznać reguły bankowości, potrzeba lat, a poza tym przepisy zmieniają się z dnia na dzień. – Kayla jeszcze raz dotknęła kciukiem srebrnego noża. Nadal był to pyłek jak kijek bejsbolowy. – Prawdopodobnie zdołałabym jako obejść przepisy finansowe, które nakazują wypełnienie RPD, ale American Southwest jest na tyle mały, że nowe wpłaty milionowych kwot na stare konto postawi na nogi cały bank.

– RPD?

– Raport Podejrzanej Działalności – wyjaśniła. – Musimy wypełniać raporty razem z władzami federalnymi, ilekroć trafimy na nietypowe ruchy na koncie. A jestem pewna, że pańska proba zostałaby zakwalifikowana jako nietypowa, o ile nie podejrzana.

– Jest pani bezczelna.

– Jestem szczerą – odparła Kayla. – Im więcej wie pan na temat tego, co mogę, a czego nie mogę zrobić, tym mniejsza szansa na kolosalne nieporozumienie. Kto wie, może okaże się, że mamy ze sobą wiele wspólnego? Intratne przedsięwzięcia.

Podeszła do nich Elena, połykując sandałkami. Bertone odwrócił się do niej.

– Mówiła, że twoja bankiereczka jest naiwna.

– Mówiłam, że jest grzeczna, słodka i bystra.

– Pochlebia mi pani – skłamała Kayla. – Nikt nie nazywał mnie słodką, odkąd w trzeciej klasie kazałam mojemu nauczycielowi pieprzyć dyrektora. Pracuję dla banku, ale uważam się za niezależnego przedsiębiorcę. Bank traktuje mnie podobnie.

Bertone'owie wymienili znaczące spojrzenia. Andre sięgnął po jedno z kubańskich cygar, które zaczął palić wraz z ostatnią zmianą to samo ci. Tęsknił za papierosami, ale była to niewielka ofiara za wolność. Poza tym na ziemi ludzi wolnych i odważnych zostało już niewiele miejsc, gdzie można swobodnie palić cokolwiek innego niż ognisko.

– Mów dalej. – Wypuścił strumień aromatycznego dymu.

Kayla zmusiła się, żeby wziąć czek, który miała ochotę spalić.

– Niezależni agenci bywają kłopotliwi, ale są bardziej pożyteczni niż etatowi pracownicy. Na przykład młoda pracownica banku zatrudniona na warunkach agenta może pamiętać, że w przeszłości przeprowadzała transakcje Bertone'ów z kontem w Banku Aruby.

– Ale oczywiście – powiedziała Elena. – Przeprowadzała wiele...

Kayla nie dopuściła jej do głosu.

– Taka pracownica – ciągnęła – może powiedzieć swoim zwierzchnikom, że klient ma udokumentowaną przeszłość transakcji z American Southwest i że transakcja była, jak to się określa, „normalna i spodziewana”. To właśnie: „normalna i spodziewana”.

Bertone obserwował ją spod przymrużonych powiek.

– Oczywiście – ciągnęła Kayla – jeżeli ktoś po pewnym czasie dopatry się w transakcji nieprawidłowości, ambitna pracownica banku będzie musiała powiedzieć, że się pomyliła w kwestii wcześniejszej relacji bankowej. Tak mi przykro, moja wina, ale pomyłka może się zdarzyć każdemu, prawda?

Bertone zaciągnął się cygarem.

– Czy za taki błąd młoda pracownica mogłaby zostać zwolniona? – spytał.

– Możliwe – przyznała Kayla. – Ale raczej dostałaby podwyżkę za przyjęcie milionowych wpłat. Banki uwielbiają wielkie wpłaty, o ile da się je wiarygodnie usprawiedliwić. To właśnie błądnie założenie zasady „poznaj swojego klienta”. Tak naprawdę dzięki niej banki mogą umyć ręce. Wiarygodna w twój sposób, nazywaj to fachowo.

Kayla rzuciła Bertone'owi zimny, cyniczny uśmiech. To, co powiedziała, było prawdą tylko w połowie, gdy tego pracownika najniższego rangi zwolniono by i wsadzono za kratki, gdyby „normalna i spodziewana” transakcja okazała się po latach „niezwykłą i podejrzaną” w oczach skrupulatnego rzędu federalnego.

– Krótko mówiąc, wszystko to było niepotrzebne – oznajmiła. – Lubię, jak się ze mną rozmawia wprost.

– To miłe – powiedział Bertone.

– Realistyczne. – Zanurzyła rękę w swojej skórzanej walizce i wyjęła czek za sprzedaż Suchej Doliny. – Zaczniemy od początku. Zwracam panu pieniądze, może pan więc oddać mi rancho i

przystąpiła do pozostałych transakcji na o wiele bardziej przyjacielskich warunkach.

Bertone spojrział na czek, który podała mu Kayla, a później na nią.

– Chyba nie docenili my twojej małej bankiereczki – powiedział. – Wygląda na to, że jest bardziej pragmatyczna, niż twierdziła.

Elena dołączyła do niego kawy.

– Mówiłam ci, że jest bystra.

Bertone wyglądał na zamyślonego, więc Kayla pozwoliła sobie na iskrę nadziei. Po chwili uśmiechnęła się chłodno i pokręciła głową.

– Niech pani zatrzyma czek – oznajmił. Nauczyłem się, że najlepsze związki opierają się na wzajemnej motywacji. Poza tym firma zajmująca się transakcjami zapewniła mnie, że do tej pory sprzedała gdzieś już zarejestrowaną.

No to pić kawy, pomyślała Kayla z goryczą. Niezależnie od tego, czy zrealizuje ten czek, czy nie, mam przechłapanie.

– Domyślam się, że nie robi pan tego po raz pierwszy – powiedziała głosem.

Cygaro Bertone'a zatrzymało się w połowie drogi do ust. Uśmiechnęła się.

– Elena miała rację. Jest pani bystra. Ale dziwi mnie, że zachowuje się pani, jakby już to kiedyś przerabiała.

– Cóż, pogoń za przyjemnościami. – Kayla wstała z trudem i spojrzała na oboje z góry. – Dziewczyna orientuje się, że jest uwodzona, zanim poczuje dłoń na udzie. – Spojrzała na swój czysty filiżanki i talerz. – Dziękuję za drugie niadanie.

Odwróciła się, aby odejść.

– Chwileczkę – rzucił Bertone tonem przypominającym smagnięcie batem. Podniósł przekaz bankowy z Aruby i wyciągnął w jej stronę. – Proszę natychmiast zdeponować.

Kayla ujęła czek drżącymi palcami. Nie miała wyboru. Nie teraz. A być może nigdy.

Znalazła się w pułapce.

Po raz pierwszy w życiu zrozumiała, dlaczego ludzie zabijają.

– Nie spójnij się jutro na Szybki Rysunek – przypomniała jej Elena. – Musisz tam być.

– Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo się cieszę. – Kayla odwróciła się i ruszyła w stronę parkingu.

Bertone zaciągnął się cygarem, patrząc na odchodzącą Kaylę. Nie była kobietą tej klasy co Elena, ale wydawała się całkiem interesująca.

– Muszę przyznać, że mnie zaskoczyła – powiedział cicho do siebie.

– Ale podporządkowała się do niego szybko.

Uśmiechnęła się.

– Spodobało mi się, jak starała się odwrócić sytuację na swoją korzyść, dając do zrozumienia, że może na jej kupi. To był bardzo dobry pomysł.

– Mylisz, że mówiła poważnie?

– Nie wątpię. Gabriel będzie jej śledził. Jej biurko, komórka i domowe telefony mają podsłuchy. Jeśli jest na tyle głupia, aby pójść do federalnych, Gabriel jej powstrzyma.

– Nie podoba mi się, że puściła jej wolno – oznajmiła Elena.

Bertone westchnęła. Temat wypłynął nie po raz pierwszy.

– Po konkursie Szybkiego Rysunku wydam ją Gabrielowi, ale tylko jeśli przyrzeknie, że jej nie zabije, dopóki nie dokona ostatniego przelewu.

Elena w zamyśleniu uderzała paznokciami o blat stołu.

– Mimo wszystko zbyt długo nie będziemy nad nią kontroli. To niebezpieczne.

– Pieniądze zawsze są niebezpieczne. Właśnie dlatego my mamy ich tak dużo, a inni tak mało. Bo my ryzykujemy. – Musnęła zmarszczkę między jej ciemnobrzozyowymi oczami. – Nie martw się, kochanie. Gdy tylko Kayla przeleje forsa, Gabriel ją uciszy, buntownicy dostaną broń, a ja koncesję na ropę. Wtedy, tak jak pragniesz, będziesz jadła obiady z prezydentami i premierami.

Ale najpierw zabij Joao Fouquette'a. Pieniądze są przydatne, ale nie ma nic cenniejszego niż władza.



## ***Rozdział 11***

***Seattle***

***Pi tek, 944***

– Andre Bertone – powiedział Rand, podaj c Faroe'owi kubek herbaty. – Jeste pewien?

– Na tyle, na ile w tym interesie mo na by czegokolwiek pewnym – odparł Faroe. – Posługuje si tym nazwiskiem od pi ciu lat. Jak na niego, to niebywałe.

– Nazwisko brzmi bardziej jak francuskie ni rosyjskie.

– Ale figuruje w jego paszporcie ONZ. Kiedy zabił Reeda, był Nicolasem Gregorim vel Sybirakiem. Dwa tygodnie pó niej pojawił si Andre Bertone pod pretekstem powrotu do korzeni.

– Pracowity chłopak. – Rand nalał sobie herbaty.

– Oj, tak. Bertone pojawił si na tym wiecie jako Victor Krout, Rosjanin urodzony na Syberii. Był szkolony do czamej roboty w jednostce KGB w Moskwie. Zna sze j zyków, pilotuje helikoptery i samoloty i zajmuje si handlem niczym dobrze zakonspirowany agent.

– A jest nim?

– W tpi – powiedział Faroe, przeci gaj c si . – Rosjanie go cigaj . Chyba za niezapłacone podatki.

– Raczej niezapłacone łapówki.

Faroe wzruszył ramionami.

– W niektórych krajach łapówki to rodzaj podatku.

– A co były agent KGB robi z paszportem ONZ?

– Spytaj Libi . Domy lam si , e chodzi o kas i bro .

– No tak, podró uj cemu po całym wiecie handlarzowi broni immunitet dyplomatyczny si przydaje.

– On ju nie jest handlarzem broni . Teraz ma sie spółek handlowych i starych przyjaciół po rednicz cych mi dzy nim a jawnie brudnym interesem. Nowy, ulepszony Andrew Bertone jest szanowanym po rednikiem handlowym na mi dzynarodow skal . Ropa, koltan, diamenty, drewno, wszystko, co jaki afryka ski za cianek chce sprzeda , a jaki czołowy kraj na wiecie kupi .

Rand, s cz c mocn herbat , któr uwielbiał, podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Przeja nienie min ło. Niebo miało szary kolor, a wiatr przybrał na sile.

Faroe powstrzymał ziewni cie. Rozpracowywał Bertone'a po dwadzie cia cztery godziny na

dob .

– Chc przeczyta wszystko, co o nim masz – powiedział Rand.

– Dobra, pod tymi warunkami co zawsze.

– Tymi, które nakazuj mi odcisnąć sobie język, zanim się odezwiesz, palce, zanim coś napiszesz, i wydlubą oczy, zanim coś zobacz? – spytał drwiaczek co Rand.

– Pamiętaj. Jestem wzruszony.

– Kim jest klient?

– Pewien rząd afrykański korzystał z usług Sybiraka i został wystawiony do wiatru. Zorientował się po fakcie i w odwecie wystawił do wiatru kartel naftowy, którym zarządza Bertone. Teraz kartel stara się rozpoznać wojnę domową, aby dostać koncesję na ropę od nowego rządu. Jeśli buntownicy dostaną broń, wygrają. Ale nie dostaną jej, jeśli nie dostaną pieniędzy, aby za nią zapłacić.

– Zaczyna mnie przez ciebie boleć głowa.

Przyzwyczajaj się.

– Ufasz swojemu kontaktowi w Kamerii?

Faroe się uśmiechnął.

– Nie traciłeś czasu.

– Straciłem brata. Wystarczy? – Rand wykonał gwałtowny gest. – Kim jest łowca?

– Niejaki John Neto. Urodził się w Afryce, a studiował na londyńskiej Akademii Ekonomicznej. Pewnego dnia to on stanął na czele tego bogatego w ropę małego kraju. Teraz kieruje państwowy biuro wywiadowczy, która składa się z trzech pracowników. Potrafi doskonale wyczuć ofiarę i ma cierpliwą lampartę. A co najważniejsze, nienawidzi ziemi, po której stała Bertone. Tropi go od lat.

– Do czego właściwie potrzebuje St. Kilda?

– Rząd Stanów Zjednoczonych nie chce z nim współpracować.

– Co mi to przypomina – mruknął Rand. – Załatwili go tak samo jak mnie?

– Tak. A później powiedzieli mu, że nie może przyjechać do Stanów i przedstawić dowodów przeciwko Bertone'owi.

– Dlaczego?

– „Chwilowo nie leży to w interesach USA”. Odmówiono mu wizy.

Rand prychnął zdegustowany.

– To samo bagno, inny rok. – Wziął łyk gorzej aromatycznej herbaty. – Właściwie St. Kilda stała się agentem sił zagranicznych. Chodzi o mały afrykański kraj, który w ciągu ostatnich dwudziestu lat

zmieniał nazwicz ciejni Andrew Bertone nazwisko, ale to mimo wszystko ryzykowne przedsiwzięcie.

– Tylko, jeżeli naruszamy interesy polityczne innych państw, a tego nie robimy.

– Nie wciskaj mi kitu.

– Rząd Neto wydał rozkaz zabicia Krouta vel Bertone'a, więc jest to dochodzenie w sprawie przestępstwa – wyjaśnił Faroe.

– Steele wkroczył na liski grunt.

– Właściwie to Grace, a ona zapewniła nas, że sprawa jest do wybronięcia. Twierdzi, że wszystkim wyszłoby na zdrowie, gdyby my dopadli Bertone'a w taki sposób, żeby nikt nie chciał z tego robić sprawy federalnej.

Rand gwizdnął z uznaniem.

– Zniechęcił się o niego – powiedział.

Faroe uśmiechnął się szeroko – uśmiechem bardzo zadowolonego mężczyzny.

Słońce usiłowało przebić się przez chmury, ale bez powodzenia. Rand przyglądał się tym potyczkom na niebie, myślał intensywnie.

– Czego ode mnie chcesz? spytał wreszcie.

– Jesteś jedynym znanym nam człowiekiem, który widział Sybiraka z bliska i może go rozpoznać. Jeżeli potwierdzisz, że Bertone jest Sybirakiem pod innym nazwiskiem, St. Kilda będzie mogła pozbawić go akredytacji ONZ. Przynajmniej tak twierdzą oba mózgi firmy.

– Oba?

– Steele i Grace.

– Steele naprawdę jej słucha?

– Bardzo uważnie. I wzajemnie ci. Wygląda to dość ciekawie. – Faroe spojrzął na zegarek. – Gotowy na spotkanie z Netem?

– Podobno odmówiono mu wizy?

– Tutaj tak, ale nie w Victorii w Kanadzie.

Wiatr hulał dookoła chaty. Gałęzie jodeł uderzały w szyby. Brzmiało to jak wystukiwany przez wirnika kod Morse'a.

Jestem wirnikiem, pomyślał Rand. Stałem się wirnikiem przeszło ci.

– Do cholery! – Wzruszył ramionami. – i tak muszę wyjść do Murchiego. Kończ mi się herbata.

– Jeżeli w Kanadzie wszystko pójdzie dobrze, to od razu polecimy do Phoenix. Steele nie lubi dowiadywać się niczego pocztą pantoflową. Spakuj przybory do malowania i wszystko, co może ci być

potrzebne.

– My łałem, a hasło St. Kilda brzmi: „Spakuj bro, a reszt kupisz w supermarkecie”.

– Nie mają tam profesjonalnego sprzętu do malowania, jaki będzie ci potrzebny, żeby wziąć udział w konkursie Szybkiego Rysunku w Phoenix.

– Ten konkurs to jaka paranoja.

– Może i tak, ale zrób to dla mnie.

– Ostatnim razem, kiedy ci uległem, zginął Reed.

– Mylisz się – odparł spokojnie Faroe. – To ja uległem Reedowi i pozwoliłem mu jechać z tobą do Afryki. Ty nigdy do uległych nie należałeś.

Rand zmarszczył brwi, a potem powiedział:

– Będzie potrzebował danych o tej Elenie, kimkolwiek jest.

– Jest on Bertone'a.

– I o tej pracownicy banku ASB.

– Nazywa się Kayla Shaw. W helikopterze mam komputer. Możesz poczytać informacje, kiedy będziemy lecili do Victorii. No, zbieraj się. Ekipa filmowa będzie się niecierpliwiła.

Rand zamrugał.

– Ekipa filmowa? Czy oni też biorą udział w Szybkim Rysunku?

– Świetny pomysł. Popracuj nad tym.

– Co wspólnego ma z Bertonem malowanie?

– Wszystko jest w moim komputerze.

– Który znajduje się w helikopterze, który leci do Kanady.

Faroe skinął głową.

– Uważaj, nie słuchasz.

– Ale moje posłuszeństwo nie jest warte złamanego grosza.

– Popracujemy nad tym.

## ***Rozdział 12***

***Phoenix***

***Pi tek, 12.12***

Kayla miała ochotę kolejny raz minąć zjazd z autostrady, ale zmusiła się, żeby jednak pojechać do American Southwest. Godzina ujeżdżania się po drogach Phoenix z dopuszczalną prędkością dziesięćdziesiąt kilometrów na godzinę wystarczy, żeby uporać się ze złości i strachem. Wjechała na miejsce parkingowe dla pracownika mieszącego przed budynkiem z liniejkami i szkłem, w którym mieścił się bank.

– Co za bzdura – mruknęła, wyłączyła silnik. – Kompletna, wierutna bzdura.

Przez ostatnie trzy tygodnie chętnie korzystała z miejsca parkingowego. Nie traktowała go jak wyróżnienia, które należało zapisać w życiorysie złotymi literami – oszczędzało jej po prostu kilometrów spaceru na szpilkach, obowiązkowych dla wszystkich pracowników banku.

To też bzdura. Skoro szpilki są nieodzowne, to dlaczego, do cholery, nie chodzić w nich te faceci?

Garsonki, pończochy i szpilki wkładała codziennie.

– Nie przejmuj się – powiedziała do siebie, wysiadając z samochodu. – Po rozmowie ze Steve'em Foleyem nie będzie musiała zawracać sobie głowy przepisami dotyczącymi strojów służbowych American Southwest. Ani żadnej innej instytucji. Ciekawe, jak będzie wyglądać w stroju wiedeńskim.

Zatrzasnęła drzwi. Głośny huk dał jej taką satysfakcję, że otworzyła je i zatrzasnęła ponownie. Mocniej.

Dobra, koniec w ciebie. Teraz myślisz. Tylko myślenie może cię uchronić przed wiedeńskimi paskami. A w paskach naprawdę ci nie do twarzy.

Zawsze była przekonana, że ludzie, którzy wierzą w wiedeńskie, zasłużyli na to. A ona przecież nic złego nie zrobiła. Sprzedaż ranca była całkowicie zgodna z prawem. Kiedy inny właściciel byłby niewinny.

Ale pracownica banku, która dokonuje nietypowej prywatnej transakcji z bardzo ważnym klientem, popełnia wykroczenie. Z tym by się jeszcze pogodziła. Najbardziej irytowała ją myśl, że mogłaby pójść do wiedeńskich za pranie brudnych pieniędzy.

Automatycznie minęła dyskretne czujniki metalu, skinęła głowę strażnikowi i poszła się swoim elektronicznym kartem do windy. Jej gabinet nie znajdował się na najwyższym piętrze, ale gabinet Steve'a Foleya – owszem. Jego krawaty i zawsze czyste buty mu przeszkadzały, nigdy tego nie okazywał. Ubierał się tak, żeby odnieść sukces, mówił tak, żeby odnieść sukces, a nawet tak oddychał.

Był najmłodszym wiceprezesem w American Southwest. Pracował w banku o rok krócej niż Kayla, dziesięć lat mniej niż wiele innych kobiet w jej wydziale, jednak wyprzedził je wszystkie i z łatwością przystojnego, czarującego młodego kierownika doprowadził do sukcesu w swoim gabinecie.

Nie zaszkodziło mu to, że jego ojciec był członkiem zarządu.

Kayla sama nie wiedziała, czy w jego szybkim awansie bardziej złościł ją ukryty seksizm, czy otwarty nepotyzm. Nie miała natomiast wątpliwości co do tego, że nigdy nie była Foleyem zainteresowana, zbywała jego propozycje przeniesienia znajomości na grunt towarzyski subtelnym

zawodowym u miechem, a na ka d drobn podwy k ci ko pracowała.

Teraz musiała mu powiedzie , e nawaliła. Czy Foley oka e współczucie, czy te b dzie szcz liwy, widz c j na kolanach? Intuicja mówiła jej, e na współczucie nie ma co liczy .

Zastała Foleya za biurkiem z orzecha, ozdobionym rzadko u ywanym zestawem piór, nigdy nieu ywan piłk bejsbolow z autografem obro cy Diamondbacks, który pó niej został sprzedany do Kansas City, i nagrod w postaci pami tkowej tabliczki dla sympatyków Krajowego Towarzystwa Strzeleckiego. Typowe dla kierownika z Arizony. Spojrzał na ni , kiedy weszła i zamkn ła za sob drzwi.

– Cze , Kayla. – Posłał jej idealny u miech, godny prezentera wiadomo ci. – Jak si miewa najładniejsza pracownica banku w Phoenix?

Kayla zignorowała zarówno u miech, jak i komplement.

– Masz kilka minut na rozmow ?

Foley spojrział na zamkni te drzwi.

– Po to tu jestem. – Wskazał krzesło dla klientów po drugiej stronie biurka. – Co si stało?

– Jeszcze nie do ko ca wiem – powiedziała, co było prawd tylko w połowie. – Wła nie miałam spotkanie z klientem. Poprosił mnie, ebym zdeponowała mu du y czek.

– Có , po to s banki, prawda? – Ponownie wskazał krzesło. – Usi d .

Kusiło j , eby sta , ale usiadła, staraj c si trzyma kolana razem, co skutecznie utrudniał model krzesła. Niew tpliwie dlatego Foley wybrał akurat taki.

– To nietypowo du y czek – ci gn ła Kayla.

– Jak du y? – spytał Foley, nie spuszczaj c wzroku z jej nóg.

– Dwadzie cia dwa miliony dolarów.

Spojrzał jej w twarz.

– Nie le. Całkiem nie le. Powinna ta czy z rado ci, zamiast si martwi . Chyba e z czekiem jest co nie tak.

– Został wystawiony na bank karaibski przez jednego z naszych najlepszych klientów, Andre Bertone'a.

– Bertone jest dobry z powodów o wiele wi kszych ni dwadzie cia dwa miliony. – Foley okr cił si na obrotowym fotelu. – W czym problem?

– Pomy lałam, e powinnam skonsultowa si z tob , zanim zrealizuj ten czek – odparła ostro nie. – Nigdy nie słyszałam o banku, na który został wystawiony, i nigdy nie widziałam tego rachunku w dokumentach pana Bertone'a. Kiedy usiłowałam post pi zgodnie z procedurami, Andre i Elena powiedzieli mi, e to nie moja sprawa, sk d pochodz pieni dze.

Foley westchn ł i pokr cił głow .

– Wi kszo bogatych klientów po prostu nie rozumie naszych patriotycznych obowi zków.  
Domy lam si , e wszystko mu wyja niła ?

– Oczywi cie.

– I?

– Nie złamał si .

– Nie rozumiem.

– Najpierw próbował czego , co przypominało szanta . Bardzo sprytnie zawoalowany, ale jednak szanta .

Foley pokr cił gwałtownie głow , po czym wzi ł z biurka pióro.

– Wyja nij mi to.

– Pami tasz t ziemi , któr mam za miastem?

– Oczywi cie. Zdecydowała si j sprzeda , tak jak ci radziłem?

Kayla powiedziała sobie, e Foley nie chce zachowywa si protekcyjnalnie. Je li b dzie to powtarza wystarczaj co cz sto, mo e nawet w to uwierzy.

– Transakcja została sfinalizowana dzi rano.

– To dobrze. Na takie ranczo mog sobie pozwoli tylko ludzie z grubym portfelem. Twój taki nie jest. Ile za nie dostała ?

– Sze dziesi t dwa tysi ce za hektar.

– Rany! – Foley bawił si piórem. – wietna cena. Załatwiła to z Charlotte Welmann?

Skin ła głow . Skorzystała z rady Foleya, bo nie znała adnego miejscowego po rednika handlu nieruchomo ciami, a nie chciała sprzedawa Suchej Doliny na własn r k .

– Charlotte zacz ła od wysokiej ceny, bo nie była pewna, jaki jest rynek. – Kayla si skrzywiła.  
– Zostało sprzedane pierwszego dnia.

– Hm. Pewnie powinna była za da wi cej.

– Ona powiedziała to samo.

– Kto je kupił?

– Charlotte zdradziła mi, e kupcem jest inwestor spoza miasta, który po cichu wykupuje ziemi pod du e przedsi wzie cie. Poproszono mnie o podpisanie umowy poufno ci, w której zobowi załam si utrzyma sprzeda w tajemnicy. Agent kupca twierdził, e jego klient obawia si , e o transakcji dowiedz si inni wła ciele i zaczn windowa ceny.

Foley skin ł głow .

– To do powszechne. Ale co ma wspólnego z twoim, hm, problemem z szanta em?





Andre jest mi dzynarodowym potentatem finansowym. Mo e w jego kr gach tak robi si interesy bankowe. Musimy si dowiedzie wi cej, ustali , o co dokładnie chodzi. Je li nie spodoba nam si to, czego si dowiemy, wype nimy RPD.

– Ale...

– Przyjmij ten czek – powiedzia ł, znów popychaj c go do niej. – Andre b dzie zadowolony, a ja w tym czasie dokładnie przemy l , co powinni my zrobi .

Kayla poczuła ucisk w o ł dku.

– Czy to nie jest troch ryzykowne? – Zwłaszcza dla mnie, dodała w my lach.

– Nie, o ile wymy limy, w jaki sposób na razie wytłumaczy transakcj . Czy to rachunek, który obsłu giwała wcz e niej?

– Mówiłam ci, e nie. Gdyby było inaczej, nie miałabym adnych zastrze e do transakcji.

Zmarszczył czoło. Dwadzie cia dwa miliony.

– Tak, rzeczywi cie o tym wspominała . Wi c nie mo emy wybieli tego w ten sposób.

Wybieli ? – pomy lała Kayla. Nie podoba mi si to słowo. Ale nie podobało jej si adne słowo, odk d Elena wr czyła jej ten czek.

Na jednym z telefonów Foleya zamrugała dioda, informuj c go, e kto usiłuje si dodzwoni . Nie odebra ł.

– Musimy po prostu znale jaki sposób, eby w naszych doku mentach tak zaksi gowa transakcj , eby nie nara a si na ryzyko, ale troch zyska na czasie – oznajmił i znów spojrział na czek. – Bank Aruba, oddział w Sugar Sands... Chwileczk , chwileczk ...

Obrócił si na fotelu do komputera. Jego palce migają y po klawiaturze, przedzieraj c si przez stronice i dokumenty.

– Jest – powiedzia ł po chwili. – Wiedzia łem, e znam t nazw .

– Utrzymuj z nami korespondenckie stosunki bankowe. Ju od paru miesi cy. To nam bardzo ułatwi spraw .

Z Kayli cz ciowo opadło napi cie. Foley odwrócił si do niej.

– Zrobimy tak. Zadzwo do banku na Arubie, sprawd , czy Andre ma pieni dze na koncie, a pó niej zajmij rodki i powiedz, e zamierzasz zrealizowa wypłat z ich korespondenckiego konta.

Kayla si zawahała.

– Nie znam si nawet w połowie tak dobrze jak ty na mi dzynarodowej bankowo ci i kontaktach korespondenckich, ale czy to zgodne z prawem? Kto jest odpowiedzialny za informacje o kliencie?

Foley podskoczył na krze le.

– Nie my, do cholery. Za dopełnienie wszystkich wymaganych procedur odpowiada nasz korespondencki bank, czyli Bank Aruba, filia w Sugar Sands.

Kayla nie wyglądała na przekonaną.

– Jesteś pewien? – spytała. W końcu chodzi tu o mój tyłek, dodała w myślach.

– Standardowa procedura operacyjna – odparł. – Jeśli ktokolwiek nas pozwie, po prostu wyjdźmy, nie przyjmijmy, niech bank z Aruby przeprowadzi odpowiednie postępowanie w sprawie rachunku, zanim wydał Bertone'owi pozwolenie na wystawianie czeków tej wielkości.

– I to przejdzie? – dopytała Kayla.

Dioda telefonu przestała mrugać.

– Da się obroni, a przecież o to chodzi. A tak przy okazji, naprawdę podoba mi się, jak marszczysz nos, kiedy o czymś intensywnie myślisz.

Ledwie usłyszała te uwagi, skupiona na wymogach prawa.

– Ale zrzucanie odpowiedzialności na Bank Aruba jest tylko wykręt dla nadzoru. Jak mnie to uchroni przed szubienicą?

Foley się rozejrzył.

– Interesy bankowe polegają głównie na wykrętach dla nadzoru. Rzadko wprowadza się nowe przepisy, a prawnicy wymyślają różne sposoby, żeby je obejść. Rachunki korespondenckie są prawną autostradą. Nikt nigdy nie sprawdza kont korespondenckich, ani w samym banku, ani w departamencie finansów. Wszyscy są z tymi i wszyscy bardzo szczęśliwi.

Kayla chciała być szczęśliwa, ale nie była. Jeśli dopadną ją federalni, wolała mieć na swoje wytłumaczenie coś bardziej konkretnego niż „dajcie się obronić” pozycja.

Dioda telefonu znów zaczęła mrugać, tym razem dwa razy częściej. Pilne.

– Wiadomo, przelej pieniądze, a ja się zajmę resztą – oznajmił Foley. – A jeśli Andre będzie miał inne długi, zrób to samo. Odezwij się do ciebie, ale bądź cierpliwa. Będzie potrzebował trochę czasu, żeby rozpracować sprawę i przekazać ją wydziałowi operacyjnemu.

– Kiedy mi wprowadzi miliony dolarów niewiadomego pochodzenia do systemu bankowego Stanów Zjednoczonych podsumowała Kayla. – To się nazywa pranie brudnych pieniędzy.

– Nie, bo ja zablokuję pieniądze.

– Co?

– Zamknij konto korespondenckie.

– A co to da?

– Będzie wyglądało, jakby pieniądze nie wyszły z Aruby. Później, kiedy zbadamy sprawę i przekonamy się, czy wszystko jest kosztowne, uwolnimy rodki i pozwolimy Bertone'owi zrobić z nimi, co zechce.

– A jeśli nic nie będzie w porządku? – spytała.

– Wiem, co robić – odparł Foley. – Wykonaj moje polecenia, a ja biorę na siebie pełną

odpowiedzialno .

– Ale... – To moje nazwisko będzie na dokumentach, pomyślała.

– Chyba nie masz lepsze rozwiązanie?

Nie miała. Po prostu jej się to nie podobało.

– Zrealizuj czek. Ja zajmę się resztą – powtórzył Foley.

Odwrócił się do niej plecami i sięgnął po telefon.

## ***Rozdział 13***

***Victoria, B.C.***

***Piątek, 12.15***

Rand McCree z niedowierzaniem rozejrzał się po gabinecie Johna Neta. Były tam kamery telewizyjne, wiatła, charakteryzatorka, fryzjer, kierownik produkcji z podkładką do pisania i przez chwilę, telegeniczny Brent Thomas z powagą, ale przerażonym wyrazem twarzy i czarna masywna rękawica ze stali protez przedramienia, opowiadający o okrucieństwach wojny.

Brakowało tylko tańców wina.

– Nie wspominałem nic o cyrku telewizyjnym – zwrócił się do Faroe'a.

– To wywiad, nie cyrk – odparł Faroe. – *wiat w godzinę* to pierdoły wysokiej klasy.

– Cisza! – krzyknął ktoś.

Rand w milczeniu uniósł rodkowy palec i pochylił się nad uchem Faroe'a.

– Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć: z tego, co do tej pory przeczytałem, Kayla Shaw się do tego nie nadaje.

– Jest czysta?

– Raczej tak. Podróżowała po całym świecie. Młodsza siostra ma doktorat z chorób tropikalnych, jest onkologiem, oboje pracują dla Lekarzy bez Granic. Rodzinna, dopóki nie zmarli rodzice. Nie uprawia hazardu, nie pije, nie bierze narkotyków ani nie sypia, z kim popadnie. Bystra, rednio zamożna, pracowita. Jakim cudem Bertone ją przekręcił. Tak robi interesy.

– Bóg miał to na uwadze – powiedział Faroe. – A ty miej na uwadze to, że nieuczciwi urzędnicy w większości ci nie stają się zbrodniarzami.

– Myślisz, że ona jest oszustką? – spytał Rand.

– Jestem zwolennikiem meksykańskiego systemu sprawiedliwości – winny, dopóki nie dowiedzie swojej niewinności. Ale Grace ma takie przecucie jak ty.

Rand wzruszył ramionami. On chciał tylko zbliżyć się do Bertone'a na tyle, żeby go zabić.

Ale nie podobało mu się, że z powodu działalności międzynarodowych przestępców i zbrodniczych rządów wielu ludzi wpadało w tak nędzę, że ledwie im wystarczało na to, by przeżyć.

– Przerwa! – zawołał ktoś.

Do Faroe'a podszedł Ted Martin.

– To on? – spytał Martin, wskazując kciukiem Randa. – Ten fotograf, o którym mówiła?

– Tak.

– Dobra, ale musi poczekać. Dopiero zaczniemy z Netem. Co niesamowitego. Ta różowa proteza na czarnym jak smoła ciele mówi wszystko.

Rand spojrzął na mężczyznę w dżinsach i jedwabnej bluzie sportowej, rozplątując się nad czarnoskórym facetem, któremu odrębnie maczet przedramię zastąpiła proteza dla białego.

– Mogłoby czekać nawet do końca wiata – mruknął.

– Może go przynajmniej uczesać, zanim postawimy go przed kamerą? – rzucił Martin przez ramiona, wracając do Neta. – Przyłóż Freddie. Poradzi sobie nawet z kudłatym mamutem.

Faroe zarechotał.

Rand zignorował obu mężczyzn. Znalazł wolne krzesło, uruchomił komputer Faroe'a i zaczął czytać. Wypowiedzi Neta stanowiły dziwny kontrast dla informacji, które pojawiły się na monitorze.

– Jak się panu udało dostać do kontrwywiadu brytyjskiego? – spytał Thomas.

– Urodziłem się w Afryce i mieszkałem tam na tyle długo, żeby zobaczyć początki rebelii, kiedy partyzanci mieli tylko maczety. – Uniósł protezę. – Uciekliśmy do Szkocji, do Glasgow. Szkoci to wspaniali ludzie. Pokochałem ich szczerze i pragmatycznie. Między innymi dlatego znalazłem St. Kilda Consulting. Wyspa St. Kilda jest dla Szkocji tym, czym Szkocja była dla Anglii, ostatnim bastionem.

– Poznał pan ambasadora Steele'a? – brzmiało kolejne pytanie Thomasa. – Jego dziadek ostatni opuścił St. Kilda, kiedy Brytyjczycy nakazali ewakuację ludności i zamienili wyspę w ptasi raj.

– Ambasador i ja odbyliśmy kilka długich rozmów – wyjął Netto. – Po szkocku. Steele jest jednym z niewielu Szkotów, jakich znam, który mówi w ojczystym języku.

Rand przerwał czytanie. Wiata to bardzo dziwne miejsce, pomyślał. Czarny mężczyzna, który zna szkocki i był funkcjonariuszem brytyjskiego wywiadu, teraz jest szefem wywiadu małego afrykańskiego kraju, obłożonego przez międzynarodowych przestępców z Rosji, Brazylii, Europy i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. I w Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie udziela amerykańskiej telewizji wywiadu na temat handlarza broni z Syberii, który obecnie wiezie wystawne ycie w Phoenix w Arizonie.

Reed uśmiechnął się po pachy.

Randowi nie było do śmiechu. Wiata jest mała – i nie ma co nad tym ubolewać, bo to tylko strata czasu.

– Właśnie podczas tych rozmów ambasador przekazał mi informacje o mężczyźnie znanym dziennie jako Andre Bertone – cięgnął Netto. – To on zaopatruje w broń buntowników Uhuru, którzy chcą obalić rząd Kamarii. Jak na razie, bezskutecznie, chociaż próbują od wielu lat.

– Czego chcą buntownicy? – spytał Thomas, choć wiedział, że pytanie jest niedorzeczne. Wywiad był obliczony na to, żeby dobrze wypadł rozmówca, nie dziennikarz.

– Tego, czego chcą wszyscy barbarzyńcy – krwi, władzy, bogactwa. Zastąpić ciemną demokrację dyktaturą przemocy. Wszystko to w imię naprawiania krzywd plemiennych, które się gaj

wielu setek lat wstecz. A ja nie chcę, żeby nasze kobiety i dzieci były gwałcone w imię dawnych waśni.

– Jak stara się pan temu zapobiec?

Neto pochylił się lekko w stronę Thomasa.

– Mówiła demu, kto chce słuchać, o chciwości i nikczemności handlarzy broni, takich jak Andre Bertone.

– Sprzedawca mierci.

– Tak. To on pięć lat temu sprzedał broń buntownikom. On, lub jego pracownicy, usiłują obecnie dostarczyć buntownikom setki milionów amerykańskich dolarów w postaci broni. Buntowników nie finansują Kamderyjczycy. Ani nawet nie Afrykanie.

– Wić kto? – spytał Thomas.

Rand nie potrzebował odpowiedzi. Wszystko było w plikach na komputerze Faroe'a. Wrócił do akt Kayli Shaw. Prawo jazdy. Pracownik miesiaca. Zajęcia jogi trzy razy w tygodniu. Treningi w klubie zdrowia. Jazda konna. Wspinaczka. Aktualny paszport. Regularne wpłaty na konto Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Seria zdjęć z ukrycia z odległymi i kilkoma tak bliskimi, a fotograf musiał być w zasięgu ręki.

Pewnie Jimmy „Przystojniak” Hamm z butonierkowym aparatem, stwierdził Rand. Zdążył przeczytać o pracowniku St. Kilda, podejmującym próby zdobycia zaufania Kayli Shaw.

Skoro Hammowi się nie udało, dlaczego ona Faroe'a uważa, że uda się to mnie? – zastanawiał się.

Na zdjęciach nie znalazł odpowiedzi. Niezależnie od tego, czy były dobre czy złe, wszystkie przedstawiały ciemnowłosą i jasnooczoną młodą kobietę, której kości policzkowe wskazywały na skandynawską krew i której uśmiechowi trudno było się oprzeć. Nie była hollywoodzką pięknością, ale biła od niej taki rodzaj energii i inteligencji, który go zaintrygował.

– ...mówi o ogromnych kwotach? – pytał Thomas.

– Ponad dwieście dwadzieścia pięć milionów dolarów amerykańskich – wyznał Neto.

Rand gwizdnął cicho i spojrzał znad komputera. Faroe nie sprecyzował, o jakie sumy chodzi.

– A skąd buntownicy biorą takie gotówki? – dopytał Thomas.

– To wymiana, nie gotówka.

Neto pomasażował prawą rękę nad protezą.

– Za co?

– Diamenty, kradziona ropa, koltan...

– Czym jest koltan? – spytał Thomas.

Rand, w odróżnieniu od widowni telewizyjnej, już wiedział więcej, niż chciał, o „czarnym

kamieniu”, stanowi cym podstaw nowoczesnej elektroniki.

Ale nie mógł si powstrzyma i słuchał opowie ci o wydarzeniach, które doprowadziły do mierci jego brata.

– Koltan jest wydobywany z ziemi przez niezale nych górników, buntowników i ludzi z legalnymi licencjami Kamd erii – mówił Neto. – W latach osiemdziesi tych i dziewi dziesi tych był wart niemal tyle samo co mied , ale jest o wiele łatwiejszy w wydobyciu. Buntownicy, którzy wyst pili przeciwko rz dowi Kamd erii pi lat temu, wykorzystywali koltan do finansowania zakupu broni. Worki pełne koltanu wymieniali na kałasznikowy.

Randowi stan ła przed oczami seria obrazów, ywych tak, jak ywe mog by tylko wspomnienia.

Worki z broni uło one wzdlu piaszczystego pasa startowego.

Spoceni czarni rebelianci rozładowuj cy drewniane skrzynie z wyrzutniami granatników.

Rosyjski migłowiec. Sybirak. Krew. Krew Reeda. Wsz dzie.

– Bro została skradziona lub zakupiona w Europie Wschodniej, w sowieckich, bułgarskich i ukrai skich magazynach wojskowych – kontynuował Neto. – Pó niej przetransportowano j na południe, do Afryki równikowej, i zamieniono na koltan, który łatwo mo na było spieni y na rynku wiatowym.

– Spieni y ? – zainteresował si Thomas.

– Wymieni pot, krew i koltan na tward walut – wyja nił Neto. – Victor Krout, teraz nazywany Andre Bertone'em, był główna sił tego nielegalnego handlu. Wykorzystywał powi zania z rosyjskimi kr gami wojskowo-przemysłowymi, eby z tego, co wcze niej funkcjonowało na zasadzie chaotycznego przemytu, zorganizowa skoordynowany, bardzo dochodowy interes. Według moich szacunków, przez dziesi lat działalno ci na rynku nielegalnego handlu broni zarobił sto pi dziesi t milionów dolarów. Wi kszo tych pieni dzy została wyci ni ta z krwi i ko ci Kamd eryjczyków. Ja je odzyskam w ich imieniu. Za te pieni dze wykopie my na wsiach studnie, zaszczepimy dzieci, wybudujemy szkoły, kliniki i szpitale. Dla milionów Kamd eryjczyków te pieni dze znacz tyle co ró nica mi dzy kontynuacj stabilno ci a okrucie stwami wojny.

– Czy mo e pan odzyska te pieni dze legalnie, opieraj c si na prawie mi dzynarodowym? spytał Thomas.

Randowi zrzęła mina. Gdyby prawo mi dzynarodowe działało bez zarzutu, St. Kilda nie miałyby pracy. Mi dzynarodowi przest pcy nie s głupi. Bertone'owi bystro ci nie brakowało. Trudno znale dowód s dowy, skoro ka dy, kto si wychylił, był mordowany.

Tak wła nie post pował Krout vel Bertone.

– Tak – powiedział Neto. – Ale b dzie to trudne. Bertone, jak dzisiaj jest nazywany, zostawił za sob niechlubn przeszło . Dzi ki pieni dzom, które zarobił, rozp tuj c wojny tam, gdzie był pokój, stał si bardzo bogatym po rednikiem w handlu rop , po rednikiem mi dzy zdradzieckimi re imami afryka skimi i wojskami buntowników z jednej strony, a wiod cymi kompaniami naftowymi z drugiej. Ma cał list dawnych klientów, którzy wykorzystywali jego bro do obalenia rz dów, i rz dów, które wykorzystywały bro Bertone'a do tłumienia rebelii.

– Sugeruje pan, że Bertone, handlując bronią, kierował się przede wszystkim zyskiem, a nie ideałami czy polityką? – zapytał Thomas.

– Ideałami? – Netto za niego miał się gorzko. – Bertone nie potrafiłby znaleźć tego słowa w słowniku. Mimo to, a może właśnie dlatego, ma wielu znaczących sprzymierzeńców w Afryce, Rosji, Brazylii, Francji, a nawet w Stanach Zjednoczonych. To dlatego musieliście przylecieć do Kanady, żeby ze mną porozmawiać. Moje podanie o wizę amerykańską zostało odrzucone.

Rand czekał na kolejne oczywiste pytanie: Dlaczego Stany Zjednoczone odmówiły Netto pozwolenia na wjazd?

Thomas jednak przeszedł do bezpieczniejszych tematów, jak broń, diamenty, ropa i przemoc. Rand oczyma wyobraźni widział ujęcia, które pomogły widzowi zrozumieć, że zyski Bertone'a mogą być nie tylko w dolarach, ale także ludzkim cierpieniem.

Faroe skinął na niego.

Rand zamknął komputer i podszedł do wydzielonego miejsca w gabinecie, gdzie ustawiono przenośny faks.

– Zakładamy? – spytał Faroe.

– A jak myślisz?

– Jak ruski termos.

Faks zaczął wyrzucać kartki. Faroe podał je Randowi i czekał na wybuch.

– Zgłoszenie przyjęte? – spytał Rand. – Zaproszenie zaakceptowane? Pieprzona karta parkingowa? Chcesz powiedzieć, że taki debilizm, jak konkurs Szybkiego Rysunku, odbywa się naprawdę?

– Jasne. I w dodatku bierzesz w nim udział. Grace czeka na nas w Phoenix. Ma dla ciebie wiązki papierów do podpisania.

– Co?

– Umowa o pracę.

Rand gwałtownie pokręcił głową.

– Jeśli moje słowo nie wystarczy...

– Dla twojego i naszego bezpieczeństwa – uciął Faroe. – Jeśli będziesz oficjalnie zatrudniony, możemy powołać się na tajemnicę zawodową, gdyby chcieli ci przesłuchać federalni.

– Spróbuj jeszcze raz, po ludzku.

– Wiedziałem, że spytasz, więc kazałem jej to napisać. – Faroe sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął fiskalną rozmiarów dłoni. – Powiedziała, cytując: „Prawo amerykańskie daje nam pewną swobodę na podstawie tajemnicy handlowej, ale tylko, jeśli Rand podpisze umowę o pracę z klauzulą poufności. Inaczej nie będzie miał wiarygodnej podstawy, aby odmówić zeznań FBI”.

Rand zamrugał.



– To było po ludzku?

– W miarę. Oryginał miał dwie strony.

Rand spojrział na umowę i przebiegł jej wzrokiem.

– Zatrudniony na okres, który obie strony wspólnie uzgodni – skomentował.

– To moja Grace. – Faroe podał mu długopis.

Rand wahał się chwilę; przypomniał sobie śmierć Reeda i beztrudne życie Kayli Shaw. Reeda nie był w stanie uratować. Moje zdoła pomóc jej.

A moje nie. Wziął długopis.

– Witamy z powrotem – powiedział Faroe.

– Powiedz mi to za kilka dni.

Faroe wziął podpisaną umowę i skinął na kobietę, która czekała po drugiej stronie pomieszczenia. Freddie podeszła do niego wawo, z nożyczkami i grzebieniem w ręce.

Faroe uśmiechnął się promiennie i zniknął.

## ***Rozdział 14***

***Phoenix***

***Piątek, 19.10***

Bertone niecierpliwie bębnił palcami o blat biurka. Joao Fouquette wymagał, aby wszyscy tak, jak on zagra, ale trzeba było czekać całe wiecznie, aby odebrał prywatny telefon satelitarny. Pewnie rozkoszuje się długim, leniwym posiłkiem ze swoją kochanką i nie ma ochoty zwracać sobie głowy interesami. Wreszcie odebrał.

– Słucham – rzucił szorstko.

– Konto zostało założone w naszym banku na Arubie.

– Długo to trwało.

– Krócej, nie miały prawo oczekiwać, i dobrze o tym wiesz – powiedział Bertone.

Usłyszał w tle kobiecy głos.

– Joao, obiecałem, że nie będę miał żadnych interesów. To moje imię.

– Wysłałem wszystkie informacje na twój zaszyfrowany e-mail – dodał Bertone, zagłuszając Fouquette'a uspokajając jego kochankę.

– Spodziewaj się przelewów w ciągu czterdziestu o miu godzin – powiedział Fouquette po chwili.

– Rozumiem – odparł Bertone. – Zawiadomiłem ludzi, aby zaczęli gromadzić ładunek w ukraińskim magazynie. Kiedy przejdzie cała kwota, ładunek niezwłocznie zostanie wysłany do Kamerii.

– Joao – odezwał się nad słuchawką kobiecy głos. – Zimno mi bez ciebie.

Fouquette przerwał połączenie.

Bertone odłożył słuchawkę, sięgnął po zaszyfrowany telefon komórkowy i włączył szybkie wybieranie. Gabriel odebrał natychmiast.

– Wszystko dobrze? – spytał Bertone.

– Zupełny spokój. Była w restauracji, a teraz wraca na swoje ranczo. Taka gorąca kobieta potrzebuje trochę czasu.

– Najpierw interesy.

Gabriel westchnął.

- *Sz* Ale to czekanie jest straszne.
- śmierć jest gorsza. Spodnie może rozpiąć dopiero, jak dam ci znać.
- A jeżeli ci wykiwa?
- Przywiej do mnie natychmiast.
- Dlaczego?
- Jak się da. Jeżeli nie, trudno, głupota jest największym zbrodniem.

## ***Rozdział 15***

***Phoenix***

***Sobota, 14.30***

Kayla siedziała przy biurku i miała ochotę krzyknąć. Budynek banku American Southwest był opustoszały. Jedynym dźwiękiem, jaki dobiegał z od kilku godzin, był odgłos otwierających i zamykających się windy, kiedy obchód robili strażnicy czy sprzątaczkę. Wszyscy mieli wolne i cieszyli się weekendem.

Wszyscy oprócz niej. Cholera, Foley, gdzie jesteś?

Nie widziała szefa od dwudziestu czterech godzin. O ile wiedziała, wyszedł z pracy niedługo po rozmowie z nią.

„Zrealizuj czek. Ja zajmę się resztą”.

Ona swoje zrobiła. A on?

Niepokój przyprawiał ją o dreszcze, najpierw gorące, potem zimne. Chyba po raz setny wcisnęła ikonę swojego e-maila. Odpowiedzi nie zmieniła. Brakujących wiadomości od szefa. Niemal w rozpaczę otworzyła ostatnią wiadomość od Foleya, z wczorajszej: „Spokojnie, Kayla, pracuj nad tym”.

– wziętnie – mruknęła pod nosem. Ale jak długo można na siebie konsultować z radą korporacji i wydziałem proceduralnym? Nawet jeśli trzeba cięgnąć pozostałych dyrektorów, nie powinno to zabrać całego dnia. Wszyscy są w mieście. Sprawdziłam. Więc gdzie, do diabła, jest mój szef?

Wzięła kilka głębokich wdechów, starała się uspokoić nerwy. Foley może i jest główniarzem, ale nie jest głupi. Jego szefowie też nie. Zrozumiej, że jest niewinna. Czy aby na pewno?

Zamknęła oczy i chwyciła biurko z taką siłą, że zabolęły jej palce. Była najniebezpieczniej postawionym stworzeniem w tym swoistym łańcuchu pokarmowym. Jeśli ktoś zostanie poarty, to właśnie ona. Bo przecież, jak to się mogło stać?

Uporządkowała w myślach fakty, które będzie musiała relacjonować nieskończoną ilość razy, zanim to zamieszanie zostanie opanowane. Robiąc to, modliła się, żeby nie musiała przedstawiać swoich mizernych wyjaśnień jakiemuś bezwzględnie urzędnikowi federalnemu.

Miała ochotę złapać plecak i paszport i wsiąść do samolotu. Miała ochotę krzyknąć. Ale najbardziej chciała zabić Bertone'a i zatać jego pogrzebie.

Odruchowo sprawdziła, czy w skrzynce głosowej komórki są jakieś wiadomości, w nadziei że usłyszy coś od Foleya, że wszystko zostało załatwione.

Nic. Znowu sprawdziła e-maile. Nic.

Ponuro wpatrywała się w monitor. To tylko zły sen, prawda? To się nie dzieje naprawdę. Niemo liwe.

Wpisała swój kod dostępu do głównej bazy danych banku. Drżącymi palcami wybrała konto korespondenckie Banku Aruba, które otworzyła na polecenie Foleya. Ekran nabrął ostro i zamrugał, jakby się aktualizował.

Czterdzieści milionów pięćset tysięcy dolarów. W jednej chwili powietrze uszło jej z płuc.

– Niemo liwe. Czek był na dwadzieścia dwa miliony.

Poczuła mdłość, kiedy spojrzała na kod pracownika banku, przyjmującego drugi wpłat, *jej* kod. Nie! Przecież nie przyjmowałam drugiej wpłaty.

Od wieła ekran raz, drugi raz, trzeci. Nic się nie zmieniło. Wić to nie jest zły sen. To zła rzeczywistość. Kto postąpił się jej kodem bankowym, żeby bez upoważnienia dokonać wpłaty na korespondenckie konto, które założyła.

Cholera, Foley. Mówiłeś, że pomożesz.

Wcisnęła ostatni raz przycisk e-maila. Nic.

I nic nie mogła w tej chwili zrobić. Mogła tylko wierzyć, że Foley ruszy dupę, kiedy ona pojedzie na konkurs Szybkiego Rysunku i będzie się promiennie uśmiechała, żeby ładnie wyjść na zdjęciu z równie promiennie uśmiechniętymi szantażystami.

## ***Rozdział 16***

***Castillo del Cielo***

***Sobota, 17.30***

Ta ma przytrzymuj ca dyktafon na plecach Randa dra niła go jak gryz ce mrówki. Przewód, który służył za mikrofon, przyszczyptywał mu włosy na torsie, ilekroć wykonywał jakiś ruch.

– Przestań się drapać. Zerwiesz mikrofon.

Głos Faroe'a dochodził ze słuchawek atrapy iPod'a, którą miał przy sobie Rand. Bertone'owie odrzucili propozycję programu *wiat w godzinę*, żeby sfilmować konkurs jako ciekawostkę dla widzów, więc Faroe wyposażył Randa w odbiornik i specjalny aparat. Został przygotowany przez techników St. Kilda i mógł zrobić zdjęcie przez złożony obiektyw, jak każdy inny aparat.

Ale ten model był wyposażony w wewnętrzny twardego dysku i drugi obiektyw, pobierający obrazy przez otwór, który znajdował się z boku aparatu, wyglądał jak wyjście z USB i przysyłał rezultaty na kartę pamięci. Pole widzenia tego obiektywu było obrócone dokładnie o dziewięćdziesiąt stopni w stosunku do normalnego.

Żeby zrobić zdjęcie, Rand musiał przycisnąć zamaskowany guzik drugiego aparatu i pamiętać, aby trzymać palec z daleka od wejścia USB.

– Ten cholerny drut oskubie mnie na łysa – mruknął z irytacją.

– Poczekaj, a kiedy cię gwałcił z ciebie tam odparł Faroe. – Będziesz piszczala jak dziewczyna. Widziałeś już Bertone'a?

– Nie, ale za to jego syn jest wszędzie pełno.

– Jej te nie drap.

Rand za miał się cicho. Docinki Faroe'a były jedyną zabawną rzeczą w konkursie Szybkiego Rysunku. Cały ten konkurs był absurdalnym rozrywką ludzi, którzy obracali się w wiecie zalany przemoc. Fakt, że sponzorował go człowiek, który uzbroił w kształt kontynentu afrykańskiego, tylko potęgował ten absurd.

Rand był przyzwyczajony do malowania w plenerze, w odróżnieniu od większości zaproszonych na te imprezy artystów. Po wynalezieniu dobrej kolorowej kliszy, wielu malarzy wolało tworzyć ze zdjęciami w plenerze. To, że ktoś malował piękne krajobrazy, wcale nie znaczyło, że tworzy poza pracownią, w której jest dobre światło, zawsze dobra pogoda i wszelkie potrzebne przybory.

Zadaniem trzydziestu uczestniczących w konkursie było namalowanie fragmentu posiadłości Bertone'ów w czasie dwóch godzin. Otaczało ich ponad trzysta przedstawicieli elit Arizony. Kobiety miały na sobie „wakacyjne” kreacje, które kosztują tysiące dolarów, równie drogie sandały, torebki, okulary przeciwsłoneczne i biuteria. Impreza zalewał francuski szampan i plotki z

Phoenix.

Rand zmierzył wzrokiem tłumy osobistości w drogich strojach i zastanawiał się, ilu z nich wie, że Balzakovski aforyzm jest prawdziwy: „Za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia”.

Naszkirował kilka linii basenu, domku przy basenie i betonowego tarasu, z którego roztaczał się najlepszy widok na panoramę Phoenix. Przez parę kolejnych minut oceniał padające ze skosu złote wiatło. Wreszcie stwierdził, że pora zostawi szkicowanie i wziąć się do malowania. Odłożył ołówek, wybrał tubki olejnej farby ze swojego roboczego stolika, wycisnął je i rozmieszał kolory na palcu.

– Widziałyście Bertone’a? – usłyszał głos Faroe’a.

– Zamknij się, pracuje – mruknął w odpowiedzi.

– Ja też.

Malował szybko. I miał nadzieję, że spod bezłitości przystrojeny brody nie będzie widać jego obrzydzenia. Szarozielona koszula, którą podarowała mu Grace, była w kolorze jego oczu, a przynajmniej ona tak stwierdziła. Stare dżinsy i buty, które miał na sobie, poplamione były farbami.

Koszula też zaraz będzie.

– W końcu maluje – odezwała się kobieta, której głos wybijał się ponad gwar przyjaciół.

– Elena zapewniała mnie – powiedziała jej towarzyszka – że to dobry młody malarz.

– R. McCree. Nigdy o nim nie słyszałam.

– Dlatego, że nie ledzisz sceny artystycznej północno-zachodniego Pacyfiku.

– A niby po co miałabym ledzić? – spytała pierwsza kobieta. I dlaczego on maluje tutaj, zupełnie sam? Wszyscy inni są tam, skąd mają niesamowity widok na dolinę. Niebieski Zamek może i ma banalną nazwę, ale znakomicie komponuje się z krajobrazem.

Rand miał nadzieję, że kobiety odejść i będą daleko od innych artystów. Skupił się na fragmencie posiadłości, który wybrał. Zarówno jego natura szpiega, jak i artyści byli zadowoleni z wyboru punktu obserwacyjnego nad terenami Castillo del Cielo.

– Jedną z tych kobiet jest naprawdę niegrzeczna – odezwał się Faroe.

– Aby wiedział burknął Rand.

Malując, nie zwracał uwagi na Faroe’a. Phoenix jedynym było już w upalnym lecie, które odciskało się na krajobrazie i życiu jego mieszkańców. Popołudniowe wiatło podkreślało każdą nierówność terenu niczym „wiatło gwiazd” w czarno-białych filmach.

Ten rodzaj wiatła jest najlepszym przyjacielem artysty.

I jego najgorszym wrogiem.

Wiatło pustyni tak się różni od zimnego, rozproszonego wiatła północno-zachodniego Pacyfiku, że Rand postanowił nie malować czystego pejzażu. Nawet mistrz potrzebowałby mnóstwa czasu na oddanie subtelności pustynnego wiatła. A on czasu nie miał.

Liczył na pró no Eleny Bertone, która była jednym z trojga s dziów. Według informacji St. Kilda pilnowała szczegółów projektu Castillo del Cielo do tego stopnia, e wp dziła architekta w alkoholizm. Castillo del Cielo stworzyła Elena i kochała je jak dziecko.

Wi c namaluje jej dziecko.

Sprytny wybór, ale niełatwy. Nigdy wcze niej nie malował obiektu, który nie sprawiał mu rado ci. Tak jak cała impreza, posiadło była dla niego... pomyłk . Została wtłoczona w miejsce wydarte kaktusom i skałom. Perłowy bł kit basenów i diamentowe l nienie wodnych instalacji gryzły si z wypalonymi przez sło ce wzgórzami i pojedynczymi kształtami kaktusów na nienadaj cych si do zabudowania grzbietach górskich okalaj cych posiadło . Sam dom, utrzymany w stylu toska skim, odwoływał si do przeszło ci, która po prostu nie istniała po tej stronie Atlantyku. Pomyłka. W dodatku bardzo droga.

– Dlaczego Bertone po prostu nie wywiesił billboardu reklamuj cego jego obrzydliwe bogactwo? – mrukn ł Faroe.

– Przesta czyta w moich my lach. – Słowa dotarły tylko do kołnierzyka Randa, ale to wystarczyło.

– Podśłuchiwałem t irytuj c kobiet . Zastanawiam si , czy jej obecny facet knebluje j , zanim zacznie j pieprzy .

– Spadaj.

– Znajd Bertone'a.

– Przesta mnie dr czy – powiedział Rand. – To nie moja wina, e Hammowi nie udało si sfotografowa Bertone'a. Zrobiłem tyle zdj posiadło ci, e wystarczy na dwana cie albumów.

– Bertone nigdy nie pojawia si w tych cz ciach posiadło ci, które s monitorowane przez wewn trzne kamery bezpiecze stwa. Cwana bestia. To dlatego płacimy ci mas forsę za bawienie si farbami i spreparowanym aparatem.

– Zrobiłbym to za darmo – odparł Rand, staraj c si nie wspomina brata, który skonał w jego ramionach.

– Twoim zadaniem nie jest pom ci Reeda – powiedział Faroe. – Pami taj o tym.

Rand nie odpowiedział.



## ***Rozdział 17***

***Castillo del Cielo***

***Sobota, 17.35***

Kayla Shaw stała przy krawdzi basenu i szukała wzrokiem Steve'a Foleya. Chyba pojawi się na tym przyjęciu jednego z najważniejszych klientów banku? I pewnie powie jej, żeby się nie przejmowała, że wszystko już załatwione i jest bezpieczna.

Było ciepło, ale od ziemi bił chłód, który przypominał, że zima jeszcze nie odeszła na dobre.

Kayla owinęła się szczelniej lnianą marynarką. Niemal drętała z napięcia, przyglądając się trzydziestu artystom pokrywającym farbami płótna tak energicznie, jakby od tego zależało ich życie.

Foleya nigdzie nie było widać.

I co ja zrobię? Pytanie pobrzmiwało jej w głowie wraz z oszalałym biciem serca. Nie myśl o tym. I tylko staraj się być miłą, żeby Bertone, owoie nie nabrali podejrzeń. A je li... Nie myśl o tym. Nie teraz. Ale... Nie teraz!

– Dobrze się bawisz? – Rozległ się głos Bertone'a tu przy jej łokciu.

Odskoczyła, przestraszona, że był w stanie zakraść się do niej tak blisko, a ona się nie zorientowała.

Chwyć ją za rękę i odcignę ją od krawdzi basenu.

– Denerwujemy się, co? – spytał.

– Zawsze podskakuję, kiedy ktoś się do mnie zakrada – powiedziała. – A pan?

– Zakrada? – Roześmiała się, ale nie uwolnił jej ręki. – *Ma petite*, waży ponad sto kilo i jestem czterdziestce. Nie potrafiłbym się zakraść, nawet gdyby od tego zależało moje życie. Na pewno nie jesteś zdenerwowana?

– A powinnam? – odpowiedziała pytaniem, wrywając się z jego uścisku.

– Domyślam się, że to raczej jak trema panny młodej. Ale przecie dała do zrozumienia, że to nie jest twój pierwszy raz w... „pogoni za przyjemnościami”.

Kayla zacisnęła zęby i się nie odezwała. Bertone ujął jej podbródek silną dłonią. Powoli, niemal delikatnie zmusił ją, żeby spojrzała mu w oczy. Złość. Była wściekła.

– Naprawdę jesteś takim niewiniątkiem? – spytał Bertone. – Czy bym rzeczywiście cię ocenił? Chyba rozumiesz, jak się załatwia sprawy w prawdziwym świecie, prawda?

– Tak. – Zrobiła krok do tyłu, uwalniając się. – Z największym możliwym zyskiem.

Uniósł brwi.

– Ach, wi c czujesz si le wynagradzana.

Znac co wzruszyła ramionami.

– Interesujesz mnie – oznajmił.

Zesztywniała, kiedy zmierzył j wzrokiem od góry do dołu. Celowo ubrała si skromnie, w lniany garnitur i jedwabny top, wyci ty pod szyj na tyle, e było widać ró wytatuowan na obojczyku. Ale patrzył na ni w taki sposób, e czuła si , jakby stała rozebrana do bielizny i była polewana zimn wod .

– Czy drugi przelew komputerowy wpłyn ł na nowy rachunek? – Głos Bertone’a był znów neutralny.

Kayla chciała odetchn z ulg .

– Tak.

Nagle dotarła do niej prawda i ziemia usun ła jej si spod stóp. Nie rozmawiała z Bertone'ami od pierwszej wpłaty, a jednak on ju wiedział nie tylko, e konto korespondenckie zostało otwarte, ale te , e zrobiono drug wpłat .

Pragnienie rozmowy z Foleyem stało si pal ce i gorzkie. Bertone albo federalni, diabeł albo gł bokie, bł kitne morze. Wybieraj, szcz ciaro.

Nic z tych rzeczy.

Musi by trzecie wyj cie. Tylko trzeba je znale . I to naprawd szybko.

– Dzi i jutro b dzie wi cej przelewów – oznajmił Bertone. – Na wi ksze kwoty. Do znaczne, szczerze mówi c.

Wzi ła płytki oddech, pó niej kolejny, zmuszaj c si , eby spojrze mu w oczy.

– W tym kraju banki nie pracuj w weekendy. – Mówiła spokojnie mimo paniki, która ciskała jej wn trzno ci. – Nie jestem nawet pewna, czy działaj ł cza internetowe.

– Działaj .

Wzruszyła ramionami.

– Wi c pieni dze zostan przelane, ale na rachunku zostan zaksi gowane dopiero w poniedziałek. Inaczej mówi c, bez wzgl du na to, kiedy zostanie dokonany przelew, pieni dze b dzie mo na wypłaci dopiero w poniedziałek.

– W poniedziałek, najwcze niej jak si da – powiedział Bertone tonem nieznoszym sprzeciwu.

– Oczywi cie – wycedziła przez z by.

Zmierzył j znowu od stóp do głów, zatrzymuj c wzrok na wszystkich łatwych do przewidzenia miejscach.

– Nie martowałem z tym, co mówiłem wczynie, *ma petite*. Twoja przyszłość jest w twoich rękach. Jeśli chcesz większych zysków, musisz więcej dawać.

– Zawsze dbam o pieniądze moich klientów.

– Nie mów o moich pieniądzach.

Kayl przeszedł dreszcz.

– A co pańska ona na... dodatkowe usługi?

– Elena jest światową kobietą. Wie, jaka jest różnica między oną a nałoczną.

– A pan zna różnicę między nami a igolami? – odparowała, nie zastanawiając się, co mówi.

Bertone zaskoczył ją – odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

– Tak, zdecydowanie mnie interesujesz. A już od dawna nikt mnie nie interesował. Za garażem jest mały ogród. Jak wręcz w nagrodę dla najgorliwszemu amatorowi, pójdiesz tam. Ja dołączę do ciebie i podyskutujemy o igolach i nałocznach.

Powiedział pajkę do muchy, pomyślała Kayla.

Ale tym razem ugryzła się w język. Nie miała zamiaru jeszcze bardziej „zainteresować” Bertone'a.

# ***Rozdział 18***

***Castillo del Cielo***

***Sobota, 17.40***

– Widziałyście już Bertone'a? – w słuchawkach, które Rand miał na uszach, odezwał się głos Faroe'a.

– Zamknij się – wymruczał pod nosem. – Nie da się naraz kablówka i malówka. Musz się skupić.

– Zrób sobie przerwę. Rozejrzyj się.

– Zaraz.

Rand wycisnął długą wstawkę ochry na paletę i domieszał odrobinę czerni i purpury. Na jego gust, kolor domu Bertone'ów był paskudny.

– Łaciecie gównem.

– Słucham? – odezwał się Faroe.

– Kolor domu.

Po tych słowach Rand odciął się od wiata i skupił się na uzyskaniu koloru podobnego do barwy cian, ale ładniej wyglądającego na naturalnym pustynnym tle. Zabrało mu to trochę czasu, lecz w końcu znalazł odpowiednie odcienie i obraz zaczął się zagłębiać na jego oczach. To czego pracy lubił najbardziej – kiedy on sam zniknął, a było jedynie płótno.

Gdy w końcu odsunął się, żeby zobaczyć efekt, nad ostrym zapachem farb uniosła się woń cynamonu i wanilii. Zorientował się, że stoi za nim kobieta. Blisko. Gdyby się nie odsunęła, wpadłby na nią. Nie patrzył, czekał, aż się odezwie. Milczała.

Zaciekawiony obejrzał się przez ramiona i spojrzał prosto w lodowato błękitne oczy Kayli Shaw. Pierwszymi, jaka przyszła mu do głowy, było, że zdjęcia z ukrycia nie oddawały jej uroku. W jej inteligentnych oczach dziewczyny były cienie i światło, niezgłębiony smutek i smutek, a także chłód, cały wszechwiat moją ci. Poczuli się jak frajer.

– Jakiego zmartwienia? – spytał.

– Martwi się, gdzie, do cholery, jest Bertone – odparował Faroe.

Rand wyjął słuchawki z uszu i schował do kieszeni razem ze sfingowanym iPodem.

Kayla przeniosła wzrok z obrazu na malarza. Nie wiedziała czemu, spodziewała się, że artysty są niski albo chudzi, albo starzy, albo nie mieli, albo... niegroni. Ten mężczyzna był zupełnie inny. Wysoki, długonogi, barczysty, o szarozielonkawych oczach, które mogłyby przeciwnie stać.

– Myślisz – zaczęła – że to bardzo ciekawe, że temat nie jest wart artysty.

Rand niemal się uśmiechnął i prawie zakłócił. Przejrzała go na wskroś, wiedziała, że uważyła, że Bertone'ów za krzyk cyfrowy dla bezgłówności.

– Chyba nie do końca rozumiem, co to znaczy – skłamał.

Uśmiechnęła się, co złagodziło napięte linie wokół ust.

– Myślisz, że pan rozumie. Ale proszę się nie martwić. Elena będzie zachwycona pana dziełem. Upiększył pan rzeczywiście.

Co kobieta pokroju Kayii robi w takim miejscu? zastanawiał się. Ale nie zadał tego starego jak wiat pytania, tylko wycisnął na paletę trochę więcej farby, a później dodał kilka plam na płótnie. Zmrużył oczy, żeby ocenił efekt.

– To się nazywa *licentia poetica* – wyjąknął, nie odwracając się. Jeśli nie chce się filtra albo wizji artysty, można zrobić zdjęcie.

– Elena karmi się pochlebstwami. Pieknie rozgryzł pan gospodyni.

Nie przerywał pracy, nadal zwrócony plecami do swojego krytyka, nadal czując woń cynamonu i wanilii.

– Brzmi to jak wyrzut.

– Nie. Po prostu jestem zazdrosna. Gdybym ja potrafiła tak szybko ocenić człowieka... Wzruszyła ramionami. – Przydałoby mi się to. – Niedomówienie roku. Albo dekady. – Pewnie byłabym bardzo bogata.

Rand uległ pokusie i zerknął przelotnie na Kaylę. Stała do niego bokiem. Kiedy nie patrzyło jej się w oczy, wydawała się młodszą, niż w rzeczywistości była. Miała umiarkowane ciało, zgrabne i tak bardzo napięte, że niemal wibrowało, opalona skóra, czarna lniany garnitur i wycięty pod szyję jedwabny bluzk, która odsłaniała mały tatuaż w kształcie róży na obojczyku.

Miał ochotę go polizać.

To cholernie nieodpowiedni moment na wzwód.

Ale go miał. Informacje o niej zaintrygowały go, był na nią napalony w wyobraźni, a w rzeczywistości jeszcze bardziej.

Klnąc w ducha, skupił się na płótnie.

– Myślałem, że wszyscy tutaj są bogaci – powiedział.

– Niektórzy z nas są wynajmieni przez pomocników. Moemy pić szampana, ale najpierw musimy zatańczyć, jak nam zagrają. – Kayla miała nadzieję, że artysta nie usłyszał goryczy w jej głosie.

– Tak, głowa daj, że Bertone'owie miewają nieładną zachciankę – rzucił od niechcenia Rand. – W każdym razie ona. Jego nie widziałem. Jest tu dzisiaj?

– Tak. – Wiedziała, że jej głos jest zbyt oschły, ale nie potrafiła nic z tym zrobić. Propozycja Bertone'a przeraziła ją. – Widziałam wczoraj jej obraz...

– Oczywiście.

Jej miech był tak samo sztywny jak jej ciało.

– Nie, mam na myśli podobny obraz.

– Ten sam temat?

– Nie chodzi o temat.

Zapadła cisza, w której słychać było delikatny odgłos farby kładzonej na płótno.

– To znaczy?

– Chyba nie wyrażam się jasno – odezwała się Kayla. – Jest coś ... to, jak postrzega pan światło. Nie to, jak pan je maluje. Wyraźne i mocne, podkreślające linie grani, fontanny i nawet dzikie krzewy wokół i dółka za basenem. Już kiedy widziałam taki rodzaj światła. – Roze miała się nagle. – Kupiłam jeden z pańskich obrazów na wyprzedzie i rzeczy używane. R. McCree, prawda?

R. McCree. Nazwisko zadzwoniło Randowi w umyśle. Czy by miała jeden z obrazów Reeda?

– Tak – potwierdził. – Rand McCree. – Zdecydowanie nie miał zamiaru rozpoczynać z finansistką rozmowy na temat swojego zamordowanego brata.

– Nie przypominam sobie, żeby był pan w programie.

– Później zgłosiłem – rzucił beztrudno, ale pilnował, żeby na nią nie patrzeć. Widział ładniejsze kobiety, ale żadna nie potrafiła rozproszyć go tak jak ona.

Czuł coś na kształt podziwu, Kayla przyglądała się, jak Rand budzi płótno do życia. Rezultat był piękny, ale nie przesłodzony. Bardzo miska wizja. Intensywna. Irytująca. Przykuwająca uwagę. Jak on sam.

– Wyprzedzie rzeczy używane, tak? – zagadnął Rand, – Który obraz?

– *Był moim wiatrem*. Wyprzedzie rzeczy używane to fatalna nazwa – dodała szybko. – Tak naprawdę to była wyprzedzie majtki.

– Od razu mi lepiej – zakpił. – Ale przykro mi, że pani Braceley zmarła. Miała nadzieję, że dojdzie setki, jeżeli ucieknie od zimnych deszczy północno-zachodniego Pacyfiku.

Sztucznie modulowany kobiecy miech zagłuszył odgłos fontanny. Elena Bertone zareagowała na coś, co powiedział jej wspaniały młody mężczyzna.

– Moja gospodyni – stwierdził Rand. – Dużo jej w rubrykach towarzyskich. Ale jego zdjęcia nie widziałem.

– Ceni sobie prywatność. Bertone'ów zawsze reprezentuje Elena.

– Wiem to rzeczywiście wyjątkowa okazja.

– Tak. Założyła się, że Elena liczy na to, że ta wielka gala umocni jej pozycję w zarządzie Muzeum Pustynnego.

– A czy to ma dla niej znaczenie? – spytał Rand.

– Widocznie ma – odpowiedziała w zamyśleniu Kayla, przyglądając się jego pracy. – Przeznaczyła kilka milionów dolarów na rozwój sztuki w Phoenix, więc musi to być dla niej ważne. Nie wspominaj o tym, ile osób musiała przycisnąć i ile długów wzięła, żeby zjawiła się tu w naszym mieście i połowa polityków z Zachodu.

Kayla usłyszała własne słowa i się skrzywiła. Prywatny bankowiec nie powinien plotkować o swoich klientach. To była prosta droga do zwolnienia.

– Proszę zapomnieć, że to powiedziałam – zreflektowała się szybko. – Byłam skupiona bardziej na obrazie niż na tym, co mówię.

– Co zapomnieć? Nic nie słyszałem – odparł.

Usłyszał, jak oddycha z ulgą, i niemal się uśmiechnął. Nie winił jej za to, że jest zdenerwowana. Wprawdzie Bertone'a nie nazywają Sybirakiem, ale garnitury od projektantów skrywają ten sam wredny charakter. Kądy, kto plotkuje na jego temat, ma krótkie przyszłe na jego liście płac.

A może w ogóle krótkie przyszłe.

Udając, że chce spojrzeć na płótno pod innym kątem, Rand odwrócił się i podszedł do niej bliżej. Cynamon i wanilia. Ciemnobrązowe włosy, rozjaśnione przez słone albo bardzo drogiego fryzjera. Lodowato białe kitne oczy, dyskretny makijaż i ta cholernie kusząca wytatuowana ramię.

Mam nadzieję, że jesteś tak niewinna, jak mi się wydaje, pomyślał ponuro. Ale winna czy niewinna – jesteście my na siebie skazani.

Może po prostu powinniśmy się położyć i cieszyć sobą?

– Pana dłonie są chyba za duże jak na artystę – zauważyła Kayla, nie zastanawiając się, co mówi.

Bardzo dobrze się układają na moim karku, pomyślał, ale tego nie miał zamiaru jej mówić.

– S... poroczne.

Jaknąła, słysząc głos.

Uśmiechnął się promiennie.

Zaciekawiona przyglądała się uważnie jego obrazowi. Miał czarne dżinsy upstrzone plamami po farbach, luźno wypuszczoną koszulę w kolorze identycznym jak jego oczy i miodowe czarne skórzane buty z cholewkami. Mimo dowodu na płótnie i upranego [zrobionego] ubrania nie pasował do stereotypu artysty. A może po prostu czuł się ciemno, który widział tak ostro poprzez światło, tkwiła ta myśl w nim?

– Nie jest pan stary, prawda? – spytała. – Przepraszam, chyba źle pan działa na mój język – dodała szybko.

Rzucił jej przez ramię spojrzenie, od którego zamarło jej serce.

– Brzmi obiecująco.

Miała nadzieję, że rumieniec zalewający jej twarz zostanie przypisany raczej efektom działania słońca niż wstydu z powodu gafy, którą pałała.

– Wiąkszość czasu spędzam na północno-zachodnim wybrzeżu – wyjął ją, odwracając się z powrotem do płótna – Długo pani tu mieszka?

– Od dziecka, rzuciła beretem – wyjął ją.

– Jak to się stało, że pracuje pani dla Bertone'ów?

– Nie pracuję. Jestem ich doradcą bankowym. Pracuję dla American Southwest w Scottsdale. Przynajmniej na razie – dodała, czego zaraz pośledziła.

Niedwuznaczna propozycja Bertone'a wytrąciła ją z równowagi bardziej, niż przypuszczała.

A może to R. McCree. Niezłota miała do czynienia z mężczyzną o sylwetce napastnika liniowego i niespokojnej duszy artysty.

– Mówi pani, jakby rozglądała się za inną pracę – stwierdził Rand.

– Od czasu do czasu kiedy potrzebuje nowych wyzwań – skwitowała. – Zastanawiam się nad zmianą zawodu.

– Nie lubi pani bankowości?

Po raz pierwszy Kayla zdała sobie sprawę, że rzeczywiście nie lubi. Już nie.

– Zawsze chodzi o pieniądze, a pieniądze nie zawsze wyzwalały w ludziach to, co najlepsze.

– Artyści o pieniądzu wiedzą niewiele.

– Pan wie na tyle dużo, żeby malować tandetny obraz, który może zdobyć pierwszą, drugą czy trzecią nagrodę, chociaż powinien pan być zupełnie gdzie indziej i tworzyć coś wartościowego. – Westchnęła. – Przepraszam, to mogło zabrzmieć nie tak, jak myślała.

Rand wzdrygnął się. Ale w końcu myślała dokładnie to samo.

– To się nazywa zarabianie na chleb.

– I zawsze chodzi tylko o to, żeby się uchronić przed śmiercią głodową, prawda? – spytała z udawanym zrozumieniem.

– Na ogół. A mówi o głodzie, co robi pani później? – Spojrzał na nią tak i dostrzegł jej przerażenie. – Co się stało? Nigdy wcześniej nie widziałem faceta nie zapraszającego pani na kolację?

– Nie pięć minut po tym, jak go pierwszy raz zobaczyłam na oczach, i dziesięć minut po tym, jak ktoś inny poprosił mnie o spotkanie za kilka godzin.

– Tylko niech pani nie mówi, że się spóźniłem – rzucił swobodnie Rand.

Łatwo było z nią flirtować, chyba nawet zbyt łatwo. Może to ona pogrywała z nim, a nie odwrotnie?

Problem w tym, że wcale nie miał ochoty na gierki.



– Niestety, jestem już umówiona – odparła.

Z jej twarzy wyczytał, że nie jest tym zachwycona.

– Nie może pani tego odwołać ?

– Właśnie nie się nad tym zastanawiam.

– Wiem, że nie jestem na straconej pozycji?

– Czuję się jak zwierzyna łowna.

– Muszę popracować nad techniką. – Rand odwrócił się, żeby uśmiechnąć się do niej przez ramiona.

I zobaczył jednego mężczyznę na wiecie, którego kark chciał zmiażdżyć w swoich zaokrąglonych jak na artystę dłoniach.

## ***Rozdział 19***

***Castillo del Cielo***

***Sobota, 17.51***

– Kto to? – Rand zmusił się, żeby zada pytanie.

Kayla obejrzała się przez ramię i dostrzegła Bertone'a z innym mężczyzną, zmierzających w jej kierunku. Toczyli ożywioną, ale nie za bardzo dyskusję.

– Wysoki, przysadzisty facet po prawej to Andre Bertone – wyjął cicho. – Ten z lewej to Don Cowley.

– Ach, pan Bertone, tajemniczy duch. – Rand miał nadzieję, że jego głos nie zdradza gwałtownych emocji, jakie go ogarnęły. – Powiniennem znać tego gogusia obok?

– Jest konsultantem politycznym dla kandydatów do kongresu stanowego i narodowego.

– Szycha, co?

– I to jaka. – Nie powiedziała jednak, że Cowley jest klientem prywatnej bankowości American Southwest, któremu polityczny interes przyniósł ogromne bogactwo. Kiedy, kto chciał gdzie dojść w stanowej polityce, musiał najpierw otrzymać jego błogosławieństwo.

Bertone i Cowley zatrzymali się na chwilę, żeby podać sobie ręce. Cowley powiedział coś, czym rozbawił Bertone'a. Głęboki śmiech wybił się ponad odgłosy przyjęcia w tle.

Gdy tylko Cowley odszedł, mina Bertone'a się zmieniła. Zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się, co mu nie pasuje. Po chwili, czując, że jest obserwowany, spojrzał na Kaylę. Natychmiast zaczął wspinąć się po schodach do miejsca, gdzie stała.

Rand odwrócił się i zabrał do malowania. Tylko na tyle mógł sobie zaufać. Mikrofon na piersi ci głębiej go drapał, ale przestał zwracać na to uwagę. Faroe niewątpliwie usłyszał, że Bertone jest w pobliżu. Rand nie potrzebował słuchawki w uchu, by wiedzieć, że Faroe wstrzymuje oddech, czekając na zdjęcie.

Miał wrażenie, że aparat fotograficzny wypala dziurę w jego plecaku. Szybko rozważył, jakim pretekstem mógłby się posłużyć, żeby wyjść z aparatem i wymierzyć nim w cel odległy od Bertone'a.

Nic nie przyszło mu do głowy.

Nie spiesz się. Wieczór jest jeszcze młody.

A Reed już nigdy nie będzie starszy.

– Znasz mężczyznę, z którym rozmawiałem? – Bertone odezwał się do Kayli, ignorując artystę.

– Widziałam pana Cowleya w banku.

– Właśnie się zgodziłem wesprze kilku jego kandydatów w prawyborach. Chcę, żeby zrealizowała czeki, które mu wystawi. Muszę mieć pewność, że zostaną... właśnie ciwie zakasowane.

Kayla zacisnęła usta.

– Zawsze rozliczam się z rodziców przechodzących przez bank, panie Bertone. Jeśli oczekuje pan czegoś innego, będzie musiał być pan bardziej konkretny w swoich prośbach.

Rand zagwizdał w duchu. Lady jest w ciekła. I naiwna. Ja nie naskakiwałbym na tego tygrysa syberyjskiego, mając do ochrony tylko wytatuowanego rósł.

Bertone przypatrywał jej się długi chwilkę. Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w oczy. Popatrzył na nią namacalnie, czyżby pracując przy sztalugach.

– Te kwestie i inne omówimy później.

– Nie czuj się dobrze – powiedziała. – Wolalabym jakiś inny termin.

– A ja nie, Kaylo. Pan Foley zapewnił mnie, że będziesz dyspozycyjna, jeśli chodzi o omawianie interesów bankowych,

– Interesów, owszem.

Bertone wyglądał na rozbawionego.

– W takim razie będzie to czyste interesy, jeżeli tego sobie życzysz.

– Tak.

– Elena poda nam kawę w ogrodzie o siódmej.

– Elena? – Kayla odetchnęła z ulgą, słysząc, że nie będzie musiała spotkać się z Bertone sam na sam. – Dobrze. O siódmej.

Bertone uśmiechnął się lekko. Odwracając się, zerknął na obraz na sztalugach. Podszedł bliżej, ze szczerym zainteresowaniem przyjrzał się niedokończonemu dziełu, po czym popatrzył na artystę.

W żyłach Randa szalała adrenalina, ale ze spokojem spojrzawszy Bertone'owi w oczy. Nie był pewien, na ile dokładnie Sybirak widział go przez lunetę karabinu i czy widział twarz mordercy, którego zamordował, twarz jego brata bliźniaka. To dlatego przestał się golić i strzyć na krótko. Pięć lat temu obaj – on i Reed – nie nosili zarostu i byli ostrzyżeni po wojskowemu.

Bertone wpatrywał się w niego kilka sekund, mrugając oczami. Później znów spojrzawszy na obraz.

– Bardzo ładny. Właśnie ciwie prawie dobry. Ale powinien pan wracać do pracy, jeśli chce pan wygrać konkurs mojej siostry. Czas ucieka.

Rand zdobył się na uśmiech. Widocznie luneta karabinu nie była tak dobra jak obiektyw aparatu. Albo jego żona nie miała twarz stanowiącą wystarczająco kamufaż.

Albo Bertone zabił tak wielu ludzi, że nie pamięta wszystkich twarzy.

– Ciesz się, że podoba się panu obraz – powiedział swobodnie. – Bo ja jestem pod niesamowitym wrażeniem lematu.

Kayla podejrzewała, że Rand mówi tylko grzeczniejszy połow prawdy. Ona jeszcze długo musiała pracować, żeby się o tym dowiedzieć.

– Czy moja pracownica panu nie przeszkadza? – spytał Bertone. – Mogę ją zabrać.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Rand. – Jest bezwzględny krytykiem, a ja jestem skrytym masochistą. Doskonale połam cienie.

– W takim razie zostawiam pana państwu bólowi i przyjemności – oznajmił Bertone. – Do zobaczenia po konkursie, *ma petite*. – Spojrzał na Kaylę.

Rand patrzył, jak zabójca jego brata się oddala. Kiedy spojrzał na Kaylę, była blada jak ściana.

– Całkiem miła pogawędka – skwitował.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Artuj – wyjął szybko. – Wygląda pani, jakby właśnie nadeprnęła na wściekłość. Jeśli słyszałem to, co wydaje mi się, że słyszałem, mogła by pani oskarżyć o molestowanie seksualne.

Wydała odgłos, który nie do końca był śmiechem i niezupełnie przekleństwem.

– Strata czasu. Tysiące kobiet ustawilyby się w kolejce, żeby być molestowane seksualnie przez Bertone'a.

– Ale pani do nich nie należy.

– Dlatego, że jestem wybredna albo głupia?

– Do głupiej pani bardzo daleko. Mogę zwracać się do pani po imieniu?

– Wszystko, byle nie *ma petite*.

– Dobrze, piękna.

Zaskoczyła ich oboje, mijając się.

– Dzięki, przystojniaku. Czułam się .... brudna.

Rand wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej policzka, ale spostrzegł, że palce ma ubrudzone farbą, więc wytarł je w dżinsy. Kayla Shaw była trochę za bardzo atrakcyjna i o wiele za bardzo bezbronna.

Ale była kluczem, który miał wykorzystać.

## ***Rozdział 20***

***Castillo del Cielo***

***Sobota. 18.10***

Rand k tem oka dostrzegł, że Bertone w końcu przestał kręcić; teraz zabawiał ludzi stojących obok jego łóżka.

– Dobra – oznajmił, wkładając pędzel do słoika z terpentyną. – Prowadź mnie do gospodyni.

– Skończyła? – zdziwiła się Kayla.

Jak na ten fars, to i tak za dobrze, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

– To studium plenerowe. Wszystkie niedoskonałości postrzegane są jako zaleta, a nie niedociąganie cie.

– A jeżeli odpowiednio zbajerujesz gospodyni ...

– Tak – przerwał. – Może wybaczyć uchybienia. Wiadę przedstawić ci jej.

Kayla się zawahała.

– Co? – spytał.

– Zastanawiam się, czy twoja szczerka jest zabójcza, czy rozbrajająca.

Rand uśmiechnął się do niej.

– Pomyśl nad tym, jak bóg z nią rozmawiał. – Sięgnął po plecak i wyjął aparat.

– Po co ci to? – zainteresowała się Kayla.

– Mam nadzieję, że sfotografuję Elenę Bertone, mecenasa sztuki w Arizonie.

– Ty naprawdę usiłujesz wydeptać sobie drogę na podium.

Randowi mignęło wspomnienie oczu umierającego Reeda.

– Byle do celu.

– Zabójcza.

– Co?

– Już wiem. Twoja szczerka jest zabójcza.

– Jak głód. W odróżnieniu od renesansowych Wioch w Ameryce nie ma mecenasów, którzy dbaliby o czysto artystyczną duszę. Zaszczurzone poddasza są przereklamowane.

– A może spróbowałby odciśnięcie sobie ucho? – spytała chłodno. – Van Goghowi to ułatwiło sprawę.

– Naprawdę myślisz, że wyglądam lepiej bez ucha? Jeśli tak, zastanowisz się nad tym.

Oparła ręce na biodrach.

– Wyglądasz się.

– Mówi poważnie.

– Chcesz powiedzieć, że odciśnięłby sobie ucho, gdybym ci kazała?

– Nie, powiedziałem, że się zastanowisz. A ty jak myślisz?

Kayla nie wiedziała, czy wznieść ręce do nieba, czy zacząć się śmiać. Spojrzała najpierw na lewe ucho Randa, później na prawe.

– Niech zostanie. Tworzę dosyć ładny par.

Przeniósł wzrok z jej oczu na usta, a później zmierzył ją po czubki palców u stóp.

– Ty też masz ładny par – oznajmił.

– Zachowujesz się skandalicznie.

– Prawi komplementy twoim oczom, a ty mówisz, że zachowuję się skandalicznie?

Otworzyła usta. Był pełen nadziei.

– Dobrze – odezwała się. – Zaprowadź ci do Eleny.

Rand wolałby zostać z Kayl, ale wtedy nie miałby szans dokończyć roboty. Odruchowo jeszcze raz sprawdził aparat, upewniając się, że karta pamięci jest sprawna, obiektyw czysty, a jego palce zdążyła od wyjścia USB.

– Gotowy do drogi – oznajmił, biorąc Kayl pod rękę.

Kayla spojrzała na Elenę, która za miewała się, pijąc szampana z kilkoma politykami. Później dostrzegła Bertone'a.

– Tylko nie kieruj aparatu na gospodarza.

– Do głowy mi to nie przyszło. Póki mi obiektyw.

– Mówi poważnie – powiedziała szybko. – Stajesz się nieobliczalny, kiedy ktoś chce mu zrobić zdjęcie. Nawet jeśli te czarne kłębki nie urwał głowy fotografowi.

Rand nie wątpił w to.

– Będzie uważał, żeby kierować obiektywem w inną stronę – zapewnił.

Dokładnie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

Kayla poprowadziła Randa przez gęsty tłum na patio do pięknie zaprojektowanej fontanny,

której okolica została dyskretnie wydzielona jako obszar dla VIP-ów. Rozejrzał się, oceniając wzrokiem tło.

Ostatnie promienie słońca igrały na trypoziomowym wodospadzie i na tacach z kieliszkami szampana. Elena Bertone wyglądała zachwycając co w ółtozielonej sukni, która przylegała do jej ciała niczym jedwabna pończocha. Gawdziła i miała się w kręgu muzyków i paru kobiet mających na tyle odwagi, aby mierzyć się z międzynarodowymi królowymi piątki.

Za Eleną, lekko odwrócony, stał Andre Bertone. Palcami grube, rącznie zwijane cygaro, słuchał łysiej cęgo faceta w garniturze, który mógł być prawnikiem albo współpracownikiem politycznym. Albo jedno i drugie.

Elena, urodzona aktorka, była doskonałą gospodynią przyjaciela. Ożywiona, tryskająca energią, potrafiła prowadzić trzy rozmowy jednocześnie i nadal w pełni kontrolowała to, co się dzieje poza jej kręgiem. Kiedy dostrzegła zbliżając się Kayla, dyskretnie odsunęła się od towarzystwa, z którym stała, i podeszła do swojej finansistki.

– O co chodzi? – spytała.

– Eleno, to jest Rand McCree, jeden z pani artystów. Chciałby namalować pani portret, który stanowiłby komplet z jego pejzażem. Rand, to jest pani Bertone.

– Miło mi – odezwał się Rand.

Chciałby, aby tak było.

Elena zlustrowała go od butów po linię włosów i spodobało jej się to, co zobaczyła. Posłała mu promienny uśmiech i podała rękę.

– Wiem, że jest pani bardzo wymagająca – powiedział, ujmując jej dłoń i ciskając oficjalnie. – Gdybym mógł zrobić tylko dwa zdjęcia, profil i portret, załadowałbym je do mojego komputera i malował z nich.

Elena zerknęła w stronę mężczyzny.

– Uprzedziłam Randa, że pan Bertone nie lubi być fotografowany – uspokoiła ją Kayla. – Będzie uważał, aby prywatność pani mężczyzny nie została naruszona.

Rand celowo odwrócił się bokiem do Bertone'a.

– Czy mogłaby pani poświęcić mi kilka chwil?

Elena powiodła wzrokiem po stojących dookoła gościach. Wszyscy byli zajęci, nikt nie wyglądał na zagubionego, a obsługa krążyła z niekoczym się strumieniem drogiego szampana i kanapek.

– Artyści nazywają ten moment dnia słodkim światłem – wyjął Rand. – Trwa tylko kilka chwil. Pani skóra lśni w nim jak bursztyń.

– Pochlebia mi pan.

– Aparat nie skłamie, pani Bertone. Pani naprawdę lśni. – Była to prawda, ale Rand wcale nie czuł się przez to lepiej.

Olej to. Zrobiłby rzeczy o wiele gorsze niż podlizywanie się onie mordercy, żeby dostać zabójcę Reeda w swoje ręce.

Kayla słuchała komplementów i miała ochotę rzucić się na Randa, chociaż mówił prawdę, a raczej chyba właśnie dlatego. W zachodzącym słońcu Elena rzeczywiście wyglądała jak bogini. Ale czy on musi po prostu wzrokiem? Jest artysta. Zapewne podziwiała piękność.

Elena dotknęła ramienia Randa, poczuła siłę i siłę uścisku.

– Kaylo, bądź tak dobra i uprzedź Andre, co się dzieje, żeby się nie denerwował. Nie chcę kolejnej sceny jak ta na wieszeczce.

Kayla chciała zauważyć, że Rand nie zdoła zrobić zdjęcia, jeśli obiekt będzie się o niego ocierał. Zamiast tego, odwróciła się gwałtownie i przeszła trzy metry dzieląc się od Bertone'a.

Rand z szybkością zawodowego fotografa na wszelki wypadek zrobił kilka próbnych zdjęć uroczej Eleny. Pozowała i wzdychała do aparatu jak modelka i aktorka, którą kiedyś była.

– Jest pani naturalna – stwierdził, ustawiając ostro i głębię. – Aparat pani kocha.

– Z wzajemnością.

Ale Rand nie miał zamiaru grywać, która pozwalała mu ujęć Bertone'a drugim obiektywem.

– Z tą twarzą i tymi cudownymi kocimi oczami mogłaby pani zarobić miliony – zauważył, operując sprawnie głównym obiektywem. – A teraz tylko jeszcze kilka z fontann w tle i światłem na pani twarzy.

– Czy ja naprawdę tego chcę? – mizdrzyła się Elena. – Kobiety po dwudziestce uciekają jak Andre, gdy fotograf chce ująć je w świetle słonecznym.

– Pani nie ma się czym martwić – uspokoił ją. – Proszę mi teraz pozwolić na kilka z tej strony.

Zmienił pozycję, ostro nie celując głównym obiektywem w Elenę i uzyskując idealne zbliżenie całej twarzy Andre Bertone'a w obiektywie wewnętrznym. Bertone przyglądał mu się bacznie, wyczekując chwili, kiedy aparat odwróci się w jego stronę.

Rand przez kilkanaście sekund trzymał aparat w górze, udając, że ustawia odległość, a w rzeczywistości zwalniając przycisk ukrytego obiektywu. Kiedy skończył, na karcie pamięci miał dwadzieścia fotek Andre Bertone'a.

– Wielkie dzięki za cierpliwość, pani Bertone – powiedział. – Postaram się w pełni oddać pani urodę, ale farby są mizernym substytutem skóry, która wygląda tak jak pani skóra.

miech Eleny był miękki i zmysłowy.

– Jest pan bezczelnym łotrem, prawda?

– I to jakim! – Rand pokazał zębami w uśmiechu. – Jak inaczej artysta mógłby wydać tysiąc dolarów za płótno i farby, które kosztują trzydzieści?

Zanim spojrzał w stronę Kayli i Bertone'a opuścił aparat, zamknął zewnętrzny obiektyw i skierował go do ziemi, jakby był lufą pistoletu. Wyczuł, że Bertone przygląda się każdemu jego ruchowi, dopóki aparat nie znalazł się z powrotem w plecaku. Dopiero wtedy Rand spojrzał na Kaylę.



Bertone ci głę mu się przyglądał. Przez chwilę obawiał się, że Bertone go rozpoznał. Ale wtedy Bertone lekko skinął głową i podjął przerwany rozmowę.

Rand pomachał Kayli w podziękowaniu i wrócił do swoich sztalug. Po drodze włożył sobie do ucha słuchawkę.

– Mam, dwadzieścia.

– Wygląda na to, że Elena prawie wskoczyła ci do łóżka, złotousty diable.

Rand podrapał koszulę nad główką mikrofonu, od czego Faroe'owi zadzwoniło w uszach.

## ***Rozdział 21***

***Castillo del Cielo***

***Sobota, 1845***

Kayla niechętnie podeszła do szerokiego, wyłożonego płytkami tarasu, który schodził do ogrodów, tworząc naturalną scenę. Z jednej strony ustawiono trzy płótna. Ich autorzy czekali na rozstrzygnięcie, kto dostanie wielki czek, a kto okruchy na otarcie łez.

Kayla nie patrzyła na Randa. Jego obraz bił na głowę dwa pozostałe i to zło cięło ją jeszcze bardziej.

Ale to wcale nie znaczy, że on wygra. Co ty wiesz o sztuce? Taras rozświetlały błyski lamp fotografów. Wzrost czeków zostanie uwieczniony na kolumnach towarzyskich lokalnych gazet i ilustrowanych magazynów dostarczanych w tym osobistościom w Phoenix. Kayla stanęła kilka kroków od brzołka sceny. Absurdalnie wielkie czek, które trzymała, przy każdym gwałtowniejszym podmuchu wiatru mogły pozbawić ją równowagi.

Elena ogłosiła wyniki konkursu.

Rand McCree zajął trzecie miejsce. Artysty z Arizony – pierwsze i drugie.

Elena nie była głupia. Dobrze rozumiała swój publiczny obraz i potrzebę schlebienia lokalnemu patriotyzmowi. Kayla nie wiedziała, czym jest zdegustowana bardziej – tym, że decyzje Eleny były podyktowane wyrachowaniem, tym, że Rand bezwstydnie wykorzystał pochlebstwa, aby coś zyskać, czy wreszcie wiadomo ci, że ona sama postępowania podobnie jak on razem, kiedy miała do czynienia z klientami, których nieszczególnie lubiła.

Nie jestem tak zła jak Rand czy Elena. Ani tak przebojowa. Na dany znak wsunęła dziwaczne czek pod ramię i chwyciła kieliszek szampana z tacy, aby wznieść toast za zwycięzców. Skoro nic innego nie działa, to alkohol zatrze ten gorzki smak na jej wargach. Wzięła kilka małych łyków i zdobyła się na to, by szczerze przyznać, że Rand ją pocięga i jest nim na tyle zdegustowana, że wolałaby, aby jej nie pocięgał. Zwykły fircyk, który wykorzystuje kobiety. Dobrze, że zajął trzecie miejsce.

Akurat! Chciałabym, aby patrzył na mnie tak, jak patrzy na Elenę.

Ciesz się. Masz dosyć problemów i bez potykania się o wielki stop tego przystojnego artysty. Dopięła szampana, odstawiła kieliszek na tacę i ze sztywnym słuchowem uśmiechem na ustach weszła w krąg światła.

Elena szybko wręczyła czek za trzecie i drugie miejsce, a później stanęła przy zdobywcy pierwszej nagrody.

– Wygląda na to, że miejscowe interesy wygrały z pochlebstwami – mruknęła Kayla do Randa.  
– Niech cię praktycznie stosowane nauki polityczne.

Rand zignorował szyderczy ton jej głosu.

– Gdzie chcesz iść na kolację ?

– Straciłam apetyt.

Cofając się, zahaczyła obcasem o jeden z kabli, które doprowadzały prąd dla fotografów. Rand kocim ruchem złapał ją i podtrzymał.

Niech to licha, jaki on szybki, pomyślała. I silny.

– A ja nie – powiedział.

– Co?

– Nie straciłem apetytu.

Spojrzała w jego szarozielone oczy i zaparło jej dech.

Pragnę jej.

– Kolacja nie jest konieczna – powiedział łagodnie.

Zanim zdążyła pomyśleć nad odpowiedzią, Elena odsunęła się od zwyczajnej i stanęła koło Randa. Bardzo blisko.

– Chcę zamówić większy i bardziej dopracowany widok Zamku Niebios – powiedziała ochryplym głosem. – Proszę, zostań. Kiedy zaczną się tańce, będziemy mogli porozmawiać.

– Pochlebia mi pani, pani Bertone – odparł.

– Elena, proszę mówić mi po imieniu. – Posłała mu promienny uśmiech.

– Elena. – Rand tęsknił do niej. – Chciałby zostać do końca przyjęcia.

Kayla zastanawiała się, czy tylko ona dostrzegła różnicę w spojrzeniu Randa, kiedy patrzył na gospoдинię. Rozkoszował się pięknem Eleny, ale nie pragnął jej.

Jest wybredny czy głupi? Bo na pewno nie jest lepy.

Ani głupi.

Starła się nie odbierać tego jako komplementu.

A jednak odbierała.

Elena cisnęła Randa za ramię i pomknęła do gościa.

– Co, do cholery, mam z tym zrobić? – spytał Kayl, pstrykając w ogromny czek pobrudzonym farbami palcem. – Wytapetować ścianę ?

– Zrealizuj go w poniedziałek we wskazanym banku.

– American Southwest? A gdzie to jest?

– Skorzystaj z planu miasta.

– Wolałbym skorzystać z ciebie.

Kayla wpatrywała się w niego. Mówił powaźnie. A przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

Jak stwierdzi, co jest prawdziwe, a co udawane w miejscu czy nie, który owiniął sobie wokół palca Elen Bertone zwykłym uśmiechem i kilkoma komplementami?

– Nie boisz się, że Elena zorientuje się, że jej nowy piesek salonowy szuka sobie innych kolan?  
– spytała Kayla, zirytowana i zaciekawiona jednocześnie.

– Pieski salonowe też mają zby. – Rand ukazał jej dwa rzędy swoich. – Ja po prostu wiem, kiedy ugryźć, a kiedy merdać ogonem.

– Merdanie ogonem bardziej się opłaca. Ale słowa niejsze rzeczy nie pieniądże.

– Łatwo powiedzie, jak się jest bankowcem – odparł. – Nie masz pojęcia, co to zasiłek. – A ja jestem kretynem, że się przejmuję, co ona sobie o mnie pomyśli. Nie chodzi o podmioty. Chodzi o Reeda.

Kayla spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. Chwyliła torebkę, którą położyła wcześniej na stole przy scenie.

– Do zobaczenia.

– A co z kolacją?

– Smacznego. Jestem zajęta.

Odeszła, nie oglądając się za siebie.

Rand, nachmurzony, zarzucił plecak na ramię, wsunął do ucha słuchawkę i usłyszał śmiech Faroe'a.

– Spokojnie – wyszeptał Joe. – One pogrywają tak, jak się facetem zainteresowane.

– Pieprz się!

– Jimmy wpadnie na ciebie w samochodzie. Dosłownie. Przekładam kartę pamięci.

– Kiedy?

– Za pięć minut.

– Mam tu zostać.

– Wić podaj jej i wróć. Chcę, żeby karta znalazła się poza posiadłość jak najszybciej. Gdzie Bertone?

– Zniknął, kiedy pojawili się fotografowie.

– Bądź czujny. Nie wiem, czy ci nie leży.

Rand tego nie wiedział. Rozejrzał się za Bertone'em i w końcu dostrzegł go, palącego cygaro, w sporej odległości od terenu, na który mieli wstęp fotografowie.

ledził wzrokiem Kayle, która opuszczała przyjacielkę i zmierzała w stronę odosobnionego tyłu posiadłości. Kiedy zniknęła, spojrzał w górę na piętro Zamku Niebios. O barierkę balkonu opierał się chudy mężczyzna, który obserwował przyjaciółkę. A właśnie ciwie Bertone'a.

Rand zauważył go już wcześniej i domyślił się, że to jeden z ochroniarzy, którzy cały czas krążyli dookoła. Bertone zaciągnął się mocno cygarem, a mężczyzna nabrał koloru znaku stop. Raz. Drugi. Trzeci. Czwarty. Po chwili rzucił je i zgniótł obcasem. Chudy mężczyzna natychmiast zniknął w domu. Pojawił się kilka chwil później na tyłach posiadłości i udał w tym samym kierunku, co wcześniej Kayla. W lewej ręce trzymał flanelowy worek. Bertone zapalił kolejne cygaro i wrócił na przyjaciółkę.

Rand zerknął na zegarek. Siódma.

Ani Elena, ani Bertone nie wybierali się do ogrodu na rozmowę z ich prywatnym finansistką. Tylko chudy mężczyzna.

– Houston – szepnął Rand w kołnierz. – Mamy problem.

## *Rozdział 22*

*Castillo del Cielo*

*Sobota, 19.00*

Kayla szła o wietlon cie k , marz c, eby jej buty połyskiwały przy ka dym ruchu, nie były ciemne i proste jak na pracownic banku przystało. Nie było to jedyne marzenie. Dobijało j , e cały jej strój wygl dał jak grzeczny i adekwatny strój słu bowy. Zupełnie nie pasował do jej wn trza. Wewn trz była roztrz siona, zirytowana, niespokojna jak dziki mustang.

Wolno . Czuję j . Ale ju jej nie miała. Doro nij, upomniała si niecierpliwie. Dorosłam. Nie podoba mi si to.

Praca dla Bertone'a i Eleny była zbyt wysok cen za dorosło . Gdzie jest mój plecak, kiedy go naprawd potrzebuj ? cie ka ko czyła si si gaj c głowy drewnian bram przy cianie gara u na siedem samochodów. Kiedy si zbli ała, zapaliło si wiatło czujnika ruchu, umieszczone w rogu gara u. Z ukrytych gło ników s czyła si muzyka z przyj cia.

Mury ogrodu były poro ni te kwitn c winoro l , której p dy miały niemal tak grubo jak jej nadgarstki. Kłódka w furtce była otwarta i wisiała krzywo. Zasuwa z kutego elaza odsun ła si gładko, niemal bezgło nie. Kayla zawahała si , po czym weszła do ogrodu, który był dla Bertone'ów kryjówk przed wiatem.

Ona jednak miała wra enie, e to ozdobiona kwiatami pułapka. Furtka zamkn ła si z odgłosem metalu ocieraj cego si o metal. Kayla podskoczyła, słysz c ten d wi k. Pchn ła furtk , eby sprawdzi , czy kłódka jakim cudem nie zatrasn ła si , odcinaj c jej drog wyj cia. Furtka otworzyła si natychmiast.

Kayla odetchn ła z ulg i odwróciła si w stron ogrodu. Był naprawd pi kny. Ró e i gardenie, kwitn ca winoro l i palmy zgrabne niczym tancerze, ci ki zapach i n c ca cisza. cie ki były obsadzone czujnikami ruchu, wi c co kilka kroków roz wietlał si przed ni widok artystycznie skomponowanych ro lin. W gł bi łagodnie szemrała fontanna, zagłuszaj c muzyk płyn c z niewidocznych gło ników.

Szmer fontanny ukoił jej nerwy. Ludzie pustyni doskonale wiedz , co znaczy pragn kryształowej obietnicy wody.

wiatła za ni zgasty, przyprawiaj c j o niepokój. Miała ochot biega po całym ogrodzie, eby uruchomi wszystkie pod wietlenia dookoła. Albo po prostu wybiec za bram do swojego samochodu. Zwalczyła ten impuls, tłumacz c sobie, e boi si własnego cienia. Przecie z innymi klientami banku spotykała si w parkach publicznych, w prywatnych domach, za obstawionymi drzwiami, w krytych szatniach na imprezach sportowych, na parkingach po godzinach i w restauracjach, kiedy zwykli go cie dawno zd yli wróci do domu. Nie powinna denerwowa si spotkaniem z Bertone^mi w ich ogrodzie, zwłaszcza e kilkadziesi t metrów dalej trwa przyj cie. W razie czego zawsze mo e krzycze .

Miała tylko nadzieję, że Bertone nie jest oszustem. Przecież nie był jedynym bezwzględnym człowiekiem w świecie prywatnej bankowości. Tyle że akurat on był jej klientem.

Uspokój się, upomniawszy się ostro. Nawet salonowy piesek ma zbyć. Widziała je kilka minut wcześniej, kiedy Rand obserwował oddalającego się Andre Bertone'a. Pobrzmiwały jej w głowie słowa Randa: „Nie masz pojęcia, co to zasiłek”. Marna pociecha w obecnej sytuacji. Nie są to słowa pieska salonowego łaszcego się do stóp.

Kayla ogarnęła lęk. Nie potrafiła po prostu stać i czekać, a Bertone'owie przecisnęli się przez tłum gości do ogrodu. Nerwowo przechadzała się po płytkach, zapalając łagodne wiatła, które gasły tuż za nią, zmieniając się w pachnącą ciemność.

Zaniepokojony jej obecnością strzyżek odezwał się z głośno porożni tego winorośli muru ogrodowego. Po kilku chwilach ptak popadł w irytujący bezgłos.

Kayla spojrzała na zegarek. Siedem po siódmej.

Miliardy gwiazd migotały jej nad głową w nastrojowej łunie wiatel miasta. Zastanawiała się, czy dla zabicia czasu nie zaczął ich liczyć.

Do cholery z, tym. Nie bój się tu czekać jak jakiś kozioł ofiarny wystawiony dla przyjemności tygrysa, pomyślała. Odwróciła się w stronę drewnianej furki, a wtedy wiatła zgasły. Odgłos zatrząskujących się na bramie kłódki zabrzmiał niczym wystrzał. Cisza.

A potem delikatny jak zawiasów, kiedy otwierały się ukryte drzwi do ogrodu. Strzyżek zaskrzeczał i poszybował w noc z takim samym prędkością, z jaką waliło oszalałe serce Kayli.

Zza winorośli wyłoniła się jakaś postać. Mężczyzna był za chudy na Andre Bertone'a. Zatrząsnął za sobą furkę i stał bez ruchu, dając oczom czas, żeby oswoiły się z nikłym wiatłem.

Kayla ukryła się w ciemnej altanie. Miała nadzieję, że mężczyzna zawoła ją po imieniu i powie, że Bertone'owie postanowili przesunąć spotkanie.

Ale on się nie odezwał. Zaczęła sunąć przez ogród, rozchylając najwyższe krzaki. Szukała go, pomyślała. Otworzyła usta, żeby zawołać o pomoc, ale w tym momencie w ogród niczym piorun uderzyła rockowa muzyka z przyciętą. Ktoś podkręcił głośniki tak, że muzyka niemal sprawiała ból.

Jeśli zacznie krzyczeć, usłyszy ją jedynie facet, który jej szuka.

Powoli wsunęła rękę do torebki i wyjęła scyzoryk, którego używała do otwierania kopert i podważania zszywek. Nie był najlepszą bronią, ale skuteczniejszą niż paznokcie czy zbyć.

Tak przynajmniej miała nadzieję.

## ***Rozdział 23***

***Castillo del Cielo***

***Sobota, 19.07***

Rand zaczął biec, gdy tylko spostrzegł, że światła przy garażu zgasły.

– Gdzie Jimmy? – spytał. – światła zgasły.

– Podjedź do garażu. Wyprowadza terenówkę z tyłu. Jest w mundurze, więc nie... Co to, do cholery?

– Muzyka.

– Huczy jak stara lokomotywa.

– Trzeba przekrzykiwać – powiedział głośnym głosem Rand. Przeskoczył kilka krzaków, żeby skrócić sobie krótką drogę.

– Niedobrze.

– Przyjedź natychmiast! – rzucił Rand.

– Limuzyny zastawiają drogę.

– Olej to i zrób sobie własną – prychnął Rand. – Mur jest pod naszymi nogami?

Chwila przerwy, kiedy Faroe i czył się z Hanimem.

– Bez problemu.

– Dzięki ci. Boże.

– Nie ma za co.

Rand wpadł na furtkę, chwycił ją w górę i przeskoczył. Plecak zahaczył o winorośl i Rand stracił równowagę. Wylądował z hukiem, dźwignął się na kolana i wstał.

– Mów do mnie.

Rand nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, gdzie jest jego wróg, ale był pewien, że jest i czeka w ciemności.

– Za dwie minuty masz wsparcie.

Kiedy Rand dostrzegł chudego postać na tle cianych pastelowych kwiatów, wiedział, że Kayla nie ma dwóch minut. Zrzucił plecak, sięgnął do niego i wyjął składany nóż. Otworzył go jednym ruchem kciuka. W drugiej ręce trzymał dwie latarki.



– Jeden duch – mruknął. – Idź.

– Poczekaj na wsparcie.

Rand nie poczekał.

– Kayla, nie wychodź! – krzyknął.

Usłyszała Randa, ale go nie widziała. Widziała tylko chudego mężczyznę, który zbliżył się do niej. Chciała uciekać, lecz utknęła w rogu. Cisnęła w dłoń swój mały szczyryk. Była nadzieją, że mogła zaatakować mężczyznę tylko raz. Nie wolno jej chybić.

Rozbłysło światło, ukazując twarz mężczyzny. Skrzywił się i zakrył oczy. Miał czarne skórzane rękawiczki. W jego dłoni połyskiwał metal.

Nóż, nie pistolet.

Kayla nie czekała na drugi szansę. Wyskoczyła z ukrycia i pognęła tam, skąd dobiegał głos Randa.

Rand zgasił latarkę i ruszył cicho, gnany instynktem myśliwego.

Chudy mężczyzna ugiął kolana, szykując się do walki na noże. Rand szedł nieprzerwanie. Mężczyzna dostrzegł błysk metalu w jego dłoni i oceniwszy długość brzojki przeciwnika, odwrócił się i uciekł. Rand pobiegł za nim. Nie zdołał go dogonić, bo chudzielec wspinał się po winorośl, przeskoczył przez mur i zniknął. Rand nie chciał zostawiać Kayli samej. Bertone niewątpliwie ma na niego plan, więc nie może pozwolić na zabójstwo.

Przerzucił w powietrze głosy umilkły.

– Jimmy załatwił głosy – powiedział Faroe. – Co u ciebie?

– Duch za murem, zachodnia strona ogrodu. Czy Jimmy może go dorwać?

– Jest na wschodzie, ale spróbuje. Jak Kayla?

Rand włączył latarkę i zmierzył światłem Kaylę. Biała, lekko drżąc, zdyszana.

– Nie krwawi. – Uderzył się lekko. – Ładny nóż, skarbie. W sumie raz, żeby sobie poradzić. Już możesz go schować.

Kayla spojrzała na nóż w jego ręce.

Złoczył go płynnym ruchem i schował do kieszeni.

– Widzisz? Zupełnie nieszkodliwy.

Kayla złoczyła swój nóż.

I czekała.

– Jimmy mówi, że duch się rozpuścił – rozległ się w słuchawce głos Faroe'a.

– Pewnie pobiegł do domu, do tatusia – powiedział Rand.

Kayla chciała się odezwać, ale zorientowała się, że Rand nie rozmawia z nią, więc milczała.

– Tatusia? – spytał Faroe.

– Jest od Bertone'a. Widziałem, jak go wysyłał za Kayl .

– Co za urocza gromadka!

Wiatła w ogrodzie znów się zapaliły.

– Tu Hamm – rozległ się głos. – Wchodź .

Kayla skrzywiła się i otworzyła usta .

– Spokojnie – powiedział Rand, chwytając ją za nadgarstek. – Hamm jest po stronie aniołów.

– Pracuje dla Bertone'a! – zawołała i odskoczyła gwałtownie do tyłu, usiłując uwolnić nadgarstek.

Rand jej nie puścił, więc zamarła, czekając na sposobną ucieczkę. Znowu.

## ***Rozdział 24***

***Castillo del Cielo***

***Sobota, 19.09***

– Powoli – uprzedził Hamma Rand. – Kayla jest jeszcze zdenerwowana. Myśli, że jesteście z tych złych. Ale nie popadaj w rozpacz z tego powodu. Mnie też nie wierzy, a właśnie uratowałem jej życie.  
– Spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko. – Możesz mi podziękować. Naprawdę nie zemdleję.

Kayla zerknęła na niego z ukosa, dając mu do zrozumienia, że wcale nie jest zabawny.

– Jesteśmy po tej samej stronie – powiedział Rand. – Jakiego dowodu jeszcze potrzebujesz?

Spojrzała na jego dłonie zaciśnięte wokół jej nadgarstka.

– Nie ufam nikomu z was. Nie jestem pewna, czy w ogóle komukolwiek ufam.

– W końcu zrozumiała – skwitował Rand. – Trochę póno, ale cóż, lepiej póno niż wcale, prawda?

Jego wzrok był równie srogi jak głos i tak samo pełen goryczy jak jego słowa. W jednej chwili jej przerażenie zmieniło się w złość.

– Skąd wiesz, że chuderlak nie był nasłany na ciebie? – odparowała. – Nie odezwał się słowem, nie zawołał mnie ani nic. Cholera, może po prostu wciągnął kwiatki!

– Z dwudziestocentymetrowym nożem w garści? – Rand prychnął zdegustowany. – Cofam to, co powiedziałem o twoim zrozumieniu.

Nadbiegł Hamm, pod wietlany przyświecając kroku.

– Wszystko w porządku, mała? – spytał Kayla.

– Nie jestem dzieckiem – wycedziła przez zęby.

– Adrenalina – powiedział Rand do Hamma. – Nigdy nie wiadomo, jak podziała na człowieka. W tej chwili Kayla daje upust wewnętrżnej wściekłości.

– Przestań pieprzyć i zabierz ją wreszcie z tej pułapki w ogrodzie – wtrącił się zniecierpliwiony Faroe.

To samo musiał powiedzieć Hammowi, bo strażnik dotknął ucha i spojrzał surowo na Randa.

– Szefka nie rusza. Ona nie jest tu bezpieczna.

Kayla przeniosła wzrok z Randa na Hamma. On wprawdzie nie miał iPod'a, ale najwyraźniej rozmawiali z tym samym osobnikiem. Z szefem, kimkolwiek był.

– miertelnie się bała, że to Bertone. Chodźmy – powiedział Rand.

– Ani z tobą, ani z nim nigdzie nie idź – odparła. – Bo z tego, co wiem, gadacie z Bertone’em.

Rand wyjął swoją słuchawkę i wcisnął Kayli do ucha.

– Przywitaj się, Joe. Ona myśli, że jesteście Bertone’em.

– Powiniennem być ci zostawić, żeby malował kwiatki na deszczu – warknął Faroe. – Zabieraj stamtąd tyłek, natychmiast.

Kayla zamrugnęła.

– Nie jest fircykiem.

– To nasz Joe – wyjął Rand, zabierając jej słuchawkę.

– Palisz za sobą mosty, McCree – warknął Faroe. – Jeśli ona jest podstawiona przez Bertone’a, zabij cię własnoręcznie.

– Och tak, wintusz mi na ucho, wiesz, że to mnie bierze – zakpił Rand, po czym zwrócił się do Kayli. Widziałaś wczepienie tego chudzielca?

– Nie.

– Rozpoznałabyś go na fotce policyjnej?

– Jesteś gliniarzem? – spytała przerażona.

– Nie. Rozpoznałabyś?

– To ty podświetliłaś go latarką – powiedziała.

– Miałem zamknąć te oczy, żeby nie odwyknęły od ciemności.

– Tak, poznałabym. – Zadrżała i przestała się siłować, żeby uwolnić się z uścisku Randa. – Wydaje mi się, że coś upuścił, zanim wspiął się na mur.

– Niósł jakiś worek, kiedy szedł do ogrodu – wyjął Rand. – Nie miał go, gdy przeskakiwał przez mur.

Hamm włączył latarkę i oświetlił dół zachodniej ciany. Smuga światła trafiła na bezkształtny ciemny plam.

– Weź to – polecił mu Rand. – Jak wyglądał ten facet? – spytał Kayla.

– Był ciemny, chyba Metys odparła. Niewiele wyszyi ode mnie i bardzo chudy, ale twardy, jakby dorobił się tyłu miśnię, ile tylko mógł. Nigdy wczepienie go nie widziałam.

– Bertone widział. On go na ciebie nasłał.

– Nie miał powodu – powiedziała Kayla z goryczą. – To on jest szantażystą, nie ja.

Podszedł do nich Hamm.

– Spodoba ci się to – oznajmił, podając Randowi worek.

– Co to?

– Podręczny zestaw porywacza – wyjął Hamm. Spojrzał na Kayl i pokręcił głową. – Miała szczęście, dziecko.

– Zabierzcie ją stamtąd natychmiast – warknął Faroe. – Dla Bertone'a pracuje mnóstwo zbirów.

Rand spojrzął na swój ręk na nadgarstku Kayli.

Uciekniesz, jak ci wypuszczę, *ma petite?*

– Idź do diabła.

– Już tam byłem. Nie ma po co wracać.

Kayla przygłodała mu się przez chwilę. Nie miał w sobie nic, od czego cinałaby jej się w łach, krew, jak przy Bertonie. I był gotowy i porządnie zdolny do tego, by jej bronić.

Przecież chciała trzeciego wyjścia, przypominała sobie z gorzkością. Wygląda na to, że jest nim Rand.

Ja to mam szczęście!

– Nie ucieknę – obiecała. Na razie, dodała w myślach.

– No to spadajmy stąd.

Rand puścił jej ręk i ruszył szybkim krokiem w stronę drewnianej furtki. Idąc, grzebał w worku. Po chwili wyjął z niego naładowany pistolet z przykręconym tłumikiem.

– Załóż się, że to nówka – powiedział. – Dzięki, Bertone. Zrobię z twojego prezentu dobry użytek.

Wsunął pistolet za pasek na plecach, tu przy oklejonym miejscu, które go swądziło.

– To był tłumik? – spytała Kayla.

– Owszem. Chudzielec to niezły gość. Przyszedł na imprezę przygotowany. Ta ma izolacyjną, kajdanki, czarny płócienny wór.

– Chciał cię porwać – stwierdził Hamm. – Wsadzi cię do worka i wywiezie.

– Skąd wiesz? – dopytywała się Kayla.

– Gdyby chciał cię zabić – wyjął Rand, dotykając pistoletu na plecach – byłabyś martwa. Profesjonalna broń zawsze wygra z amatorskim nożem.

Wpatrywała się w niego, kiedy otwierał jej furtkę, po czym wolno pokręcił głową.

– To jakiś absurd. Przemierzałam z plecakiem rejony partyzantów, handlarzy narkotyków i pytonów i ani razu nie znalazłam się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Teraz pracuję w banku i jestem... Głos jej się załamał.

Rand rzucił worek Hammowi.

– Daj go ludziom z laboratorium. Nie znajdą odcisków, bo miał rękawiczki, ale może uda się po numerach.

– Załatwione.

– Joe – odezwał się Rand do kołnierza. – Albo z nim zostaniesz, albo ja przywiozę. Co wybierasz?

– Przywieź mnie. Ale jak nas wykiwa...

– Tak, wiem, zrobisz mi z tyłka gara. Nie zapominaj tylko, kto mnie przekabacił, żeby wrócił.

– Jak dorwę tego bydlaka, to go zabij.

Rand roześmiał się, ku własnemu zaskoczeniu.

– Wczoraj bym ci pomógł.

– A dzisiaj?

Rand zorientował się, że patrzy na Kayla.

– Dzisiaj nie.

Te same palce, które poradziły sobie ze śmiercionośnej broni, uniosły delikatnie jej podbródek, żeby na niego spojrzała.

– Tutaj nie mogą ci nic wyjawić. Nie ma czasu ani miejsca, żeby się ukryć. Zabiorę cię tam, gdzie będzie cię bezpieczniej.

Wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Obiecuję, że ci nie okłamam – zapewnił. – Pytaj, o co tylko chcesz. Jeśli nie będziesz mógł odpowiedzieć, wyjawiam ci, dlaczego. W zamian ty będziesz szczera wobec mnie. Zgoda?

Milczała jeszcze chwilę.

– Jesteś artystką? – spytała w końcu. – Nie wymyśliłabym sobie tego?

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Widziałam, jak malowałeś. Masz mój obraz.

– Nie wierzę w to, co widziałam. – Spojrzała na niego znowu, starając się wyczytać coś z jego oczu. – Dla kogo pracujesz?

– Dla St. Kilda Consulting.

– Ja pierdolę – zaklął Hamm, kręcąc głowę. – Dostaniesz w dupę, i to porządnie. Faroe wyjdzie ze słuchawek i założy ci stryczek na szyję.

Rand bez słowa wyjął z plecaka aparat i podał Hammowi.

- Nie zgub – ostrzegł.
- Nie zgubi .
- Co jeszcze? – spytał Rand Kayl .
- Musz wróci na moje ranczo po kilka rzeczy – odparła. – Pozwolisz mi?
- Je eli pojad z tob .
- Cholera! Przywie j od razu do motelu – wtr cił Faroe.
- To b dzie niebezpieczne – powiedział Rand do Kayli. – Ranczo jest drugim miejscem, gdzie b d ci szuka .
- A pierwsze? – zapytała.
- Mieszkanie, które wynaj ła i do którego jeszcze nie zd yła si wprowadzi .
- Kayla w milczeniu przełkn ła fakt, e wiedział o niej znacznie wi cej, ni powinien.
- Pospiesz si . Pojedziemy boczn drog .
- Nawet nie... – zacz ł Faroe.
- Zamknij si , Joe – uci ł Rand. – To nie takie znów ryzyko.
- Cholera...
- Troch potrwa, zanim Bertone zmieni piany. Poza tym chybaby nie chciał, eby jej małe dzieci głodowały, prawda?
- Jej co?!
- Rand nie odpowiedział.

## *Rozdział 25*

*Castillo del Cielo*

*Sobota, 19.25*

Niewielu ludzi było w stanie wzbudzić niepokój w Gabrielu Navarze, ale Andre Bertone potrafił. Gabriel miał się na baczno do niego nie tylko z powodu potężnej postury Bertone'a i jego bogactwa. Jako zabójca zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z zabójcą lepszym od siebie.

A właśnie nie go rozwołał cieczył.

Hiena Hieny w niczym nie pomagał.

– Ojej! Opowiedz no jeszcze raz, jak szara myszka z banku wykiwała jednego z najlepszych...

– Do... – Bertone przystopował rozbawienie Hieny. – Kto przyszedł na pomoc Kayli?

Gabriel wzruszył ramionami, zgasił papierosa w kryształowej popielniczce i założył rękę na nogę, spojrzał na Bertone'a.

– Wysoki kole... Dobrze się ruszał. Jak wojownik.

Hiena zachichotała.

– W Pleasure Valley mamy wielu wojowników – zakpiła.

– Jak wyglądał? – spytał Bertone.

– Mówiłem już... Wysoki.

– Meksykanin, biały, czarny, Metys? – pytał niecierpliwie Bertone. – Młody, stary?

– Już mówiłem. O lepił mnie latarkę... Widziałem tylko wielki nóg... Ruszał się, jakby umiał się nim posługiwać... Nie kazałem zabijać, to posłuchałem.

Bertone powiedział coś po rosyjsku i zapalił cygaro. Hiena westchnęła i otworzyła drzwi balkonowe, żeby wywietrzyć dym. Przy każdym kroku jej sandały połyskiwały bogactwem. Gabriel obserwował ją ukradkiem. Gdyby należała do kogokolwiek innego, starałby się ją poznać. Ale należała do Bertone'a.

– Jesteś pewien, że zawołał Kayl po imieniu? – spytał Bertone.

– Tak.

– Znajdź ją.

Gabriel wstał.

– Żywy czy martwy?



Bertone zmrużył oczy. Uruchomił inteligencję i intuicję, dzięki którym z nizin społecznych mroźnej Syberii dostał się do Pleasure Valley w Arizonie. W tej chwili Kayla wiedziała więcej o tym, kto ją uratował, niż on.

A wiedza jest bronią.

– Tyw – zdecydował.

Zawsze zdaję zabić.

## ***Rozdział 26***

***Okolice Phoenix***

***Sobota, 20.04***

– Zwolnij – powiedziała Kayla.

Rand zerknął na nią. Odkładając się do samochodu i wytłumaczyła mu, jak jechać do Suchej Doliny, nie odezwała się.

– Wydawało mi się, że pisz.

– Myślałam. – Próbowałam się pogodzić z tym, co niemożliwe, dodała w duchu. Bezskutecznie. Spróbowałam ponownie. I znowu bez skutku. – Kawatek dalej jest głębią równą, wyschnięte koryta rzeki, które się wypełniają w czasie monsunów. Jeśli nie zwolnisz, to...

Do niego uderzył zawieszonym o niewielki skarp i spadł do koryta, o którym mówiła.

Kayla chwyciła się rączki nad głową i jęknęła, a potem znowu, kiedy samochód uderzył w skarp z drugiej strony. Przez chwilę, zanim auto znów dotknęło ziemi, czuła się jak w stanie nieważkości.

– A propos wybojów – wycodziła przez zęby. – Jest jeszcze kilka. Skoro mnie nie słuchasz, to jaki sens walczyć mnie ze sobą?

Rand zwolnił i uśmiechnął się lekko.

– Nadal dajesz upust w ciękło ci?

– Słuchaj, maczo. Przedstawienie „ty-Tarzan, ja-Jane” wcale nie podoba mi się bardziej niż liście stopy piesek salonowy. Połapałam się w ogrodzie, że piesek salonowy to tylko zagrywka.

– A Tarzan?

– Do tego jeszcze wróć.

– Kiedy?

– Cholera, kiedy będzie gotowa.

Znów spojrzął na nią z ukosa. Była spłonięta, jedną ręką ciskała uchwyt nad głową, a drugą opierała o pulpit.

– Jeszcze się boisz? – spytał łagodnie.

Jej wargi zacisnęły się w wąską linię. Wpatrywała się w ciemno przecinaną wiatłami samochodu.

– Nie lubi kajdanek. Przeraziły mnie bardziej niż tłumik na pistolecie.

– Wolisz pojedynczy strzał niż wiązki? To tak jak ja.

Westchnęła.

– Słuchaj, Tarzanie. Młoda kobieta wie, że ma prawo żyć sama.

– Młoda kobieta to wie. A głupia tak czy siak da się zakuć w kajdanki.

– Na imię mi Rand – powiedział cierpliwie. – Może esz mówić do mnie McCree, jeżeli Rand wydaje ci się zbyt poufały. Chyba że chcesz zostać Jane?

Prawie się uśmiechnęła.

– Dobra, McCree.

– A co do praw, Bertone ma prawo do kadełko na tym wiecie.

– Wić naprawdę go znasz – stwierdziła.

Strzały przesywałyce helikopter.

Zakrwawiony, jęczył Reed.

Umierający.

– Dopiero dziś stanęłam z nim twarzą w twarz, ale owszem, wiem o nim niemało.

– O mnie też.

– Też – przyznał Rand. – Jeżeli chcesz, możesz przeczytać informacje o mnie.

Zamrugnęła.

– A czy dowiem się z nich, dlaczego chciała poderwać gardło Bertone'owi?

– Wolę się chwalić umiejętnościami. Nie miałem zamiaru się wydawać.

– Ale się wydałaś, kiedy Bertone odwrócił się do ciebie tyłem.

W samochodzie zapadła cisza.

Kayla czekała.

– Znam Bertone'a na tyle dobrze, żeby chcieć jego śmierci – powiedział. – Ale jestem jednym z około miliona potencjalnych zabójców.

– Dlaczego? Bo jest bogaty?

– Bo jest diablem.

Wzięła głęboki oddech.

– Interesuję Cię określenie.

– Jest dwudziesty pierwszy wiek – oznajmił spokojnie Rand, przejeżdżając przez kolejny głębię równiny. – Lepiej mówić o diabłach niż o nieszczytnym dziecinistwie, bo tego doświadczyło wielu ludzi, a jednak nie stali się mordercami. Sybirak zaczynał marnie, ale tak zaczynał miliony osób. I niekończąc jak on.

– Sybirak? Bertone jest Rosjaninem?

Rand skinął głową.

– To już rozumiem – powiedziała.

– Co rozumiesz? Jeden kraj nie jest siedliskiem zła. Z Bertone'em mogłoby się mierzyć mnóstwo oprychów wychowanych w Ameryce.

– Już rozumiem, skąd ma taki akcent. Jego angielski jest doskonały, jeżeli chodzi o gramatykę, i prawie bez akcentu, a jednak jest w nim pewna twardość, którą mają tylko słowiańskie języki.

– Z informacji o tobie nie wynikało, że jesteś lingwistką – zaartował Rand.

– Dużo podróżowałam, zaraz po studiach, gdy zmarli moi rodzice.

– Podobało ci się? – spytał, bo ta część jej życiorysu była dla niego białą plamą, pominiętą w paszporcie, dokumentującą wyjazd i powrót.

– Czy mi się podobało? Ja to uwielbiałam. Dotarłam na każdy kontynent poza Antarktydę. Szukałam takiej pracy, która pozwoliłaby mi zbawić świat. Ale okazało się, że świat wcale nie chce być zbawiony.

Rand rozchylił wargi w uśmiechu.

– Fakt – przyznał.

– Później ulubionym celem wszystkich ataków stali się gringo – podsumowała z gorącością. – W końcu odwiesiłam plecak i znalazłam pracę blisko domu.

– Sprytnie. Twoje doświadczenie ułatwia sprawę.

– Jak sprawę?

– Nie cierpię strzeżenia języka na wyjaśnianie mi międzynarodowych brewerii komuś, kto nigdy nie wychylił nosa poza Kansas.

Rand skrzywił się w prawo na polnym skrzyżowaniu.

– Czy w moich aktach są kolibry? – spytała po chwili Kayla. – Moje dzieci, jak je nazwałam.

Rozejmiał się.

– St. Kilda ma rację bytu dzięki temu, że jest dociekliwa. Tego rodzaju szczegóły pozwalają ustalić, gdzie kto się pojawi najprędzej. Pomagaj namierzyć cel. Kochasz te latające ebraki, a to znaczy, że bieżące się pojawia, żeby je nakarmić, przynajmniej do końca miesiąca, kiedy zajmujesz ranczo.

– Okażę innej porze roku pozwoliłabym tym latającym cudakom zapytać kaktusy, ale jest

pora migracji. Licz na to, że pomogę im dotrzeć do Montany. Jedna z moich siadek też kocha te ptaki. Zgodziła się je dokarmiać od przyszłego tygodnia. Do tego czasu są na mojej głowie.

Rand nie mógł powstrzymać rosnącej sympatii do Kayli, która troszczyła się o co, co z pewnościami przyniesie jej zysku.

– Jakiego masz gatunku?

– Och, w tej chwili wszystkie, widłogonki, kalifornijskie i arogłowe, a nawet kilka rudaczków.

– Rudaczki nie lecą do Montany. Spędzają lato na północy Seattle. Za kilka dni zaczną się pojawiać u moich drzwi.

– Karmisz kolibry? – spytała.

– Nawet je maluję. W każdym razie próbuję. Są bardzo szybkie i płochliwe.

Kayla wiedziała, że to szaleństwo, ale zaczęła bardziej ufać Randowi, bo dzielił z nią miłość do tych latających okruchów życia. Wtedy wyłczył wiatła, a jej odjęło mowę. Przedwcześnie nie mu zaufała.

## ***Rozdział 27***

***Sucha Dolina***

***Sobota, 20.08***

– Co robisz? – spytała Kayla z napięciem w głosie.

– Przechodzę na tryb szpiegowski.

Rzuciła mu niedowierzające spojrzenie.

– Do rancza jeszcze sporo kilometrów.

– Wiatła na pustyni widać z bardzo daleka. A ja wolałbym zobaczyć kogoś, zanim ten ktoś zobaczy mnie.

Oddechnąła nerwowo. Po kilku chwilach przyzwyczała się do jazdy w ciemności. Przyszło jej to o tyle łatwiej, że noc nie była całkiem ciemna. Kiedy jej wzrok oswoił się z ciemnością, wiatła gwiazd wydało jej się zdumiewająco jasne. Piaszczysta droga wyglądała niczym biała wstęga wijąca się między ciemniejszymi rowami na pustyni Sonora.

Im dłużej jechali bez wiatła, tym więcej widziała. Kształty krajobrazu rysowały się wyraźniej, a subtelne różnice między skałami, rowami a cieniem stały się dostrzegalne.

– Kiedy jeździłam nocą – odezwała się w końcu. – Uwielbiałam to. Wtedy nikt nie usiłował mnie porwać. Ale teraz wszystko widzisz jeszcze wyraźniej.

– Zdziwiasz się, jak odrobina strachu potrafi wyostrzyć zmysły. Wtedy w ogrodzie podbiegła prosto do mnie, jak kot.

– Nie myślałam o tym w ten sposób. Za bardzo wczułam się w rolę przestraszonej kretynki.

– Nie byłaś kretynką – powiedział. – Miałaś noż i byłaś gotowa się bronić bez względu na to, jakie miała szanse. Nie można zrobić nic więcej.

Milczała chwilę, wreszcie westchnęła przeciągle.

– Dzięki, Rand. Potrzebowałam tego. Czułam się cholernie bezradna.

Przypomniał sobie, jak trzymał Reeda i patrzył, jak ucieka z niego życie.

– Ja też to przeszedłem. Bezradność i krzyk w rodku.

– Dzięki na bezradnego nie wyglądałem.

– Inne czasy, inne miejsce. Kolejny czas, kolejne miejsce... – Wzruszył ramionami. – Kto wie?

Z jego twarzy wyczytała to samo, co z głosu. Jednakże słowo mówił powoli.

Nie jest Tarzanem przemierzającym dągi na falach testosteronu.

Ani pieskiem salonowym.

Jest intrygujący.

Dip przeskoczył skalisty grzbiet i zaczął zjeżdżać do Suchej Doliny. W oddali widać było wiatło. Podjechali bliżej. W blasku pojedynczej latarni widać było każdy szczegół wokół domu.

– Nie ma samochodów – stwierdził Rand. – No, ale ja usunęłbym samochód z zasięgu wzroku i zaczął się w rodku.

– Nie podoba mi się to, co mówisz. Naprawdę uważasz, że kto jest w moim... Bertone'a domu?

– Raczej nie. Ale lepiej być ostrożnym.

Zatrzymał dipa między zagrodą a domem ze spadzistym dachem. Snop wiatła z samotnej latarni oświetlał słup, na którym zamocowano trzy obrotowe ramiona, długie na około trzydziestu centymetrów. Na końcu każdego znajdował się karmnik dla kolibrów.

– Masz jeszcze klucz? – spytał Rand.

– Nigdy nie zamykam drzwi.

– Mieszkasz sama i się nie zamykasz?

Wzruszyła ramionami.

– Mama i tata nigdy tego nie robili. W rodku jest zasuwka; mogę zasunąć, jeśli jestem w domu.

– Ostatnie niewiniątko – skwitował łagodnie. – Jak wysiędę, przesuś się na miejsce kierowcy. Nic otwieraj drzwi. Jeśli kogo zauważysz, zatrzymaj się jak najprędzej do Royal Palms. Pytaj o Joe Faroe'a.

– A ty?

Rand nie odpowiedział, tylko opuścił szybę i nasłuchiwał.

Poza odgłosem silnika słychać było szum wiatru, szmer ocierających się o siebie rolin i kojota wyjący cicho do księżyca. Kojot zamilkł i po chwili zawył ponownie.

Bez odzewu.

– Połóż ręce na lampce – powiedział.

Zasłoniła dłońmi wewnętrzne wiatło dipa. Za wiecicy na czerwono, kiedy Rand otworzył drzwi. Cicho zatrzasnął je za sobą i ruszył w stronę zagrody.

Kayla przesunęła się na siedzenie kierowcy i obserwowała go. Wykorzystała każdy skrawek ciemności, aby zamaskować swój cień na jasnym piachu, podszedł do tyłu domu.

I zniknął.

Poczuła nagł pustk . Była w miejscu doskonale jej znajomym i nieznanym zarazem – obcy m czyzna szukał w mrokach jej rodzinnego domu innych obcych m czyzn z workami, kajdankami, ta m klej c i broni z tłumikiem.

Nie wiem, kto radził ludziom uwierzy w trzy niemo liwe rzeczy dziennie, ale staram si . Nie staraj si . powiedziała sobie. Nie trzeba poj wszystkiego od razu.

Kiedy byłam w tym dobra, my lała, umiałam przyjmowa rzeczywisto tak , jaka jest, i nie zdracza si ró nicami a tak, eby nie móc si cieszy nowym miejscem.

Teraz jeste w nowym miejscu. Pogód si z tym.

Rand wyłonił si z drugiej strony domu. W jego dłoni l nił ponuro pistolet z tłumikiem. Sprawdził drzwi wej ciowe. Nie były zamkni te na klucz, wi c pchn ł je, eby otworzyły si szeroko. l czekał, nasłuchuj c. Po kilku chwilach wszedł do rodka.

Kayla nasłuchiwała, wstrzymuj c oddech. Zmru yła oczy i sapn ła gwałtownie, kiedy w domu rozbrzysło wiatło. A pó niej kolejne. Rand pojawił si na ganku i podszedł do d ipa.

– Zga silnik – powiedział. – Jeste my sami.

Wył czyła silnik, wysiadła z auta i ruszyła do znajomej nieznanym ziemi.

Rand chwycił j za r k , eby j poprowadzi . Był to neutralny gest, ale na Kayli jego dotyk zrobił piorunuj ce wra enie. Po chwili zorientowała si , e w prawej dłoni Rand trzyma pistolet.

– Mówiła , e jeste my sami. – Spojrzała znacz co na jego praw r k .

– Mam dziewi dziesi t siedem procent pewno ci. Pistolet jest na wypadek pozostałych trzech.

– Czy ty aby nie jeste gliniarzem?

– A czułaby si lepiej, gdybym był?

– Nie.

Przystan ł przed drzwiami.

– Ciekawe. A dlaczego?

– Widziałam, jak Bertone rozmawiał dzi z kilkoma najbardziej wpływowymi politykami z Arizony. Widziałam wiele tyś cy dolarów przeznaczanych przez Bertone'ów na kampanie polityków w całych Stanach.

– I?

– I teraz nie wierz nikomu, kto jest opłacany przez pa stwo. Mo esz mnie uzna za cyniczn .

– Raczej za realistik . Pieni dze to synonim władzy.

Rand podejrzewał, e Faroe byłby w stanie wymieni ka dego polityka, który bierze pieni dze od Bertone'a, ale zamierzał go o to spyta , eby mie pewno . Sprzymierze cy polityczni Bertone'a byli wrogami Kayli.



– Czy coś wydaje ci się podejrzane? – zapytał Rand, kiedy Kayla weszła do domu.

Rozejrzała się.

– Biorę pod uwagę, że się pakowałam, nie.

Weszła do sypialni.

On za nią.

– Jesteś porządniejsza niż ja – stwierdził, rozglądając się po pokoju. – A może już spakowała wszystkie drobiazgi?

– Nie. Ale za dużo kłopotów działa na mnie jak korek uliczny – wkurzające. Na szafce przy łóżku leżała otwarta książka. Rand zdjął obwolutę. Przewodnik Lonely Planet *Australia i Nowa Zelandia za grosz*. Czytała o jeziorze górskim i krainie lodowcowej na Wyspie Południowej.

– To tam miała zamiar zapuścić korzenie?

– Do wczoraj wierzyły mnie stopy.

– A teraz?

– A teraz wierzy mi wszystko.

Prawie się uśmiechnęła.

– Sprytne.

– Uciśnięte.

– Lepiej się przyzwyczaj.

– Wolabym jechać do Queenstown, żeby przestało mnie wierzyć.

Spojrzał na nią z ukosa i zobaczył, że wpatruje się w zdjęcie lodowców i jezior.

– Wspomniała coś o szantażu.

– Tak?

– W ogrodzie. Powiedziała, że to Bertone jest szantażystą, nie ty. Co miała na myśli?

– Chyba moje akta nie są pełne – stwierdziła.

Zamknął książkę i odwrócił się do niej.

– W czwartek sprzedałam ranczo – wyjaśniła. – Dostałam naprawdę niezłą sumę, ale nie widziałam kupca.

– Bertone.

– Skąd wiesz?

– Znam go.

– No i przez niego – cięgnęła z goryczą – wyszłam na łapówkar .

– Aha.

– Wierzysz mi?

– Zgadzałoby się z resztą informacji o tobie – powiedział. – Jesteś zbyt czysta, żeby dobrowolnie pchać się do takiego błota, w jakim tapla się Bertone. Musiał mieć na ciebie haka. Czemu nie pójdziesz do federalnych?

– Bertone ma z federalnymi o wiele więcej wspólnego niż ja. Nie chciałam kłaść mojej wolności na szali przepychanek „on powiedział, ona powiedziała”. Może powinnam, ale niezbyt optymistycznie oceniłam moje szanse na zwycięstwo, więc szukałam innego wyjścia.

– I znalazła ?

Spojrzała mu w oczy.

– Nie wiem. – Odwróciła się i przeszła z sypialni do kuchni. Ze swobodą domownika wyjęła kilka garnków, wrzuciła do nich cukier i wlała gorącą wodę, po czym postawiła garnki na kuchence i zapaliła palniki.

– Jak myślisz? – spytała, wpatrując się w płomienie. – Powinnam iść na policję ?

Rand pomyślał o Necie, któremu odmówiono wizy – „nie należy to w interesie USA” i o politykach sprzedanych drogim szampanem na przyjęciu u Bertone'ów.

– Jeśli nie będzie innego wyjścia.

– A ucieczka?

Pokręcił głową .

– Masz za mało pieniędzy, żeby się ukrywać przez następnych pięćdziesiąt lat.

– Tak właśnie nie pomyślałam. I poszłam do mojego szefa.

– Którego?

– Steve'a Foleya.

Kolejne nazwisko do sprawdzenia w wydziale informacyjnym St. Kilda.

– I co?

– Mogę mówić o tym, co się przytrafiło mnie, i o moich prywatnych sprawach. O klientach mówić mi nie wolno. Mogliby mnie zwolnić .

– Bywają gorsze rzeczy. Na przykład kajdanki. Kayla się skrzywiła.

– Jestem odpowiedzialna wobec moich klientów i wobec banku.

– Na to właśnie liczył Bertone. Ten słodki mały ptaszek będzie się bał pieśnią solo.

Zacisnęła zęby, zamieszała w kawałek dymu garnku i patrzyła, jak woda zaczyna się burzyć .

– Wi c Bertone zmusza ci , eby zrobiła co nielegalnego z jego pieni dzmi, wykorzystuj c bank – odezwał si Rand po chwili. – To si nazywa pranie pieni dzy i policja tego nienawidzi. Zgadza si ?

Nie próbowała zaprzecza rzeczom oczywistym. Ani ich potwierdza .

– A co ty masz do tego? – spytała.

Zawahał si .

– Bez kłamstw – przypomniała mu. – Pami tasz?

W kuchni zaległa cisza. Rand przygl dał si , jak Kayla miesza cukrowy syrop. Kiedy wył czyła palniki pod garnkami, podszedł do zamra arki i wyj ł wiaderko z lodem.

– Co robisz? – spytała.

Wrzucił kostk lodu do jednego garnka, eby syrop pr dzej ostygł.

– Nie mo emy czeka cał noc – powiedział – a chyba nie chcesz, eby głupi koliber poparzył sobie j zyk, prawda? Syrop i tak trzeba rozcie czy .

Spróbował płynu. Prawie dobry. Jeszcze kilka kostek lodu i nie b dzie niebezpieczny dla delikatnego j zyczka kolibra.

Kayla przechyliła głow i spojrzała na Randa jak zadowolona kotka.

– Miałam zamiar wyj du e pojemniki, a do rana wystygnie nawet najwi kszy.

Rand skin ł głow .

– To dobrze, ale teraz trzeba nakarmi małego, bardzo głodnego kolesia. Czeka na erdzi w nadziei, e cudem uratuje swój opierzony tyłek przed kl sk .

– O tej porze? – spytała zaskoczona. – Kolibry id spa o zmierzchu.

– Poza trudnym okresem migracji. Wtedy si forsuj . Szcz ciarzom uda si znale karmnik. Pechowcy zdechn z głodu. Gdzie s te pojemniki, które chcesz wystawi ?

– W szafce za tob .

Patrzyła, jak wyci ga dwulitrowy pojemnik i napelnia go chłodnym, rozcie czonym syropem. Wprawdzie Rand nie odpowiedział na pytanie, które mu zadała, ale z pewno ci nie skłamał, e umie karmi kolibry.

– Musiały to cz sto robi – stwierdziła.

– W sezonie zu ywam ponad dwa kilo cukru dziennie.

– O cholera! Chyba karmisz setki tych cudaków.

– Lekko licz c. Maj i czerwiec to gor ce miesi ce. Do ko ca lipca ptaków ju prawie nie ma.

– I wszystkie to rudaczki? – spytała, staraj c si wyobrazi sobie, jak by to było ogl da chmury skrzydlatych br zowych klejnotów, które jedz naraz, odstraszaj c inne ptaki nastroszonymi

purpurowymi krawatami.

– Prawie wszystkie. Wredne małe dzikusy. – Uśmiechnął się. – Ale cholernie ładne. Umysławiaj mi, e ty jesteś piękna, chociaż jest ci głowa walk.

Kayla poczekała, a Rand napełni syropem ostatni pojemnik.

– Odpowiesz mi na pytanie? Dlaczego mi pomagasz?

– Podobnie jak ty nie wszystko, co wiem, mogę ujawniać – odparł. – Ale najważniejszą rzecz już wiesz.

– To znaczy?

– Dla ciebie chcę życia, dla Bertone'a – śmierci.

## ***Rozdział 28***

***Sucha Dolina***

***Sobota, 20.20***

Kiedy wieszali karmniki pod osłon ganku wiejskiego domu, Kayla rozmyślała nad tym, co powiedział Rand. Jeszcze zanim zdążyła się odsunąć od pierwszego karmnika, pojawił się na nim koliber. Nie zwracał uwagi na ludzi – pił i pił, i pił. Po kilku chwilach odpoczynku otrzepał się i nastroszył pióra, ale nie odleciał z terdź.

– Napije się jeszcze co najmniej raz – szepnął Rand. – Później poleci na pustynię i połogie się w bezpieczniejszym miejscu.

– Nigdy nie widziałam, żeby kolibry przylatywały tak późno.

– Ten przyjechałby po nektar nawet na rysiu. Tak wcale nie działa desperacja. – Spojrzał na zegarek. – Czas na nas.

– Jesteś pewien, że nie mogę jechać do mojego mieszkania? – spytała Kayla. – Na ranchu zostawiłam tylko pudła pełne dywanów i byłe jakichś ciuchów.

– Dywanów będzie w sam raz.

Poszła za nim do sypialni, w której wcześniej zmagazynowała pełne kartony na swoją następną wycieczkę do nowego mieszkania.

– Które? – spytał.

– Jedno? Ale...

– Jedno.

– Cholera.

– Nie przejmuj się. W Phoenix jest mnóstwo supermarketów.

Przewróciła oczami i wybrała karton, który oznaczyła „ciuchy na wieś”.

– No cóż, to Arizona, słynna ze swobodnego stylu. – Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. – Prawda?

– Pytasz mnie, dokąd jedziemy? – powiedział, biorąc od niej ciuchowe pudło.

– Trafny wniosek.

– Do Phoenix – wyjaśnił.

– Royal Palms?

– Tak.

– Joe Faroe?

– Mi dzy innymi.

Wyszła za Randem do samochodu i stan ła z nim twarz w twarz, zanim wrzucił karton do d ipa.

– I mam w to wszystko uwierzy na słowo?

– To nie ja czaiłem si na ciebie z kajdankami i ta m klej c .

Kayla skin ła głow .

– Punkt dla ciebie. Ale nadal nie wiem, dlaczego mi pomagasz.

– Bo ci pragn .

Otworzyła szeroko oczy.

– Szczery jeste .

– Chciała szczero ci, wi c j masz. – To i tak tylko połowa prawdy, dodał w my lach. Drugiej połowy nie mog zdradzi .

Odsun ła si .

– Uwa aj, o co prosisz, tak?

– Mniej wi cej. – Rzucił pudło na tył d ipa i zacz ł si sadowi na fotelu kierowcy.

– McCree, to mój samochód. Przynajmniej tak jest w papierach.

– To znaczy?

– Ja prowadz .

– Jeste przeszkolona w kaskaderskich po cigach?

Odwróciła si bez słowa i zaj ła miejsce pasa era. Drzwi zatrzasn ły si za ni . Z hukiem.

– Z decyzjami jest tak – powiedział Rand, wł czaj c silnik – e zawsze okazuj si trudniejsze, ni si wydaje w chwili, kiedy si je podejmuje.

– Co jeszcze powinnam wiedzie ?

– Ka dy ma nie do ko ca czyste pobudki.

– Nawet ty?

– Tak.

– A St. Kilda Consulting? – dr yła Kayla.

– To organizacja zało ona przez ludzi, którzy nie s w stu procentach aniołami.

- Joe Faroe?
- On nie jest aniołem.
- Jak Bertone – stwierdziła Kayla.
- Nie. Faroe jest niezłym sukinsynem, ale jest honorowy. Bertone to szumowina.
- A je li nie chc jecha do Royal Palms? Mam wybór?
- Masz taki sam wybór, jaki miała w ogrodzie, zanim si pojawiłem.
- Walczy i umrze – mrukn ła. – Ty naprawd umiesz bajerowa dziewczyn .
- Jeste kobiet .
- Co nie znaczy, e nie lubi komplementów – odparła.
- Ilekro nazwałem ci pi kn albo dotkn łem, sztywniała , jakbym ci poparzył.

Wzruszyła ramionami.

- Wszystko przez to, e poluje na mnie porywacz.
- Uwalnia twoj wewn trzn w ciekło ?
- To te . – Kayla si u miechn ła. – Ale przede wszystkim uzmysławia mi, e mój kolejny oddech jest darem, nie oczywisto ci .

K ciki ust Randa opadły, kiedy pomy ła o Reedzie.

- Amen. Zadziwiaj ce, jak bardzo ułatwia decyzje wiadomo krucho ci ycia. Tak naprawd wystarczy sobie zada pytanie: Czy je li tego nie robi , b d łaował, schodz c z tego wiata?

Pierwsza my l, jaka przyszła Kayli do głowy, to czy łaowałaby, gdyby zlekcewa yła iskrzenie wyczuwalne mi dzy ni a Randem.

Dotarło do niej, e ju dawno aden m czyzna nie wzbudził w niej zainteresowania, irytacji i wiadomo ci wszystkich ró nic mi dzy płciami.

Te sobie wybrała moment! – zganiała si w duchu.

- Wi c ążujesz tylko tego, czego nie zrobię – podsumowała.
- Tak.
- I dlatego pracujesz dla St. Kilda, zamiast po wi ci si całkowicie malowaniu?
- Z St. Kilda b d współpracowa naprawd krótko – odparł.
- Odnosz wra enie, e nie jeste zachwycony tym, e pracujesz dla St. Kilda.
- Bo nie jestem.
- Wi c dlaczego dla nich pracujesz?

– Złoty mi propozycję nie do odrzucenia.

– Grozili ci?

Palce Randa zacisnęły się na kierownicy dżipa, który mknął w ciemności, zostawiając za sobą stoek wiatła. Pustynna noc i rozpraszające mrok wiatło, których *Reed* nigdy nie zobaczy.

– Pracuj dla St. Kilda z powodów osobistych, które nie mają nic do rzeczy, jeżeli chodzi o twoją decyzję – wyjął.

– Jak decyzję?

– Jechać czy nie jechać do Royal Palms.

– Gdzie ty, tam i ja – mruknął z sarkazmem.

Wybuchnął śmiechem. Wtedy dotarło do niego, że od dawna się nie śmiał.

– Lubię cię, Kaylo Shaw.

– Nawzajem, Randzie McCree. No, na ogół.

Kusiło go, żeby spytać, co przez resztę czasu, ale się powstrzymał.

– W planie nie było tego, że cię polubię.

– W jakim planie?

– St. Kilda Consulting nie jest idealna, ale jest potrzebna w dzisiejszych czasach zbrodni na mi dzynarodowiskach, upadłych i upadających państwach, pechowych miast i zwykłych dzikich rejonów. Jest potrzebna we wszystkich tych miejscach, gdzie prawomocnie ustanowione rzędysprawie bezużyteczne, a skorumpowane władze mają się wietnie.

Spojrzała na niego.

– To odpowiedź czy unik?

– Jeżeli pojedziesz do Royal Palms i zaskarbisz sobie sympatię Grace i Joego, będzie chcieli, żeby pracowała dla St. Kilda. Jeżeli nie czujesz takiej wdzięczności, możesz zrezygnować.

– I pozostanie mi wybór między Bertone'em a glinami. Mogę tego wierzyć, że Steve Foley mnie wyratuje, dodała w myślach. Nie w tym życiu. No cóż, wolę zobaczyć, co ma do zaoferowania St. Kilda. O ile pozwoli mi odejść, jeżeli nie spodoba mi się to, co zobaczę.

– Gwarantuję, że nie będzie kajdanek ani taśmy klejącej – odparł Rand. Poprosz cię tylko, żeby nie wspominała o St. Kilda Bertone'owi ani twojemu bankowi.

– Nie wspomnę. A gliny?

– Miejmy nadzieję, że tej kwestii nie trzeba będzie rozważać.

– St. Kilda nie lubi reklamy?

– To tak. Ale chodzi głównie o to, że pracujemy tam, gdzie agendy USA nie mogą pracować. We wszystkich odcieniach szarości, które nie pasują do dziesięciosekundowych spotów i politycznych



sloganów. Mamy przyjaciół. Mamy wrogów. Praca dla St. Kilda wiąże się z konsekwencjami. Niektóre są niebezpieczne. Wiąże się po prostu irytacja.

Kiedy spojrzał na Kayla, żeby zorientować się, jak reaguje na jego słowa, zaskoczyła go. Uśmiechała się.

– Może byśmy lecieli, bo St. Kilda jest jak kolibry, które walczą między sobą i z resztą świata.

– Blisko. – Rand odwzajemnił uśmiech.

– Co byś zrobił na moim miejscu?

– Biegłbym, ile sił w nogach do najbliższego wyjścia.

W świetle z deski rozdzielczej jego oczy wydawały się niemal srebrne.

– Ciekawe – stwierdziła Kayla. – Czemu tego nie zrobiłeś?

– Moje pobudki nie mają żadnego znaczenia dla twojej decyzji, zapomniała?

– No, no. Kto tu mówił o szczeroci.

Rand mruknął coś pod nosem.

– Ja za ciebie decyzji nie podejmę – powiedział po chwili. – Musisz ją podjąć sama, bo to ty będziesz ponosić konsekwencje.

– Jak ty.

– Jak ja. Własne demony, własne piekło.

– A co z aniołami i niebem?

– Mój radar żadnego nie wykrył.

– Nigdy?

– Zobaczyłem jednego, kiedy już go nie było. Za pół no.

## ***Rozdział 29***

***Phoenix***

***Sobota, 21.10***

– Czy ten samochód jest zarejestrowany na twoje nazwisko? – spytał Rand.

Kayla zamrugała. Dawno się nie odzywał.

– Tak.

Znowu zapadła cisza, kiedy włączył się eksplorator do ruchu na mijanicy 17, która prowadziła daleko w rejony metra Phoenix. Zmienił pas bez kierunkowskazu, przyspieszył, znowu zmienił pasy, zwolnił i spojrzął w lusterko wsteczne.

Nikt nie przyspieszał, nie zwalniał, nie zmieniał pasów ani nie robił nic, co wzbudziłoby jego podejrzenia.

– Będziecie musieli się go pozbyć – oznajmił.

Popatrzyła na niego zdumiona.

– Mojego auta? Nie stać mnie na nowe.

– Nie ma takiej potrzeby. Ale od tej chwili zapomnij o normalnym trybie życia. Nie pojedziesz do nowego mieszkania. Nie pojedziesz na ranczo. Nie będziesz jeździła swoim samochodem ani rozmawiała przez swój telefon .

– Powiedz, że artujesz.

Cisza.

Głucha cisza.

– Nie artujesz. – Westchnęła. – Czy to wszystko jest naprawdę konieczne?

– Poluje na ciebie Bertone. Chcesz, żeby ci dopadł?

Zadrżała.

– Tak właśnie się dzieje – skwitował Rand. – Pamiętaj o kajdankach. To ci pozwoli zachować kontrolę nad umysłem.

– Potrafisz być bezwzględnie draniem – stwierdziła.

– To wariat potrafi być bezwzględny.

– Nie traktuj tego jak obelgi. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Ale pamiętaj tam twój obraz i wiem, że nie powinnam być zaskoczona. Zrobisz wszystko, co trzeba, żeby wykonać zadanie. Zawsze taki

były ?

– Nie.

Zjechał z autostrady na Scottsdale Road i skierował się na południe, w stronę kompleksu domów wypoczynkowych. Cztery minuty później minął imponujące bramy Royal Palms.

– St. Kilda Consulting musi mieć kup forsy – stwierdziła Kayla.

Nie odpowiedział.

Wjechał na mały parking zarezerwowany dla trzech półczonnych parterowych domów. Z mroku wyłonił się mężczyzna. Miał ze sobą latarkę na tyle dużą, żeby oświetlić w trzech eksplorera. Zajrzał do bagażnika, wyjął latarkę i podszedł otworzyć drzwi Kayli.

– Dobry wieczór – powiedział. – Oczekuj państwa w domu numer jeden.

Był uprzejmy, rzeczowy i bardzo brytyjski. Rand wysiadł i rzucił strażnikowi kluczyki.

– Zostaw go w Scottsdale na którymś z długoterminowych parkingów przy lotnisku. Kiedyś, kto interesuje się Kayl, powinien myśleć, że po prostu wskoczyła do prywatnego odrzutowca i zniknęła.

– Rozumiem, Mac – odparł strażnik. – Przyniosła pani kwit, panno Shaw. Odbierze pani samochód, kiedy zrobi się bezpieczniej.

– Dzięki. – Spojrzała na Randa. – A kiedy zrobi się bezpieczniej?

Kiedy Bertone będzie martwy, pomyślał.

– Dowiesz się – powiedział tylko.

Poprowadził ją piaszczystą ścieżką do oświetlonego domu, a później po schodkach prowadzących przez główne patio do drzwi. Uniósł dłoń, żeby zapukać, ale się zatrzymał.

– Ostatnia szansa – powiedział, patrząc jej w oczy. – Na lotnisku w Scottsdale stoi odrzutowiec Gulfstream. Za dwie godziny może być na przylądku San Lucas. Będzie bezpieczna.

– Na zawsze? – spytała.

– Nikt nie jest bezpieczny na zawsze. Ale będzie bezpieczna, dopóki nie załatwimy Bertone'a.

Wzięła głęboki oddech i wpatrzyła się w ciemność. Tam, gdzie nie dochodziło nikłe światło z okien, mogła rozpoznać jedynie wypukłość zielonego pola golfowego, które ciągnęło się aż do krańca pustyni. Pokręciła głową.

– Co to znaczy? – spytał Rand.

– Tu jest tak zwyczajnie.

– Ciężko jest cholernie zwyczajna.

Wydała z siebie odgłos, który przypominał miech.

– Jesteś jedyny w swoim rodzaju, McCree. Naprawdę czarujący. Robisz wszystko, żeby nie mogła ci się oprzeć, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Nie chcę, żeby miała do mnie pretensje, jeśli wszystko się schrzani.

– Prowadź, McCree – odparła.

## ***Rozdział 30***

***Royal Palms***

***Sobota, 21.15***

Kayla nie spodziewała się, że w domu zastanie mężczyzn oraz kobiet w ciemności, przepytujących przystojnego nastolatka z cyklu Krebsa. Spojrzała na Randa.

– Jak w króliczej norze – powiedziała pod nosem.

– A co, spodziewała się spoconych, muskularnych, przystrożonych na jeńca facetów, czyszczących broń i ostrzyczących noże? – spytał kpiąco. – Ten wredny gość to Joe Faroe. A ta piękna, ostra...

Grace prychnęła.

– Jestem w ciemności, McCree.

– ...w słowach kobieta to Grace Faroe – dokończył Rand, nie gubiąc rytmu. – Tyczkowaty tułów bez dołu uzależniony od komputera to Lane, ich syn. Poznajcie Kayla Shaw, pracownika banku, który usiłował porwać Andre Bertone.

Lane poderwał się na równe nogi.

– Miło mi pani poznać i już mnie nie ma.

– Wejdź do Internetu i poszukaj lepszego wyjaśnienia cyklu Krebsa – odezwał się Faroe do znikających pleców syna. – Podręcznik, który ci dali, jest kiepski.

Lane pomachał wszystkim i zniknął za drzwiami swojego pokoju. Grace uśmiechnęła się i podała Kayli rękę.

– Nie zwracaj uwagi na mojego młoda. Ma kiepskie pojęcie o uczeniu. Wydaje mu się, że metabolizm jest czymś egzotycznym i niezgłębionym.

– RZUT – odpowiedziała Kayla.

Grace zamrugnęła.

– Redukcja – Zyskujesz, Utlenianie – Tracisz – wyjaśniła Kayla. – Tylko tyle pamiętam tam z lekcji rozszerzonej biologii.

– Słyszałaś, Lane? – spytał Faroe drzwi sypialni.

– RZUT – dobiegł cichy głos zza drzwi, zagłuszony przez łomoczącą muzykę.

Joe uśmiechnął się szeroko.

Grace pokręciła głowę.

– Przepraszam, uczymy tego barbarzyńców w domu.

– Aby go znów nie porwali – wyjął Faroe. – Kawa? Wino? Piwo? Krakery z serem? Masło orzechowe?

– Przynie – powiedział Rand. – O kanapkach z przyjacią zapomniałem już kilka godzin temu. – Spojrzał na Kayla. – A ty?

– Lane był porwany? – spytała przerażona.

– Odzyskali go. – Ton Faroe'a wskazywał, że nie przyszło to łatwo.

– Zginął wtedy bardzo wpływowy meksykański magnat narkotykowy – wyjął Grace. – Joemu nadal grozi poważne niebezpieczeństwo.

– Tobie też – odezwał się Faroe z kuchni. – I Lane'owi. Szkoda, że Mary nie udało się ustrzelić siostrze z tego gnojka.

Grace rzuciła mężczyźnie ostre spojrzenie.

– Nie słyszałam tego.

– Czego? – spytał łagodnie.

Kayla spojrzała na Randa.

– Nawet paranoicy mają prawdziwych wrogów, zgadza się?

– Pragmatycy też. Tylko są głupi, aby o tym wiedzieć.

– Nie wiem, ile McCree powiedział ci o St. Kilda Consulting – zaczęła Grace, gromiąc Randa wzrokiem za to, że w ogóle powiedział cokolwiek bez pozwolenia.

– Tyle, że wiem, że nie stoję nad wami politycy – odparła Kayla. – I że wcale tego nie chcecie.

Grace spojrzała na nią z uznaniem.

– Nie jesteś taka niewinna, na jaką wyglądasz.

– Byłam jeszcze dwa dni temu. – Kayla wzruszyła ramionami. – Nawet grzech był kiedy niewinny. Reszta to tylko kwestia czasu i okazji.

Z kuchni dobiegł zaskakująco ciepły śmiech Faroe'a.

– Niewinna jak grzech, co? McCree, cięgnie nam problem.

Rand uśmiechnął się i dotknął włosów Kayli tak delikatnie, że zastanawiał się, czy w ogóle to poczuje.

– Który się rozrasta – powiedział mężczyźnie.

– Jak pleśń – skwitowała Kayla. – McCree, naprawdę powinniśmy popracować nad bajerem. I to porządnie.

Faroe przyniósł talerze z krakersami, zimnymi zakuszkami, serami i owocami.

– Zaczniemy od tego. Zaraz podam co do picia.

– Ja przyniosę – poderwała się Grace.

– Nie – zaprotestował Joe. – Za duży jesteś na nogach.

– Cud, że pierwszą ci przeżyłam bez ciebie – mruknęła Grace. Ale usiadła i westchnęła z zadowoleniem, położyła nogi na ławie.

– Gdzie jest tajna umowa, pani sędzio? – spytał Rand. – A może jeszcze jej nie masz?

– Jest gotowa – odparła Grace. – A ona?

Spojrzeli na Kaylę.

– Będę wiedziała, kiedy ją przeczytam – odpowiedziała. – Chyba nie oczekujecie, że podpiszę coś w ciemno?

– St. Kilda nie chciałaby pracować z kimś, kto jest na tyle głupi, żeby podpisywać umowy, której nie przeczytał – odpowiedziała Grace, sięgając po kartkę leżącą na stole.

Rand wziął kartkę, zanim zdążyła ją chwycić, przeczytał szybko, skinął głową i wrzucił Kayli.

– To zwykła formalność – wyjaśniła Grace. – Ale zabezpieczy cię i St. Kilda na wypadek, gdyby pojawili się federalni.

Kayla przeczytała dokument.

*„Ja, Kayla Shaw, wyrażam zgodę na ujawnienie faktów dotyczących mnie oraz Andre Bertone'a, jak również innych faktów wynikających z dochodzenia prowadzonego przez St. Kilda Consulting. Robi to z własnej woli, bez nacisków.*

*Niniejszym przyrzekam nie ujawniać natury tych rozmów wyżej wymienionemu Bertone'owi ani żadnej innej osobie, której dotyczy dochodzenie St. Kilda Consulting. Przyrzekam nie ujawniać nikomu informacji, które są własnością St. Kilda Consulting, bez zgody zwierzchników organizacji, to jest Jamesa Steele'a, Joe Faroe'a lub Grace Silva Faroe.*

*Natomiast St. Kilda Consulting i jej przedstawiciele zgadzają się zachować w tajemnicy moje współpracę z nimi. Akceptuję warunki niniejszej umowy, przyjmuję zapłatę jednego srebrnego dolara amerykańskiego oraz inne wymierne korzyści”.*

Jak uratowanie mi życia? – zastanawiała się.

Na dole znajdowała się linia z miejscem na podpis, a pod nią wydrukowane było jej nazwisko i data. Faroe podał Kayli pióro, a gdy złożyła podpis, wrzucił jej srebrnego dolara. Poczuła w dłoni ciężar monety. Stale miała do czynienia z pieniędzmi, ale nie były realne jak ta moneta. Podrzuciła srebrnego dolara, złapała i położyła sobie na grzbiecie dłoni.

– Cokolwiek to znaczy. Co teraz? – spytała.

– Opowiedz nam o swojej pracy dla Andre Bertone'a – odparła Grace.





## ***Rozdział 31***

***Okolice Phoenix***

***Sobota, 21.25***

Dang-bang!

Dwa strzały rozbrzmiały niemal jednocześnie.

Sekundę później rozległ się trzeci i wreszcie po nieco dłuższej przerwie – czwarty.

Steve Foley stał w pozycji strzeleckiej, mierząc do czterech postaci podwieszonych na zatraskach w odległości od siedmiu do dwudziestu metrów. Ostre odgłosy jego broni były wytłumione. Ściany krytej strzelnicy Okręgowego Klubu Strzeleckiego wzniesiono z betonowych bloków i otoczono wałem ziemnym, dzięki czemu pochłaniały echo.

Najbardziej słyszalnym dźwiękiem były metaliczne kliknięcia, kiedy strzelec wyciągał magazynek i czyścił zamek lufy.

Stojąc za Foleyem Andre Bertone ocenił podwójne przestrzeliny w celach.

– Bardzo ładnie – stwierdził.

– Trochę chybiam przy długich strzałach – odparł Foley, który teraz trzymał swój specjalnie wyważony nawierconymi otworami Colt 1911A lufę do góry. – Zdziwiasz się, jak mocno lufa może drgnąć między dwiema kulami.

– Drobny jeszcze bardziej, jeśli istnieje możliwość, że cel odda – powiedział Bertone. A nawet jeśli cel jest ledwie żywy. Nigdy nie strzelałaś do żywego człowieka, co?

– To dlatego zużywam dwie tarcze naboju tygodniowo – wyjaśnił Foley. – Kiedy wszystko staje się automatyczne, mniejsza szansa, że w kluczowym momencie zerwie mi nerwy.

Sprawdził komorę pistoletu, aby się upewnić, że jest pusta, odłożył broń do gniazda w aluminiowej kasecie i zamknął klamrą na pokrywie.

Bertone przyglądał się temu z rozbawieniem, którego nawet nie starał się ukryć.

– Praktyka to jedno. A wojna to coś zupełnie innego.

Foley miał na sobie czarny kombinezon, długie czarne buty z miękkimi gumowymi podeszwami, czarny czapkę bejsbolową bez logo i sportowe okulary strzeleckie. Przypominał raczej członka brygady policyjnej niż kogoś po szczeblach kariery bankowca.

Otworzył drugą metalową kasetę i wyjął broń pokaźniejszych rozmiarów: dziewięćdziesięciomilimetrowy pistolet półautomatyczny ze składaną kolbą i ciekawym, cylindrycznym tłumikiem nałożonym na krótką lufę. Ten unowocześniony i zmilitaryzowany H&K MP5A był jego ulubioną bronią.

– Słodki, co? – zagadnął, podziwiając grzywata na pistolecie.

Bertone nie odpowiedział. Używał broni, ale darzył ją tak samo miło ci jak papier toaletowy.

Narzadza się po to, żeby ich używało.

Ludzie się po to, żeby się nimi posługiwać.

Foley lekko podrzucił pistolet. Jako cywil nie mógł legalnie posiadać broni półautomatycznej, więc rzadko się nim posługiwał nawet na strzelnicy najbardziej elitarnego klubu strzeleckiego w Arizonie. W normalnych okolicznościach władze klubu nie przymknęłyby oka na broń, za której posiadanie właścicielowi groziło dwadzieścia lat odsiadki.

Ale o tej porze klub był oficjalnie zamknięty i nie było w nim nikogo poza Foleyem i Bertone'em.

– Dobrze, żeby wyrwał się z przytulenia Eleny, żeby postrzelać – rzucił Foley.

– Na strzelanie zawsze znajdź czas – odparł Bertone.

Niektórzy faceci rozładują się po pracy w klubach ze striptizem albo uprawiają ekstremalny boks czy nielegalny hazard. Foley używał się na strzelnicy. Bertone, właściciel Okręgowego Klubu Strzeleckiego Arizony, ignorował naruszanie prawa federalnego przez członków klubu, którzy mogli mu się przydać.

Foley otworzył zamek pistoletu i wsunął na miejsce magazynek na dwadzieścia naboju. Uwielbiał trzymać naładowaną broń.

– Mogę? – spytał Bertone, wyciągając rękę.

Foley niechętnie podał mu pistolet.

– Dziękuję – powiedział Bertone.

Wiedział, jak bardzo Foley jest nieszczyliwy, więc musi się rozstać z pistoletem. Właśnie dlatego o niego poprosił. Zważył go w dłoni i uniósł z lufą bezpiecznie skierowaną w dół.

Sprawdził wyważenie, opuszczając broń, a później podnosił do pozycji strzeleckiej. Tłumik zwykle wpływa na broń, ale ten pistolet był starannie zaprojektowany. O wiele lepiej niż kałasznikowy i dragunowy z czasów zimnej wojny, które przez lata sprzedawał.

– Jakim cudem uciekła? – spytał Foley, przyglądając się, jak Bertone z niesamowitą wprawą operuje jego bronią.

Nie mierząc, wycelował do standardowego celu w postaci ludzkiej sylwetki odległego o piętnaście metrów i pociągnął za spust.

Rozległ się tylko odgłos pracującego zamka, kiedy w krótkiej sekwencji padły trzy potrójne serie i w trzech miejscach na celu ukazało się jasne światło. Bertone skierował lufę w górę i zszedł z linii strzału.

– Jeden z moich ochroniarzy był zbyt czujny – wyjaśnił. – Gdy weszła sama do ogrodu, zobaczył, że wysiadło światło i się przejął. Przeszkodził Gabrielowi, zanim ten zdążył zabezpieczyć cel.

– Potrzebny nam kozioł ofiarny – odparł Foley. – Odzyskaj j .

– Gabriel j znajdzie.

Foley poruszył si niespokojnie. Widział Gabriela tylko raz, ale to mu wystarczyło. Facet miał pusty wzrok. Bertone si u miechn ł.

– Gabriel radzi sobie z ró n broni . Spodobałoby ci si cacko, które ze sob miał – wyciszony chi ski pistolet, całkowicie niewykrywalny. Unikat, nawet FBI nie ma go w swojej kolekcji broni palnej.

– Dlaczego go nie u ył?

– Nie miał czasu. Kiedy ochroniarz wpadł do ogrodu z latark i broni , Gabriel przeskoczył przez mur i wrócił do domu.

– Czy ten ochroniarz wie, dok d ona poszła?

– Tak s dz . Poszedł z ni .

– Chcesz powiedzie , e zwiąa z tym facetem?

Bertone wzruszył ramionami.

– Mo liwe. Inni pracownicy ochrony twierdz , e wcze niej ze sob flirtowali.

Foley przypomniał sobie, jak Kayla odrzucała jego zaloty.

– Nie wierz , e poleciała na jakiego mi niaka, najemnego gliniarza. Jeste pewien, e nie chodzi o nic wi cej?

– Jimmy pracuje dla prywatnej firmy, która zapewnia nam ochron zgodnie z umow . Gruntownie go sprawdzili. Jest zwykłym atrakcyjnym gówniarzem po dziesi dolców za godzin . Teraz Kayla pewnie pieprzy si z nim albo z jakim innym roblem, kiedy my sobie tu rozmawiamy.

– Cholera.

Foley, rozczarowany brakiem gustu Kayli, opró nił reszt magazynku MP5A, strzelaj c do celu. Jedena cie kul rozdarło papier i znikn ło w nasypie na dole. Dziury przestrzałowe ukazały si w głowie i dookoła głowy sylwetki.

Bertone wcisn ł przycisk i usun ł papierowy cel. Przyjrzał si ładom wybuchu zło ci Foleya i pokr cił głow .

– Twoje strzały s bardzo rozproszone – zauwa ył.

Foley dotkn ł trzech dziur w głowie postaci.

– Po to wymy lono bro maszynow . Mo e nie jest najbardziej wydajna, ale załatwia spraw .

– Sprzedałem dziesi tki milionów naboí – oznajmił Bertone tonem tak beznami tnym jak jego spojrzenie – i dziesi tki tyś cy broni maszynowej, eby je wystrzela . Mog ci zapewni , e jeden celny strzał jest wart stu le wymierzonych kul.

– Powiedz to swojemu pupilkowi Gabrielowi.

– Ju to wie.

– A jednak j pu cił. Te mi płatny zabójca.

– Nie kazałem mu jej zabija , tylko schwyta .

– Po co zawraca sobie głow ciganiem jej i ukrywaniem, skoro wystarczy jeden strzał? – odparł Foley. – W Phoenix cz sto si strzela z samochodu. Nikt nie zwróciłby wi kszej uwagi na przypadkowy strzał na ulicy. Cholera, nawet ja mógłbym to zrobi .

– Nie masz tego, co trzeba, eby strzeli do ywego celu.

Foley zmru ył oczy ukryte za bursztynowymi okularami i spojrzął gniewnie na Bertone'a.

– Kto musi to zrobi – oznajmił. – Je li Kayla nadal fruwa gdzie po okolicy, mo e ci pogr y , a mnie razem z tob .

– Ciebie owszem. Mnie nie. Ja jestem obywatelem wiata. W niecał godzin mog znale si w samolocie wylatuj cym ze Stanów Zjednoczonych, zostawiaj c tu tuzin prawników, eby po mnie posprz tali. Ty te ?

Foley, który stał z pistoletem wymierzonym w sufit, powoli opu cił luf , przesuwaj c otworem wylotowym przed ustami Bertone'a. Ta zniewaga mogła, ale nie musiała by zamierzona.

– S dz , e nie – odpowiedział Bertone na własne pytanie, nie kryj c pogardy.

– W taki czy inny sposób jeste bezbronny – burkn ł Foley, trzymaj c luf w niewielkiej odległo ci od jego twarzy.

Bertone zdj ł kurtk , ukazuj c masywny czarny pistolet, zatkn i ty za pasek. Płynnym ruchem wyj ł bro , wymierzył w punkt mi dzy oczami Foleya i odbezpiezył.

Foley uniósł luf wyciszonego MP5 A na wysoko mostka Bertone'a i poło ył palec na spu cie.

Za pó no przypomniał sobie o otwartym zamku i pustym magazynku.

Bertone u miechn ł si blado.

– Powiedz mi jeszcze raz, e jeste my równie bezbronni.

Lufa zakołysała si , a pó niej opadła. Foley starał si skupi na czym innym ni wpatruj ce si w niego oko mierci.

– No dobra – mrukn ł z irytacj . – Jak zwykle jeste gór . Jaki masz plan?

Bertone opu cił pistolet, zabezpiezył i wsun ł go z powrotem za pasek.

– Musimy znale Kayl – oznajmił rzeczowo. – Wysłałem człowieka do mieszkania, które wynaj ła. Nikogo tam nie było. Pojechał na ranczo, które niedawno sprzedała. Z takim samym skutkiem.

– Pi knie – skwitował Foley.

– To młoda kobieta z ograniczonymi środkami i jeszcze bardziej ograniczoną wyobraźnią. Prawdopodobnie cię gdzieś w Phoenix. Uruchom wszystkie swoje kontakty z kadrami, czy jak to się tam teraz nazywa.

– Dział personalny – wyjaśnił Foley. – Jest weekend, ale mogłoby się dostać do jej akt. Mam zdalny dostęp do komputera korporacji.

– Dowiedz się wszystkiego, co możesz, o jej dodatkowych zajęciach, przyjaciółach, facetach. Znajdziemy ją.

– I co wtedy?

– Wydamy ją Gabrielowi.

– Ona nie ma faceta – powiedział Foley. – Przynajmniej nikt nigdy nie przyjeżdżał po nią do pracy ani nie zabierał jej na obiad. Ma kilku przyjaciół w dziale prywatnej bankowości. Mogłoby zdobyć dla ciebie list nazwisk.

– Sam do nich zadzwoń – polecił Bertone.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, chyba że bardzo...

– Już i tak tkwisz w tym poszty – przerwał Bertone. – Jeśli nie chcesz wziąć na siebie odpowiedzialności za moje konto korespondenckie, znajdź Kayl Shaw.

## *Rozdział 32*

*Royal Palms*

*Sobota, 21.35*

– Wtedy Steve Foley – opowiadała Kayla – kazał mi otworzyć konto korespondenckie dla zagranicznego banku dokonując przelewu i zrealizować czek. A on miał w tym czasie zasięgnąć rady dyrektora banku w sprawie konta Bertone'a.

– Zrobiła to?

– Tak.

– Kiedy?

– W piątek.

– Co powiedział dyrektor banku? – spytał Faroe.

– Nie miałam żadnych informacji od Foley'a – odparła. – Ani pół słowa. – Po jej minie widać było, że jest przestraszona.

I zła.

– Ile czasu zwykle potrzebuje Foley, żeby skontaktować się z dyrektorem? – zapytała Grace.

– Wystarczy jeden telefon. W najgorszym razie godzina czy dwie wieszania na telefonie. Foley robi w banku za złotego chłopca.

Grace skinęła głową i napiła się lemoniady.

– Opowiedz mi więcej o tym korespondenckim koncie – poprosiła. – Czym się różni od zwykłego?

Rand uwa nie przysłuchiwał się rozmowie. Grace była kiedyś dzielną federalną. Wiedziała, jak wgrzybić się w sprawę, ale jeśli kogoś lubiła, potrafiła to zrobić bezboleśnie. Jak do tej pory obchodziła się z Kayl jak z dzieckiem. Nie wiedział, czy to dobrze czy źle. Wiedział tylko, że ostrzegając Kayl, że od tej pory musi samodzielnie podejmować wszystkie decyzje. W końcu jest dorosła kobieta.

A jego wierzyły raczej, żeby jej dotknęła.

– Nie jestem ekspertem w kwestii kont korespondenckich – wyjąknęła Kayla. – Mam doświadczenie na gruncie krajowej, a nie międzynarodowej bankowości.

Grace milczała.

– Zwykle – zaczęła Kayla – sprawy kont korespondenckich załatwiane są bezpośrednio między

bankami. Kto z szóstego piętra musiał mnie w to wciągnąć.

– Dlaczego szef kazał zrobić ci coś, co nie należy do zakresu twoich obowiązków? – spytał Faroe.

– Powiedział, że jeśli posługujemy się kontem korespondenckim, nasz bank obejmie nieco inne zasady. Odpowiedzialność za uzyskanie informacji o kliencie miała być przeniesiona z nas na instytucję dokonującą przelewu. Zrealizowalibyśmy czek Bertona, ale... – Kayla przerwała.

– Wyszlibyście z tego obronnie, gdyby sprawę zainteresowali się agenci federalni? – dokończyła Grace.

– Tak przypuszczam – przyznała Kayla. – Ale ja w świecie bankowości jestem zwykłym pionkiem. Niekoniecznie jest tak, jak mi się wydaje.

– Moim zdaniem doskonale się orientujesz – stwierdziła Grace.

– Byłoby to dobre. Konto zadziałało. Nawet zbyt dobrze.

– To znaczy? – spytał Faroe.

Smukła dłoń Kayli zacisnęła się w piastkę na srebrnym dolarze.

– Wczoraj po południu sprawdziłam stan konta i okazało się, że niemal się podwoił, odkąd zrealizowałam pierwszy czek.

Grace i Faroe spojrzeli po sobie.

– O jakich kwotach mówimy? – spytała Grace.

Kayla zawahała się, po czym rozluźniła dłoń. Błyszczał na niej srebrny dolar.

– Nie jestem pewna, czy nasza umowa obejmuje tak szczegółowe informacje.

Grace się roześmiała.

– A jeśli my ci powiemy? – spytał Faroe.

– Jak to? – zdziwiła się Kayla.

Faroe podszedł do stołu, na którym stał zavalony papierami faks. Przejrzał kartki, a znalazł tę, której szukał.

– Według naszych ustaleń Bertone przelał do twojego banku dwie odrębne kwoty. Przelewu dokonał Bank Aruba z wyspy Aruba. Łącznie to trochę poniżej czterdziestu dwóch milionów dolarów amerykańskich.

Kayla z trudem przełknęła linie i skinęła głową.

– Obawiam się, że zmarnowali ci srebrnego dolara. Nie potrzebujecie mnie.

– Czy te pieniądze nadal znajdują się w twoim banku? – spytała Grace.

– Przynajmniej kiedy ostatnio sprawdzałam.

– Czy spodziewasz się kolejnych wpłat w najbliższym czasie?

Kayla zawahała się i westchnęła.

– Tak. Bertone uprzedził, że dokona następnych przelewów, i to szybko.

– Kiedy miała miejsce ta rozmowa? – zapytała Grace.

– Dziś wieczorem, chwilę przed tym, jak... – Głos jej się załamał na wspomnienie cienia mężczyzny, ogrodu, noża.

– Chwilę przed tym, jak usiłował usunąć cię ze sceny – dokończyła Grace.

– Chwilę przed tym, jak usiłował ją zabić – uciął ją Rand.

– Jej wersja bardziej mi się podobała – stwierdziła Kayla.

– Winięć może na uszminkowa, ale to nie zmienia faktu, że kwiczy – skwitował Faroe.

Kayla wydała gardłowy dźwięk, który mógł uchodzić za śmiech. Faroe usiadł na kanapie obok niej.

– Który z pracowników banku jest odpowiedzialny za przygotowanie dokumentów potrzebnych do utworzenia nowego konta korespondenckiego? – spytał.

Kayla zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, Faroe przyglądał jej się z czymś na kształt współczucia na twarzy.

– Ja – odparła posłannie. – Na rachunku figuruje moje nazwisko. Wszystko spadnie na mnie. Bo ja, mam przechłapanie.

Faroe spojrzał na Grace. Oboje zerknęli w róg pokoju, gdzie dyskretna kamera ochroniarska nagrywała wszystko, co się dzieje.

Faks zapiszczał i wypluł z siebie nowe kartki.

Faroe wstał, żeby je zebrać. Skinął głową do niej, po czym zwrócił się do Kayli.

– Je liby zniknęła dziś wieczorem, jak to było w planach, poszłaby na dno za pranie brudnych pieniędzy, gdyby konto zostało skontrolowane.

– Ale nie zniknęła – wtręciła Grace. – Nie wskoczyła do samolotu do Ekwadoru czy Urugwaju. Jesteś tutaj, żyjesz. Jeśli nam pozwolisz, dopilnujemy, żeby twoja wersja ujrzała światło dzienne.

– Mogłabym wyjść na mównicę i za pieką przed wysokim sędzią – powiedziała Kayla z gorzkością. – Ale to nie zmienia faktu, że przeciwko mojemu wspieranemu szefowi mam tylko słowa. Zgadnijcie, kto przegra na końcu tego scenariusza?

– Masz rację, Rand – wtręcił Faroe. – Ona nie jest tak niewinna, na jaką wygląda. I dziękuję Bogu.

– Czy to znaczy, że jest skreślona z twojej krótkiej listy podejrzanych? – odparł Rand.



– Z czego? – spytała Kayla.

– Z mojej czarnej listy – wyjął Faroe. – Mieliście ocenić, czy jesteście kozłem ofiarnym, czy skorumpowanym pracownikiem banku, biorącymi łapówki za pranie milionów dolarów brudnych pieniędzy.

Kayla przeniosła wzrok z Faroe'a na Randa.

– Ja od początku twierdziłem, że nie – usprawiedliwił się. – Znam Sybiraka – Bertone'a. Kto taki jak ty dobrowolnie nie wskoczyłby mu do łóżka.

– To, co nam powiedziała, idealnie pokrywa się z tym, co już wiedzieliśmy – dodała Grace.

– I jesteście silni psychicznie – stwierdził Faroe. – Niewiele młodych kobiet, a nawet mężczyźni, zdołaliby nie pogubić się w tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

Kayla uniosła brwi.

Grace się uśmiechnęła.

Faroe mruknął coś pod nosem i spojrzał w chłodne oczy Kayli.

– Chcemy, żeby zanurzyła się w to bagno i pogryzła Bertone'a.

Kayla podrzuciła monetę.

– Myślam, że to wystarczy.

– To bikini. Do przebrania potrzebna ci zbroja.

– Ile kosztuje zbroja?

– Wstawię pieniądze do St. Kilda Consulting.

– Mówiłem ci – wtrącił Rand.

Faroe zignorował go.

– Zapewnimy ci ochronę, zatrudnienie i zapłacimy stosownie do ryzyka. Takie umowy podpisujemy ze wszystkimi naszymi agentami.

– Jeśli podpiszesz umowę z St. Kilda, American Southwest już nigdy cię nie zatrudni – uprzedziła Grace.

Kayla załkała nerwowo.

– Tak się dzisiaj?

– Ale w umowie jest to, że St. Kilda dopilnuje, byś miała ochronę prawną, gdyby bank chciał ci zrobić jakiegokolwiek problemy – dokończyła Grace. – Wybór należy do ciebie.

– Bankiem przejmiesz się najmniej – odparła Kayla. – Martwi mnie Bertone. Co z nim?

Faroe wzruszył ramionami, dziwnie teatralnie. Kayla widziała podobny gest w negocjacjach z biznesmenami z Meksyku. Oznaczał *que sera, sera*.

B dzie, co ma by .

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, eby zapewni ci bezpiecze stwo – powiedziała Grace.

– O ile nie przeszkodzi to w misji – zauwa ył chłodno Rand.

– Cicho sied – upomniał go Faroe. – Kayla nie jest głupia. Wie, e ryzykuje. – Podał jej kartki, które wła nie wyj ł z faksu. – Ambasador si zgadza. Je li chcesz pracowa dla St. Kilda Consulting, jeste my do twojej dyspozycji.

– Mo ecie załatwi Bertone'a? – spytała.

– Z twoj pomoc na pewno tak. Bez ciebie... – Znów wzruszył ramionami.

Kayla spojrzała na Randa. Wsun ł r ce do kieszeni i czekał.

– Wi c to była rekrutacja od chwili, kiedy ci zobaczyłam na przyj ciu – powiedziała. – Kazano ci złowi mnie i przywie , eby St. Kilda mogła mi si przyjrze i oceni , czy mo na mi wierzy .

– Nie okłamałem ci – odparł.

– A je li si nie zgodz ?

– Zapewnimy ci bezpieczne schronienie i b dziemy ciga Bertone'a sami – powiedział Faroe.

– Ale beze mnie macie mniejsze szanse, eby go dopa .

Faroe skin ł głow .

No có , bankowo i tak nigdy nie była moim powołaniem, pomy lała Kayla. Szybko przeczytała stronic z faksu, a pó niej jeszcze raz, wolniej. Z ponurym u miechem wzi ła pióro, które podał jej Faroe. Przesu si , Alicjo. Teraz ja wpadam do króliczej nory. Podpisała i oddała mu pióro.

– Mo esz zatrzyma srebrnego dolara – powiedział.

– Taki miałam zamiar.

## ***Rozdział 33***

***Royal Palms***

***Sobota, 21.50***

Faroe wsun ął nieoznakowan ą płytę DVD do odtwarzacza i podał pilota Kayli.

– Grace i ja musimy walczyć z cyklem Krebsa – powiedział, wskazując przycisk pauzy. – Zapukaj, gdyby miała jakie pytania, na które nie będzie potrafił odpowiedzieć Rand.

Kiedy Faroe i Grace wyszli z pokoju, z głośników telewizora rozległ się głos mówiący ze szkockim akcentem.

– Nazywam się John Neto. Jestem funkcjonariuszem wywiadu zatrudnionym przez rząd Kamdarii. Mój mój kraj leży w sercu strefy konfliktu w zachodniej Afryce Równikowej.

Na ekranie ukazały się obrazy pięknego wybrzeża, soczyste zielone dżungli, dzikich zarośla i szczupłych, bardzo ciemnych ludzi, którzy patrzyli w kamerę z obojętnością lub wrogością.

– Byłam tam – powiedziała Kayla. – Przez tydzień usiłowałam złapać autobus do Nigru.

– Stamtąd nie ma żadnej drogi do Nigru – odparł Rand.

– No tak, ale nie znałam języka. W końcu po tygodniu poddałam się i wsiadłam do rosyjskiego samolotu pasażerskiego, którym sterował najbardziej pijany pilot, jaki kiedykolwiek oderwał się od ziemi. Lądowanie w Nigrze było... przeżyciem.

– Coś dzisz o Kamdarii?

– Zachwycająca. Przerażająca, ale niezwykle barwna mimo biedy. Wszyscy się uśmiechają. Dzieci się śmieją.

– Widziałaś ją ostatnio?

– Nie, ale czytałam gazety i sprawdzałam w Internecie.

A nawet gdyby nie, z obrazów na ekranie telewizora dowiedziałaby się wszystkiego, co powinna wiedzieć o Kamdarii i innych krajach zachodnioafrykańskich.

Zbrojne powstania, ludobójstwo, obozy dla uchodźców wszystko to na tle zieleni, błękitu i czerwieni. Czerwieni krwi.

Wszechobecna krew, znak agonii i śmierci.

Kayla czuła się, jakby cofnęła się do czasów młodości, kiedy jej świat był szeroko otwarty, kiedy optymizm był raczej zasadą, nie wyjściem, kiedy istniały szanse na wszystko. Kamdaria była wtedy rajem. Teraz jest piekłem.

Okaleczone dzieci.

Zagłodzone niemowlęta.

Matki z pustym spojrzeniem i pustymi piersiami.

– Bo e, jaka n dza – westchn ła. – Co tam si stało?

– Andre Bertone.

Na ekranie wida było białego mężczyzn , stoj cego w grupie czarnych mężczyzn. Za nimi ci gn ł si piaszczysty pas startowy.

– Wschodnia Kamd eria? – spytała.

– Masz dobre oko.

– Sp dziłam tam du o czasu – odparła.

Dwusilnikowy samolot transportowy, którego oznakowania na ogonie zostały zamalowane, stał na piaszczystym pasie startowym, z wł czonymi migłami, wzbijaj c pył i wir. Nadzy do pasa czarni mężczy ni wynosili z luku бага owego ładunek karabinów szturmowych. Na pierwszym planie grupa innych robotników układała wypchane płócienne worki.

– Koltan – wyja nił Rand, zanim Kayla zd yła spyta . – Niezb dny w nowoczesnej elektronice. W ostatniej dekadzie był na całym wiecie towarem deficytowym. Ka dy z tych worków wa y pi d ziesi t kilo i jest wart około pi ciu tysi cy dolarów.

Kayla przestała liczy worki na ekranie, kiedy doliczyła si w ierci miliona dolarów.

– To Bertone! – krzykn ła, gdy kamera ukazała zbli enie białego mężczyzny.

– Vel Sybirak – dodał Rand.

Bertone miał na sobie biały kombinezon, przepocony pod pachami i na plecach. U miechał si .

– Jak s p nad padlin – zauwa ył Rand.

– Kiedy podró owałam z plecakiem, nazywali my taki strój „bwana”. Bertone wygl da, jakby si w nim urodził.

– Handlarz broni w stroju bwana. O ile wiem, to jedyne uj cie, które pokazuje Sybiraka w akcji.

– Dlaczego nazywasz go Sybirakiem?

– Kilka lat temu Bertone vel Victor Krout i wiele innych nazwisk – był najwi kszym handlarzem broni na wiecie. Sprowadził do Afryki wier miliona broni lekkiej, dwadzie cia milionów sztuk amunicji, co najmniej milioeami – z hzie c arz iczjz ich42a

naftowym.

– Teraz tak. Wcze niej ta ropa zamieniła tl ce si etniczne i plemienne konflikty w istne piekło, w którym zgin ły tyysi ce niewinnych ludzi. Nie yj , bo Bertone zalał Afryk powodzi nowoczesnej broni.

Rand zamilkł, by dopu ci do głosu Johna Neta, komentuj cego brutalne obrazy.

– „Moi ludzie zabijali si nawzajem ju wcze niej, ale Bertone i jemu podobni umo liwili zabijanie z bezwzgl dn skuteczno ci . Byli my prostym narodem, któremu dano do r ki nowoczesn bro , dostarczon przez oportunistów takich jak Andre Bertone”.

Kayla wcisn ła pauz .

– My lałam, e przedmiotem wymiany były diamenty.

– Bertone brał wszystko, co mu dawano – egzotyczne drewno, ko słoniow , minerały. Najbardziej lubił barki pełne ropy ci gni tej z rz dowych ruroci gów przez złodziejskich buntowników. – Rand u miechn ł si blado. – To sprytny sukinsyn. Inni handlarze dali gotówki, on zacz ł uprawia handel wymienny. I okrutnie poszerzył zakres konfliktów.

Jeszcze wczoraj Kayla by w to nie uwierzyła. Handel broni w wy szych sferach Phoenix? Nie ma mowy. Tego rodzaju sprawy s zarezerwowane dla pełnego bezprawia Trzeciego wiata.

Wcisn ła przycisk pilota, eby kontynuowa przykre u wiadamianie.

– „Bertone – mówił Neto – zysk z transakcji zjedna grup walcz ych inwestował w zakup kolejnej partii broni, któr nast pnie sprzeda wał wrogom pierwszego klienta”.

Obraz na ekranie si zmienił. Głos nie był ju podkładany; kamera wycofała si i ukazała Brenta Thomasa i Johna Neta.

– „Ale dzi – powiedział Thomas – Andre Bertone ma akredytacj dyplomatyczn ONZ i jest szanowanym mi dzynarodowym handlarzem rop ”.

– „Tak. Powa anie da si kupi za odpowiedni kwot . W chwili, kiedy rozmawiamy, Bertone po redniczy w transporcie broni z Europy Wschodniej. Otrzyma zapłat w postaci długoterminowych koncesji, jakie buntownicy z Kamd erii zagwarantuj kompaniom naftowym, które posiadaj Brazylia i Francja. W sprawie ropy z Bertone'em negocjuje nawet pa ski rz d. – Neto u miechn ł si smutno. – ródło pochodzenia ropy, podobnie jak złota, diamentów czy dolarów, mo na ukry , pior c brudy. Andre Bertone nadaje si do tego idealnie. dne ropy rz dy, które chc uzbroi wroga swojego wroga, tym samym przyczyniaj si do zagłady Kamd erii. jeste my pionkami w wi kszej, globalnej grze”.

– „I jej ofiarami”.

Kolejne obrazy masakry, głodu, chorób, ziemia, na której g sto od s pów.

Kayla nie chciała uwierzy , e yje na wiecie, w którym wojna jest takim samym towarem jak ka dy inny.

Co gorsza, to ona obracała splamionymi krwi pieni dzmi najbardziej krwawego ze wszystkich rze nika.

Rand chwycił pilot, zanim zdążył upaść na podłogę, i wcisnął stop.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Nie – odparła. – Jest mi niedobrze. Czuję się brudna.

– Bertone przyprawia o to każdego, kto ma w sobie choć odrobinę przyzwoitości.

Pomyślała o przepychu konkursu Szybkiego Rysunku, o kanapkach za cenę dziecięcej krwi, politykach opłacanych w ten sam sposób, o wszystkich, którzy ustawiali się w kolejce, żeby ich obsłużył sprzedawca miernicy. To wszystko działo się zaledwie kilka godzin temu, ale te godziny wydawały się odległe o całe miesiące.

Kiedy była w innym czasie i przestrzeni.

Teraz uderzyła o dno króliczej nory tak mocno, że pękło jej serce.

Rand dostrzegł łzy spływające po twarzy Kayli i miał ochotę klęknąć. Tylko przez dny człowiek może współczuć drugiemu. Tylko przez dno człowieka może na zepsu. Tylko przez dny człowiek może czuć się brudny.

Nad kwestiami: mądra – głupia, powinna – nie powinna, w ogóle się nie zastanawiał. Po prostu wziął ją w objęcia, ukrył jej twarz na swoim ramieniu i przytulił ją. Gorąca cisza jej też wstrząsnęła nim jak nic od miernicy Reeda.

– To nie twoja wina. – Głaskał ją po głowie, całując delikatnie powieki, smakując jej łzy.

– Pomogłam mu – zdołała wykrztusić.

– Nie wiedziała.

– Ale wiem.

– Przepraszam – powiedział mi kko.

– Za co?

– To ja ci przywiozłem do St. Kilda.

– To nie jest wina St. Kilda. Oni są tylko informatorami.

– Tak, ale wszyscy wiemy, co się dzieje z informatorami.

Umiechnęła się smutno, westchnęła i wzięła do ręki pilot. Chciała się od niego odsunąć, ale przytulił ją mocniej.

– Już mi lepiej – powiedziała.

– Ale mnie nie.

Nie wiedziała, czy się śmiała, czy dalej płakała, więc wtuliła się w niego i znów włączyła DVD.

– „Jak może cię to powstrzymać? – spytał Thomas. – Jesteś bardzo małym narodem, a wasi rzekomi sprzymierzeńcy są powiązani z Andre Bertone'em”.

– „Kamdenia i inne kraje, które stały się ofiarami Bertone'a, połączyły się i ustanowiły Regionalny Trybunał Zachodnioafrykański”.

– „W czym on pomoże?”

– „Trybunał zbiera dowody przeciwko Bertone'owi i jemu podobnym. Udowodnimy, że narody Afryki Zachodniej padły ofiarą najpodlejszych ludzi na tej ziemi. Później światowa opinia publiczna wymusi, żeby pieniądze zwrócono ludziom, z których krwi zostały wyciśnięte”.

– „Poważne wyzwanie”.

– „To prawda. Wywiady takie jak ten to dopiero początek. Potrzebujemy pomocy. Potrzebujemy przyjaciół. Potrzebujemy ludzi, którzy nie zostali kupieni przez Andre Bertone'a”.

Wywiad dobiegł końca i na ekranie ukazało się logo stacji. Kayla odetchnęła głębiej.

– Jakim cudem przegapiłam ten program? – spytała. – Zawsze oglądam *wiat w godzinę*.

– Ten odcinek jest dopiero w produkcji – wyjaśnił Rand, odkładając pilot. – Zostanie wyemitowany, kiedy zdobędziemy więcej dowodów przeciwko Bertone'owi.

– Więcej? To, co zobaczyłam, jest drugocześnie. Handlarz broni w stroju bawiana staje się osobistością w Phoenix i wspiera stanowych, krajowych i międzynarodowych polityków.

– Jedynymi osobami, które mogą powziąć Bertone'a ze strojem bawiana, jesteście ty i facet, który zrobił to zdjęcie.

– artujesz.

Rand spojrzał jej w oczy.

– Nie artujesz – stwierdziła szybko. – Wiedziałam. Po prostu nie chciałam tego wiedzieć.

Grzbietem dłoni dotknęła ramienia, zbierając z nich ostatnie łzy, i zastanawiała się, czy rzeczywiście poczuła usta Randa przesuwające się delikatnie po jej skórze.

– Zdjęcie może na sfabrykować – wyjaśnił. – Prawnicy Bertone'a na pewno od razu zaczęłyby krzyczeć, że to przeróbka z Photoshopa.

– Wiem nawet gdyby wyemitowano ten program, on nadal by się wypierał. – Kłamił ust Kayli opadły. – Jak mój bank, zrzucając odpowiedzialność na kogoś innego.

– I tu właśnie nie możesz pomóc.

– Jak? Po tym, co zrobił Bertone, jestem skompromitowana. Mój szef też. Nie zapominajmy o Foyley.

– Chyba bym go sprzątnęła – mruknęła Rand.

– Co?

– Twoja reputacja zostanie uratowana, jeśli *wiat w godzinę* przyćmi nieprawników Bertone'a do muru.

– To stoi pod wielkim znakiem zapytania.

– Mniejszym niż przed podpisaniem umowy z St. Kilda.

– Jak to?

– Po prostu. W myli karty Regionalnego Trybunału Zachodnio-afrykańskiego Neto może przejechać pieniądze, które pochodzą z nielegalnej działalności. Ale najpierw musi wiedzieć, gdzie te pieniądze się znajdują.

Załąpała.

Kluczem jest prywatny finansista Bertone'a.

– Bingo.



## *Rozdział 34*

*Phoenix*

*Sobota, 22.01*

Dar Jumping Cholla przy Indian School Road przypominał Gabrielowi Navarro dom. Smak piwa był jak mleko matki, tequila jak brutalna dłoń ojca, a zadymione powietrze otulało niczym swojski koc. Tawerny, kantyny i bary w dzielnicach białej biedoty – we wszystkich tych miejscach męczyli czy nie byli prawdziwymi męczyznami, a nieliczne kobiety, które moim na było tam spotkać: zwykłymi dziwkami albo zawodowymi prostytutkami.

Kiedy Gabriel był chłopcem, kałdy facet trudniący się gruchotaniem kości ci musiał spędzić całe godziny w barach piwnych, klubach striptizu i na zawodach sportowych. Tylko stali bywalcy mogli dawać swoim klientom numer telefonu i mieć pewność, że barman połczy rozmowę albo przekaże wiadomość – rzecz jasna, nie za darmo.

Dochody barmanów uszczupliło pojawienie się telefonów komórkowych. Gabriel miał komórkę i od klienta dzieliło go tylko wybranie numeru, więc nie był mu potrzebny żaden barman. Ale nadal lubił przesiadywać ze swoimi znajomkami z Phoenix w barach na północy miasta i w zachodniej części Central Avenue. Mimo szczupłej, mikrej sylwetki nie musiał co wieczór udowadniać, co potrafi.

Ta myślna wywołała u niego ból na jego twarzy. Tutaj kałdy wie, że Gabriel Navarro jest bezwzględny sukinsynem. W Jumping Cholla ostatni raz zabił trzy lata temu, i wcale nie po to, żeby poprawić sobie reputację. Gość musiał zginąć. I Gabriel tego dopilnował.

Czuł się swojsko wśród mieszanej klienteli baru – Indian, Metysów, Meksykanów i innych Latynosów. Mógł pić i grać w bilard z zezowatym potomkiem osadników z Kanady z Baton Rouge, po sto dolarów partyjka, i nikt nie zwracał mu głowy. Fakt, barmanka co pół godziny dopytywała się, czy chce jeszcze jeden kufel, ale zawsze podchodziła do niego na tyle blisko, że mógł ją chwycić za tyłek, więc nie była to wielka udręka. Ostatni osobnik, którego spodziewał się zobaczyć, kiedy smarował kredą swój kij, był wchodzący przez tylne drzwi Andre Bertone. Co on tu robi? Przecież ma numer mojej komórki. Bertone natychmiast ukrył się w mroku, zatrzymał i zmierzył wzrokiem bar. Wystarczył mu rzut oka, żeby się zorientować, w jakim miejscu się znalazł. Nie była mu obca woń tytoniu, piwa, męskiego potu i pisuarów, do których częściej nie trafiało, niż do niego. Spośród podobnych miejsc, które zdarzało mu się odwiedzać na całym świecie, Jumping Cholla plasował się najwyżej. Tu przynajmniej próbowano zabić odór moczu rodkiem dezynfekcyjnym.

Ale nie przejmij się, gdyby bar okazał się mało przyjazny. Kiedy dostarczał afrykańskiemu ministrowi obrony milion dolarów łapówki w gotówce w miejscu o wiele gorszym niż to. Innym razem miertelnie postrzelił bułgarskiego pilota, który ukradł ładunek granatów. Przy jeszcze innej okazji w akcji brali udział nóż i głupek, który usiłował zająć miejsce Bertone'a. Żaden z właścicieli barów nawet nie próbował Bertone'a powstrzymać. Jeśli stwierdzi, że Gabriel okłamał go w kwestii ucieczki dziewczyny, nikt nie uchroni Navarra przed śmiercią, na jaką sobie zasłużył.

Barman dostrzegł nowego gościa i ocenił, że trafił tu przez pomyłkę. Bertone lekko się

u miechn 1. Mo e to jego biała jedwabna koszula rozpi ta pod szyj , spodnie z grubszego jedwabiu i mokasyny za tysi c dolarów. Albo fryzura, za któr zapłacił wi cej, ni wynosi tygodniowa pensja wi kszo ci znajduj cych si tu m czyzn.

Barman uderzył w blat kuflem, który akurat wycierał, z hukiem przypominaj cym odgłos wystrzału. Wszystkie głowy podniosły si i oczy obecnych skierowały si najpierw na barmana, a potem pod yły za jego spojrzeniem. Gabriel nie oderwał wzroku znad stołu bilardowego, nad którym wła nie składał si do strzału.

– *Bienvenido* u mnie, *esso!* – krzykn 1 przeci gle i niewyra nie. – Spodziewałem, e ci szybko zobacz . Ale nie tutaj. Masz dobre ródła.

– Ju raz ci znalazłem, Gabriel. A skoro znalazłem ci raz, znajd ci ju zawsze.

Po tych słowach Bertone odwrócił si i wyszedł tylnymi drzwiami na ciemny parking.

Ku zaskoczeniu znajduj cych si w sali m czyzn Gabriel odrzucił kij i podszedł do tylnych drzwi.

Kanadyjczyk, z którym grał, miał włosy koloru chili i chrypliwy głos.

– Co, bracie, pasujesz?

– Jest remis, dupku – rzucił Gabriel, nie ogl daj c si za siebie.

Kanadyjczyk nie protestował.

Gabriel zastał Bertone'a opieraj cego si o l ni c czarn mask swego kuloodpornego humvee. Zaci gał si cygarem, które dopiero co zapalił. W jego grubych palcach połyskiwała pozłacana zapalniczka.

– Powiedz mi, jak było naprawd – za dał.

– Tak, jak ci mówiłem. – Gabriel wzruszył ramionami. – Suka miała nó . Otworzyła go jedn r k , jakby umiała si nim posługiwa . Miało nie by adnej krwi, wi c musiałem pomy le . I wtedy ten pieprzony ochroniarz mnie o lepił. Pomy lałem, e poczekam na lepszy moment.

Bertone wypu cił dym z cygara i przygl dał si Gabrielowi z za aromatycznej chmury. Nie był bystry ani zaradny – tak naprawd był prymitywny.

Ale u yteczny i bezwzgl dny.

– Wi c wdrapałe si na mur i wróciłe do posiadło ci – doko czył Bertone.

– Ochroniarz miał bro . Gdybym si stamt d nie zwin 1, byłby du y hałas, a tego by nie chciał przy tych wszystkich wa nych go ciach.

– Co si stało z twoj broni i reszt ekwipunku?

Gabriel otworzył usta, ale zamkn 1 je bez słowa. Si gn 1 po papierosa i przypalił go zapalk , któr zapalił, pocieraj c o d insy na tyłku.

– Mam własn bro – powiedział w ko cu. – I mog u y zwykłego sznurka, kiedy j znowu znajd .

– O ile j znajdziesz, idioto. – Głos Bertone'a brzmiał jak smagnię cie batem.

– Znam Phoenix. Znajd j . Ty pilnuj lotniska.

– Zgubiła bro , ta m , kajdanki. Je li je znalazła, poleci na policj . Je eli znalazł je ochroniarz, nic mi o tym nie powiedział, pewnie dlatego, e go nie widziałem od znikni cia Kayli.

Mimo furii w głosie Bertone'a Gabriel zdobył si na wzruszenie ramionami.

– Chcesz, ebym znalazł kolesia?

– Nazywa si Jimmy Hamm. – Bertone wcisnął Gabrielowi do r ki zwini t kartk . – To jego podanie o prac . Jest tu jego ostatni znany adres. Znajd go. Mo e jest z nim dziewczyna. Je li tak, zabij oboje.

Gabriel wygładził papier i zmarszczył czoło.

– Chyba umiesz czyta , co? – prychn ł Bertone.

– Tak. Mam podstawówk , bez jaj. – Ale niektóre słowa sprawiały mu problem.

O wiele pro cie j było posługiwa si no em.

Bertone zrobił krok w stron Gabriela. Była to milcz ca gro ba i obaj o tym wiedzieli.

Gabriel potraktował j powa nie. Bertone plasn ł kopert w tors Navarry.

– Tu s kopie danych z akt Kayli Shaw i dokumenty jej najbli szych kolegów z banku. Nie zwracaj sobie głowy szukaniem jej w mieszkaniu ani na ranczu. Nie jest taka głupia. Skup si na jej znajomych. Szukaj jej samochodu przy ich podjazdach, sprawd , czy nie ma po niej ladów u którego w domu.

– Kurde, chłopie. Jak b d w szył w domu bankowca w rodku nocy, gliny przyp dz na sygnale.

– Niech ci pomog kumple – odparł Bertone, wskazuj c głow w stron baru. – Skoro udaje im si wy y z tej speluny, musz by nie li w kombinowaniu.

Rzucił okr gły zwitek w powietrze.

Gabriel zwinniej ni kocur chwycił rolk pi dziesi ciodolarowych banknotów.

– Sprowad mi j – rozkazał Bertone.

– yw ?

Bertone otworzył drzwi samochodu i spojrział ponad nimi na Gabriela.

– Znajd j , zabij i dostarcz mi dowód mierci.

Drzwi zatrzasnę ły si i wielki silnik odpalił. Bertone wycofał wóz i wł czył wiatła, o lepiaj c Gabriela. Przez kilka chwil humvee nie ruszał si z miejsca, sprawiaj c, e Gabriel czuł si obna ony, bezbronny.

– Pieprzony sukinsynu – zakl ł Navarro pod nosem. – A mo e ty nawet nie jeste niczym

synem.

Wreszcie humvee odjechał w ciemną noc. Gabriel został sam z kartką w jednej dłoni i rolką pięćdziesiąt dolarów w drugiej. Wsunął adres Jimmy'ego Hamma do koperty, wsadził kopertę pod koszulę i wrócił do Jumping Cholla.

W dymie zajął się u miechy, kiedy zaczął rozdawać pieniądze.

## ***Rozdział 35***

***Royal Palms***

***Sobota, 22.40***

Kayla pokręciła gwałtownie głowę. W co ja się wpakowałam?

Ledwo zdążyła pomyśleć, że jej życie dziwniejsze będzie niż nie może, zorientowała się, że pudruje jej twarz do wywiadu, którego miała udzielić sławnemu dziennikarzowi z telewizyjnych wiadomości. Przystojny dziennikarz był w garniturze i krawacie.

A ona będzie gadać głowę. Wypudrowaną. Ze zniekształconym głosem. Jak abba na przyspieszonych obrotach.

Ted Martin, którego przedstawiono jej wcześniej jako kierownika produkcji, podszedł do niej w chwili, kiedy kobieta o imieniu Freddie przetrząsała się z pudru na grzebie i nożyczki.

– Szkoda twojego czasu – powiedział Ted do charakteryzatorki. – Będzie pod wietlona od tyłu, w półmroku.

– Ten facet też był – odparła Freddie, nie dając za wygraną. – Gdybym go nie opórzdziła, wyglądałby jak goryl.

Kayla zastanawiała się, kim jest „ten facet”. Zerknęła na Randa, który wyglądał jak wie o powizycie u fryzjera.

– On? – spytała, wskazując go brodem.

– Tak. Przystrzygłam z pół metra futra.

Kayla zachichotała.

– Włosy masz w porządku – orzekła Freddie. – Wystarczy szczotka i trochę elu, żeby nic nie sterczało. Gdyby było widać twarz, położyłabym ci zimne kompresy na oczy. Łzy to dla nich zabójstwo.

– Jesteśmy gotowi – rzucił Martin, wyraźnie zniecierpliwiony.

– A ja nie – odparła Freddie. – I powiedz panu Wspaniałemu, że wieci mu się nos.

– Wiesz, ile kosztuje przekroczenie czasu?

– Wiem, ile mi płacę, i wiem, co robię. Zejdź mi z oczu i daj mi pracować.

– Jak długo?

– Na tyle, żebyś jeszcze raz wszystko z nią omówił.

Martin poddał się i odwrócił do Kayli.

– Nie denerwuj się. To tylko krótki wywiad, żebyśmy mieli coś do wstawienia, gdyby materiał skończył się za wcześnie. Możeemy ci coś, kasowa, poprawi albo nagraj od nowa, wszystko, co będzie trzeba, żeby dobrze wypadła. Zgoda?

Kayla nie skinęła głową, bo Freddie znów wymachiwała nad nią rękami.

– Pytamy cię o Bertone'a, odpowiadasz, zadamy ci więcej pytań, odpowiadasz. Może okaza się, że jesteś zdenerwowana tym, co ci się przydarzyło – tłumaczył Martin. – Im więcej emocji, tym lepiej. Zgoda?

– Nie dla oczu – wymruczała Freddie, wcierając olej w włosy Kayli.

– Chwyć za serce, a będzie ci słuchać – powiedział Martin.

– Mam płakać do kamery? – spytała Kayla.

– To byłoby super.

– Nie jestem aktorką.

– Zdzieliłem się zorientować – odparł Martin i zwrócił się do Freddie: – Dwie minuty albo zaczynamy z tobą na planie.

– Namaluj sobie na tyłku uśmiech i wypnij się na siebie. – Freddie mrugnęła do Kayli.

Martin podszedł do rozmawiających Faroe'a i Randa.

– Co macie nowego?

– Godzinę temu dostałem informacje – powiedział Faroe. – Jeżeli pojawi się coś nowego, dowiesz się jako drugi.

– Wolałbym być pierwszy.

Faroe miał ochotę przewrócić oczami jak dziewczyna.

Rand zakaszłał, żeby się nie rozemniał. Później spojrzał na Kayl i... spojrzał jeszcze raz. Freddie zmieniła jej fryzurę z gładkiego uczesania w rozwiane wiatrem niewinno; teraz Kayla wyglądała jak nastolatka.

– Niezła jesteś – powiedział do Freddie. – Szkoda, że nie będzie tego widać.

– Włosy będzie widać – odparła. – Patrz.

Rand patrzył.

I uczył się.

Zawsze wiedział, że w programach informacyjnych w równym stopniu liczą się fakty i oddziaływanie na emocje. Teraz przekonał się o tym naocznie, kiedy Kayl posadzono na krześle i podświetlono od tyłu tak, żeby wyeksponowała jej drobną sylwetkę.

Niewinna fryzura robiła wrażenie aureoli.

– Dobra robota – pogratulował Freddie Rand.

– Cisza! – warknął Martin.

Rand przysłuchiwał się, jak Thomas sztami stara się rozluźnić Kayl, żeby zapomniała o kamerze i krok po kroku przemierza z nią cięki, która zawiodła ją nad przepaść współudziału w przestępstwie.

– Tak – potwierdziła. – Byłam bardzo zadowolona, kiedy szef przydzielił mi Bertone'ów jako szczególnych klientów.

– Szczególnych? – spytał Martin.

– Pełniłam rolę ich podrednika w wydziale prywatnej bankowości American Southwest. Prowadziłam im kilka kont, osobistych i firmowych, przelewałam pieniądze na tych rachunkach i tym podobne rzeczy. We wszelkich sprawach związanych z pieniędzmi dzwoniли do mnie.

– I nie dopatrzyła się pani na tych kontach niczego dziwnego?

– Nie. Oczywiście wydawali wiściejnie przeciwnie gospodarstwo domowe, ale te zarabiali grubo ponad przeciwnie.

– Nie chciała pani mieć takich pieniędzy? – spytał Thomas. – Ja bym chciał.

Kayla się uśmiechnęła.

– Nie. Trudno to zrozumieć ludziom spoza branży, ale pieniądze klienta, którymi się obraca, nie są prawdziwe jak te, którymi opłacam rachunki. Są po prostu liczbami, które przenosi się z jednego konta na inne. To liczby, nie dolary.

– Wiście nie marzyła pani o tym, żeby posiadać bogactwa Bertone'ów?

Kayla wolno pokręciła głowę.

– Odkładam trochę pieniędzy na wakacje, trochę na emeryturę, spłacam karty kredytowe. To są prawdziwe pieniądze. Prawdziwe życie.

Rand niemal zaklaskał. Faroe się pochylił.

– Jest dobra – szepnął mu do ucha.

Rand pokręcił głowę.

– Dobry jest Thomas. Ona jest prawdziwa. – Powiedział bardzo cicho.

Martin spojrzał na nich gniewnie.

Zawibrowała komórka Faroe'a. Poklepał się po kieszeni i wyszedł.

Rand zastanawiał się, co znów wyskoczyło i gdzie, ale został z Kayl, chociaż wcale nie potrzebowała duchowego wsparcia. Radziła sobie świetnie. Słuchał jej zwierze, które miały wiadomości i wywołało zachwyty fanów jednego z najpopularniejszych w Ameryce programu publicystycznego.

Prawie nie podniósł wzroku, kiedy Faroe wrócił do domu, który stał się sceną dla *wiat w godzin*. Podszedł do Martina i podał mu jakieś papiery.

Martin mruknął coś na temat szelestu kartek, ale zaczął czytać.

Minut później uniósł głowę i spytał:

– Czy to pewne?

– Jak w banku – odpowiedział Faroe.

– Bo e. – Martin uśmiechnął się promiennie. – Ci cie! – krzyknął przez ramię.

Wiatła zapaliły się i zgasły. Wszyscy w pokoju spojrzeli na Martina, a potem zaczęli rozmawiać.

– Co jest?! – Thomas usiłował przekrzywić głowę.

– Koszmar stał się prawdą. – Martin podszedł i wręczył mu kartki. – Przeczytaj.

Thomas przeczytał raz, a później znowu.

– Czy to...

– Tak – przerwał mu Martin. – Wykorzystaj to.

Kayla poruszyła się na niewygodnym krześle.

– Nie wstawaj – powiedział Martin. – Właśnie nie dochodzimy do najlepszej części.

– Zaczniemy od sprzedaży jej rodzinnego rancza – oznajmił Thomas.

Kayla się skrzywiła. Nie miała ochoty przerabiać tego od nowa – słodko-gorzkich wspomnień z dzieciństwa splecionych z potrzebami dorosłego życia.

Rand dostrzegł emocje, które pojawiły się na jej twarzy, i chciał interweniować. Już do przeszła. Potrzebowała chwili odpoczynku, żeby się nie załamała.

– Nie – szepnął Faroe, zaciskając dłoń na ramieniu Randa.

– Czemu?

– Program oddziałuje na emocje, nie na rozum. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Cholera! syknął Rand. – Ona potrzebuje...

– Nie zmienimy ludzkiej natury – przerwał mu Faroe – ale możemy ją wykorzystać do naszych celów.

– To na pewno cholernie podniesie Kaylę na duchu.

– Grace zadbała, żeby dostała łazienkę z dużym jacuzzi.

– No, to zmienia postać rzeczy – mruknął Rand sarkastycznie.

– Lepsze to niż kopniak w dupę i wylanie z pracy.



Martin zaczął wydawać polecenia, znów zamieniając dom w studio telewizyjne. Jedne światła przygasły, inne się zapaliły.

Cisza.

A później głos Thomasa, który pytał Kayl, jak się czuła, sprzedając rodzinny dom.

Następnie zapytał, jak się czuła, jedząc ostatnie śniadanie z Bertone'ami.

Jak się czuła, kiedy szef kazał jej założyć konto.

Uczucia, pomiędzy Rand z goryczą. Pieprzyć fakty.

Ale to działało. Głos Kayli stawał się coraz bardziej niepewny, zdradzając, że walczy ze łzami i ze strachem.

Thomas okazywał współczucie i wyrozumiałość.

Wspaniale.

Ophrah Winfrey może się schować, pomiędzy Rand. Ten koleś potrafi poruszyć najczulsze struny.

– Była pani wiadoma pochodzenia pieniędzy złożonych na koncie Banku Aruba? – spytał Thomas.

– Kiedy sprawdzałam, czy w tym banku są środki na dokonanie przelewu na konto korespondenckie, rozmawiałam z młodą kobietą z jamajskim akcentem. Połczyła mnie z prezesem banku. Nazywa się Thronged. Miał holenderski akcent i był bardzo kompetentny.

– Pan Thronged – powtórzył Thomas, przeglądając kartki, które dał mu Martin. – A czy wiedziała pani, że ta miła kobieta z wyspiarskim akcentem prowadzi sklepik na północy wyspy Aruba? Zarabia sto dolarów tygodniowo, odbierając telefony zagranicznych klientów takich jak pani i mężczyźni z emerytowanym holenderskim bankowcem, niejakim panem Throngedem, który wykonuje operacje Banku Aruba, filii Sugar Sands, przeprowadza za pomocą telefonu i faksu spod baru swojej tawerny przy plaży. A właścicielem całego kapitału akcyjnego banku jest Andre Bertone.

– Ja... jest pan pewien?

– Tak. Przykro mi. Widzisz, że jest pani zaskoczona.

Kayla miała ochotę ukryć twarz w dłoniach i zaczęła płakać, ale opanowała się.

– Powiedziano mi tylko, że znajomość rodła pochodzenia środków, które przelewa Bertone, nie jest moją sprawą, to znaczy nie jest sprawą mojego banku. że to sprawa Banku Aruba.

– Wiem, że nie była pani wiadoma, że Andre Bertone wyczyścił konta, które John Neto założył w Bazylei i Liechtensteinie, a także siedemdziesiąt milionowe konto w Banku Sark na Wyspach Normandzkich?

– Nie – odpowiedziała Kayla.

I na dobrą sprawę nie wiedziała, czy odpowiada na pytanie, czy po prostu zaprzecza, że dała się tak okrutnie oszukać. Thomas stuknął palcem w kartki, które trzymał.

– W sumie pan John Neto wytropił ponad dwieście trzydzieści milionów dolarów, które zostały przelane w rejon Morza Karaibskiego.

– Ja nie... – zaczęła Kayla ochryple. – Mój Boże, nie.

– Rodki te trafiły na różnego rodzaju konta zagraniczne, wszystkie chronione tajemnicą banków w myśl stosownych przepisów prawa. Czy Bertone mógł obracać pieniędzmi za pomocą tych tajnych kont, a później gromadzić je w filii banku Sugar Sands, żeby przelać je tutaj, do Stanów Zjednoczonych?

– Wierzę miliarda... – Kayli załamał się głos. – Nie. Nie widziałam takich kwot.

– Ale jakie pani widziała, prawda? – spytał łagodnie Martin.

– Ja...

– Pieniądze z przemytu broni, splamione krwią, okupione cierpieniem głodnych niemowląt, okaleczonych, gwałconych i umierających dzieci. Widziała pani te pieniądze. – Głos Thomasa niczym rapier przeszywał jej serce. – Prawda?

Łzy i nieme na zaciemionych policzkach Kayli były jedyną odpowiedzią.

– Główne konto korespondenckie, które pani założyła, jest niczym innym niż kanałem dla brudnych pieniędzy, prawda? – dopytał Thomas. – Kanałem oliwionym pieniędzmi płaconymi za milczenie i działaniem skorumpowanych pracowników.

– Ja do nich nie należałam – protestowała Kayla łamiącym się głosem. – Wpadłam w pułapkę zastawioną przez Andre Bertone'a. Nie wiedziałam, skąd pochodzą pieniądze, kto usiłował mnie porwać, a ja tylko starałam się przestrzegać zasad. – Ukryła twarz w dłoniach. – Mój Boże, kto mi teraz uwierzy?

Thomas pozwolił, żeby cisza cięgnęła się i cięgnęła... a dźwięk kowcika na sygnał podkręcił

## *Rozdział 36*

*Royal Palms*

*Sobota, 23.55*

Wonna para z jacuzzi unosząca się wokół głowy Kayli dawała jej poczucie, że jest oddzieleną od rzeczywistości i za chwilę wzniesie się w stronę innego świata. Wanna, choć piękna, nie była pomyślna. Jest tylko jedna rzecz, która tkwi w niej po uszy. Bertone, brudne pieniądze, no i cała reszta.

Trzy ciężkie przyciski i strumienie przestały buźkować. Woda uspokoiła się, ale pachnąca para ciągle spowijała głowę Kayli. Moja rzeczywistość nie jest zła do końca.

Jej myśli bezwiednie pomknęły w stronę Randa. Kiedy uniosła głowę po swoim ałosnym występie, przyglądał się jej. Wzrok miał dziki, a rękę zamknął w uścisku dłoni Faroe'a, zaciął w piasek. Po kilku chwilach wyswobodził się, podszedł do Kayli i wziął ją w ramiona. W normalnych okolicznościach nie byłaby zachwycona takim opiekunem, ale nie tym razem. Przywarła do niego jak do koła ratunkowego. Bardzo kulturalnego koła ratunkowego.

Zaprowadził ją do luksusowego dwuapartamentowego domu, pokazał jacuzzi i zamknął drzwi, oddzielając jej apartament od wspólnego salonu. Później usłyszała, jak wychodzi frontowymi drzwiami i zamyka je za sobą. D entelmen, pomyślała.

Oboje dobrze wiedzieli, że jej mechanizmy obronne padły. Będzie ta czy, jak jej zagra. Była przestraszona, zawstydzona, skołowana i potrzebowała ukojenia.

Cóż, jacuzzi też daje ukojenie. I nie trzeba go komplementować w trakcie. Leżała więc, rozluźniając mięśnie, ale myśli goniły jej po głowie niczym oszalała wiewiórka.

Pieprzytło. Jeszcze trochę ciepłej wody i zanim znów usiedzą przed kamerą, będą musieli mnie wyprasować. Stop wyciągnęła korek, wstała i owinięła się mokrą rączką, który opadł do samej podłogi. Salon oddzielający dwa apartamenty był pusty. Wmawiała sobie, że nie czuje się rozczarowana.

Podeszła do barku i stwierdziła, że ten, kto zbierał wiadomości na jej temat, był bardzo skrupulatny – czekała na nią butelka grand marniera.

– Teraz naprawdę jestem przerażona – powiedziała na głos. – W każdym razie powinnam być.

Wzięła z wiaderka kilka kostek lodu, wrzuciła do masywnej szklanki, wlała odrobinę wody i zalała whisky. Szczyt drinka, starała się zapanować nad niepokojem. Miała ochotę krzyknąć.

Posłuchaj rady Randa, tłumaczyła sobie. Zrelaksuj się, do cholery. Wyłączyła światła, zamknęła drzwi swojego apartamentu i weszła na otoczone murem patio, na które wychodziło się z salonu. Płytki pod stopami były rozgrzane, a powietrze rześkie, niemal chłodne. Woda pluskała w potrójnej fontannie zagłuszała inne odgłosy. Kiedy oczy Kayli oswoiły się z ciemnością, zaczęła rozkoszować

si łagodnym blaskiem ksi ęca nad fontannami ustawionymi wzdłu ę muru.

Drzwi wej ciowe si ę otworzyły. Serce zacz ęło jej wali ć jak młotem, ale uspokoiło si ę, kiedy rozpoznała barczyst ę sylwetk ę Randa id ącego przez salon. Czekaała, a ę zapuka do drzwi jej apartamentu. On jednak pochylił si ę i zacz ęł wsuwa ć pod drzwi kopert ę.

– Co robisz? – spytała.

Wyprostował si ę i odwrócił do niej tak szybko, ę ona podskoczyła. W blasku ksi ęca dostrzegła, ę w dłoni trzyma pistolet. Sprawnie schował go do kabury przy pasie i wyszedł na patio.

– Przestraszyła ę mnie jak diabli – powiedział.

– A ty mnie. Czy kto ę ci mówił, ę masz szybkie r ęce?

– Raz czy dwa. – Umiechn ęł si ę lekko. – Co robisz po ciemku na dworze?

– Staram si ę zrelaksowa ć.

– I udaje ci si ę ?

– Kiepsko. – Kiedy unosiła do ust szklank ę z whisky, zad ęwi czał łód.

– Widz ę, ę znalazła grand marniera.

– Tak. Komu mam dzi ękować ?

– Pewnie Grace. To ona zadbała, ęby dostała apartament z jacuzzi. – I fontanny, których szum zagłusza rozmowy, ale jednak...

– Podziel si ę.

– Jacuzzi? – spytał zaintrygowany.

– Te ę, ale miałam na my śli alkohol. – Wzi ęła kolejny ęyk. – Co jest w kopercie?

– Pieni ędze przechodnie.

Zamrugaała.

– Słucham?

– Wejd ę do rodka, to b ędziemy mogli spokojnie porozmawia ć.

Niech ęnie wróciła do rodka i zasun ęła za sob ę drzwi na patio.

Rand sprawdził alarm, który Faroe zamontował w drzwiach. Dostrzegłszy zielone wiatło, zamkn ęł drzwi i wszedł za Kayl ę.

– We ę. – Podał jej kopert ę. – ęby nie musiała korzysta ć z kart kredytowych ani konta bankowego.

Wzi ęła kopert ę, zaskoczona jej grubo ęci ę.

– Dzi ęki.

– Przelicz. Powinno być pięć patyków.

– Pięć tysięcy dolarów? Kartujesz?

– Nie. – Wyciągnę rękę po szklankę, którą wymachiwała. – Dolej mi.

– Co ja mam z tym zrobić?

– Wypij.

– Z pieniędzmi. Pięć tysięcy dolarów!

– To standardowa zaliczka St. Kilda Consulting dla agenta operacyjnego. Jeśli się skończy do przyszłego tygodnia, będziesz musiała złożyć zamówienie, wyszczególniając, na co potrzebujesz dodatkowych pieniędzy.

Zwykle na łapówki, ale w tej chwili raczej nie chciałaby tego usłyszeć, pomyślała.

– Za pokój i wyżywienie płaci się z tych pieniędzy? – spytała.

– O ile zostaniesz tutaj, to nie. – Podszedł do barku.

Zważyła kopertę w dłoni.

– Najpierw Bertone kupuje moją ziemię za wygórowane ceny. Teraz St. Kilda daje mi prezent w postaci pięć tysięcy dolarów. Ludzie, zaczynam się czuć ...

– Wyjatkowa?

– Osaczona.

– Od początku wiedziałem, że jesteś bystra. – Łódź brzęknęła, a potem rozległ się plusk nalewanego alkoholu. – To nie jest łapówka, Kaylo. Pieniądze są narzdzieniem. St. Kilda nie chce, żeby agent schrzanił sprawę, bo nie ma przy sobie gotówki na bilet na samolot.

– Hm – mruknęła tylko.

Rand podszedł i podał jej kryształową szklankę. Była do połowy pełna.

– Jak wypij to wszystko, padn – stwierdziła.

– Pomogę ci.

– Upa?

– Pi.

– Dobry pomysł. – Wypiła spory łyk, odkaslnęła i spojrzała na niego spod ciemnych rzęs. – Aj. Zwykle dolewam wody.

– Łódź się rozpuści. Na jedno wyjdzie.

– Jakoś na to nie wpadłam.

Wzięła szklankę z jej dłoni i pocięła łyk.

– Słodkie. Z lekką goryczką.

– Lepsze niż piwo – kwas z goryczką.

Za chwilę miał się i powiedział sobie, że powinien się odwrócić, iść do swojego apartamentu i przestać myśleć o tym, o czym myśleć nie powinien. O Kayli nagiej.

– Co myślisz o słodowej whisky? – spytał.

– Szkockiej?

– Tak.

– Pachnie lepiej, niż smakuje.

Rozejrzał się.

– Miałem kiedy kumpla, który mówił, że chciałby umrzeć od glenmorangie.

– I co?

– Z tego, co słyszałem, jeszcze nad tym pracuje.

– Mówisz, jakbyś mu zazdrościł – stwierdziła Kayla.

Rand nie odpowiedział od razu, a do niej dotarło, że się jej przygląda. Ciężko jej mówić, przygląda się trójce towi skóry odsłoniętemu przez szlafrok. Jej ciało zalał ar, który nie miał nic wspólnego z niedawną kieliszką. Owinęła się szczelnie szlafrokiem.

– Kiedyś może i mi zazdrościłem – powiedział Rand. – Teraz jestem starszy. – Znacznie starszy, dodał w myślach. Za stary, żeby myśleć o fiutem.

Jednak on był, gotowy, chętny i błagał go, żeby mógł za niego myśleć.

Odwrócił się i znów podszedł do barku.

– Co robisz? – spytała, siadając na krześle.

– Chcę ci kupić kopniaka.

Już miała mu zaproponować swoją nogę, ale usłyszała, że rozrywa banderol na butelce whisky i nalewa sobie do szklanki. Bez lodu.

Znajdź St. Kilda, była gotowa się założyć, że to słodowa glenmorangie.

– Bez lodu? – spytała. – Bez wody?

– Jak Pan Bóg przykazał.

Gdy usiadł na krześle przy niej, poczuła ostry zapach jego słodowej whisky.

Uniósł szklankę i spojrzał na nią.

– To za co pijemy?

– Po dzisiejszym dniu chyba za niewinność. Powinniśmy trochę pamiętać o tym, czego tak niewiele

zostało na wiecie.

– Za niewinno – wznosił toast. – Pod jej nieobecno .

– Jak straciła swój ? – spytała, s cz c alkohol.

– Jak wszyscy. Na tylnym siedzeniu samochodu.

Zakrzuszyła si , pozwoliła, eby uderzył j w plecy, po czym odp dziła go ruchem dłoni.

– Nie chodziło mi o niewinno seksualn – wyja niła.

– Nie jestem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek byłem niewinny w tym sensie. Wychowywała mnie babka, w połowie Indianka z plemienia Tlingit z Kanady, której matka została uprowadzona jako niewolnica. Mój ojciec zajmował si połowem łososi w San Juans na Alasce. Przez pół roku nie było go w domu. Matka, artystka z Seattle, te wi kszo czasu sp dzała poza domem. Z tego, co wiem, byli otwartym mał e stwem. Chyba tak to si teraz nazywa, prawda? Nie cudzołóstwo czy zdrada – po prostu zrozumienie wzajemnych potrzeb i pilnowanie, eby nie przynie do domu nic poza wspomnieniami.

Chłód w jego głosie sprawił, e Kayla si skuliła.

– Spora dawka komplikacji jak na psychik dziecka.

– To był mój dom. – I zawsze był Reed od tego, eby si mia , bi czy chowa , cokolwiek wpadło nam do głowy, dodał w my lach.

S czył whisky, delektuj c si jej pal cym smakiem. Ka dy nerw jego ciała był napi ty. Ka dy zmysł wyostrzony. Mógłby w tej chwili walczy albo si pieprzy . Wszystko, byle tylko uciec od intymnej atmosfery, w jakiej si znalazł – zapachu kobiety przy nim, jej delikatnego głosu, jej jasnej, pon tnej skóry.

– Rodze stwo? – spytała.

– Młodszy brat. O dwana cie minut.

– Identyczny?

– Tak, chocia Reed twierdził, e jest przystojniejszy. Ludzie zawsze mówili, e ja jestem bystrzejszy. – Mylili si , pomy lał.

Pozwolił, eby ognisty pocałunek szkockiej rozlał mu si na j zyku, po czym przełkn ł i wzi ł kolejny łyk. Wiedział, e to nie powstrzyma wspomnie , ale mo e chocia złagodzi ich ostro .

– Identyczni bli niacy. – Kayla u miechn ła si promiennie. – To musi by wietne.

– Było. – Rand pozwolił, eby whisky uk siła go w j zyk rozchodz cym si płomieniem.

– Nie macie kontaktu?

– Reed nie yje.

W ciszy miały si fontanny.

– Przykro mi – powiedziała Kayla. – Nie mogłabym sobie wyobrazić ...

– Nie chciałybyś .

Zamknęła oczy. Ton jego głosu powiedział jej więcej niż wszelkie słowa – strata brata była nadal otwartą raną w jego sercu.

Rand w milczeniu przyglądał się dzikiemu kotu, który pod osłoną nocy polował na gryzonia w starannie utrzymanych ogrodach luksusowego kompleksu wypoczynkowego.

Dobra robota, chłopie. Na wiecie jest za dużo szczurów, pomyślał.

Kayla wiedziała, że nie powinna drążyć tematu. I wiedziała, że się nie powstrzyma.

– Kiedy? – spytała po prostu.

– Pięć lat temu. W Afryce.

Przypomniała sobie strzępy informacji, jakie podał jej Faroe.

– Może czuła w stroju bawiana?

– Tak. My znaliśmy go jako Sybiraka. Ja byłem fotografem, Reed strzelcem. Sybirak strzelił do Reeda, a później wysłał za nami wojsko. Ja przeżyłem. Reed nie.

Napił się znów whisky i ze zdziwieniem stwierdził, że połowy już nie ma. Zwolnij, idioto. Odstawił szklankę na mały stolik.

– Wiem dlatego dorwała ci St. Kilda. Dostrzegli okazję, żeby dopaść Bertone'a.

– Mniej więcej.

– St. Kilda wynajmuje zabójców?

– Nie. Chcą Bertone'a żywego. Splukanego, ale żywego.

– A ty?

– Trupa.



## ***Rozdział 37***

***Royal Palms***

***Niedziela, 0.15***

Kayla wzięła głębi oddech i wolno wypuściła powietrze.

– Kiedy byłam na studiach, moi rodzice zginęli w wypadku samolotu nad Alaską – powiedziała.

Rand skinął głową.

– Wiedzieliście o tym. Było w tych cholernych danych.

Znow skinął głową.

– Wiem też, że ten rodzaj straty wydziera kawał twojego serca, którego nic nie zastąpi.

– Przyzwyczajasz się do bólu. – Skrzywiła się, odstawiając szklankę. – To chyba brzmi jak kolejny głupi wywiad. Chodziło mi o to, że przyzwyczajasz się do nowej rzeczywistości i żyjesz swoim życiem. No, ale ty to już wiesz.

Niezupełnie. Ci głębiej się uczę, pomyślała.

Wtedy dotarło do niego, że wymówił te słowa na głos.

Jak Bertone zginie, wtedy...

No właśnie – co wtedy? Czy w końcu zaczniesz zachowywać się rozsądnie? Czy też nadal będziesz się czuł jak widz po drugiej stronie sceny życia?

W połowie martwy, a w drugiej połowie samotny jak śmierć.

Uświadomił sobie, że Kayla milczy. Kiedy na nią spojrzął, dostrzegł w jej oczach łzy.

– Nie płacz – rzucił ostro. – To było pięć lat temu.

– Nie dla ciebie.

– To mój problem, nie twój.

– Jeszcze wczoraj miałbyś rację.

Co w tonie jej głosu ujął go.

– A dzisiaj? – spytał.

– Dzisiaj wiem, że mogę umrzeć mi dźy jednym a drugim uderzeniem serca. I nie chcę umierać, nie robię niczego poza tym, co nieuniknione.

Czekał, wmawiając sobie, że chodziło jej o coś innego niż to, na co miał nadzieję.

Odstawiła szklankę obok jego szklanki, wstała i wzięła go za rękę.

– Pragnę ci. I mam nadzieję, że ty pragniesz mnie.

Poderwał się na nogi niczym polujący kocur.

– Przecież wiesz, że tak.

Umiechnęła się.

– Wiem, że przy tobie czuję się... rozpalona. Nie czułam się tak przy żadnym mężczyźnie.

– To się nazywa adrenalina.

– To się nazywa podanie. Nigdy wcześniej tego nie czułam – Umiechnęła się znowu. – Podobają mi się to.

Przyćmił ją do siebie, oblizał jej usta i poczuł smak łez i alkoholu.

– Mnie też. – Spojrzyła na niego. – Jesteś pewna?

Zdjęła jedną dłoń z jego ramienia i przesunęła wzdłuż torsu na dekolt.

– Tak. Jestem pewna. A ty jesteś zainteresowany.

Zaparło mu dech, kiedy pogłaskała go przez dekolt. Pomrukiem zadowolenia wyraziła uznanie dla jego wielkości, czym niemal powaliła go na kolana.

– Co masz pod tym szlafrokiem? – spytał ochryple.

– Siebie.

Wypuścił powietrze ze złości.

– Sypialnia. Natychmiast.

Obejrzała się na leżące czekające z boku patio.

– Nie – powiedział. – Zadzwoń do strażników. Fontanny nie zagłusz tego, co chcę z tobą robić.

– Zapomniałam, gdzie jestem. – Wydała z siebie urywany dźwięk. – Przepraszam.

Poczuł, jak krew zalewa jej policzki, i chciało mu się śmiać.

– Ja też. Seks pod gołym niebem zostawić na kiedy indziej.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zasunął kotary na patio.

Lampka nocna na barku rzucała blask niczym wieca.

– Postaram się, żeby ci było dobrze – szepnął. – Ale strasznie dawno tego nie robiłem.

– Dla faceta strasznie dawno to dwie godziny temu.

Zachichotał, przycignął ją bliżej i w końcu mógł posmakować doprowadzając go do szaleństwa tatua, który bawił się w chowanego ze szlafrokiem.

– To mnie doprowadzało do szaleństwa – wyszeptał jej w skór .

Zadrżała.

– Tatua ?

– Tak. Chciałem go polizać, kiedy tylko go zobaczyłem.

– To się cieszy, że mam jeszcze dwa.

– Gdzie?

– Jeden chodzi za mną wszędzie.

– Pokaż mi.

Kayla wskazała lewe biodro. Obliznął się .

– Pokaż mi.

– Chcesz powiedzieć ... – Jej dłonie powdrowały do zawiązanego paska.

– Tak. Rozbierz się .

– Ty pierwszy.

Zrzucił buty, jednocześnie nie rozpinając guzików koszuli. Na ciuchy było i tak o wiele za gorąco.

– Dżinsy – rzucił ochryple. – Mam coś w kieszeni.

Przewróciła oczami.

– Nie nabrałam się na to od liceum.

Rozejmiał się, chociaż w jego żyłach szalało pragnienie. Wolał myśleć, że to dlatego, że od zbyt dawna nie zanurzał się w kobiecie, ale sam w to nie wierzył. Kayla miała w sobie coś, co rozpalало go w jednej chwili.

– Chyba że chcesz na komandosę – powiedział, zrzucając koszulę. – Jak nie, to lepiej się gnij mi do kieszeni.

– Na komandosę?

– Na żywioł – wyjąknął. – Bez prezerwatywy.

Zanurzyła dłonie w tylnych kieszeniach jego dżinsów. Badała, ciskała. Nic poza twardymi mięśniami.

– Wykaż mi – powiedział, przyglądając się jej uśmiechowi.

Przeniósła ręce do przednich kieszeni. Znowu twarde mięskie mięśnie.

Bardzo twarde. Jęknął.

– Jesteś boska. Zrób tak jeszcze.

W końcu wyjął rękę z jego kieszeni. Leżało w nich srebrne opakowanie. Jednym ruchem cięgnął do przodu i chwycił Kayl.

Odwrócił ją i przywarł wargami do drugiego tatuażu. Gryzł delikatnie, później mniej delikatnie, a ona poczuła, że drży.

– Nie wiedziałem, że mam słabość do tatuaży, dopóki nie zobaczyłem twoich.

– Trzeci cię zachwyci – powiedziała ochryplym głosem.

– A gdzie jest?

Odwróciła się i pokazała mu.

Wyszeptał coś, pochylił głowę i zaczął lizać. Ssa. Drażni. Ssa mocniej.

Próbowała złapać oddech, ale w pokoju brakowało powietrza. Napicie, które ogarniało ją coraz bardziej, do granicy wytrzymałości, nagle eksplodowało, unosząc ją ponad ziemię, wywołując krzyk i zalewając ją łzami.

Rand poczuł jej rozkosz, zasmakował jej i zadrżał. Ledwie pamiętał, żeby założyć prezerwatywę, zanim się w niej zanurzy. Była dokładnie taka, jak się obawiał. Doskonała. Ciasna. Gorąca.

Po raz pierwszy od śmierci brata wyzbył się nienawiści i pozwolił sobie na to, żeby cieszyć się nią.

## ***Rozdział 38***

***Royal Palms***

***Niedziela, 6.15***

Rand, ubrany, usiadł przy łóżku i przyglądał się pićcej Kayli, wyrzucając sobie, jakim jest kretyńcem. Nie mógł się tylko zdecydować, czy jest kretyńcem dlatego, że pozwolił sobie na to, żeby się z nią kochać, czy raczej dlatego, że nie jest z nią w tej chwili w łóżku.

Przepraszam, Reed.

Kiedy usłyszał własny głos, zmroziło go. Czy by naprawdę czuł się winny, że Reed nie żyje, a on tak?

W końcu zajrzył do palancie.

Nie wiedział, czy był to jego własny głos, czy głos Reeda, który mu współczuł.

Jak ją zabił Bertone'a, to... To co? Reed wstanie z grobu? I Rand znów ożyje? O yłem zeszłej nocy. I dziękuję ci za cholerne wyrzuty sumienia. Zaciśnięcie zębów i powiedział sobie, że jest kretyńcem.

Co było wielką nowością.

Przez szparę w zasłonach w liznął się promień światła, który padł na Kayl i oświetlił różną tatuaż na jej obojczyku. Po śmierci Reeda był z różnymi kobietami, ale nigdy nie czuł się z tego powodu winny. Dlaczego z Kayl było inaczej? Co takiego w sobie ma, że pragnie jej... za bardzo?

To proste, bracie. Dzięki niej czujesz, że żyjesz.

Rand zeszywniał. Reed?

No, rychło w czas. Kazałem ci żyć za nas obu. Wystarczy, że jeden z nas umarł. Kayla jest dobra dla ciebie. Jeśli to schrzaniasz, nie zwalaj później winy na mnie.

Zanim Rand zdążył pomyśleć, zorientował się, że Kayla ma otwarte oczy i wpatruje się w niego.

– Kto tu był? – spytała zasnana.

– Tylko ja.

– Nie. Kto jeszcze. – Ziewnęła. – Jak ty, ale inny. – Powieki jej opadły i pozostały zamknięte.

– Za wcześnie, żeby wstawać. – Westchnęła i nacięła kołdrę pod szyję.

– pij – powiedział łagodnie.

Otworzyła jedno oko.

– A ty?

– Je li ja si poło , adne z nas nie b dzie spa .

– Mówisz, jakby to było co złego. A mo e sko czyły nam si prezerwatywy?

U miechn ł si mimowolnie i przypomniał sobie tych kilka godzin, zanim zasn li.

– Prawie.

– Nic dziwnego, e daj ci pi tysi cy. – Znów ziewn ła. – Prezerwatywy nie s tanie.

Rand roze miał si gło no. Sprawilo mu to tak przyjemno , e roze miał si jeszcze raz.

– miejesz si ze mnie? – spytała.

– Nie, z siebie – odpowiedział.

Zdj ł buty i wyci gn ł si obok niej na łó ku. Odwróciła si do niego. Pachniała olejkiem do k pieli, seksem i zasn kobiet . Przyci gn ł kł b kołdry i j do swojego ciała.

– pij – wyszeptał jej w czoło. – W nocy za bardzo ci wym czyłem.

– Hm. My łałam, e to ja zam czam ciebie.

– pij, Kaylo.

Próbowała, ale jej nie wychodziło. Była na tyle rozbudzona, e doskonale u wiadamiła sobie, dlaczego nie powinna czu si beztrosko. Bertone. Kajdanki. Brudne pieni dze. Jej podpis u dołu.

– Nie – odezwała si w ko cu.

– Co? – spytał.

– Nie b d spa .

– Głodna?

– Tak.

– Wezw obsług .

– Jedzenie? – spytała, dra ni c jego podbródek i chwytaj c zarost wargami.

– W brodzie nie ma zbyt wielu kalorii – za artował.

– Hm. Dieta brodziana. Na mnie działa. Wyszczypuje zb dne kilogramy.

– Ty nie musisz chudn . Wła ciwie mogłaby troch przyty .

– Przyty ? Hura! Teraz ju wiem, e si zakochałam.

Rand nie silił si , eby powstrzyma miech dusz cy go w gardle. Roze miał si i cieszył si tym. Przytulila si do niego.

– Wczoraj czułam si , jakbym była na froncie. Dzi rozpiera mnie duma.

– W yciu jest jak na froncie. To dlatego trzeba bra miło wtedy i tam, gdzie siej spotyka. Aleja a do zeszłej nocy o tym nie pami tałem. Nie ałujesz, prawda? Wiem, e nie jeste typem kobiety na jedn noc.

– Raczej tego nie dowiodłam – wymruczała, czerwieni c si .

– Czytałem informacje o tobie.

– A kiedy ja przeczytam twoje?

– A co chcesz wiedzie ?

Wszystko. Nic w szczególno ci.

– Czy to jednonocna przygoda?

– Zastanawiałem si nad tym samym – wyznał. – Ale ty wiesz, prawda? Wiedziała ju zeszłej nocy, kiedy wzi ła mnie za r k .

– Co wiedziałam?

– Zamierzam zabi Andre Bertone'a.

Spojrzała mu w oczy, zielone i jasne. Zimne.

– Wiedziałam – przyznała. – Dostrzegłam to na przyj ciu.

– A jednak to ci nie powstrzymało.

Nie było to pytanie, w ka dym razie niebezpo rednie, ale wymagało odpowiedzi.

– Jeszcze go nie zabiłe .

– A jak ju to zrobi ?

Zapadła cisza, która narastała, po czym znikn ła w westchnieniu.

– Nie wiem. Sama chciałabym zabi Bertone'a. Nawet nad tym my łałam. eby si wypl ta z tej matni, rozumiesz?

Rand skin ł głow i przygl dał si jej jak wielkiej kocicy.

– To była nie tyle my l, ile nieodparte pragnienie usuni cia go z powierzchni ziemi. Po raz pierwszy w yciu zrozumiałam, e człowieka mo na popchn do zabójstwa.

– Je li zap dzisz mysz w róg, b dzie chciała skoczy ci do gardła. A ty nie jeste mysz .

Westchn ła przeci gle.

– Czy ty i brat pracowali cie dla St. Kilda, kiedy Reed zgin ł?

– Poniek d. Płacił rz d Kamd erii, ale byli my zatrudnieni przez St. Kilda, chocia wtedy tego nie wiedzieli my.

– Byli cie ołnierzami? Masz na my li najemników?

– Chyba tak.

– Nie. Zostali my wynaj ci, eby przeszkoli Kamd eryjczyków w posługiwaniu si broni , która dałaby im szansę w walce z kłusownikami poluj cymi na ko słoniow i niszczy cymi stada słoni. Oficjalnie byli my wi c członkami mi dzynarodowej grupy odpowiedzialnej za ochron dzikich zwierz t. Nieoficjalnie... – urwał.

– Co?

– Wszyscy kłusownicy byli buntownikami, zmierzaj cymi do obalenia rz du. Ko słoniowa, ropa, koltan, drewno, wszystko, co mogli sprzeda , kradli, a w zamian zdobywali bro , kałasznikowy i RPG.

– Bertone.

– Krout. Sybirak. Bertone. Jeden i ten sam człowiek.

– Wi c szkolili cie ludzi do walki z buntownikami.

– Tak, w gruncie rzeczy o to chodziło. Reed i ja byli my wtedy młodymi idealistami, na tyle m drymi, by wiedzie , e idealizm to zabawa dla młodych. Nie uwa ali my si za chodz cych z głów w chmurach praviczków, ale nimi byli my. – K ciki ust Randa opadły. – Wierzyli my, e dobro zawsze zwyci a.

Kayla zagryzła warg i nie pytała wi cej. Rand sam mówił.

– My leli my, e widzieli my ju wszystko. A jednak nie. Kto kiedy powiedział, e Afryka to miejsce, gdzie zrobiono wszystko, co mo na zrobi broni . Faroe o tym wiedział.

– Joe Faroe te tam był?

– Tak, pracował dla St. Kilda. Brał udział w operacji z ramienia ameryka skiej organizacji pozarz dowej, która starała si ukrócić handel broni . Reed był przekonany, e Faroe jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego spotkał, bystrym, twardym, przeds i biorczym. Ja nie byłem nim tak oczarowany. Powtarzałem Reedowi, e Faroe mo e wpakowa nas w tarapaty.

– I wpakował?

– Nie. Sami si wpakowali my. Prowadzenie szkolenia szło nam wietnie, ale nie mogli my ju patrze , jak handel broni niszczy Afryk . Porozmawiali my z Faroe'em. St. Kilda wynaj ła nas, eby zebra informacje o Kroucie czy Bertonie i jego działaniach. Chcieli dopa tego bydlaka.

Kayla dotkn ła policzka Randa i pogłaskała go delikatnie.

– Warto było.

– Na zdrowy rozum tak. Ale nie mog uzna , e to było warte mierci Reeda, niezale nie od tego, ilu ludzi prze yje dzi ki temu, co zrobił. Jego mier jest cholernie prawdziwa. A ludzie, którym uratował ycie...

Wzruszył ramionami.

– Wi c waszym zadaniem było zdobycie dowodów na to, e Sybirak przemycy bro – powiedziała, odci gaj c Randa od jego ponurych my li.



– Reed i ja rozpracowali my sie przemytnicz Sybiraka, ludzi, którzy brali od niego łapówki. Spisali my numery wszystkich jego samolotów, udokumentowali my, jak bro dostarcza. Ale to wszystko było za mało. Potrzebowali my konkretnego, niepodwa alnego dowodu, eby go udupi . Reeda doszły słuchy o planowanym transporcie broni. Poszli my na piaszczysty pas startowy, zrobili my sobie kryjówek na pobliskim wzgórzu i czekali my.

– Samolot przyleciał?

– Tak. Pilot był albo stukni ty, albo naprany. Miałem wszystko – samolot, czekaj cych buntowników, rozładowywany transport broni, ładowany w zamian koltan. Nawet woreczek diamentów, podawany bezpo rednio Sybirakowi. A pó niej wszystko trafił szlag.

Kayla czekała, niepewna, czy chce zna ci g dalszy, ale pewna tego, e powinna.

– W tamtej cz ci wiata sło ce przemieszcza si naprawd szybko. Odbił je albo mój obiektyw, albo lornetka Reeda. Sybirak trafił Reeda z karabinu snajperskiego. Dowlokłem go do naszego auta i pojechałem do czekaj cego na nas helikoptera. Zanim zd yli my wystartowa , ostrzelał nas helikopter buntowników. Zestrzeliłem go, ale było za pó no. Za pó no dla Reeda. Pochowałem go na sawannie, któr kochał. – Rand spojrział Kayli w oczy. – Bertone'a te pochowam.

– A je li sam zginiesz?

– To Reed ju nie b dzie sam. Nie ma przegranych. – Przynajmniej tak było do wczoraj, dodał w my li.

– Có , jeste szczery – stwierdziła Kayla, odsuwaj c kołdr . – To jednak przygoda na jedn noc.

– O czym ty mówisz?

– Kochasz Reeda bardziej ni własne ycie. – Zacz ła si ubiera szybkimi, nerwowymi ruchami. – Przepraszam, e wyci gn łam ci z twojego wora pokutnego.

– Powiedziałem ci, e ci nie okłami . Bertone'a trzeba zabi .

– Nie jeste morderc .

– Słabo mnie znasz.

– Sam siebie słabo znasz – odparła. – Nie masz poj cia, jak cen zapłacisz za to, e wyprawisz Bertone'a na tamten wiat.

– T cen b dziesz ty – stwierdził.

– Nie, ty sam. Ale ciebie to nie obchodzi, prawda? Nienawidzisz siebie za to, e yjesz, a Reed zgin ł.

– Kayla...

Za zasłon przemkn ł jaki cie . Rand zerwał si na nogi i odsun ł zasłon na tyle, eby wyjrze na zewn trz.

Przez kompleks St. Kilda od strony pola golfowego szło trzech m czynn z pistoletami gotowymi do strzału. Dwa samochody i jasnozielona półci arówka z piskiem opon zablokowały

podjazd i parking.

– Niech to! Musimy... – zaczął Rand.

Resztę jego słów zagłuszył ryk głosiaków.

– Nie ruszaj się! Rewizja federalna!

Rand przebiegł przez dom, sprawdzając, czy zamki są pozamykane.

– Co teraz? – spytała Kayla.

– Siedzimy cicho, dopóki nie każe nam inaczej.

## ***Rozdział 39***

***Royal Palms***

***Niedziela, 6.25***

– Bud ekip i niech zaczynaj kr ci . Natychmiast! – warkn ł Faroe do słuchawki.

– Ju si robi – odpowiedział Martin. – Mamy kr ci na dworze?

– Wszystko jedno, byle był d wi k i akcja.

Faroe odło ył słuchawk i wyszedł na zewn trz, zatrzaszuk c za sob drzwi. Oddział rewizyjny zastał na werandzie. Dowódca, zwalisty m czyzna w ciemnozielonym mundurze słu by granicznej, trzymał pistolet przy piersi.

– Co tu si odbywa, do diabła?! – rykn ł Faroe. Drzwi s siedniego domu si uchylity. Przez szpar wysun ł si obiektyw kamery razem z mikrofonem kierunkowym.

andarm widział tylko wysokiego, gro nie wygl daj cego m czyzn blokuj cego wej cie do domu, który kazano mu przeszuka .

– Prosz si odsun – polecił. – Przeprowadzamy akcj weryfikuj c zatrudnienie emigrantów na tym terenie.

Faroe wskazał główny budynek.

– To, kurde, wietnie, kowboju, tylko e kuchnia jest tam, a pomieszczenia gospodarza terenu jako wier kilometra z tyłu, tam, sk d przyszedł e .

– Prosz si odsun – powtórzył funkcjonariusz.

– To prywatny pokój – powiedział dobitnie Faroe. – Wszyscy s tu legalnie.

– Prosz zej z drogi – warkn ł dowódca. – Inaczej zostanie pan aresztowany.

Za Faroe'em otworzyły si drzwi. Stała w nich Grace, przewi zuj ca czerwony jedwabny szlafrok nad ci owym brzuchem.

– On si nie odsunie, panie władzo – oznajmiła ze stanowczo ci kobiety, która kiedy miała władz nad sal s dow i znajduj cymi si w niej gliniarzami. Spojrzała na plakietk z nazwiskiem andarma. – Agencie Morehouse, jest pan bardzo bliski przekroczenia uprawnie , które pan – w swoim mniemaniu – posiada.

– Pani wybaczy, ale kim pani jest, do cholery, eby kwestionowa moje uprawnienia?

– Nazywam si Grace Silva Faroe – odparła. – Pół roku temu zrezygnowałam ze stanowiska s dziego federalnego w południowym dystrykcie Kalifornii. Do tego dystryktu nale y San Diego, gdzie słu ba graniczna była i jest bardzo aktywna.

– Wiem, co znaczy południowy dystrykt – powiedział grzecznie Morehouse. – Niech się państwo oboje odsun. Natychmiast.

– Jeszcze nie. – Grace akcentowała każdą sylabę. – Aby wejść na teren prywatnej posiadłości, musi pan mieć specjalny nakaz. W świetle prawa wynajmte pokoje hotelowe są objęte tymi samymi przywilejami i ochroną, co prywatne rezydencje. – Wyciągnął rękę. – Chcę zobaczyć nakaz.

– Mamy informację, że w tym domu może przebywać pewna szczególna osoba, która znajduje się w tym kraju nielegalnie – oznajmił Morehouse.

Joe nie ruszył się ze swojego miejsca na szczycie trzech schodków prowadzących do domu. Morehouse mógł wejść, jedynie rozdeptując jego i kobiet w ciępy.

Za dowódcę zaczęli gromadzić się agenci.

– Proszę pani... – zaczął Morehouse.

– Jeśli macie konkretną informację – przerwała mu Grace – to powinniście zwrócić się o nakaz rewizji. A tak przy okazji, co to za szczególna osoba? Zapewne ktoś ważny. – Zerknęła na niego, stojących za Morehouse'em. – I groźny.

Morehouse, mrużąc oczy pod nosem, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni notatnik. Obecnie oddziału najwyraźniej nie robiła na tej parze żadnego wrażenia. Może załatwi sprawę, jeśli uda mu się współpracować.

– Nazywa się John Neto – powiedział. – Jest obcokrajowcem z Kamdarii i według naszych informacji, dostał się do kraju nielegalnie z Victorii w Kanadzie, posługując się wizą turystyczną.

Joe i Grace wymienili spojrzenia.

– To rzeczywiście konkretna informacja – przyznała Grace. Zatrzasnęła drzwi i podeszła dwa kroki do poręczy ganku, skąd spoglądała na tłum andarmów. – I najwyraźniej ten Neto jest wyjątkowo niebezpieczny, inaczej wydział imigracyjny nie wysłałby tylu ludzi. – Rozejrzała się po okolicy. – Widzę o miu mczyn w pięciu samochodach. To porażająco pokazuje siłę. – Odwróciła się i spojrzała na Morehouse'a. – Zwłaszcza w Phoenix, gdzie, jak się działo, co szósta osoba dostała się tu z Meksyku bez papierów.

Morehouse westchnął. Już w chwili, kiedy odbierał polecenie i ludzi, których wystarczyłoby na drużynę bejsbolu wiedział, że ta misja mierzi. Teraz miał przed sobą cięki przypadek upartego faceta i kobiet w ciępy, a nie zdążył nawet wypić dwóch filiżanek kawy.

– Mam rozkazy – powiedział. – Proszę się odsunąć, a my szybko zrobimy, co do nas należy.

– Od kogo te rozkazy? – spytała Grace.

– Od szefa dystryktu – odparł Morehouse.

– O siódmej rano w niedzielę? – zdziwiła się Grace.

– Powiedział, że to sprawa bezpieczeństwa państwa najwyższej wagi. A teraz, jeśli państwo...

– Rozkazy? Z Waszyngtonu? – spytała, modulując głos tak, aby dotarł do mikrofonu w sąsiednich drzwiach.

– Nie wiem – niecierpliwił się Morehouse. – Po prostu dostałem rozkaz.

Faroe pilnował się, żeby nie okazał rozbawienia. Pracował kiedyś z ludźmi takimi jak Morehouse – przyzwoitymi, spokojnymi, bez wyobraźni.

Grace zrobiłaby z niego miążg.

– Rozumiem, agencie – powiedziała współczująco. – I zapewniam, że nie chcemy utrudniać dochodzenia federalnego. Jeśli da mi pan numer telefonu do dyrektora dystryktu, omówi z nim kwestie dokumentów.

Morehouse zmiął w ustach przekleństwo.

– Proszę mnie posłuchać – tłumaczył cierpliwie. – Wejdzmy i sprawdzimy, a pani porozmawia z dyrektorem później. Tak będzie o wiele prościej.

– Byłoby o wiele prościej, gdybym podpisała dożywotnie zrzeczenie się moich praw z Piętej Poprawki do Konstytucji – odparła Grace. – To jednak nie byłoby dobre dla naszego kraju, prawda? I mniejsza z tym. Prawa senatora Millera do spraw ustawodawstwa to mój dobry przyjaciel. Jerry na pewno ma numer do pańskiego dyrektora.

Morehouse spojrzął na nią i zrozumiał, że to będzie zły dzień.

– Bez dokumentów pan nie wejdzie – oznajmił Faroe. – Nakaz śledczy, nakaz rewizji albo numer telefonu. Pański wybór.

Linia ust Morehouse'a mówiła, że nie jest szczęśliwy.

– Radzę panu mnie posłuchać – powiedział Faroe. – Ta kobieta po erze gliniarzy codziennie wypływa tylko resztki.

Morehouse pomyślał, że nie ma wyjścia, dopiero kiedy pokazało mu się to jak krowie na rowie. Podał Joemu numer telefonu. Grace weszła do rodzaka i zamknęła za sobą drzwi.

Faroe spojrzął w poranne słońce i prawie się skrzywił. W tym słowcu lato było czymś więcej niż obietnicą. Było groźbą.

– Idź po kawę – rzucił, odwracając się od Morehouse'a.

Ten chwycił go za rękę.

– Gdzie się pan wybiera?

– Przecież powiedziałem. Panu tego przynieść? – Spojrzął na brzuch agenta. – Z podwójnymi mietankami i cukrem, prawda?

Palce Morehouse'a wbiły się w rękę Faroe'a.

– Pan i pańska ona utrudniacie pracę funkcjonariuszom federalnym. Zaczynam mieć tego dość. Albo okażcie się nam tutaj trochę szacunku, albo kto pójdzie siedzieć. Proszę pokazać jaki dokument to samo ci.

– Nie mam.

– Musi pan mieć, skoro ja tak mówię – warknął Morehouse. – Skąd tego pajaca – rzucił przez ramie do jednego ze swoich ludzi.

– Jak brzmi zarzut? – spytał Faroe.

– Brak dokumentu to samo ci – odparował Morehouse. Moim zdaniem wygląda pan na nielegalnego imigranta, więc aresztuję pana do czasu, a udowodni pan, że jest pełnoprawnym obywatelem.

Uśmiech Faroe'a był niczym nóż wyłaniający się z pochwy.

– Kiedy nosiłem plakietki podobne do pańskiej. I tak jak pan próbowałem przerobić nieporozumienie z podejrzanym na naruszenie prawa imigracyjnego.

Morehouse bezwiednie rozluźnił uścisk.

– I?

– Dobrze wiedziałem, że ten gość był obywatelem Stanów – powiedział Faroe. – Tak jak pan wie, że ja mam obywatelstwo. Wiedziałem też, że obywatel nie ma obowiązku udowadniania swojego statusu, dopóki znajduje się na terenie kraju. Ale i tak go zamknąłem.

– Brawa dla pana – mruknął Morehouse.

– Spędziłem rok w więzieniu federalnym za naruszenie praw obywatelskich – dokończył Faroe z satysfakcją. – Jeśli się pan nie odsunie, czeka pana to samo.

Morehouse wpatrywał się chwilę w Faroe'a, po czym puścił jego rękę.

– Wszędzie pieprzeni prawnicy – mruknął pod nosem.

Grace wyłoniła się z domu z telefonem komórkowym w ręce. Podała go Morehouse'owi.

– To pański szef – powiedziała.

Agent spojrzał na telefon jak na jadowitego węża, po czym wziął go i przytknął sobie do ucha.

– Tu Morehouse. Słuchał chwilę, mruknął, słuchał dalej, mruknął znowu i westchnął. Oddał komórkę Grace. – Chce rozmawiać z panią.

Grace odbyła krótką rozmowę z urzędnikiem po drugiej stronie linii, podziękowała mu i się rozłączyła.

– Czy coś jeszcze, panie władzo? – spytała.

– Nie. Przepraszam za najciebie. – Morehouse, zaciskając zębami, odwrócił się i gestem dłoni kazał swoim ludziom wracać do samochodów. Trzydzieści sekund później w zasięgu wzroku nie było ani jednego agenta.

– Dobra robota. – Faroe pogładził nosem policzki Faroe'ony. – Wyciągnęła coś od dyrektora?

– Był tak samo skołowany jak Morehouse. – Zmarszczyła brwi. – Powiedział tylko, że działaj na podstawie bezpośredniej informacji z Waszyngtonu.

– Musieli si nie le nagor czkowa , eby zebra tych chłopaków w niedziel bladym witem. Całe szcz cie, e Neto został w B.C.

– O czym agenci musieli wiedzie – powiedziała Grace. – Na pewno mieli kogo , kto go ledził. Mo e go zgubili.

– Prawdopodobnie. Nie mog dopa Neta, wi c chc przesłucha nas. Jak pozbyła si Morehouse'a?

– Powiedziałam dyrektorowi, e jest narz dziem w czyich r kach. aden funkcjonariusz organów cigania tego nie lubi. Doradziłam mu te , eby nie przysyłał nikogo wi cej bez jasno sprecyzowanego nakazu rewizji.

– Mog go zdoby – stwierdził Joe.

– Mog – przyznała – ale to troch potrwa. Co o tym wiem. Ci gle nie mog zdoby nakazu s dowego, eby zamrozi rachunki Bertone'a.

Faroe rozejrzał si po terenie kompleksu.

– Tak czy siak, chwilowo pali nam si grunt pod nogami.

– My lisz, e kogo zostawili? – spytała Grace.

– Tak. Zało si , e dookoła jest pełno tajniaków graj cych z lometkami w tenisa czy w golfa. – Wci gn ł on do rodka i zamkn ł za nimi drzwi.

– Musimy trzyma Kayl z daleka od federalnych radarów – powiedziała Grace. – Z jakiego powodu władze s po stronie Bertone'a. Je li naciski polityczne oka si dostatecznie silne, Morehouse wróci z odpowiednim nakazem. Wtedy Kayla znajdzie si na linii ognia.

Faroe si u miechn ł.

– Najpierw b d musieli j znale .

## ***Rozdział 40***

***Castillo del Cielo***

***Niedziela, 6:40***

Dzieci ce kroki w jednej chwili obudziły Elen . Wymkn ła si z łó ka i podeszła do drzwi. Na korytarzu stała Miranda. W jej wielkich złotych oczach l niły łzy.

Elena wzi ła płacz ce dziecko na r ce i zacz ła je kołysa .

– Co si stało, male ka? Znowu miała zły sen?

– T-tak. – Dziewczynka zarzuciła matce na szyj chudziutkie r czki i przywarła do niej. – Maria p-powiedziała, e j-jestem mała i...

– Ciii, male ka. – Jeste pi kn dziewczynk i mama ci kocha. Wiem co o złych snach i koszmarach. Sama je miewałam.

Miranda wzi ła urywany oddech.

– N... naprawd ?

– Oczywiście. To cz dorastania.

– Och. – Miranda wtuliła si w matk , ju spokojniejsza. – Ładnie pachniesz. Potwory nie lubi rzeczy, które ładnie pachn .

– Wi c musimy dopilnowa , eby zawsze pachniała moimi perfumami, kiedy b dziesz szła spa .

Dziewczynka si u miechn ła.

Elena uspokoiła Mirand , w my lach zmieniaj c swoje plany tak, eby mogła zwolnić bezu yteczn niani . Pó niej b dzie musiała zatrudni kogo , kto rozumie potrzeby dziecka.

– Gdzie jest mój anioł? – dobiegł z sypialni głos Bertone'a.

– Teraz masz ju dwa anioły. – Elena weszła do sypialni z córk na r kach. Miranda niedługo zrobi si za ci ka, eby mogła j unie , przemkn ło jej przez głow .

Na twarzy Bertone'a pojawiła si irytacja, szybko jednak ust piła rezygnacji. Plany porannego seksu rozpu ciły si we łzach Mirandy.

Kiedy enił si z bosk Elen , zupełnie si nie spodziewał, e w ciele bogini seksu bije serce dobrej matki. Pocz tkowo dziwiło go to, pó niej bawiło. Teraz był oczarowany.

– O tej porze anioły powinny le e w łó ku – powiedział, unosz c kołdr . Elena i Miranda poły si niczym jedno ciało.



Bertone z uśmiechem głaskał delikatne włosy córki, zastanawiając się, kiedy jego ludzie zrzucą odnajdywaną Kayl Shaw. Była utrapieniem. I to niebezpiecznym. A niebawem martwym.

## ***Rozdział 41***

***Royal Palms***

***Niedziela, 7.00***

– Dobrze! – Ted Martin klasnął w dłonie i się roześmiał. – Naprawdę nieźle!

Rand nie patrzył w telewizor, który od chwili wyjazdu agentów w kółko odtwarzał film. Wprawdzie płyty DVD nie zużywał się, ale Martin na wszelki wypadek zrobił kopie.

– Kobieta w ciężej sflawia brygadę rewizyjną. – Martin nie posiadał się z uciechy. – Dobrze! Teraz na pewno mamy już godzinę, dziewczęta i chłopcy. Całkiem godzinę!

– Jakoś ci się nie udało – zauważył Thomas.

– Tym lepiej – odparł Martin. – Zrobimy napisy u dołu ekranu, zostawimy nietrafione ujęcia. Skacząca kamera sprawia, że widz czuje się, jakby tam był i oglądał to na żywo. świetny materiał! Ten czerwony jedwabny szlafrok jest boski.

Faroe i Rand w milczeniu wymienili spojrzenia.

– Ale nie pokazujesz jej twarzy? – spytał Thomas.

Martin spojrzał niepewnie na Faroe'a.

– Mam nadzieję, że pokazę.

– Jury jeszcze nad tym debatuje – odparł Faroe.

Martin miał ochotę się spierać, ale nie zrobił tego; kiedy Faroe mrugnął oczyma, mrużąc oczy, mrużąc oczy, mrużąc oczy ludzie odpuszczali.

– Dobra, puść to jeszcze raz, Sam – powiedział.

Thomas z niedowierzaniem wpatrywał się w producenta.

– Chyba się przestęszczałem?

– Puść to, dobra? – warknął Martin.

– Dobra – odpowiedział Thomas. Chcesz, żeby skomentowałem materiał?

– Zastanowi się nad tym.

Kto zapukał do drzwi.

Faroe rzucił spojrzenie operatorowi, który natychmiast chwycił małą kamerę wideo.

– Dopiero na mój sygnał. Jasne?

Operator przełączył linię i odłożył kamerę.

– Jasne.

– Listonosz! – odezwał się głos zza drzwi.

Rand podszedł do zasłoniętego ciemnymi kotarami okna i unióś je na tyle, żeby zobaczyć fragment ganku. Na oknie znajdowało się małe elektroniczne urządzenie, które wydawało wibracje zakłócające wszelkie próby podsłuchu z dużej odległości. Takie urządzenia umieszczono na każdym oknie we wszystkich trzech domach. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby federalni zdecydowali się na podsłuch, zanim zostali odprawieni, ale Faroe miał obsesję.

I była to jedna z rzeczy, które Rand naprawdę w nim lubił.

Faroe podszedł do wizjera. Zobaczył Jimmy'ego Hamma, który miał na sobie sombrero zasłaniające twarz i okulary przeciwsłoneczne z szerokimi uchwytyami.

– Jest sam – powiedział Rand do Faroe'a. – Ma pełno pakunków. Skąd on dorwał ten kapelusz? Z jakiego castingu?

– Okradł osła.

Faroe uchylił drzwi, żeby wpuścić Hamma, i znów je zamknął.

– Zanieś Kayli rzeczy do domu? – spytał Jimmy.

– Nie. Jest z Grace w martwym punkcie między domami.

– W martwym punkcie?

– Którego nie można obserwować z dalekiej odległości – wyjaśnił Rand. – Sam je zaniósł.

Hamm niechcieńnie podał mu zakupy, które zrobił, budząc najpierw obsługę.

– Kręcisz z nim? – spytał.

Rand rzucił Jimmy'emu spojrzenie, z którego Faroe byłby dumny.

– Psiakrew! – zaklął Hamm. – Wszystkie najlepsze są zajęte.

– I dopóki będziesz o tym pamiętał, twoja liczna bułka pozostanie nietknięta – powiedział Faroe.

Podszedł do drzwi sypialni, otworzył je i wsunął głowę do środka.

– Jeśli skończyła układanie akronimów z cyklu Krebsa, to chodź tu, bo jesteśmy nam potrzebna.

Kayla uniosła głowę z nadgarstka grubszego niż jej nadgarstek.

– To nowoczesne, kolorowe, naszpikowane wykresami brednie. Za moich czasów mieliśmy lepsze nadgarstki, a chodziłam do szkoły niedługo po tym, jak wyginęły dinozaury.

– Ten nadgarstek został zatwierdzony przez każdego polityka w stanie Kalifornia – powiedział Faroe. – Co ja mam do gadania?

– Wielbł d został koniem, bo tak ustalono. – Kayla odłó yła ksi k .

– Amen.

W ci owych d insach i koszulce zachwalaj cej błogosławie stwa konstytucyjnego prawa do milczenia z łazienki wyszła Grace.

– Zastanawiałam si ... – powiedziała, kiedy zobaczyła m a.

– Bo e! – j kn ł Lane. – Czy jestem na tyle dorosły, eby tego słucha ?

– Nie, i wła nie dlatego ty si tu uczysz, a my wychodzimy. – Grace odgarn ła synowi z czoła g ste włosy i spojrzała mu w oczy. – Mo e podr cznik nabierze sensu, jak w niego popatrzysz?

Przewrócił oczami.

– To propozycja. – U miechn ła si i pozwoliła burzy włosów opa z powrotem na czoło. – Nie mog si doczeka , kiedy sławy mi dzynarodowego futbolu zetn włosy.

Lane udawał naburmuszonego, ale zdradził go u miech.

Kayla przez chwil znów chciała by uczennic , której jedynym zmartwieniem byłyby nast pne kartkówki, nast pne testy, nast pna impreza. Ale rzeczywisto jest, jaka jest, a jej rzeczywisto ci był teraz pokój w obcym domu i m czyzna z szarzielonymi oczami, które wydawały jej si znajome od zawsze.

Nie zapominaj o facecie, który chce ci zabi . On te jest cholernie realny.

Wzdrygn ła si i weszła do salonu. Gdy tylko zamkn ły si za ni drzwi, Grace spytała:

– Czy mo esz sprawdzi stan korespondenckiego konta Bertone'a?

– Nie mam upowa nienia do zdalnego dost pu – odparła Kayla. Maj go tylko ludzie na szczebłu Steye^a Foleya i wy ej. A czemu pytasz?

– Je li Bertone zorientuje si , e jeste z St. Kilda, zd y usun pieni dze z konta, które zało yła , zanim zdołam skłoni s d, eby je zablokowa .

– A wtedy b dziemy musieli tropi pieni dze od pocz tku – dodał Faroe.

– Nie mamy czasu – wtr cił spanikowany Martin. – To wykluczone.

– Do widzenia – zwrócił si Faroe do ekipy telewizyjnej. – Zawołamy was, jak dowiemy si czego nowego.

Martin chciał zaprotestowa , ale spojrzał w oczy Faroe'a i gestem dłoni kazał swoim ludziom wyj . Po chwili w salonie zostali tylko pracownicy St. Kilda.

– Mo ecie zamrozi rodki na koncie Bertone'a? – spytała Kayla.

– Pracujemy nad s dzi – odpowiedziała Grace.

– Problem w tym, e Bertone ma naprawd niezłe plecy – wyja nił Faroe, id c do kuchni. – Usi d , najdro sza, to b dzie długi dzie .

Grace spojrzała na niego pobłażliwie, ale usiadła. Miał rację. Dzień, który zaczyna się rewizją o wicie, na pewno będzie dzień dłużni. Kayla zmarszczyła brwi.

– Bertone wspominał, że na rachunek wpłynęło mnóstwo pieniędzy. Z tego, co wiem, ostatnio było tam trochę ponad czterdzieści milionów. Jeśli zablokujecie konto...

– W tym właściwie nie tkwi problem – powiedział Rand. – Chcemy, żeby Bertone przelał na to konto wszystkie swoje pieniądze, zanim je zablokujemy. Jeśli zamrozi je za wcześnie, kupi forsę przypadnie. Jeśli za późno, przypadnie cała kasa. Najważniejsze jest wycucie czasu.

– Według przekazu z Brazylii – Faroe wrócił z filiżanką kawy – mamy czas do otwarcia banku w poniedziałek rano. Później będzie po Kamdarii.

Kayla starała się wyrzucić z pamięci obrazy zakrwawionych dzieci.

– Kiedy zdobędziecie nakaz zablokowania środków, bank będzie musiał wstrzymać wszystkie transakcje, niezależnie od tego, ilu skorumpowanych urzędników ma w kieszeni Bertone.

– Wtedy zacznie się legalna bitwa – podsumował Faroe. – Ale dzięki Grace mamy szansę jej wygrać.

– Wiacie chcecie, żeby znalazła sposób monitorowania konta tak, żeby można było zamrozić pieniądze, kiedy się na nim znajdzie, ale zanim zostaną wyprowadzone? – upewniła się Kayla.

– Właściwie nie potwierdził Faroe. – Ale będzie musiała zrobić to z innego miejsca.

– Czemu?

– Agenci – wyjaśnił Rand.

– Ale... – zaczęła.

– Tu kręcą się federalni różnej maści – przerwał jej Rand. – Jeśli któryś z tych agentów ci rozpoznaje Bertone, się o tym dowiedzie, Kamdaria znajdzie się w tarapatkach.

– Chcesz powiedzieć, że Bertone jest w stanie wykorzystać do swojej brudnej roboty agentów? – spytała z niedowierzaniem.

– Musisz zrozumieć jedno – powiedział Faroe. – Kolesie, których właściwie nie przepadała Grace, a nawet agenci FBI, którzy, głow dając, kryją się gdzieś po krzakach, wyniki swoich obserwacji wysyłają jakiemuś nieznanemu funkcjonariuszowi w Waszyngtonie, który z kolei informuje jakiegoś bezimiennego wysokiego urzędnika w Białym Domu, w Langley czy gdziekolwiek indziej.

Faroe napił się kawy. Kayla czekała w milczeniu.

– Ten bezimienny wysoki urzędnik ma powiązania z Bertone'em – ciągnął Faroe. – Może Bertone jest jego głównym sponsorem. Może odniósł taki sukces w branży handlu ropą, że może prosić o przysługę kadego w Wydziale Energii. Może posługuje się starą siecią z czasów, kiedy robił za pionka. Niewładnie, jak to załatwia. Władnie, że może.

– Władnie jest to – dodała Grace – że musimy trzymać cię w ukryciu, aby nasze zadanie mogło się powieść, a tobie nic się nie stało.

– W tej chwili Bertone staje na głowie, żeby cię odnaleźć – powiedział Faroe. – Jeśli skojarzy

ci z nami, nie będzie miał wyboru; wyeliminuje ciebie i St. Kilda Consulting.

Kayla była przerażona.

– A najgorsze w tym wszystkim jest to – dodał Faroe – że Bertone jest na tyle bogaty, na tyle wpływowy i na tyle sprytny, że może mu się to udać.

Spojrzał na Randa.

– Chodź ze mną do sypialni. Co ci powiedzą. Kiedy ostatnim razem wyszedłem z domu bez tego, wylądowałem w szpitalu.

## *Rozdział 42*

*Royal Palms*

*Niedziela, 805*

Rand włączył kołki zapina koszulę, kiedy Kayla wyszła z łazienki i wmaszerowała do salonu. Była zasłonięta od stóp do głów, od twarzy po paznokcie. Strój chronił ją przed słońcem i kapelusz z ogromnym rondem był stylowy, kolorowy, przewiewny i prawie całkowicie ją maskował. Efektu anonimowości dopełniały duże okulary przeciwsłoneczne.

– To nie mój styl. – Pstryknęła palcami w kapelusz. – Nie macie jakiego kowbojskiego kapelusza?

– Skoro ja mogłem się ogolić – odparł Rand, dodając w myślach: i włożył kombinezon kuloodporny Faroe'a – to ty możesz nosić głupi kapelusz. – Poprawił jej tasiemkę pod szyję. – Nie zdejmiesz go, dopóki nie zgubimy naszego ogona. Potem możesz się rozebrać i biegać goła jak moje policzki. – Uśmiechnął się promiennie. – Nie możesz się doczekać.

Od strony kuchni, w której Grace i Faroe jedli śniadanie, dobiegł chichot.

Kayla przewróciła oczami.

– Taki strój włożyłaby Elena Bertone, żeby chronić swój nieskazitelny cerys. Ja i tak już wyglądam jak kobieta pustyni.

Rand skończył zapinać plecak, zarzucił sobie jeden szelk na ramię i zanurkował pod rondo kapelusza Kayli, pocałował ją.

– Wyglądasz świetnie – szepnął. – A teraz się zbieraj. Rozpraszasz mnie.

– Też coś. – Poglądziła go po policzkach. – To raczej mnie rozprasza ta twoja gładka twarz. Dzięki Bogu, że Freddie zostawiła ci włosy na głowie, bo miała w czym zanurzać palce.

Rand obdarzył Kayl pocałunkiem, który oderwał ją od rzeczywistości, a później wyprowadził na zewnętrzny wyjście przez patio.

Wprawdzie nie wiedziała, jakiego samochodu do ucieczki się spodziewa, ale na pewno nie takiego, jaki zobaczyła. Zamurowało ją.

– To jaki model? – spytała.

– Nie – odparł z uśmiechem – po prostu podrasowany wózek golfowy. Nie jest elektryczny, tylko na gaz. To ukształtowana terenówka.

Rzucił jej plecak na półkę za siedzeniem, gdzie wcześniej umieścił swój bagaż, wsunął się na ławkę i sprawdził układ kierowniczy. Później chwycił kapelusz kowbojski, który chował tam Faroe, i wcisnął go na głowę.

– Wsiadaj – powiedział. – Faroe nie na długo odwróci ich uwag .

– On jest obłąkany – wymamrotała.

Ale wsiadła.

– Jest sprytny. Na parkingu prawdopodobnie czai się tuzin agentów z tuzinem samochodów, gotowych za nami ruszyć . Niektóre pojedą za Faroe'em. Inne nie. Ale my mamy najszybsze terenówki na torze.

W każdym razie tak miał nadzieję .

– Czy to coś ma pasy bezpieczeństwa? – spytała.

– Ma to. – Rand wskazał uchwyt przykręcony do deski rozdzielczej od strony pasażera.

– Co to jest?

– Różnicę to nazywają . – Uśmiechnął się szeroko i ruszył. – Moje ulubione to „dręk Jezusa” i „dręk cholery”.

– Czemu?

Dodał gazu. Terenówka wyrwała się do przodu, wbijając Kayla w siedzenie.

– Co ty... cholera! – Kayla chwyciła się rączki.

– Już wiesz.

Rand skręcił ostro w prawo, przedarł się przez dziurę w żywopłocie z oleandrów i wyłonił w słonecznym blasku dziesięć alei pola golfowego.

Czterokołowa terenówka gnała tak szybko, że Kayla musiała nasunąć sobie kapelusz na twarz, żeby nie udusiła jej tasiemka zawieszona pod brodą ,

Z kłopoty bambusów przy przeszkodzie wodnej wychynął biały mężczyzna po trzydziestce w sportowym stroju. Taszczył aparat fotograficzny z długim teleobiektywem. Klęknął, zaczął pstrykać zdjęcia z czołowego pojazdu, który go mijał.

Rand pokazał mu tył swojej głowy oraz uniwersalny znak przyjaźni.

– Skoro federalni mają zamiar trzasnąć szpiegowskie zdjęcia, stojąc w słowcu, powinni dostać nagrodę – rzucił wesoło. – Gliniarze są przyzwyczajeni do tego, że wszyscy usuwają im się z drogi.

– Czy wszyscy pracownicy St. Kilda mają takie podejście do władzy? – spytała Kayla.

– Wiąkszość z nas ma w życiu tyle władzy, że zna jej granice. Federalni jeszcze się tego nie nauczyli.

– A ty urodziłeś się po to, żeby ich nauczyć – mruknęła.

– To cię ka robotą...

– Ale ty ją kochasz.



– Oj, tak.

Zacisnęła zębami i chwyciła się drążka na desce, bo Rand skręcił gwałtownie przy piaszczystej przeszkodzie i przeskoczył nad wydmą na daleki kraniec pasa. Kiedy zerknęła przez ramie spod kapelusza, dostrzegła, że do pierwszego agenta dołączył drugi. On też miał profesjonalny aparat i rozmawiał przez telefon komórkowy albo radiostację.

– Wcale na nas nie poluj – powiedziała.

– Ekipy obserwacyjne nie ścigaj. Zawiadamiaj przodki. Musimy się modlić, żeby nie mieli nikogo na końcu pola.

Przebiegł inny tor i wyjechał na otwartą, pofalowaną pustynię wschodniego krańca Scottsdale. Kilometr przed nimi stały betonowe filary planowania zjazdów autostrady 101 i kilka wielopiętrowych budynków nowego kompleksu przemysłowo-biurowego.

Kayla trzymała drążek z całych sił. Wprawdzie terenówka była dostosowana do jazdy przełajowej przez pustynię, ale pasażerom nie zapewniała komfortu.

Rand minął krzewy kreozotu i uskoczył przed rzędem opuncji; spod kół wzbijała się chmura piachu.

– Jest – powiedział, w ostatniej chwili omijając skały.

Kayla zmrużyła oczy, kiedy pojazd wskoczył na wyskoki piaszczystego koryta wiodącego z powrotem do cywilizacji. Rand dodał gazu. Teraz pędził z prędkością ponad pięćdziesiąt kilometrów na godzinę drogą na tyle wyboistą, że przejeżdżająca zrobiła się całkiem interesująca.

Kayla miała ochotę mówić głośno. Kiedy sprzedawała ranczo, sędziła, że nieprędko znajdzie się w terenówce. Była przyzwyczajona do tego, że to ona jest kierowcą, ale miała zaufanie do siedzącego obok niej mężczyzny. Był szczupły, ale mocno zbudowany, jak jej dziecięcy kowbojski kapelusz jeszcze potęgował to wrażenie.

Szkoda, że ranczo sprzedane. Rand pasowałby tam idealnie.

Dotknęła grzbietu jego dłoni na kierownicy. Uniósł palce, splótł z jej palcami, cisnęła i puściła. Zwolnił, bo droga pisała się w górę nabrała, a dalej opadała do suchego koryta. Przyhamował i ruszył wzdłuż koryta w stronę kompleksu biurowego w budowie. Dwusuwowy silnik zawył z rozkoszy, kiedy został puszczony wolno.

Kilka chwil później dotarli pod kolejne nabrzeże i przejechali przez otwartą bramę placu budowy. Na placu stał biały dół z mocno przyciemnionymi szybami. Rand zahamował gwałtownie przy aucie.

– Tylne siedzenie – polecił Kayli.

Złapał jej plecak i swój przenośny komputer z półki bagażowej i wrzucił je na tył dwojki. Kayla wskoczyła na tylne siedzenie z prawej strony i jęknęła z przerażenia.

Kierowcą był Jimmy Hamm.

Obejrzał się do tyłu, sprawdzając, czy ktoś za nimi nie przyjechał.

– Jesteś czysty – powiedział do Randa.

Spojrzał na Kayla w lusterku wstecznym i się uśmiechnął.

– Cześć, złotko. Uwielbiam ten zabójczy uśmiech.

Mówiąc to, wrzucił bagnet i wyjechał z placu budowy na jezdnię. Kayla zerknęła znad oprawek okularów na mężczyznę, który flirtował z nią przez kilka ostatnich miesięcy.

– Kłamczuch – rzuciła.

Na sekundę odwrócił wzrok od drogi i spojrzał na nią w lusterku.

– Co zrobiłem?

– Pozwoliłem mi myśleć, że masz na mnie ochotę – odparła. – A chciałem tylko zakraść się w życie Andre Bertone'a i na jego konta bankowe.

– Myślałaś, że mam na ciebie ochotę, bo tak było naprawdę – zapewnił. – To była najłatwiejsza przykrywka, pod jaką w życiu działałem.

Rand przestał obserwować lusterko wsteczne.

– Pamiętaj, co Faroe powiedział o tych najlepszych – zwrócił się do Hamma i wyszczerzył zębów uśmiechem.

– Cholera – mruknął Jimmy i zwrócił się do Kayli: – Byłabyś w stanie rozpoznać gościa, który dobierał się do ciebie wczoraj wieczorem?

Kayla spojrzała na Randa.

– W ogrodzie Bertone'a – wyjąknął i tym razem uśmiechnął się szczerze.

Miała nadzieję, że rondo kapelusza ukryje jej twarz zalaną rumieńcem.

– Tak – odpowiedziała Hammowi. – Wolałabym już nie oglądać tego karalucha, ale poznałabym go.

– Trochę poszukałem wśród moich kumpiów ze służby ochroniarskiej – rzekł Jimmy. – Póki nie przeszukałem baz danych pracowników i wyłowilem prawdopodobne nazwisko. Gabriel Navarro. Jest rzekomo zarządcą terenów posiadłości, ale nikt nie pamięta, żeby go widział przy pracownikach ogrodu.

– Kojarzysz nazwisko z listy płac – powiedziała Kayla. – Jeśli ten Navarro jest szefem ogrodników, to naprawdę nieźle zarabia.

– Ile? – spytał Rand.

– Dziesięć tysięcy miesięcznie.

– Głównie dam, że kopie doły na metr osiemdziesiąt – mruknął Rand.

W myślach Kayli pojawił się obraz kajdanek i małego pistoletu. Dostała się skórki. Nie cierpiała się bać, ale była zbyt młoda, żeby się nie bać.

Hamm wjechał na zjazd w kierunku zachodnim i bez trudu włączył się do ruchu na niezatłoczonej w niedzielny poranek drodze.

– St. Kilda dostała się do bazy danych w Niebiańskim Zamku, wiemy więc, gdzie mieszka Navarro. Faroe wynajął dwóch prywatnych speców, żeby rozejrzeli się po jego domu. Kto tam jest, ale Kayla musiała by zerknąć, czy to Gabriel.

Ostatni rzecznik, jak Kayla chciała znowu zobaczyć, była twarz z jej koszmaru.

– Jasne. Nie ma sprawy. Załatwmy to.

– Najpierw się przebierz. – Rand rzucił jej na kolana dżinsy, koszulkę i czapkę bejsbolową. A póki niej spojrzał na Jimmy'ego. – Jak zobaczysz, kiedy będziesz się przebierała, będziesz musiał zmienić przyzwisko, Przystojniaku.

Hamm skupił uwagę na drodze. Tylko i wyłącznie.

## ***Rozdział 43***

***Guadalupe, Arizona***

***Niedziela, 8:55***

Hamm zaparkował na bocznej drodze, z której widać było piaszczysty rynek miasteczka z dwoma zabytkowymi, pobielanymi kościołami. Gdyby Kayla zmrugała oczy na tyle, żeby zamazał się widok autostrady w tle, mogłaby uwierzyć, że przewieziono ją pięćset kilometrów na południe, na pustyni Sonora w Meksyku. Na wieżach kościoła zaczęły bić dzwony, wzywając wiernych na mszę. W stronę wieży człapała przez piaszczysty rynek grupka ciemnowłosych młodych mężczyzn.

– To co wyjdzie – stwierdziła Kayla.

– Co? – spytał Rand.

– Ten facet w ogrodzie...

– Gabriel Navarro.

– ...był Latynosem, ale raczej nie Meksykaninem. Był ciemny jak maho.

Rand czekał, bezwiednie pocierając ogolony policzek. Miał wrażenie, że jest nagi.

– I?

– Ta miścina nazywa się Guadalupe. Została założona ponad wiek temu przez Indian Yaqui z północnego Meksyku, urodźców meksykańskiej wojny domowej. Mężczyzna w ogrodzie był *myy indio*, bardzo ciemny.

– To znaczy, że czeka nas niezła przeprawa – orzekł Hamm.

– Nie ten kolor? – domyślił się Rand.

– Właśnie. Yaqui trzymają się razem, jak Cyganie, ale są dwa razy bardziej podejrzliwi. Nie ufają nawet Meksykanom. To dlatego są tu obok siebie dwa kościoły, oba katolickie. Jeden dla Meksykanów, a drugi dla Yaqui.

– Ale chyba nie będziemy krążyć po okolicy?

– Nie musimy. Mamy tu dwóch miejscowych detektywów. Oni wieszają oko po okolicy, podając się za przedstawicieli dealera samochodów. Mogą pracować w pobliżu domu Gabriela. My zostaniemy tutaj i będziemy pracować na odległość.

– Lornetka? – spytała Kayla.

– Aparat z teleobiektywem – odparł Hamm, podając go przez siedzenie. – W weekendy lubi się tu snuć turyści i oglądać zabawnych miejscowych.

Wyj 1 ze schowka czapczk bejsbolow Diamondback, podobn do tej, któr sam miał na sobie, i rzucił Randowi. Ten marudził, e jest fanem Marinerów, ale zało ył czapk .

Odezwała si komórka Hamma, odgłosem wiergotu kardynała. Odebrał i słuchał.

– W domu co si dzieje – powiedział po chwili. – Transporter. Za kierownic siedzi biały facet z rudymi włosami. – Odezwał si do telefonu: – No, chłopaki, wsu cie si troch dalej. W Guadalupe komornicy w samochodach pomocy drogowej to adna nowina.

Słuchał jeszcze chwil , po czym przekazał kolejne informacje.

– Na transporterze jest napis „Okr gowy Klub Strzelecki Arizony”.

– Rude włosy ma Steve Foley – powiedziała Kayla. – I jest członkiem tego klubu.

– Co to za klub? – spytał Rand. – Zabytkowa bro i prototypy pistoletów?

– Raczej zabawa w Rambo wyja nił – Hamm, przypominaj c sobie fakty. – Wszystko najnowszej technologii.

– Steve uwa a si za strzelca sportowego – powiedziała Kayla. – Ale w Arizonie mo e nim by ka dy, nerwowa staruszka i niedoszły Wyatt Earp.

– Wiesz, gdzie jest ten klub? – spytał Hamma Rand.

– Na skraju pustyni, na ziemi plemiennej.

– Agentom wst p wzbroniony? – domy lił si Rand.

Hamm wzruszył ramionami.

– Ka de plemi ma swoje zasady. Mnie nigdy nie zaproszono, wi c nie byłem w rodku. Wiem tylko to, co słyzałem od tych, którzy byli.

– Steve cz sto opowiadał o klubowym „mie cie z gumy” i o torach do walki z bliska, ale nie wiem, co to jest.

Hamm i Rand wymienili spojrzenia.

– Miasto z gumy.

Nazwa przyprawiła Randa o dreszcz. Nowocze ni miastowi wojownicy uprawiali walki z bliska w niezadaszonych budynkach, których ciany zrobiono ze starych samochodowych opon wypełnionych piachem. Potrafił wyobrazi sobie miejsce, o którym mówiła Kayla – betonowe budynki, wirowe kaniony, wewn trzne labirynty ruchomych galerii strzeleckich z platformami obserwacyjnymi na górze. Klub strzelecki Foleya był fortec na pustyni, odosobnion i pełn broni.

– Co znaczy „miasto z gumy”? – spytała Kayla.

– To w slangu nazwa bunkrów symulacyjnych – wyja nił Rand. – A tory do walki z bliska s strzelnicami do gonitw strzeleckich. W takich miejscach na ogół prowadzi si szkolenia sił policyjnych albo wojskowych brygad antyterrorystycznych. – U miechn 1 si blado. – Co jak Disneyland z ostr amunicj dla dobrze uzbrojonych dorosłych.

– To podobne do Steve'a – orzekła Kayla.

– Cudownie – mruknął Rand.

Wzruszyła ramionami.

– W kwestii posiadania broni Arizona jest ostatnim dzikim bastionem. Obowiuguje prawo jawnego noszenia.

– To znaczy? – spytał Rand.

– Po prostu ci naszych ulic może przechodzić z broni, o ile jej pokazujesz. Na parkingu Costco widziałam facetów z pistoletami za pasem.

– Naprawdę cudownie. – Rand uśmiechnął się ponuro. – Schowaj się za aparatem, Kayla. Odwrócił się do Hamma. – Podjedź do tego transportera. Jedź bardzo wolno, jak gringo rozglądaj się za swoim dealerem narkotyków.

Jimmy miał ochotę się sprzeciwić, ale przypomniał sobie rozkaz Faroe'a: Rand jest szefem.

– Na terenie parkingu jest czterech mężczyzn – powiedział, powoli podjeżdżając bliżej. – Licz czołowego z transportera. Mój obserwator mówi, że przenoszą coś z samochodu klubowego na tył poobijanej niebieskiej furgonetki.

Skręcił w prawo, a później w lewo. Zamiast rynku ukazało się osiedle podniszczonych parterowych domków z antenami satelitarnymi i chłodziarkami klimatyzacji na dachach.

– Zbliżamy się.

Kayla skierowała obiektyw na chodnik i wydała odgłos przerażenia.

– Co? – spytał Rand.

– Gdzie jest dręk „o, cholera”, kiedy go potrzebujesz? – mruknęła. – To Steve Foley. Obok niego stoi Gabriel. Pozostałych dwóch nie znam.

– Skul się. – Rand wymusił wykonanie polecenia, przyciskając jej twarz do swoich kolan. – Hamm, patrz przed siebie, jak błądziemy ich mijając.

– Rozkaz. – Minął dom, udając, że nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

Rand oparł rękę o drzwi, zasłaniając twarz. Ale udało mu się zerknąć w bok na lśniący czerwony transporter, który stał tyłem w tył ze zdezelowaną furgonetką dostawczą marki Chevrolet. Drzwi budy furgonetki wyglądały dziwnie: na jednym skrzydle były prostokątne łaty.

– Widziałeś broń? – spytał Hamm, kiedy minęli oba wozy.

– Tak.

– Załatwione?

– Tak.

Hamm stopniowo dodawał gazu. Rand pomógł Kayli normalnie usiąść. Pacnęła go czapczką.

– To za głowę na twoich nogach.

– Wczoraj w nocy nie miała nic przeciwko temu – szepnęła.

Pacnęła go znowu.

– Widziałyście, co rozładowują? – spytał Hamm.

– Karabiny szturmowe Galil – powiedział Rand.

– Co? – Hamm spojrzał w lusterko wsteczne. – Jesteś pewien?

– Na sto procent. Tylko Bertone mógł dostarczyć Galile do Afryki. Pewnie nadal ma dobre kontakty. Przynajmniej na tyle, żeby mógł podrzucić dwa Galile Foleyowi.

– Dwa?

– Tyle widziałem. Mogło być więcej.

– W takim razie włączyli nie poszerzyli swojego zasięgu rażenia prawie o kilometr.

– Na drzwiach jednego chevroleta było coś, co wyglądało jak wycięcia na broń – powiedział Rand. – Metalowe prowadnice.

– Niech mnie – mruknął Hamm. – I co jeszcze?

Zadzwoniła komórka Kayli. Wyjęła telefon z plecaka, spojrzała na numer na wyświetlaczu i się skrzywiła.

– Kto? – spytał Rand.

Pokazała mu wyświetlacz.

– Steve Foley.

– Założył się, że szykuje cię dla Gabriela – powiedział Rand.

Nikt nie chciał przyjąć zakładu.

## ***Rozdział 44***

***Guadalupe***

***Niedziela, 9.15***

Kayla wpatrywała się w telefon leżący na jej kolanach. Już nie dzwonił. Foley nie zostawił wiadomości.

Hamm zamknął swój komórkę z głośnym kliknięciem.

– Transporter Strzeleckiego Klubu Okręgowego Arizony nadal stoi na podjeździe Gabriela.

Rand, który rozmawiał z Faroe'em przez swój kodowany telefon komórkowy, tylko skinął głową. Nie spuszczał wzroku z bladej twarzy Kayli, zadawał pytania, słuchał odpowiedzi i kierował proby. Kiedy upewnił się, że wszystko będzie w porządku, zakończył rozmowę.

– Foley zadzwoni jeszcze raz – powiedział. – Bertone musi cię wystawić Gabrielowi. Mamy dwa wyjścia: siedzieć cicho albo wykorzystać tę okazję, żeby wykluczyć Gabriela z gry.

I modli się, żeby Navarro nie wykluczył z gry Kayli.

Rand wolałby mieć go w klatce niż snuć czegoś na wolności z Galilem, ale nie chciał, żeby nasza znalazła się Kayla. Faroe jednak się nie ugiął. Gdyby Bertone zorientował się, że Rand widział go w Afryce z samolotem wyposażonym w broń, przyszyby tak szybko, że St. Kilda nie miałaby żadnych szans.

Bertone szuka Kayli. I ma zamiar ją odnaleźć.

Kayla usłyszała na tyle dużo, by domyślić się, że znów ma być aktorką. Nienawidziła grać.

– Ty decydujesz – powiedział jej Rand. – Jeśli nie chcesz rozmawiać z Foleyem, nie rozmawiaj.

Jej komórka znów zaczęła dzwonić. Rand czekał. Kayla się wahała: odebrać czy nie? Telefon w końcu dzwonił. Podniosła go, ale nie włączyła.

– Jeśli odbierzesz, przełącz go na głośnomówiący – powiedział Rand.

Zmieniła ustawienie komórki, w dalszym ciągu nie odbierając połączenia.

– Hamm, jedź do centrum handlowego, które widzieliśmy z autostrady.

– Do Galerii Handlowej? – spytał Jimmy.

Telefon znów zadzwonił.

– A jest najbliżej? – spytał Rand.

– Tak – powiedziała Kayla. – Jakie wskazówki, zanim odbiorę?



– Wykrcaj się, a potem zaproś go do restauracji Cheesecake w Galerii Kupieckiej. Nie wspominaj o mnie. – Odwrócił się do Hamma. – Jedź.

Odebrała telefon.

– Halo? – odezwała się.

– Cześć, Kayla, tu Steve. Jak mija niedziela? – Foley mówił dwiema i przyjaźnie, jak handlowiec.

– Wietnie – odparła. – Ale właśnie łamię przepisy, rozmawiam cię i prowadzę cię osiemdziesiąt na godzinę na zjeżdżalnię ze sto pierwszej. – O co chodzi?

Rand ocenił jej odpowiedź, unosząc kciuk.

– Przepraszam, że niepokój cię w weekend – mówił Foley – ale wynikła pewna sprawa. Musz się z tobą zobaczyć. Moemy się spotkać na twoim ranczo?

Hamm i Rand jednocześnie pokręcili przecząco głowami.

– Dzisiaj jestem naprawdę załatwana – powiedziała Kayla. – Nie możemy załatwić tego przez telefon?

– Przykro mi – głos Foley'a sugerował, że wcale nie jest mu przykro – ale to trzeba załatwić osobiście.

– Cholera – mruknęła Kayla. – Jestem naprawdę zajęta. Chyba mam prawo do prywatnego życia w weekendy.

– Za cenę kariery?

Zmartwiłaby się ostrym tonem Foley'a, gdyby nie spisała swojej kariery na straty już wcześniej.

– Czy to sprawa bankowa? – spytała.

– A z jakiej innej przyczyny twój zwierzchnik wydawałby ci bezpodstawnie polecenie?

Wydała mu mnóstwo bezpodstawnych poleceń, dupku, pomyślała, i zwykle kilka minut później zmieniała zdanie.

– Cóż to takiego pilnego? – spytała.

Rand skinął głową i powiedział bezgłośnie samymi wargami: „Wyci gnij to z niego”.

– Mam nadzieję, że nie dotyczy konta Bertone'a – dodała natychmiast.

Jej ton był tak spokojny i rzeczowy, że Rand musiał się uśmiechnąć.

– Prawdę mówię ci, ma – odparł Foley niepewnym głosem, jak aktor, któremu zmieniono scenariusz.

– Tego się obawiałam – powiedziała Kayla. – Wczoraj wieczorem dozwycze nie wysłałam z przyjaciółmi. Andre i Elena mogli poczuli się urażeni.

– Ale nie – zapewnił Foley. – Po prostu martwili się o ciebie. Czy coś się stało?

Rand miał ochotę splunąć. Słodził się po minie Kayli – ona też.

– Cóż, byłam trochę zdenerwowana. W ogrodzie Bertone'ów napadł mnie jakiś morderca.

– To straszne. – Steve westchnął. – Nic ci nie jest?

– Nie, nic. W odpowiedniej chwili ktoś się zjawił i koleś zdryfował.

Rand o mało się nie roześmiał.

– Ale byłam za bardzo zdenerwowana, żeby zostać – cięgnęła Kayla. Spędziłam noc u przyjaciela z Gilbertem.

– To kto z banku?

– Nie, nie znasz go.

– Jedziesz teraz na ranczo? – spytał Foley. – Wiem, że masz jeszcze sporo rzeczy do zabrania.

Rand pokręcił głową.

– Nie. Robi zakupy.

– Aha. To może wpadniesz na ranczo później i pomogę ci przy wyprowadzce. Nie powinnaś być sama po tym, co się wydarzyło wczoraj wieczorem.

Kayla uniosła rodkowy palec, ale głos nadal miała słodki.

– Poczekaj chwilę. – Zakryła dłonią mikrofon i spojrzała na Randa. – Na pewno nie chcesz Foleya na ranczu? – spytała ze złowieszczym uśmiechem. – Moglibyśmy jego i tego drugiego maniaka broni nieleprzywitać.

Najwyraźniej spodobał jej się pomysł zastawienia zasadzki na zastawiających zasadzkę.

Rand pokręcił przecząco głową.

– Za duży po drodze miejsc, skąd może ci trafić snajper.

Kayla zdjęła dłoń z mikrofonu.

– Cholera, zaraz wjadę w strefę w Shea, gdzie nie ma zasięgu. Oddzwoni do ciebie.

– Do kogo mówiła? – spytał Foley.

– Do siebie, jak zwykle. Nie mogła się odzwyczaić.

– Za długo mieszkała sama, skarbie. Może...

Wyłączyła telefon i spojrzała na Randa.

– Dlaczego po prostu nie wezwiemy policji, żeby zastawili pułapkę na ranczu? – spytała.

– Faroe się stara, ale czy masz pojęcie, ile trzeba by narobić zamieszania? – odparł. – Och, szeryfie – zaczął parodiować falsetem. – Bardzo bogaty obywatel, który przy okazji jest też mi dzynarodowym przemyślnikiem broni i pierze brudne pieniądze, usiłuje mnie zabić. Posługuje się

wysoko postawionym bankowcem i oprychem z plemienia Yaqui, który ma kilku wrednych kolegów i bro maszynow , nielegalnie przemycen do kraju.

– Ale St. Kilda... – zaczęła Kayla.

– Pracuje dla obcego pa stwa przerwał jej i działa na granicy prawa. A wczorajszy napad na ciebie nie został zgłoszony. Spróbuj to wytłumaczy .

– Czuj się jak Linda Hamilton w *Terminatorze*.

– Przyzwyczajaj się . W zeszłym roku Bertone'owie zapłacili milion siedemset tysięcy dolarów podatków, pół miliona miejscowym politykom i kolejne pół kandydatom krajowym. A to tylko pieni dze, które zdołali my wytropić . Kto wie, ile dali na wybory miejscowego szeryfa? Za takie sumy można kupić ka dego gliniarza.

– St. Kilda dowiedziała się tego z dnia na dzień ? – spytała Kayla.

– Internet nigdy nie poci, detektywi St. Kilda też nie. Ale nie musieli włamywać się do systemu. Legalne darowizny na polityków są wykazywane w publicznych dokumentach.

– Wi c nie możemy liczyć na pomoc adnych władz?

– Wszyscy staną na głowie, żeby nam pomóc, ale dopiero kiedy będziemy mieć dowody przeciwko Bertone'owi. Niezbite. Jeśli ich nie zdobędziemy, wykorzystamy oburzenie, jakie wywoła program Martina, żeby przekonać polityków, którzy pó niej wesprą się gliniami.

Kayla westchnęła i uśmiechnęła się smutno.

– W tej chwili nie możemy liczyć na adną pomoc z zewnątrz – ciągnął Rand. – Poza tym jest weekend. Miejscowi gliniarze, którzy liczą się na tyle, żeby ciga Bertone'a, grają w golfa.

– A czemu sprawy nie możemy załatwić St. Kilda? – spytał Hamm.

– Bo jeśli doprowadzimy do strzelaniny, była pani s dzia Grace Silva Faroe zje nasze jaja na niadanie.

Kayla się skrzywiła.

– Ja dziękuję , wolę niadanie w Cheesecake Factory.

– Ale przy stoliku z daleka od okien – powiedział Rand. – Ktoś , kto umie się posługiwać galilem, poczeka na okazję do pewnego strzału. Nie będzie chciał, żeby wylądowała w szpitalu otoczona gliniarzami.

– A jeśli Foley nie będzie chciał grać w moją grę ? – spytała Kayla.

– Powiesz mu, że jesteś bardzo zajęta i zobaczysz się z nim w poniedziałek w pracy.

– Możemy mnie zwolnić . Wtedy nie dowiemy się , co planuje Bertone.

– No cóż , stracimy Bertone'a, ale ty nie stracisz życia. Nie pozwól ci spotkać się z Foleyem w miejscu, którego nie możemy kontrolować .

– Jestem skłonna zaryzykować .

– Ale ja nie – odparł Rand. – Dzwoń do Foley'a.

– Ale...

– Dzwoń – przerwał Rand. – Albo odwiedź go osobiście i cała ta cholerna komedia skończy się w szambie, tam, gdzie jest jej miejsce.

Kayla przyglądała się Randowi przez długą chwilę. Bez brody powinien wyglądać łagodniej, na bardziej cywilizowanego. Nie wyglądał. Wzięła komórkę i zadzwoniła do Steve'a Foley'a.

## ***Rozdział 45***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 10.55***

– Tak – powiedział Faroe do mikrofonu pod kołnierzem. W uszach miał słuchawki. Jedną czyła go z Hammem, drugą z Grace. – Zrozumiałem. Co si posun ło z glinami?

– W ko cu – odparła Grace. – Na szcz cie jeden z twoich dawnych kumpli ze słu by granicznej pracuje w biurze.

– Biedaczysko.

– Czy by? Sier ant Masters dostaje emerytur ze słu by granicznej i pełn pensj z wydziału policji Phoenix. Biedny nie jest.

Faroe prychn ł.

– B d gotowa, eby poł czy mnie z Mastersem.

– Gotowo to moje ycie.

Joe si u miechn ł.

Stoj cy przy nim Lane rozgl dał si po parkingu olbrzymiego centrum handlowego.

– Zało si , e maj tu wietny sklep z grammi komputerowymi.

– B dziemy si martwi grammi komputerowymi, jak zaliczysz test – odparł Faroe. – Nie, nie do ciebie, najdro sza – odezwał si do mikrofonu. – Lane nagabuje mnie na wypraw po sklepach. I nie, nie widz poobijanej furgonetki dostawczej z drzwiami z innej parafii. Hamm mówi, e jeszcze nie zjechali z autostrady.

– Lane powinien si uczy – powiedziała Grace do słuchawki.

– Praca bez rozrywki daje... – Joe przerwał i dotkn ł słuchawki w prawym uchu. – Hamm mówi, e ruszaj . Przeł czam na cz stotliwo Randa. – Wł czył ton na jednym z iPodów w kieszeni. – Anioł w ruchu.

Chropowaty d wi k oznaczał przyj cie informacji.

– Przedstawienie zacz te – powiedział Faroe do syna.

– B dzie ekipa telewizyjna? – spytał Lane.

– Tak, ale lepiej ich nie widzie .

Lane si u miechn ł.

– Nie widzie czego?

## ***Rozdział 46***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 11.05***

Tłum okupujący Cheesecake Factory w porze późnego śniadania wylał się na poranne słonce przed pasażerami. Rand i Kayla usiedli w środku.

Rand z rękami w kieszeniach, oparty ramieniem o ścianę, wyglądał, jakby słuchał iPoda, czekając na jedzenie.

Kayla spojrzała na niego.

Skin głowi podrapał się w kark, przypominając jej, że prowadzi rozmowę.

– Hamm mówi, że transporter rzeczywiście ma metalowe prowadnice, przynajmniej na lewym skrzydle tylnych drzwi – powiedział Faroe. – Wygląda na to, że skonstruowali ruchomą platformę strzelecką. Dwa koła. Dwa galile.

Ulga spłynęła na Randa niczym deszcz.

– Dzięki ci, Boże – powiedział, nie poruszając wargami.

– Nie ma za co.

– Ty nie jesteś Bogiem.

– Przestań, bo się rozplącz. Nie ma jeszcze samochodu Foleya.

Rand pstryknął w kołnierzyk, potwierdzając, że usłyszał.

– Wezwij miejscowych gliniarzy na górę kocińców, ale najpierw chciałbym mieć Foleya na kasecie. I w kamerze – powiedział Faroe.

– Nie czekaj za długo – wycedził Rand przez zaciśnięte zęby.

– Jeśli Gabriel dopadnie Hamma, rozwalam wszystko do góry nogami i wyciągam Kayla. Będzie przygotowany.

Rand poprawił kołnierzyk i pochylił się do Kayli.

– Lunch gotowy.

– Jesteś my razem, tak? – Dała znak elektronicznym mieszadłem wydawanym klientom przez obsługę restauracji, by mogli zasygnalizować, że chcą już złożyć zamówienie. – Mam się do ciebie kleić jak olejek do ciała, żeby Folej na pewno zrozumiał?

Rand się uśmiechnął.

– Ja zajm się kwestią olejku. Ty się skup na Foleyu.

– Pieprzony tajniak – mruknęła.

– Co sobie przypominam odnośnie nie pieprzenia. – Poglaskała ją nosem po karku, po czym zakryła mikrofon dłonią. – I to nie była przygoda na jedną noc, słyszała?

– Czy Foley się na to nabierze? – spytała.

– Pieprz Foleya. Mówi do ciebie.

– Sam go pieprz. Nie jest w moim typie. – Nie mogła powstrzymać się od miechu. – Dobra. Słyszałam.

– Wierzysz mi?

– Chcę wierzyć – odparła. – Zostawmy to, dopóki sama się nie wyklaruje.

Ugryzła ją delikatnie.

– Albo do wieczoru.

Zamknęła oczy.

– Albo do wieczoru.

– Załatwione. – Znów pogłaskała ją nosem i odstąpił mikrofon. Zmierzyła go wzrokiem: kowbojski kapelusz, koszula opinająca szerokie ramiona, w skórze biodra w dopasowanych dżinsach. Nie da się ukryć – smakowity seks, ale zupełnie w innym stylu niż z którymi się umawiała, odkąd dorosła.

– Mam nadzieję, że Foley to łyknie – powiedziała.

– Co łyknie?

– że śpiam z ogierem z westernów.

Rand zachichotał.

– Ogierem? Jezu, ty...

– A jeżeli Foley rozpozna w tobie artystkę z przyjaciółką? – przerwała mu.

– Wtedy obowiązuje wersja, że ogoliłem się i cię włosy, bo mnie poprosiła. Ale w tym, aby mnie poznał. Jest tak zapatrzony w siebie, że nie zwraca uwagi na innych ludzi.

– A jeżeli jednak?

– Nie da się zaplanować wszystkich elementów tajnej operacji. Odmierzasz to sam miarkę, jak odmierzają tobie.

– To znaczy?

– Przygwoźdź mu tyłek do ściany strzelnicy.



Zamrugła, wyczuwając w spokojnym głosie Randa powstrzymane w cięciu.

– Czemu? Przecież to nie on mnie chce zabić.

– Nie, on tylko ci wystawia do odstrzału. To naprawdę słodki facet.

Potarła skronie.

– Ci głębiej mam nadzieję, że to tylko zły sen.

Rand uśmiechnął się krzywo.

– Nie wszystko w tym nie było takie złe. – Dotknęła jego policzka i pocałowała delikatnie.

Zachłannie odwzajemniła pocałunek i niechętnie przerwał.

– Faroe gdzie tu jest. Może ma ze sobą Lane'a jako przykrywkę. Zapracowani ojcowie w weekendy zabierają synów na zakupy.

Skinęła głowę.

– W pobliżu jest jeszcze kilku innych agentów – powiedział Rand. Jeśli ktoś złapie cię i powie ci do ucha „St. Kilda”, rób, co ci każę.

– Co jeszcze?

– Dałem kasjerce słówko i powiedziałem, że chcę ci się o wiadomościach nad tortillę. Jak wypatrzymy Foleya, dam jej sygnał i obsłuży nas najpierw. Bieda przygotowana, żeby wyjść, gdy tylko ci powiem. Nie chcę, żeby była narażona na ryzyko ani sekundę dłużej niż ... – Przerwał, bo włączył nie usłyszał głosu Faroe'a – Szykujcie się. Jest Foley.

## ***Rozdział 47***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 11.15***

Steve Foley miał na sobie czarne dżinsy, biały jedwabny koszulk do golfa i skórzane buty ze srebrnymi okuciami na czubkach. Do tego szerokie bursztynowe okulary przeciwsłoneczne – ulubiony model mężczyzny uprawiającego strzelectwo. W torbie z miodową czarną skórą, takiej jak buty i z takimi samymi grawerowanymi srebrnymi akcentami, miał laptopa.

Biały jedwab nie był najlepszym pomysłem; przywierał do wypracowanych na siłowni twardych mięśni Foleya i do ciemnego przewodu, który na nich spoczywał.

– Ma poć czenie dżinsów – wymruczał Rand w kołnierz, pochylając się, żeby wtajemniczyć również Kayla w ostatni etap rozmowy.

– Domyślasz się, jaki zasięg? – spytał Faroe.

– Maksymalnie trzy metry. Nie widziałem ładunku wiązki przekaźnika. Ma laptopa, więc przypuszczam, że mógłby być bezprzewodowy.

– Nie ma jeszcze sposobu, żeby tego rodzaju przekaz wyszedł poza budynek. Może wiązka przekaźnika ukryła się w dżinsach.

– Nie widziałem żadnych wypukłości.

Faroe się roześmiał.

– Powiem St. Kilda.

Hostessa zaprowadziła Foleya do stolika. Jej uśmiech wskazywał, że nawet jeśli Foley nie miał żadnej wypukłości, ona tego nie zauważyła.

– Czy ty nigdy nie robisz sobie wolnego? – spytała Kayla.

Spojrzał na nią niepewnie.

– Twój komputer – wyjaśniła.

Uśmiechnął się lekko.

– Pieniądze nigdy nie piją. – Jego uśmiech zniknął, kiedy spojrzał na mężczyznę obok Kayli.

Rand zareagował na to spojrzenie zupełnym brakiem zainteresowania.

Chamski bydlak, słucha na randce iPoda, pomyślał Foley.

– Gdzie go znalazła?

– Odsun ła kołdr i ja tam byłem. – Rand u miechn ła si od ucha do ucha.

Kayla przewróciła oczami.

– Jerry, to mój szef, Steve Foley. Steve, to Jerry.

aden z m czynn nie wyci gn ła r ki.

Gdyby Foley spytał o nazwisko, Kayla miała powiedzieć , e ona i Jerry a tak dobrze nie zd yli si pozna .

Ale nie spytał. Wsun ła si do lo y naprzeciwko przyklejonej do siebie pary, skrzywił i lekko przesun ła. Rand o mało si nie roze miał. Biedy gnojek. Kto ła zamocował przewód. Ci gnie go przy ka dym ruchu.

– O co chodzi? – spytała Kayla, opieraj c si o Randa ze swobod kobiecy u boku kochanka.

Pogłaskał j nosem w szyj i zerkn ła na skórzan torb Foleya. Je li bankowiec zacznie wyjmowa z niej co niebezpiecznego, błyskawicznie znajdzie si na stole i udusi go w mgnieniu oka. Teczka była na tyle du a, e mogła pomie ci wi cej ni jeden pistolet.

– Przepraszam, e przeszkadzam w niedzielny poranek, ale potrzebuj Kayl na kilka minut. Interesy bankowe, rozumie pan. Poufne. – U miech Foleya był prawie niegrzeczny.

– Zało sobie drug słuchawk – powiedział Rand, prostuj c si i odsuwaj c od Kayli. – Pełna prywatno .

– Nie lubi by nieuprzejmy – zacz ła Foley – ale Kayla i ja musimy popracowa .

– Nie jest pan nieuprzejmy. – Rand u miechn ła si szeroko. – Kayla wychwalała pana pod niebiosy. Twierdzi, e jest pan najbystrzejszym bankowcem na wiecie. Mam pieni dze do zainwestowania. Chyba z nieba mi pan spadł. Prosz załatwia te sprawy słu bowe, a my w tym czasie zjemy lunch. Tym sposobem nie b dzie jej pan musiał płaci za nadgodziny.

Foley wpatrywał si w Randa.

Rand wpatrywał si w Foleya.

Do Steve'a dotarło, e je li si nie wywali chłopaka Kayli z za stolika, ten nie zostawi jej samej. A e chciał unikn przemocy, poddał si niech tnie.

Lunch. Z grymasem na twarzy wzi ła kart .

– Zamów dla mnie – powiedział do Kayli Rand, przesuwaj c palcem po jej dolnej wardze. – Wiesz, co lubi .

Lekko ugryzła koniec jego palca, polizała i pu ciła.

– Oczywi cie – mrukn ła zmysłowo.

Foley zmru ył oczy.

– Czy Lane jest na tyle du y, eby na to patrze ? – spytał Faroe. – Siedzimy tylko kilka stolików za wami.

– Zachowuj się, skarbie – powiedział Rand. – Bo inaczej nigdy nie poznamy się ... eee... nie załatwimy tych interesów i nie zajmiemy się przyjemniejszymi rzeczami.

Kayla zamówiła dla nich stek i jajka.

Foley zdecydował się na Krwawą Mary.

Kiedy kelner zanotował zamówienie, Rand rozejrzał się od niechcienia po restauracji. Faroe i Lane, siedzący przy kilku stolikach dalej, mieli już przed sobą jedzenie. Faroe pił kawę i jadł kanapkę, a Lane pochłaniał cheeseburgera, niewiele więcej niż kosztującego od srebrnego dolara. Pilnował się, żeby patrzeć tylko w swój talerz albo na ojca.

Kelner odszedł, obiecując Foleyowi, że za chwilę przyniesie mu drinka.

Może w restauracji znajdowali się inni agenci St. Kilda, ale Rand ich nie rozpoznał. Nie zauważył też żadnego z oprychów, którzy byli z Gabrielem w Guadalupie.

Po minucie Foley dostał swoją Krwawą Mary. Restauracja zarabiała głównie na drinkach. Jeśli ktoś chciał je, musiał poczekać.

Foley pociągnął łyk i zwrócił się do Kayli:

– Naprawdę powinniśmy porozmawiać o tym rachunku na osobno ci.

– Lichy tajniak z tego gościa – skomentował Faroe. – Masz pokierować celem, a nie zatłuc go na miejscu.

Kayla zrobiła minę wyrażając niewinne zakłopotanie.

– Nie rozumiem. Czy chodzi o konto Bertone'a?

– Niektóre informacje bankowe są tajemniczymi słowami – warknął Foley. – Nasi klienci oczekują dyskrecji. Tego chyba nie musisz tłumaczyć.

– Wiem, że jesteś tu w sprawie konta Bertone'a – powtórzyła.

– Tak – wycedził Foley przez zęby.

– To dobrze się składa. – Zabiła palcami o stół. – Wiesz, że nie jestem zadowolona z Bertone'ów. W poniedziałek zamierzam pójść do Mała Townseda i poprosić o zmianę przydziału.

Foley miał tak minę, jakby ktoś podał mu półmetrową glistę.

– O czym ty mówisz? Twoim szefem nie jest Mal, tylko ja!

– A Mal jest twoim – odparowała Kayla. – Od miesiąca odrzucasz moje prośby o zmianę klienta. Nie mam wyjścia, muszę zwrócić się do kogoś innego.

Foley wyprostował się i odstawił drinka. Szklanka z Krwawą Mary uderzyła o blat z takim siłą, że wyskoczyło z niej kilka kropeł. Sprzeciwiasz się mojemu poleceniu?

– Powiedziałam, że się nad tym zastanawiam.

Zmarszczyła brwi i potarła oczy.

– Przez tę sytuację z Bertone'em mam przechłapano, a ty niewiele mi pomagasz.

– Co ona, do cholery, wyrabia? – spytał Faroe.

Rand podrapał się po koszuli. Mocno. To był występ Kayli. Ziewnął i zrobił przedstawienie, wkładając sobie do ucha drugą słuchawkę. Po chwili zaczął się kołysać w takt wyimaginowanego rytmu.

Foley spojrzał gniewnie na niego.

– Naprawdę nie zamierzam omawiać spraw bankowych w obecności obcego człowieka.

Rand miał zamknięte oczy i nucił pod nosem, niemiłosiernie fałszując. Dobrze słyszał rozmowę, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Nie zwracaj na niego uwagi. – Kayla wzruszyła ramionami. – Jerry nie ma sobie równych w łóku, ale poza tym nie jest zbyt błyskotliwy.

Cztery stoliki dalej Faroe o mało nie zakrztusił się kawą.

– Uwierz mi – ciągnęła Kayla. – Przecież nie zdradzamy prywatnych informacji bankowych rewizorowi obiegu walut. – Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na szefa tak, jakby nigdy wcześniej go nie widziała.

– Kayla... – zaczął Foley.

– To wiele wyjaśnia – przerwała mu. – Unikamy księgowania dużych transakcji, załatwiamy je przez korespondenckie konto bankowe.

Rand dodał do kołysania ramionami w wyimaginowanym rytmie miarowy ruch bioder. Otworzył oczy na tyle, żeby rzucić Kayli poślednie spojrzenie.

Dłonie Foley'a zacisnęły się w pięści. Patrzył na nią złowrogo przez swoje strzeleckie okulary. Z jego miny można było wywnioskować, że wolałby patrzeć na nią przez wizjer broni. A zaraz potem na jej chłopaka.

– Nie wiesz, co mówisz – warknął.

– To ja się podpisałam jako odpowiedzialna za konto Bertone'a. Ty mi kazałeś je otworzyć, ale twoje nazwisko nie figuruje na żadnych dokumentach, które mają cokolwiek wspólnego z pieniędzmi Bertone'a.

– Dalej, sestro! – ożywił się Faroe.

– Och, tak, złotko – zapiewał Rand. – Dotknij mnie.

Kopnęła go pod stołem. Nie otworzył oczu.

– Nie mam nic wspólnego z pieniędzmi Bertone'a – oznajmił Foley.

– Bzdura – powiedziała słodko Kayla. – To chyba ty polecieś mi po rednika nieruchomości, kiedy chciałam sprzedać ranczo?

– Ja... hm... no tak – wykrztusił, zaskoczony zmianą tematu. – Starłem się pomóc.

– Komu? Dzi ki agentowi, do którego mnie wysłała, rancho zostało sprzedane za cenę o wiele wyższą niż jego wartość rynkowa. A komu? Andre Bertone'owi. – Kayla nie mówiła głośno, ale w jej tonie było tyle sarkazmu, że zsiadłoby się od niego mleko.

Foley napił się Krwawej Mary. Nie natchnęła go do niczego poza zamówieniem kolejnego drinka. Skinęła na kelnera.

– Wysłałam na nieuczciwego bankowca – cięgnęła Kayla. – Powierzyłam mi pełną odpowiedzialność za konto Bertone'a, żeby mnie udupił. Planowałam to od miesięcy.

Rand cały czas miał zamknięte oczy. Nucił stary bluesowy kawałek, rytmicznie poruszając biodrami.

– Powiesz temu idiocie, żeby przestał się wiercić? – warknęła Foley.

– Jak tylko uwzględniysz mnie przy podziale zysków z korespondenckiego konta Bertone'a.

– Podziale zysków? – Foley zamrugał.

– W gotówce. Chcę połowę tego, co dostajesz.

– Oszalała? Nie możesz... – Foley przerwał, bo kelner przyniósł kolejną Krwawą Mary. Łyknęła na uspokojenie. – Nie udowodnisz tego.

Umiechnęła się leniwie.

– Mam spróbować?

Foley zachodził w głowę, jakim cudem rozmowa wymknęła mu się spod kontroli.

– Słuchaj, nie rozumiesz.

– To było wczoraj. Dzisiaj jestem o wiele mądrzejsza. Powtarzam: połowę tego, co dostajesz.

– Słuchaj, kochanie, naprawdę nie masz najmniejszego pojęcia, o czym mówisz.

– W takim razie nie mam dla ciebie czasu – oznajmiła, przewieszając pasek torebki przez ramię. – Czeka mnie mnóstwo rzeczy do zrobienia i ludzi, z którymi mogę rozmawiać.

Chwyciła Randa za nadgarstek i pocięgnęła.

– H? – ocknęła się.

Wyjęła mu z ucha słuchawkę i pochyliła się.

– Spadamy.

– Czeka! – zawołał Foley.

– Na co? – spytała Kayla.

– Słuchaj, wiem, jak ciężko pracujesz – zaczął Foley. – Zastłubiłaś na podwyk. Dwaście tysięcy rocznie, w porządku?

– Dwaście tysięcy? To jakie ochłapy – odparła.

Ale przestała wyciągać Randa zza stołu.

Wsadził słuchawkę na miejsce i zamknął oczy, głównie dlatego, że bał się spojrzeć w stronę Faroe'a. Obaj spadliby z krzesła ze śmiechu.

– Urodzona aktorka – zachichotał Faroe.

– Zarabiasz pod stołem o wiele więcej niż dwadzieścia tysięcy rocznie – powiedziała Kayla do Foley'a.

– Nie mówiłem nic o pieniądzach pod stołem, skarbie. Nigdy o tym nie wspomniałem.

– Rozumiem. Zaczynam temat dodatkowych dochodów, a ty stwierdzasz, że zaślubiłam na podwyk. Sprytnie.

Foley poruszył wargami, ale nie wydostało się z nich ani słowo.

– Zapewniasz bankowi grube profity z pieniędzy Bertone'a – powiedziała Kayla. – Bardzo ładnie wyglądały na twojej ocenie pracy pod koniec roku. Na tyle, że twoi szefowie nie będą się doszukiwać braków w teście „Znajomość klienta”. Głównie dlatego, że po każdej okresowej ocenie pracy dostajesz premie. W końcu jesteś dyrektorem, jakby nie było.

Foley wziął duży łyk swojego ostrego drinka i zakaszłał.

Rand piewał fragmenty *Devils and Dust*, zarzucając biodrami w rytm dynamicznego hitu Springsteena.

– Wiem, chcę takiego samego zysku z rachunku Bertone'a jak twoje premie – oznajmiła Kayla. – Jakich dwa miliony.

Foley zdjął okulary, chwycił się za grzbiet nosa i rozejrzał, jakby na kogoś czekał.

– To niemożliwe – powiedział w końcu. – Takiej podwyk nie mogę uzasadnić.

– Zrób ze mnie wiceprezesa – rzuciła Kayla. – Oczywiście cię będzie musiał zmienić w sposób oceny pracy, którą mi wystawiłeś dwa miesiące temu, ale na pewno jesteś w stanie to zrobić.

Rand nie pamiętał słów piosenki, więc po prostu nucił.

– No, no! skomentował Faroe. – Ona ma spust!

Foley wyglądał, jakby chciał wałnąć głową w blat.

– Dobra. Załatwione.

– Ale co? – dopytywała Kayla.

– Zostaniesz wiceprezesem i będziesz podlegał bezpośrednio mnie. Dostaniesz kilka gabinetów do wyboru i...

– Daruj sobie – uciła.

Zignorował to.

– I podwyk.

– Co najmniej pięćdziesiąt tysięcy – za dała.

– Ale... – Foley starał się nad sobą zapanować. W cholera z tym. Suka i tak nie dojdzie tego, żeby zobaczyć choćby centa. – Oczywiście.

– Nie oczekuj, żebyś otrzymywała premie tej samej wysokości co dyrektorzy – zauważyła rzeczowo. – Ale miej na tyle rozsądku, żeby mnie nie wyrolować.

– Nie martw się – rzucił Foley przez zby. – Dostaniesz wszystko, na co zasługujesz.



## ***Rozdział 48***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 11.28***

Andre Bertone zaciskał dłonie na kierownicy. Trzymał je tak od chwili, kiedy Kayla weszła do Cheesecake Factory z facetem, który wyglądał jak kowboj, a poruszał się jak ochroniarz.

Ze słuchawek, które miał w uszach, dobiegały go coraz gorsze informacje. Z jednej strony był zachwycony tupetem Kayli. Z drugiej – miał ochotę ją zabić. A pójdzie niej Foleya. Co za kutas. Ale potrzebny. I dopóki tak pozostanie, Foley będzie żył.

Dupek nawet nie spytał o nazwisko Jerry'ego. Mogłaby mu wmówić wszystko!

To nie miało dla niego żadnego znaczenia; najpierw nie robi różnicy, czy zabije dwie osoby, czy jedną. Bertone po prostu nie znosił niekompetencji. Zabijał ludzi, którzy byli za głupi, by żyć. A Foley piął się w górę na liście tych, którzy muszą zginąć.

Bertone zmusił się, aby zdjąć rękę z kierownicy. Z przyjemnością skierowałby kark Foleyowi, ale bankier był mu potrzebny. Trochę potrwa, aby zrobić sobie inny bank, innego bankowca i dopracować wszystkie kłopotliwe szczegóły niezbędne do bezpiecznego prania pieniędzy.

Do tego czasu...

Bertone wcisnął szybkie wybieranie.

– *Bueno* – usłyszał po chwili.

– Z tym Shaw jest facet – warknął do Gabriela. – Wysoki, w dżinsach, czarnej koszuli i kowbojskim kapeluszu. Zabij go. A Uri niech zdejmie Kaylę.

– *Sí*.

Bertone rozłączył się i czekał, aż z restauracji wyniosą dwoje martwych ludzi.

## ***Rozdział 49***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 11.31***

– Na koncie korespondenckim dokonano pewnych ruchów – powiedziała Kayla. – Skoro to ja jestem odpowiedzialna za konto, powinnam wiedzieć, co się dzieje.

– Omówiłem to szczegółowo z Andre – wyjął Foley. – Posługuje się kontem do finansowania kupna długoterminowych koncesji na... – Przerwał i spojrzał na Randa.

Ten pstrykał palcami i wypowiadał bezgłośnie jakieś pozbawione znaczenia słowa.

– Jak chcesz wiedzieć więcej – rzucił Foley – pozbadaj się kochasia. To ty chciałaś się ze mną spotkać.

Foley zacisnął zębami i z hukiem położył na stole torbę z laptopem.

Rand otworzył oczy na tyle, żeby zajrzeć do rodka. Nadanej mierciononej broni, tylko komputer. Mimo to nie czuł się pewnie. Nóż łatwo schować.

Cholera, przy odpowiedniej motywacji można załatwić sprawę nawet takim typem ze stołu. A widelcem byłoby jeszcze szybciej.

– Potrzebuję od ciebie tylko dostępu do konta – powiedział Foley. – Trzeba dokonać kilku transakcji, a nie mogę uzyskać dostępu ze zdalnego portalu. Boję się, że coś schrzani w momencie autoryzacji.

Bo nigdy się nie pokwapiła, żeby się nauczyć, jak to robi, dupku, pomyślała Kayla. Zawsze robiła to za ciebie któraś z dziewczyn.

Uśmiechnęła się.

– Nie ma sprawy. Mogę to zrobić.

– Właśnie dlatego tak bardzo cię ceni – rzekł Foley z promiennym uśmiechem, logując się na stronie internetowej banku. A raczej usiłując się zalogować. Ledwie zdołał się powstrzymać, żeby nie walić palcami w klawiaturę. – Mogę dostać się na konto, żeby ledzi stan, ale kiedy chcę wejść w dokonywanie transakcji, pojawia się komunikat, że nie jestem uprawniony.

– Ja w ogóle nie mam możliwości zdalnego dostępu – odparła Kayla. – Może portal, którego używasz, służy tylko do odczytu? A może musisz mieć specjalną autoryzację do przeprowadzania operacji poza godzinami pracy?

Pokręcił głową.

– Niemożliwe. Jednym z wymogów Andre było, żeby miałem dostęp do swoich pieniędzy przez całą dobę, siedem dni w tygodniu. To mu obiecałem. Prowadzi interesy na całym świecie.

A wiesz, jakie to mierzdce interesy? – pomyślała Kayla.

– Widzisz? – Foley odwrócił laptop w jej stronę. – Mogła dostać się na konto, żeby sprawdzić saldo, ale nie mogła dokonać przelewu na inny rachunek, ani w banku, ani poza nim.

Rand obserwował Kaylę spod przymrużonych powiek. Zamarła, a po chwili na jej rękach pojawiła się gęsia skórka.

– Spróbuj – powiedziała i spojrzała na ekran.

No, no! Imponujące, prawie jak prywatna filia banku na laptopie.

W której pieńdzie wszędzie, gdzie się da, lokuje Bertone. Sto osiemdziesiąt dwa miliony z kawałkiem. Jasny gwint. Wojna jest droga.

– Widz, że nasz klient nie marnował czasu – zagadnęła łagodnie.

Foley popatrzył na partnera Kayli, ale facet dalej siedział z zamkniętymi oczami, kołysząc się i zarzucając biodrami w rytmie, który słyszał tylko on. Nawet nie próbował zerknąć na ekran.

– Dotąd mi się udaje – powiedział Foley – ale nie mogę zrobić żadnych transakcji na rachunku.

Kayla położyła palce na klawiaturze i przez kilka sekund wciskała klawisze. Później zmarszczyła brwi i wpatrzyła się w ekran. Znowu dostała gęsiej skórki, bo dotarła do niej prosta, piękna, niewiarygodna prawda. Bertone nie ma kontroli nad swoim kontem. Foley też nie ma. Ja mam.

Zakładała konto korespondenckie w takim po piechu, że sama wybrała do niego hasło. Miała przekazać je Bertone'owi na konkursie Szybkiego Rysunku, ale zapomniała.

Kiedy klient zaczyna ci szantażować, możesz stracić głowę.

– Chyba wiem, w czym tkwi twój główny problem – powiedziała. – Portal nie jest dostosowany do tego, żeby wchodzić na konta korespondenckie, tylko na rachunki bieżące prywatnej bankowości i na rachunki oszczędnościowe.

– Czy to oznacza, że w tej chwili nie da rady dokonać przelewu? – spytał Foley.

– Tak – potwierdziła. – Do poniedziałku do dziewiętej rano pieniędzy z tego konta nie będzie w stanie ruszyć nawet sam prezes banku. – W każdym razie, mam nadzieję, że tak jest, dodała w myśli.

Foley zmiął w ustach przekleństwo.

– Chyba zajmiesz się transakcjami na rachunku w poniedziałek rano – zaproponowała.

Pokręcił gwałtownie głową.

– Nie. Andre wydał szczegółowe polecenia odnośnie do transakcji. Do dziewiętej w poniedziałek? – upewnił się.

– Ani minuty wcześniej. Ale nawet gdyby zrobił przelewy dzisiaj, i tak zostałyby zakasowane na koncie w poniedziałek. Wiadomo, że Andre nie straci żadnych odsetek, a przy kwotach tej wielkości odsetki nie są bez znaczenia.

Rand zaczął nucić *Diamonds and Rust*. Kayla znowu kopnęła go pod stołem.

– Powiedziała , e portal to główny problem. – Foley zmarszczył czoło. – Jest jakiś inny?

– Tak. Nie mam hasła. Bez niego nie możesz ruszyć pieniędzy z konta.

Foley wzruszył ramionami.

– Bertone da mi hasło.

– Nie zna go.

Rand zamarł. Foley otworzył usta, zamknął i znów otworzył.

– Co?!

– Wszystkim tak się spieszyło z otwieraniem tego rachunku, że nie mogłam się konsultować z Bertone 'era, żeby wybrał hasło, i zrobiłam to ja. Tylko ja mogłam ruszyć pieniądze z jego konta.

– Jezu Chryste! – wyszeptał Faroe. – Czemu nam nie powiedziała?!

Foley potrzebował chwili, żeby przetrawić słowa Kayli.

– Jakie jest hasło? – wycedził przez zęby, kiedy już do niego dotarli.

Rand wyprostował się dyskretnie, gotowy rzucić się na Foleya, gdyby ten zamierzał dać upust w ciekło ci, która pobrzmiwała w jego głosie. W normalnych okolicznościach, zamiast podrygiwać w rytm wymyślonej muzyki, z miejsca załatwiłby tego padalca.

– Nie znam hasła – odparła Kayla.

Rand usiłował panować nad emocjami.

Faroe jęknął. Tak blisko, a tak daleko, pomyślał.

– Jak to: nie znasz? – spytał Foley.

Kayla ziewnęła i szturchnęła Randa w kostkę.

– Uzywam miliona haseł, więc zapisuję je szyfrem w moim notesie.

– Gdzie jest ten notes? – warknął Foley.

– W mieszkaniu Jerry'ego, w mojej torbie podróżnej.

## ***Rozdział 50***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 11.33***

Bertone nie był w stanie się ruszyć, nie był w stanie oddychać, nie był w stanie myśleć. Kayla ma hasło. Gabriel zabije ją, jak tylko wyjdzie z restauracji.

Kłopotliwiejąc w zwykłych, wybrał numer Gabriela na swojej komórce. Wyjął słuchawkę z jednego ucha, przytknął do niego telefon i słuchał, jak dzwoni.

W drugim uchu słyszał głos Foleya:

– Jedź tam. Natychmiast. Pojadź za tobą.

I słabiej słyszalny głos Kayli:

– Muszę zrobić zakupy. Podam ci hasło przez telefon, jak tylko będzie miała.

– Chcę je teraz!

– Po co ten piech? i tak nic nie zrobisz do poniedziałku rano.

Gabriel nadal nie odpowiadał.

Bertone, w ciekły i przerażony zarazem, znów usłyszał głos Kayli:

– Obudź się, Jerry.

I młoki głos:

– Skończyła, słonko?

– Tak. Zadzwoń za parę godzin, Steve. Smacznego.

Bertone słyszał Kayl i jej kochasia wstających od stołu, odchodzących, kierujących się do drzwi restauracji.

Zmierzających prosto w zasadzkę w postaci Gabriela.

Oszołomiony czekał na odgłos strzałów, które równie dobrze mogłyby być wymierzone w jego serce.

## ***Rozdział 51***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 11.34***

Kiedy Rand i Kayla mijali stół Faroe'a, ten poderwał się i wpadł na nią. Złapał ją za rękę, żeby nie straciła równowagi.

– Przepraszam. Nie zauważyłem pani – powiedział i odwrócił się do Randa. – Zabierz ją na zakupy. Będzie się działo – szepnął tak cicho, że Rand miał wrażenie, że mu się przesyssało.

Przytrzymał Kaylę do siebie.

– W porządku, słodce?

– Jak najbardziej, ogierze.

Faroe wykrzywił wargi, starając się powstrzymać uśmiech.

– Pamiętaj ten frywolny różowy tegoten, który mi pokazywała? – zagadnął Rand. – Postanowiłem, że ci go kupię.

Wytrzymał Kaylę z restauracji bocznymi drzwiami prosto do windy. Gdy jechali na drugie piętro domu handlowego, stanął tak, żeby osłonić ją od widoku na parking. Nie chciał narazić jej na niebezpieczeństwo, dopóki nie będzie miał pewności, że Gabriel razem z dwoma galilami wypadł z gry.

– Co się dzieje? – spytała szeptem.

– Faroe nie chciał, żebyśmy wyszli na parking – wyjaśnił Rand.

Z windy miał widok na cały parking. Był obstawiony radiowozami.

– Oj, jak miło – powiedział, uśmiechając się promiennie.

– Nie widzisz.

Przesunął się.

Kayla dostrzegła pięć radiowozów ustawionych dookoła zdezelowanej furgonetki chevroleta, którą wcześniej widziała w Guadalupie. Wokół auta kręcili gliniarze. Trzech otworzyło drzwi i zajrzeli do środka, żeby sprawdzić zawartość.

Na asfalcie, twarzami do ziemi, leżało dwóch mężczyzn skutyh kajdankami.

– Czy to... – zaczęła.

– Tak. – Rozglądał się, udając, że gładzi jej włosy. – Anioł mierci fruwał za nisko nad ziemią.

Zgię, przepadnij, zmoro.

Z bagażnika furgonetki wyłonił się funkcjonariusz z karabinkiem snajperskim.

– Jeden z tych facetów na ziemi, ten chudy...

– Wiem – Rand znów jej przerwał. Pomachaj mu, kochanie. Idź na dno, najwyższa pora.

– To jeden z tych, których widzieliśmy w Guadalupie? – spytała Kayla szeptem.

– Mogłoby się założyć. Koniec przejażdżki, patrz pod nogi.

Wysiadła z windy, ale nie była w stanie myśleć o niczym innym niż o niemych przedstawieniu na parkingu.

– Miałaś rację z tymi otworami na broń.

– Pewnie.

– I z czego się tak cieszysz? Przecież to do mnie mieli strzelać.

– Nie zdziwiłbym się – stwierdził Rand. – Ale jeżeli Foley był połączony podsłuchem z Bertone'em, Sybirak mało się nie zesrał ze strachu.

– Czemu?

– Bo ty, sprytna bankierczko, masz klucz do jego milionów. Jeżeli zginiesz, wszystko straci. Ale gdy nasyłał na ciebie swojego anioła śmierci, jeszcze tego nie wiedział.

Kciuki jej ust opadły.

– I co teraz?

– Powiedz, pamiętasz hasło Bertone'a.

– Pamiętam.

Oddechnął z ulgą.

– Chwała Bogu.

– To, że kołysz biodrami, jak idę, nie znaczy, że jestem głupia. I zapewniam ci, że nie mam żadnego notesiku z hasłami.

– Rany! – Uśmiechnął się. – Cały zeszytniałem na sam myśl o tym.

Ruszyli wzdłuż pasa, mijając wystawy kolejnych sklepów.

– Idziemy w jakie konkretne miejsce?

– Nie. Czekamy, aż Bertone zgłosi się po hasło.

– A co z moim frywolnym różowym fatałaszkiem?

– Załatwi to.

## ***Rozdział 52***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 11.40***

Lane szedł dziarsko obok ojca w stronę radiowozów, które blokowały wejście na zatłoczony parking.

– To klasyczny przykład udaremnienia napadu z broni w rękę – wyjął Faroe. Patrz i ucz się.

– Sto razy lepsze niż cykl Krebsa – stwierdził Lane, przyglądając się tłumowi funkcjonariuszy.

– Mojesz kiedy poczujesz tę adrenalinę. Co wspaniałego. Ale pamiętaj: twoja matka jakoś działa zrobiła więcej, żeby naprawić ten wiat, niż ja, pracując dla St. Kilda.

– To dlaczego już nie jest dzisiaj?

– Zapytaj jej.

– Pytałem.

– I co powiedziała?

– Chyba spytał cię – odparł Lane.

– Czasami prawo jest bezsilne. Wtedy do akcji wkracza St. Kilda. Jesteśmy facetami w szarych kapeluszach.

– Patrz na ten karabin! Jaki to?!

– Uspokój się – skarcił syna Faroe. – Gliny panują nad sytuacją, ale wciąż mają sporo adrenaliny i pistolety pełne naboju. Nie wchodź im w paradę i nie rób gwałtownych ruchów.

Spojrzał na nich policjant, który opierał się o maskę swojego radiowozu z pistoletem gotowym do strzału.

– Odsun się – rozkazał. – To miejsce przestępstwa.

Faroe stanął z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i z otwartymi dłońmi.

Lane zrobił to samo, co ojciec. Policjant skinął głową.

– Martwi się o mój samochód, panie władzo – wyjął Faroe. – Nie chciałbym w nim dziur po kulach.

– Pańskiemu samochodowi nic nie jest. Proszę się odsunąć.

– Już się robi – powiedział Faroe.



Pociąg ł Lane'a za czerwonego forda pikapa, z za którego mogli obserwować akcję, nikogo nie denerwujcie.

– Policjanci z Arizony są przyzwyczajeni do uzbrojonych podejrzanych i do udaremniania napadów z broni w rękę – tłumaczył synowi.

– Chodzi ci o prawo jawnego noszenia broni, na które mama zawsze wznosi oczy do nieba? – spytał Lane.

– Tak. Zauważyła policja zajęła chevroleta z różnych stron, ale linia strzału została otwarta na wypadek, gdyby kołesie z furgonetki próbowali szczęścia. Dobra technika.

Lane przyglądał się, jak dwóch funkcjonariuszy wyciąga z furgonetki dwa karabiny automatyczne dużego kalibru i pół tuzina magazynków amunicji.

– Dlaczego ci go nie walczyli? – spytał. Zobacz, co mieli. To by im chyba wystarczyło, żeby wygrać z pistoletami?

– Bo to profesjonaliści, jak gliniarze – wyjął Faroe.

– Skąd wiesz?

– Przeżyli udaremnienie napadu.

– Jak to?

Faroe położył dłoń na ramieniu Lane'a.

– Zwróć uwagę na widoczne tatuaże i elastyczne mierniki na tych skutych kajdankami rękach – powiedział. – Zawodowcy wiedzą, kiedy walczyć, a kiedy się poddać. To był akurat moment, żeby się poddać. Skoro teraz jest tu sześć policjantów, to osiemnastu kolejnych jest w drodze, a te pajace na ziemi chcą, żebyś walczył, bo dają ci kiedy indziej.

– Jak ich namówiłeś, żeby przysłali ci gliniarzy? Mama nie była pewna, czy oficer dyżurny w ogóle przejmie się zgłoszeniem.

– Dopilnowałem, żeby policja dostała kilka telefonów z podobnymi informacjami – powiedział Faroe. – Po jednym zgłoszeniu o Meksykaninie w furgonetce z ostrą bronią dyspozytor wysłałby jeden radiowóz, najwyżej dwa. Bandziory mogliby próbować szczęścia. Byłoby trochę bałaganu.

– Mama bała się włączyć bałaganu.

Faroe wzruszył ramionami. Nie miał czasu na subtelności.

– Ja wykonałem pierwszy telefon, a mama drugi. Oboje opisali mi pojazd i rodzaj broni, a to podniosło rangę zagrożenia. Później poprosili mego przyjaciela Javiera Smitha, tego wysokiego gościa, który udaje ogrodnika, żeby zadzwonił na policję i poinformował ich o napadzie gangu w Galerii Handlowej.

– Niesamowicie. – Oczy Lane'a błyszczały z przejęcia.

– To ułatwiło sprawę. Gliny zwykle postępują w ciemności, jeśli mają dostateczną ilość informacji. Tylko kiedy zaczynają się motać w ciemności, polując na wesoło, potrafią wszystko spieprzyć. Dzisiaj im się udało.

Lane patrzył, jak skutych kajdankami m czyzn stawiano na nogi.

– Kryzys za ęgnany – powiedział Faroe. – Czas wraca do cyklu Krebsa.

## ***Rozdział 53***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 11.45***

Gdy tylko Foley odebrał komórkę, Bertone zaczął mówić:

– Stój cztery rzędy od drzwi restauracji. Biała toyota sedan na kalifornijskich numerach. Masz trzy minuty, żeby mnie znaleźć.

Rozłączył się i czekał. Czekając, patrzył, jak byłego snajpera armii ukraińskiej i latynoskiego gangstera imieniem Gabriel wsadzają do dwóch różnych radiowozów.

Bertone nie przejmował się tym, co powiedzą na komisariacie policji. Obaj potrafili trzymać język za zębami. Wiedzieli, że jeśli się pojawią, w świecie zawsze znajdzie się ktoś skory do zabijania.

Tymczasem człowiek, którego Bertone miał ochotę zabić, włączył się do rozmowy z jakimś nastolatkiem. Chłopaka Andre nie znał, ale orientował się, że Faroe jest agentem St. Kilda Consulting.

Kilka miesięcy temu St. Kilda została wynajęta przez Johna Neta, który chciał zemścić się na Andre Bertonie.

Może to zwykły zbieg okoliczności, ale Andre bardzo w to wierzył. Kiedy Steve Foley zapukał do drzwi, Bertone otworzył drzwi od strony pasażera i gestem zaprosił go do środka. Foley wszedł.

– Nie słyszałem strzałów – powiedział.

– Dzięki Bogu. Gdyby usłyszał, byłby martwy.

– Ja tylko wykonywałem twoje...

– Daruj sobie.

Foley z trudem przełknął ślinę. Po drodze z restauracji do samochodu zastanawiał się nad swoim położeniem. Chciał z tego wyjść.

Żywy.

Był zwykłym bankowcem, uczciwym na tyle, na ile pozwalały mu wymagania szefów i ich bogatych klientów. Przepisy dotyczące prania brudnych pieniędzy są elastyczne. Zostały stworzone raczej z myślą o tym, by chronić sprytnych urzędników, niż po to, by zapobiegać nielegalnym transakcjom. Ale jednocześnie nie przewidywały surowych kar dla bankowców, którzy dali się przyłapać na ich omijaniu.

Jego przykrywką była Kayla. Dopóki ona żyje, on może cieszyć się wolnością.

– Rozwiń za mnie problem? – spytał Bertone.

Foley sięgnął pod koszulę i wyrwał przewód, tranzystor i maleńki mikrofon.

– Przecież wiesz, że nie.

– Zapewniłem ci, że bóg miał dostęp do konta w każdej chwili. Później powiedziały, że poza weekendami. Teraz twierdzisz, że do konta jest hasło, a ty tego hasła nie znasz. Wiem, dlaczego nie miałbym cię zabić.

– Myślałem, że coś do mojej liście systemu zdalnego dostępu – przyznał Foley. – Ale zajmę się tym, jak tylko dostanę od Kayli hasło. Przelewy gotówkowe do Rumunii i do Czech przejdą natychmiast. Przelew do Rosji będzie szedł trochę dłużej. Taki urok korzystania z usługi SWIFT...

– Twój bankowy slang i skróty nie robią na mnie wrażenia – przerwał mu Bertone. – Wierzysz w to, co ci powiedziała Kayla?

– Tak, jasne. Nie jest wcale taka bystra. Słyszałem, jak próbowała wymusić na mnie podwyk. Wydaje jej się, że dostanie to, czego chce, więc dlaczego miałaby kłamać?

– Czy ten jej chłopak zamienił choćby słowo z wysokim mężczyzną, który był z nastolatkiem?

Foley zamrugał.

– Tak, a skąd wiesz?

– Ten mężczyzna to Joe Faroe, agent St. Kilda Consulting.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Nie słyszałem o wielu rzeczach, które mogą cię zabić.

Foley poruszył się niespokojnie.

– A gdzie jest Gabriel? Myślałem, że miał zająć się Kaylą, kiedy wyjdzie z restauracji.

– Gabriel i Ukrainiec zostali aresztowani, zanim zdążyli ją dopaść.

– Co?! – Foley oparł się o deskę rozdzielczą, jakby go zamroczyło. – Jak?

– Nieważne, jak. Jakby nie było, policja i St. Kilda wywiadczyli ci przysługę.

Foley uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Gdyby zginęła, zanim zdążyłaby podać ci hasło, zabiłbym cię osobiście z dużym przyjemnościami – poinformował go Bertone.

– Zmyliłem cię, Andre.

– Zmyliłoby cię nawet dziecko opóźnione w rozwoju. St. Kilda najwyraźniej ma wtyczkę w banku. To ty?

– Chyba artujesz?

Bertone powiedział coś po rosyjsku i przeszedł znów na angielski.

– Ty jesteś za cienki, więc zakładam, że to Kayla donosi St. Kilda.

Foley pokrcił głowę i nerwowo potarł dłońmi o dżinsy.

– Skoro ja nic nie wiem o tej St. Kilda, to skąd ona by wiedziała? – spytał. – Pewnie mogłaby być tajniakiem, ale to przecie nie ma sensu. Cholera, nic nie ma sensu. To nie jest mój wiat.

– Teraz jest.

Foley rytmicznie pocierał dłońmi o dżinsy.

– Jesteś pewien, że ten wysoki facet nie był agentem federalnym? To by miało sens.

– Gdyby federalni coś szykowali, wiedziałbym o tym. – Bertone zapalił cygaro. – St. Kilda Consulting jest prywatna.

– Prywatna? Chyba artujesz.

– Niestety nie. – Bertone zaciągnął się i wypuścił dym, napełniając samochód intensywnym zapachem.

Foley chciał przyciskiem otworzyć okno. Nic z tego. Spojrzał na kluczyk, ale nie miał do odwagi, żeby naruszyć przestrzeń Bertone'a.

– St. Kilda Consulting ma klasę i dobrych sponsorów. – Andre wydmuchał kolejną porcję dymu i patrzył, jak Foley się krzywi. – Wynajmij ich afrykański rząd, który niedługo zostanie obalony przez powstanie wywołane w sąsiednim kraju.

– A kogo to obchodzi? – mruknął Foley. – To Afryka, na lito boska.

– Właśnie. W Afryce takie rzeczy dzieją się bez przerwy. Niestety, ten rząd zaangażował prywatną firmę, żeby reprezentowała jego interesy na światowej scenie.

– Kosztowne.

– O wiele ta szesnia wojna. I jak do tej pory St. Kilda nie leża sobie radzi. To głównie z ich powodu musiałem posłużyć się tobą i twoim bankiem.

– Chryste! – Foley ukrył twarz w dłoniach. W co ty mnie wciągnęła! W jakim międzynarodowym aferze szpiegowskiej? Nie chcę w tym być ani chwili dłużej!

– A ja marzę, żeby wyciągnąć moje pieniądze z twojego banku – odparł Bertone.

Foley odetchnął z ulgą.

– Bo wtedy byś mógł mi zabić – dodał Bertone.

Foley zadrżał.

– Widz, że uważa nie mnie słuchać – skomentował Andre. – Zainwestowałem ponad sto milionów dolarów w rozgrywkę, która może przynieść zyski, jakich sobie nie wyobrażałem. Zapewniłem sobie pomoc urzędników w różnych krajach, między innymi w twoim. Mam kontakty z międzynarodowymi korporacjami takiego kalibru, że wszystkie pieniądze twojego banku wypadłyby na ich tle blade. Ale żeby interes się udał, muszę zginić ludzie. Zakładam, że nie chcesz znaleźć się w ród martwych. Mam rację?

Na czoło Foleya wystąpił pot.

– Cholera, tak. Tkwi w tym po uszy, ale muszę utrzymać się na powierzchni.

– Zaczynasz myśleć – stwierdził Bertone,

– Jak tylko aktywuje się główny portal banku, dopilnuj, żeby pieniądze zostały przelane. Powiedz mi tylko, gdzie je wysłać.

Bertone zaciągnął się cygarem.

– Założenia – powiedział cicho – są powodem najpoważniejszych błędów.

– Co przez to rozumiesz? – spytał Foley.

– Założyła się, że Kayla Shaw powiedziała ci prawdę. Niedawno przekonali my się, że nie można jej ufać. Dlaczego mielibyśmy to zrobić tym razem?

Foley ucieszył się, że uwaga Bertone'a skupiła się na Kayli.

– Masz rację – stwierdził – rzeczywiście mogła kłamać.

– W którym momencie?

Foley zastanowił się.

– Powiedziała, że nie mam dostępu, bo konta korespondenckie nie są skonfigurowane do dokonywania zdalnych transakcji. Ale skąd mam wiedzieć? Nie ma nawet autoryzacji do zdalnego dostępu.

– Myślisz, że chciała ci okłamać?

– Tak, to możliwe.

– Ale po co?

– A skąd mam wiedzieć, do cholery?

– To zgaduj.

– Aby zyskać na czasie.

– W jakim celu?

– Jeśli rzeczywiście jest powiązana z międzynarodową prywatną ekipą dochodzeniową, to może planuje coś na jej temat.

– Na przykład?

Foley potarł dłonie spoconymi dłońmi.

– Kiedy federalni podejrzewają pranie brudnych pieniędzy – powiedział – cz sto próbuj zamrozić konta. Może o to chodzi.

Bertone wypuścił dym z cygara.

– Ciekawe. Powiedz co wi cej.

– Jaki rok temu rz dowa Agencja do Walki z Narkotykami i urz d podatkowy wytropiły pieni dze meksyka skiego magnata narkotykowego na prywatnym koncie w naszym banku. Dowiedziałem si o tym, kiedy agent egzekucyjny urz du skarbowego wszedł do mojego gabinetu z nakazem zablokowania konta.

– Mów dalej.

– Zadzwoiłem do naszego prawnika, ale powiedział mi, e nie mam wyj cia i musz zamkn dost p do konta. Przez trzy miesi ce siedzieli my na dwóch milionach dolców, a w tym czasie prawnik klienta odwoływał si od nakazu w s dzie federalnym.

– Klient wygrał?

– Nie, ale bank wyszedł na tym całkiem nie le. Korzystali my z pieni dzy i nie musieli my płaci klientowi odsetek. W ko cu federalni zabrali pieni dze, a nam si dostało lekko po nosie za niedopatrzania.

– Gdyby to przydarzyło si mnie, nie sko czyłoby si na tym, e bank dostanie po nosie. – Bertone przygryzł koniec cygara.

– Oczywi cie – przyznał Foley. – Ale tamten przypadek nauczył mnie, eby uwa a , kto podpisuje si na dokumentach. Oddałem twoje konta Kayli, bo nie chciałem, eby trop kolejnej sprawy prania brudnych pieni dzy prowadził do mnie.

– Wi c wiedziałe o takiej mo liwo ci i nie wspomniałe mi o niej – podsumował Bertone. – Nie miałem poj cia, e American Southwest tak beztrosko podchodzi do pieni dzy klienta.

– Daj spokój – odparł Foley. – Powiniene wiedzie , jak si robi interesy.

– Prowadz interesy na całym wiecie, a moi bankowcy zawsze znajduj sposób, eby je chroni tak samo, jak swoje własne. Bo wła nie ta ochrona jest podstawowym zadaniem pracownika banku, podstawowym i najwa niejszym. Nie zatrudniam bankowców, którzy s marionetkami policji.

– Chronimy naszych klientów, dopóki nie dostaniemy federalnego nakazu zablokowania konta. Wtedy – Foley wzruszył ramionami – stosujemy si do litery prawa.

Bertone palił w milczeniu. Ameryka skie przepisy dotycz ce prania brudnych pieni dzy zgł bił na tyle, eby wiedzie , jak je omija . Niuanse nie miały dla niego znaczenia.

Ale teraz nabrały.

– Czy z nakazem zablokowania jest tak jak z przelewem pieni dzy? – spytał. – Mo e zosta wydany tylko w godzinach pracy?

Foley skin ł głow .

– Z pewno ci nie mo na go wsun pod drzwi najbli szej filii banku. Federalni musz przestrzega prawa, bo inaczej nasi prawnicy ka im si wypcha swoim nakazem.

Bertone zgasił cygaro.

– W takim razie musimy dopilnowa , eby konto zostało opró nione, zanim do akcji wkroc

FBI i urząd skarbowy.

- Do poniedziałku rano nie mogłem nic zrobić.
- Tak twierdzi Kayla Shaw. Sprawdź to.
- Z portalu zdalnego dostępu spróbowałem już wszystkiego.
- Wiadomości do banku i spróbuj tam.
- Ale...
- Zadzwoń do mnie, jak tylko dojedziesz.

Foley uświadomił sobie, że ma szansę ucieczki. Chwycił za klamkę.

- Jasne.
  - Nie popełnij błędów. Gabriel to nie jedyny zabójca, którego mam pod ręką.
- Foley zatrzasnął drzwi i z trudem powstrzymywał się, aby nie zaczął biec.



## ***Rozdział 54***

***Galeria Handlowa***

***Niedziela, 11.55***

Rand wyłczył swój komórk i wpełchnął Kayl do małej altanki za okazał rolin doniczkow .

– Grace nie może uwierzyć, że dopiero teraz dotarło do ciebie, że trzymasz Bertone'a za pysk – powiedział. – Sam mam z tym trudno ci.

– To dlatego, że nie jesteś uczciwym bankowcem.

– Czy to nie jest oksymoron? – Sapnął, kiedy trzymała go łokciem w brzuch.

– Ja byłam uczciwym bankowcem. To znaczy nigdy traktowałam pieniądze klienta jak, hm, dostępną dla mnie. Ich pieniądze były tylko liczbami w kolumnach.

– Wiadomo kiedy ci ołniło?

– Kiedy przypomniałam sobie, że nikomu nie przekazałam hasła do nowego konta Bertone'a. Bez hasła możesz pieniądze wpłacać, ale wyjątków nie możesz, nawet jeśli chcesz zrobić przelew na inne konto klienta. Miałam podać hasło Bertone'owi na przyjęcie, ale wyleciało mi to z głowy.

– Przed czy po kajdankach?

– Mniej więcej wtedy, gdy mi powiedział, że od swoich bankowców oczekuje szczególnych usług.

– Tak, to rzeczywiście może być z tropu. A pozostałe rzeczy, które powiedziała Foleyowi, to prawda? – spytał Rand.

– Co na przykład?

– Nie mogę na ruszyć pieniędzy za pomocą zdalnego dostępu.

– Wydaje mi się, że to prawda. – Wzruszyła ramionami i ugryzła Randa w brodz. – Ale bez względu na to, czy mam rację, Foleyowi się nie uda. Jeśli chodzi o komputery, jest kompletnym ignorantem. Do poniedziałku nie będzie w stanie nic zrobić.

Pocałował ją namiętnie i się wyprostował.

– Mam nadzieję, że zdąży.

– Z czym?

– Ze zdobyciem nakazu zablokowania konta.

– A to jaki problem? – spytała Kayla.

– Z urz dnikami zawsze s problemy.

## ***Rozdział 55***

***Scottsdale***

***Niedziela, 12.02***

Grace niecierpliwie bębniła palcem w odrapany niski stolik przy łóżku z wgniecionym materacem.

– Oczywiście, wiem, że jest weekend – rzuciła do słuchawki. Zdążyła o tym poinformować kilku podwładnych, zanim w końcu została połączona z osobistym asystentem sędziego. – Niestety, przestępcy nie przestrzegają ustawowych godzin pracy.

Mieczysław po drugiej stronie linii po raz kolejny wyraził niechęć do przeszkadzania i tak już przepracowanemu szefowi w dniu jego urodzin.

– Jako sędzia rozumiem – odparła. – Ale jako urzędnicy sędzia nie miałabym nic przeciwko temu, żeby po wiści kilka minut, których potrzeba, aby zamknąć konta z brudnymi pieniędzmi. Uznałabym ten czas za dobrze wykorzystany.

Zamknęła oczy i słuchała kolejnej odmowy asystenta, wyrażonej tym razem w mniej grzecznych słowach. Jeźli będzie naciska dalej, tylko rozzło ci go jeszcze bardziej, a wtedy na pewno już jej w niczym nie pomożę. Dlaczego prawo tak dobrze działa na niekorzyść niewinnych?

– Dziękuję, naprawdę doceniam wszystko, co pan dla mnie zrobił – skłamała. – Zadzwoń do pana, jeźli pojawi się coś nowego.

Odłożyła słuchawkę.

– Chociaż nie bardzo wiem, jak z panem rozmawiać – powiedziała do siebie. – Ale Joe będzie wiedział. On zna tego rodzaju słownictwo.

Wstała, obciągnęła koszulkę na okręgłym brzuchu i skierowała się w stronę drzwi łączących dwa pokoje, jeszcze bardziej tandetne niż sam motel. W całym Scottsdale Sun-Up Inn unosił się ostry zapach rodków czyszczących, ale pokój 203 – ten, który zarezerwowała na swoje nazwisko – był przesiąknięty dymem z papierosów, ledwie zduszonym przez tani odwieczny powietrze.

Arizona, ostatni bastion palaczy i uzbrojonych bandytów, pomyślała z niesmakiem.

Rozejrzała się po pokoju. Wprawdzie go sprzątnięto – czysta podłoga i rączniki, odkurzona wykładzina – ale nie zmieniło to faktu, że był zniszczony i od pokoleń zamieszkiwany przez palaczy.

– Joe?! – zawołała. Nikt nie odpowiedział.

Przeszła przez drugi pokój, gdzie z nosem w podręczniku siedział Lane, i skierowała się w stronę drugich wewnętrznych drzwi. Kiedy je otworzyła, stanęła twarzą w twarz z mężem. Objął ją i pocałował z całych sił.

– Mam nadzieję, że nie planujesz randki. – Oparła o niego wydatny brzuch. – Tanie motele i oble ni biurokraci odbieraj mi ochotę na seks.

Lane parsknęła.

– La, la, la, wcale nie słucham, la, la, la, nie ...

– Z nakazu blokady konta nici? – domyśliła się Faroe.

– Nie wiedziałam, że urodziny są dziegiem państwowym – mruknęła.

– Tylko dla oble nych biurokratów. – Pogłaskał ją po brzuchu i poczuł, że dziecko robi fikołki.  
– Chodź. Rand i Kayla przyjechali.

– A obiad? – spytał Lane, nie podnosząc głowy z nadkiszki.

– Dałem ci mój ostatni batonik – powiedział Faroe.

– Już go zjadłem.

– No to jeszcze kilka minut wytrzymasz.

Joe i Grace weszli przez otwarte drzwi przejściowe do trzeciego pokoju. Oficjalnie nie był wynajęty, w zamian za co recepcjonistka dostała banknot pięćdziesiąt dolarowy i obietnicę dwóch kolejnych, jeżeli tak pozostanie.

Nikt się nie odezwał, dopóki Faroe nie zamknęła drzwi i nie przekręciła klucza w zamku.

– Iedzili ci federalni? – spytał Randa.

– Nawet jeżeli tak, to ich nie widziałem.

– Wiadomo raczej za tobą nie jechali.

Grace podeszła do krzesła, usiadła i westchnęła.

– Zostawili my ekipę telewizyjną w kurorcie, żeby zatrzymała tam wszystkich tajniaków. Oparła nogi na poprzypalanej papierosami ławie. – Wy tłumacz mi, po co nam trzy pokoje.

– To prosty sposób na wykiwanie ledzących – wyjął Faroe. Zdjął swoje buty, usiadł na podłodze i zaczął masować jej stopy. – Widzieli, jak wchodzisz do dwieście trzy, wiadomo pewnie będziesz obserwować ten pokój, żeby ustalić, z kim się tam spotykasz. A my tymczasem przez cały dzień będziemy wchodzić i wychodzić z dwieście siedem, na co nigdy nie wpadną. Przynajmniej tak mam nadzieję.

– Nadzieja się przydaje. – Grace ziewnęła. – Tylko ona powstrzymuje mnie od tego, żeby chwycić kogoś za jaja i cisnąć tak, żeby oczy wylazły mu na wierzch.

– Oble ni biurokraci nie mają jaj – powiedział Faroe.

– Cicho, nie psuj moich fantazji. – Grace spojrzała na Randa. – Joe już mi opowiedział o waszym spotkaniu z Foleyem. Chcesz coś dodać?

– Ogólnie nic się nie zmieniło – powiedział Rand. – Bertone robi wszystko, żeby ruszy

pieniędzy z konta, ale dopóki tylko Kayla zna hasło, są równie bezpieczne, jak byłyby dzięki nakazowi blokady konta.

– Niezupełnie – wtręciła Kayla. – Są bezpieczne z punktu widzenia dostępu ze zdalnego portalu, ale jeżeli Steve Foley pojedzie do biura, może zastąpić moje hasło swoim. O ile na to wpadnie.

– A mylisz, że wpadnie? – spytała Grace.

– To głębi komputerowy, ale w tej chwili jest pod twoją presją. – Kayla pokręciła głową. – Może sam na to wpadnie albo załatwi sobie specjała od komputerów, który mu w tym pomoże.

– Niedobrze – stwierdził Faroe.

Grace zaczęła się podnosić.

– Przycisnę tego asystenta. Musimy zdobyć nakaz jak najszybciej!

Faroe podał jej rękę. Wiedział równie dobrze jak ona, że szansa na zdobycie nakazu na czas topnieje niczym lód w słońcu.

– A gdybym tak przelała pieniądze Bertone'a na moje konto? – zasugerowała Kayla.

– Zapomnij o tym – powiedział Rand. – To byłaby kradzież i miałyby spore kłopoty, gdyby wyszła na jaw.

Spojrzał na Faroe'a, a potem na Grace.

– Czy to jest oficjalna odpowiedź St. Kilda Consulting?

– Oficjalnie St. Kilda Consulting nic o tym nie słyszała – odparł Faroe. – Zgadza się? – Zerknął na nią.

– Nie słyszała o czym? – odezwała się Grace, ale zmarszczyła brwi i zwróciła się do Kayli. – Tak na wszelki wypadek, żebyśmy mieli plan awaryjny, powiedz mi, jak można przelać pieniądze Bertone'a na konto, którego nie można ruszyć?

– Gdybym... gdyby ktoś chciał to zrobić, musi pojechać do mojego biura.

– Zbyt ryzykowne – skwitował kategorycznie Rand. – Do tej pory Bertone na pewno zadzwonił wszystkich płatnych zabójców w Phoenix.

– Dlaczego do twojego biura? – dopytywała Grace, ignorując Randa.

– Nie mam zdalnego dostępu – wyjaśniła Kayla. – Mogę przeprowadzać operacje na koncie tylko z komputera w moim biurze.

– Załóżmy, że ktoś znajdzie się w twoim biurze i będzie miał hasło – ciągnęła Grace. – Co dalej?

– Ja... ten kto przeleje wszystkie środki z korespondenckiego konta Bertone'a na mój fundusz powierniczy.

– Naprawdę chcesz przelać dwieście milionów dolarów na własne konto? – spytał zdumiony Faroe.

- Jasne. Całymi dniami zajmuj się przelewaniem pieniędzy.
- Ile to potrwa? – zapytała Grace.
- Mniej więcej trzy przyciski na klawisz – powiedziała Kayla.
- A później pięćdziesiąt lat za kratkami – wtrcił Rand.
- Ale... – zaczęła Kayla.
- To byłaby wielka kradzież – przerwał jej Rand.

Grace westchnęła.

- Wprawdzie St. Kilda porusza się czasem na granicy prawa, ale zwykle jej nie przekraczamy.
- Ani nie pozbywamy się wiadków – dodał Faroe.

Grace nie zwróciła na niego uwagi.

– Moja praca polega między innymi na tym, żeby zminimalizować ryzyko odpowiedzialności karnej.

Kayla starała się racjonalnie ocenić to ryzyko, ale cięgle miała przed oczami obrazy z DVD – tragedii i śmierci, którym można było zapobiec.

Którym należało zapobiec.

- Zaryzykuj – powiedziała.
- Kiedy masz sto procent pewności, że ci dorwiesz, to się nie nazywa ryzyko – prychnął Rand.
- Jeżeli mnie złapią ...
- ...kiedy ci złapią – przerwał jej.
- Dobrze: kiedy mnie złapią. Nie jestem głupia.
- Mam nadzieję, że ci się uda po planie awaryjnym.

Poddała się i odwróciła do Grace.

– Bank a do przesady dba o swój publiczny wizerunek. Jeżeli St. Kilda Consulting i *wiat w godzinę* pogrzebą Andre Bertone'a, może być wyjściem bohaterka, która zapobiegła tragicznej wojnie.

– A jeżeli nie uda się pogrzeby Bertone'a? – spytał Rand.

– To przegram – odparła, nie patrząc na niego. – Cóż, wpadki się zdarzają. Ale to najprostszą drogą do zniszczenia Bertone'a.

– Nie.

– O wiele lepszy niż plan C – odparowała – czyli zabicie Bertone'a z zimną krwią. Nie jesteś zabójcą.

Faroe spojrzał na Randa.

– Plan C?

Rand się nie odezwał.

– Zniszczcie mój umów z St. Kilda – powiedziała Kayla do Faroe'a. – Jeśli mnie złapię, nie chcę nikogo za sobą pociągnąć.

– To od razu zniszczcie i mój umów – oznajmił Rand. – Idź z nimi.

– Nie możesz – zaprotestowała.

– No to zobaczysz.

– Bądź ci widzieć do wejścia do American Southwest. Póki nie będzie ci obserwowany wydział ochrony, jak czekasz na parkingu. Nikt, powtarzam, nikt nieupoważniony nie dostanie się do wydziału operacyjnego. To podstawowe zabezpieczenie przed porwaniem i wymuszeniem.

Rand ledwo panował nad sobą. Wszystko toczyło się inaczej, niż przewidywał.

Kayla wystawia się na ogromne ryzyko. A on nie może jej powstrzymać.

– Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, przejdź do planu C – ostrzegł.

– A ja z tobą – powiedział Faroe. – Kiedy zawodzą subtelne metody, pozostaje przemoc.

## *Rozdział 56*

*Phoenix*

*Niedziela, 13.15*

Kayla wjechała na miejsce parkingowe dla pracownika miesiąca i zgasiła silnik wypoczynkowego samochodu. Faroe i Rand uparli się, żeby pojechała „neutralnym” autem. W Phoenix najbardziej neutralny był biały dżip.

Ozdoba parkingu stanowił rozłożysty krzew obsypany czerwonymi kwiatami, wprost stworzonymi dla dziobów kolibrów.

– Patrz i podziwiał – powiedziała do Randa. – Założę się, że jutro zostaną pozbawiona parkingowych przywilejów.

– Defraudacja – mruknął.

Przewróciła oczami.

– Udało mi się zapamiętać to słowo – ironizował. – Znaczący pracownik sprzeniewierza pieniądze pracodawcy. Utrata miejsca parkingowego będzie najmniej dotkliwą konsekwencją.

Pochyliła się i pocałowała go w kciuk wykrzywionych ust.

– Wiem, co robi.

– Czy by? – odparł. – W takim razie spróbuj mi to wytłumaczyć.

– To naprawdę proste – powiedziała, sylabizując każde słowo. – Przenieś pieniądze z korespondenckiego konta Bertone'a na konto United Arizona Bank, które należało do mojej babci. Nie zamknęłam go, trzymam na nim pieniądze na podróż.

– To się z nimi poćgnaj.

– No nie wiem. Może je wypłacić i ucieknąć. – Trzymała go nosem w brodzie i zatrzepotała rękami.  
– Pojechałby ze mną?

Rand przygłaskał jej się chwilę. Wreszcie poddał się i wybuchnął śmiechem.

– Do diabła, czemu nie? Byle nie do Kamdarii. Może by wyspać tego Jana w Waszyngtonie. Najgorsze mrozy minęły, a FBI raczej nie będzie ci szukała na bezimiennej wysepce bez elektryczności.

– Mówisz poważnie?

Przygłaskał ją do siebie i pocałował.

Kiedy w końcu uwolnił, odetchnęła głębiej.



- O tak, mówisz poważnie.
- Jasne. A ty?
- Te . – Sięgnęła na tylne siedzenie po torebkę .
- Cholera, co...? – odezwał się nagle.

Odwróciła się i spojrzała na przedni szyb . Zdziwił ją co duży koliber wisiał przy krzewie dokładnie przed samochodem. Ptak odwrócił się w stronę i błysnął jaskrawozielonym krawatem, który podkreślał biel plamki za okiem.

- Wspaniały – szepnęła.
- Tak, naprawdę piękny.

– Nie, on się nazywa wspaniały. To jedno z najwspanialszych i najrzadszych, ale w Arizonie widzimy je często.

- Szkoda, że nie mogę mu zamontować podsłuchu – stwierdził Rand.
- Co?
- Byłoby mi łatwiej mieć cię na oku.

Koliber oddalił się , wrócił, zawisł w powietrzu, znów się oddalił i zniknął.

Rand spojrzał na szklane drzwi pięciopiętrowego budynku.

- Gdzie jest twoje biuro?

– Drugie piętro, trzecie okna od lewej. Wskazała dłonią . – Narożnik jest Foley'a. Między nimi są okna gabinetów innych prywatnych bankowców.

- Wszędzie ciemno.
- Taka praca. Spokój w weekendy. Spokój w wakacje.

– Zapali światło, jak tylko wejdziesz do gabinetu – polecił. – Zgasz światło, jak będziesz wychodziła. Masz pięć minut, żeby wejść , pięć minut możesz spędzić w gabinecie i pięć minut, żeby wrócić . Sekunda później i wkraczam do akcji. Jasne?

– Tak. Pięć minut na dojazd. Zapali światło. Pięć minut przy komputerze. Zgasz światło. Pięć minut na zejście. Albo się w ciekiesz.

- Wierz mi, że nie żartuję .

Spojrzała na niego i uwierzyła.

- Zaczynaj odliczanie.

Sięgnęła do swoich drzwi w tej samej chwili, w której ona sięgała do swoich.

– Nie – zaprotestowała. – W weekendy straż pełnią policjanci z Phoenix. Nie odpuszczę nikomu, nawet takim słodkim młodemu osobkom jak ja.

Spojrzał na nią .

– Jaki jest mój numer?

– Pierwszy na komórce, którą dał mi Faroe.

Rand zamknął oczy i zobaczył krew brata. Wszedł.

– Wróć do mnie, Kaylo.

Pogłaskała go po policzku, chwyciła torebkę i ruszyła szybkim krokiem do wejścia. Uda jej się .  
Musiała się udać .

## ***Rozdział 57***

***Phoenix***

***Niedziela, 13.22***

Kayla wsunęła kartę pracowniczą do czytnika. Zatrzasnęły szklane drzwi ustąpiły.

Jedno za mną. Ile przede mną?

Strasznik, modnie ostrzyżony Latynos o łagodnym spojrzeniu, uniósł głowę znad pisma „Broń i amunicja”. Kayla go nie znała.

– Co taka licznotka robi w pracy w niedzielę? – spytał, odkładając gazetę i sięgając po książkę.

– Przyszłam obrabować bank – rzuciła pogodnie. – Stwierdziłam, że niedziela idealnie się do tego nadaje.

Strasznik odwrócił się i podał jej długopis.

– Pomóc pani?

– Zawołam pana, jeżeli torby będą za ciężkie.

– W kanciapię dozorca na pewno jest wózek bagażowy – poradził, patrząc, jak się wpisuje. – Proszę tylko dać mi znać.

Kayla zauważyła, że jest pierwszym pracownikiem wpisanym w książkę od soboty. Miała dla siebie cały budynek. Czas ucieka. Odwróciła się do windy.

Strasznik odkaslnął.

– Co jeszcze? – spytała niepewnie.

– Widzisz, że nie zna pani procedur. Muszę sprawdzić pani to samo.

Podawała mu dowód osobisty.

– Nie pracuję w weekendy. Ale tym razem... – wzruszyła ramionami – nie mam wyjścia.

– Myślałem, że po godzinach pracuję tylko dyrektorzy.

– Tak. – Na polu golfowym, dodała w myślach.

Strasznik porównał podpis Kayli z nazwiskiem na dokumencie, po czym zajrzał do wykazu pracowników.

– Prywatna bankowość. Drugie pytanie, prawda? – oddał jej dowód.

Skin ła głow .

– Prosz nigdzie indziej nie chodzi .

Zamrugła.

– Co?

– Szef ochrony wprowadził nowe zasady. Nie chce, eby ktokolwiek pał tał si po godzinach. Je li chce pani skorzysta z toalety, prosz zej na dół.

– Z tym nie powinno by problemu. Mam do zrobienia co , co zajmie mi tylko kilka minut.

– Mniejsza o to. – Stra nik zerkn ł przez rami na tablic wskazuj c , gdzie znajduje si winda. – Na monitorach wewn trznej telewizji mam podgl d na ka de pi tro, od parteru po dach, wi c prosz i prosto do swojego gabinetu i zaraz wraca .

– Wewn trzna telewizja? Pewnie wyszłyby z tego całkiem niezłe kasety wideo.

Stra nik u miechn ł si szeroko.

– W ostatni weekend przyłapałem jednego z wiceprezesów. Wycierał cian windy majtkami sekretarki. Które ona cały czas miała na sobie.

– Za du o informacji. Stanowczo za du o informacji.

– To tylko dla pani bezpiecze stwa chc , ebym mógł mie pani na oku.

– Od razu czuj si bezpieczniej.

Ruszyła do windy.

Kiedy czterdzie ci sekund pó niej znalazła si na korytarzu drugiego pi tra, pomachała do kamery zamocowanej na wsporniku tu pod sufitem. Potem weszła do swojego gabinetu, wł czyła wiatło i spojrzała w dół na parking.

Rand, oparty o przedni mask d ipa, wpatrywał si w jej okno. Pomachała mu. Pomachał jej równie i zakr cił prawym palcem wskazuj cym, daj c sygnał, eby si po pieszyła.

– Tak, tak, tak – mrukn ła.

Rzuciła torebk na biurko, usiadła na krze le i wł czyła komputer. Gdy ekran o ył, wpisała hasło.

Twardy dysk furczał, przekazuj c hasło do serwera operacyjnego. Wreszcie na monitorze pojawił si napis:

„Hasło nieprawidłowe”.

Serce zacz ło jej łomota . Czy by w weekendy obowi zywał specjalny kod dost pu?

Wzi ła gł boki oddech i zalogowała si ponownie. Komputer przywitał j długim d wi kiem. Dziesi przyci ni klawiszy i była na koncie Bertone'a. Ja pieprz ! Dwie cie pi dziesi t milionów dolarów.

Palce drąły jej nad klawiaturą. To tylko cyfry. Zwykle cyfry w kolumnach, powtarzała sobie. Do diabła, bank ma depozyty na ponad dwadzieścia bilionów dolarów – to jest kasa! Przy tych liczbach fortuna, jak obraca Bertone, to małe piwo.

Ale może spowodować mnóstwo nieszczęścia. Może zniszczyć mały kraj afrykański i zostawi za sobą głód, choroby i ruinę.

Jej drżące dłonie zawisły nad klawiaturą. To nic takiego. No, nie do końca. To jednak miliard dolarów.

Wpisała odpowiednią komendę, wcisnęła enter i czekała. Kilka sekund później na ekranie pojawiło się potwierdzenie, że pieniądze Bertone'ego są teraz na koncie jej babki, setki kilometrów stąd.

Z promiennym uśmiechem wyłączyła komputer, wstała i odwróciła się do drzwi.

Wprost na posrebrzany pistolet Steve'a Foleya.

## *Rozdział 58*

*Phoenix*

*Niedziela, 13.25*

– Co tu robisz? – spytał Foley.

Kayla wpatrywała się w błyszczący pistolet. Przypomniała sobie trofea, które Steve trzymał w gablocie w swoim gabinecie.

To tylko zabawa. Papierowe tarcze, blaszane puszki albo kręgle.

– Odpowiadaj!

Ogarnij swój strach. Walcz albo uciekaj. Uciekać nie mogła. Wezbrała w niej furia.

– To mój gabinet – warknęła – więc raczej ty powiniene wyjść niż co tu robisz?

– Słuchaj, suko...

– Pilnuj się z seksistowskimi odzywkami – przerwała mu. – Regulamin firmy jest w tej kwestii jasny.

– Zamknij się albo zastrzelę cię jak psa. Co tu robisz?

– Patrz na siebie.

Kostki jego palców pobieły na rękę przy pistolecie.

– Gdyby Andre nie chciał cię wywieźć...

– Ale chce – warknęła Kayla – więc nie rób głupot.

– Zabicie cię nie byłoby głupotą. Na koncie Bertone'a są tylko twoje lada. Jesteś na wiecie sama jak palec. Mogą cię zakopać na pustyni i udawać, że nic nie wiem. Bank i FBI będą długo szukać, a w końcu dojdą do wniosku, że uciekła do Wenezueli czy do Brazylii.

Kayla ostro nie uniosła ręki i zaczęła się odsuwać w stronę okna.

– Stój! – warknął Foley.

Spojrzała na czarny punkt wycelowany dokładnie między jej oczy i zatrzymała się.

– Bertone jest niebezpieczny – powiedziała cicho. – Jeśli ty zabijesz mnie, on zabije ciebie.

– Nie musisz cię zabijać – odparł. – Bertone sam to załatwi, a wtedy będziesz ałowała, że nie zginęła od mojej kulki.

Nie miała żadnego argumentu, więc milczała. Rand, potrzebuj cię. Nadszedł odpowiedni

moment na plan C. Ale Rand był na parkingu, pięćdziesiąt metrów i cały wiat od niej.

– Siadaj! – warknął Foley. – Ręce na blat.

Kayla usiadła posłusznie i położyła dłonie na biurku. Nie chciała doprowadzić Foleya do takiej furii, by zapomniał, że potrzebuje jej wyżej.

Foley, wciąż w nielubianym celu, podszedł do okna i zerknął na zewnątrz.

– Co, twój ogier nie mógł przejść przez ochronę? – Pociągnął za sznur, żeby zaciągnąć aluzje.

Tak jak komputerami, tym też nigdy nie zajmował się sam; aluzje pozostały czysto odsłonięte.

– On wie, że tu jestem – powiedziała Kayla. – Spodziewa się mnie za jakieś trzy minuty. Wie wszystko, co wiem ja. To koniec, Steve. Odłóż broń. Mam przyjaciół, którzy mogą ci pomóc. Nawet nie pójdziesz siedzieć. Chcę Bertone'a, nie ciebie.

– Donieś mi cię federalnym? Zabij was oboje!

– Zabij mnie, a będziesz martwy. Pytanie tylko, kto ci dorwie przód, facet z parkingu czy Bertone.

– Ty chyba nie rozumiesz. – Foley odsunął się od okna. – Andre Bertone to jeden z najbardziej wpływowych ludzi na świecie. Będzie jak komar rozgnieciony na jego przedniej szybie.

– Ty też.

Foley spojrzał na pistolet w swojej dłoni i się uśmiechnął. Ja sobie poradzę.

– Strzelałeś do papierowych celów. Czy któryś jest splamiony krwią?

Foley się skrzywił.

– Z ciebie naprawdę jest kawał suki. A ja ci miałem za niewinną dziewczynkę.

– Kiedyś może się pomyli – odparła.

Mnie zdarzyło się ostatnio mnóstwo pomyłek, dodała w myśli.

Walczyć albo uciekać. Nie możesz uciec. Wiadomo, próbuj walczyć.

– Wejdź na konto Andre. – Foley wyjął notes z numerem konta, który dostał od Bertone'a. Cały czas celował Kayli między oczy. – Muszę zrobić kilka przelewów.

Za pół godziny, pomyślała z dziką satysfakcją. Ale zrobiła to, o co prosił.

– Jest – oznajmiła.

– Pokaż.

Odwróciła monitor tak, żeby mógł go widzieć. Jego wzrok powędrował na dół linii. Oniemiał.

– Otworzyła złe konto – warknął.

Udawala, e przygl da si cyfrom.

– Nie, to konto Andre Bertone'a.

– Niemo liwe. Nic na nim nie ma!

– Fakt – przyznała. – Pewnie nie jeste jedynym przekupionym przez niego pracownikiem banku.

– Co masz na my li?

– To bardzo proste – odparła. – Sprawdziłam stan konta, zanim wszedłe , i było puste. Widocznie Bertone podkupił w banku kogo innego.

Foley wpatrywał si w ekran i widział własn mier . Kayla odwa yła si odwróci na krze le w nadziei, e zdoła wytr ci mu bro , ale on odsun ł si nagle.

– Gdzie s pieni dze?! – rykn ł.

– Powiedziałam ci. Nie było ich, kiedy weszłam tu kilka minut temu.

Foley poczerwieniał gwałtownie, a pó niej zbladł. R ka mu drgn ła, ale nie poci gn ł za spust. Grzbietem dłoni uderzył Kayl w twarz tak mocno, e sygnet zostawił na jej policzku krwawy lad.

– Nie wierz ci, suko!

Zamrugala, eby nie da popłyn łzom. Nie były to łzy strachu czy bólu.

Były to łzy czystej furii.

– Ul yło ci? – spytała.

Znów uniósł dło .

– Na kolana! – rozkazał.

Chciała si sprzeciwi , ale dziki błysk w jego oczach skutecznie j zniech cił. Osun ła si na kolana.

Foley wymienił notes na komórk i wcisn ł przycisk szybkiego wybierania.

– Andre? – powiedział po chwili. – Twoje konto jest puste.



## ***Rozdział 59***

***Phoenix***

***Niedziela, 13.31***

Rand McCree spojrział na zegarek – zostało sześć minut – a póki niej przeniósł wzrok z drzwi wejściowych na okna gabinetu Kayli. Aluzje były częściowo zasłonięte. Czy to znak?

A może aluzje działają na czujnik słoneczny albo temperatury?

Obserwując okno, przeszedł do samego końca biurowca. Nic się nie pojawiło. Między aluzjami nie poruszył się nikt. A wiatła nadal były zapalone.

– Pospiesz się, pizdekna – wymruczał. – Czas nas goni.

Pięć minut na to, żeby się zameldować i dotrzeć do biura, to za dużo. A przelew miał trwać tyle, co wciśnięcie paru klawiszy tak przynajmniej twierdziła. Wiadomo gdzie ona jest, do cholery?

Podszedł z powrotem do samochodu i znów spojrział na okno. Nic nowego. Poza tym, że miał wrażenie, jakby jego kark zaatakowały czerwone mrówki. Tak niespokojny nie był od czasów Kamdenii.

Wyszarpnął komórkę z paska i wybrał numer.

Faroe zgłosił się po pierwszym sygnale.

– Jesteśmy w banku – powiedział Rand. – Kayla poszła na górę. Ma jeszcze pięć minut, ale powinna już wracać.

– Złe przeczucia?

– Tak. Potrzebuję ludzi do obstawienia wyjścia, na wypadek gdyby ktoś chciał się dostać do rodka. Albo wymknąć.

– Zobacz, kto jest wolny.

– Postaram się przemknąć obok strażnika, ale Kayla mówi, że to etatowi policjanci.

– Powodzenia.

– Będzie mi potrzebne. Może chociaż się dowiem, czy ktoś jeszcze jest w budynku. Zadzwoń i daj mi znać, jakie siły wysyłasz.

– Siły? Brzmi ponuro.

– Ilu facetów. Lepiej?

– Grace bardziej podobałoby się ludzi.

– A jej nale y słuca .

Faroe si roze miał.

– Przyzwyczajaj si . Ty jeste nast pny.

Czerwone mrówki na karku Randa protestowały. Rozł czył si i ruszył do wej cia. Zostały cztery minuty.

## ***Rozdział 60***

***Castillo del Cielo***

***Niedziela, 13.33***

Elena z niepokojem patrzyła na mamę. Jego rozszalała twarz przybrała morderczy wyraz kilka sekund po tym, jak odebrał telefon. Kiedy był w takim stanie, Elena bała się o dzieci.

– Chodź, Mirando – powiedziała i wzięła córkę na ręce. – Tatu jest zajęty.

Bertone wylał z siebie potok przekleństw – na szczęście po rosyjsku.

– Ale powiedział, że... – protestowała Miranda.

– Pójdź, kochanie – ucałowała Elena i pocałowała matkę w nadusane usta. – Teraz możesz nauczyć swojej gry mamę.

– Ty umiesz w niego grać.

– Ale nie potrafię z tobą wygrać.

Miranda zmarszczyła brwi.

– Nie nauczysz mnie.

– Bądź dla mnie łaskota, dopóki mnie nie nauczysz.

Dziewczynka zachichotała i wtuliła się w matkę.

– Ładnie pachniesz.

Elena musnęła nosem włosy córki.

– Przecież masz takie same perfumy.

– Tak, ja też ładnie pachnę.

– Najładniej. – Elena wyniosła córeczkę z pokoju.

Bertone zatrzasnął za nimi drzwi.

I zamknął na klucz.

– Jeszcze raz – powiedział do słuchawki. – Wyjaśnij mi, jak straciłem więcej miliarda dolarów.

## ***Rozdział 61***

***Phoenix***

***Niedziela, 13.34***

Kayla była zmęczona kluczeniem. Udawała, że wpatruje się w podłogę, ale obserwowała Foleya rozmawiającego przez telefon. Wyraźnie nie podobało mu się to, co słyszał od Bertone'a. Był bladym i spoconym.

– Mówiłem ci powiedział do słuchawki. – Cholerstwo jest puste. Zero kasy. Nic! Na pewno nic kazałem nikomu innemu prze...

Kayla nie słyszała odpowiedzi Bertone'a, ale po ryku w słuchawce domyśliła się, że wpadł w szał.

Biedna Elena. Ciekawe, czy ją bije, jak co idzie le.

– Dobra, dobra, słysz – powiedział Foley. – Ja nie ruszyłem ani centa, ty nie ruszyłeś ani centa, więc zostaje nam Kayla, która znalazła się tu minut przedemną. To raczej za krótki czas, żeby się zalogowała, nie mówię ci już o... – Zamilkł i słuchał. – Stąd, że mi powiedziała. Poczekaj. Sprawdź.

Kiedy odkładał komórkę, ze słuchawki wylało się jeszcze więcej furii. A póki nie zapadła cisza, Foley podszedł do Kayli i włożył lufę pistoletu do jej ust.

– Jak pi nie masz chociaż słowo, to ci zabiję.

Kayla zrozumiała, że Foley jest pod taką presją, od której ludzie rozsypują się w drobny mak. Tkwiła nieruchomo, czując w ustach smak metalu. Nad jej umysłem usiłowały zapanować strach i wściekłość osaczonego zwierzęcia. Nie było wygranych. Ani przegranych.

Foley otarł czoło, sięgnął do telefonu biurowego i wcisnął trzy cyfry.

– Tak, tu Henning z Operacyjnego – powiedział. – Miałem się spotkać z Kayl Shaw u niej w gabinecie kilka minut temu, ale nie ma jej tu.

– Może mi pan powie, czy wchodziła i kiedy?

Słuchał, przytakiwał i patrzył gniewnie na Kayl.

– Dobra, dziękuję. Musi gdzieś tu być. – Chciał odłożyć słuchawkę, ale strażnik zadał mu pytanie. – Tak, wszedłem z gara u dyrektorskiego – powiedział bez zajęcia. – Posłużyłem się klatką do windy towarowej. – Słuchał, przewracając oczami. – Tak, tak, wiem, że powinienem rejestrować się u pana. Wpadną za kilka minut, jak tylko skończą z Kayl.

Odłożył słuchawkę.

Kayla wpatrywała się w podłogę.

– Jeste zakłaman suk , co? – Foley oparł si na pistolecie, tak e si zakrztusiła.

Chciał j zabi , ale nie zrobił tego. Wyj ł luf z jej ust i znów si gn ł po komórki .

– Jest tu od pi tnastu minut. Wystarczy, eby wyprowadzi kas . – Obserwował Kayl znad lufy srebrnego pistoletu i słuchał. – Nie, nie jestem w stanie odtworzy przelewu. Mo e potrafiłby jaki cymbał z informatycznego, ja jestem stworzony do wi kszych rzeczy. – Słuchał jeszcze chwil , potem wył czył komórki i bez uprzedzenia znów wymierzył Kayli policzek.

Uniosła r ce, eby uchroni si przed kolejnym ciosem, ale Foley, zamiast uderzy , chwycił j za włosy i poci gn ł.

– Co zrobiła z pieni dzmi? – spytał.

Zacisn ła palce lewej dłoni na kciuku, jak nauczył j ojciec, i wycelowała w gardło Foley'a, zrywaj c si z podłogi. Zdołał unikn ciosu, ale musiał j pu ci , eby to zrobi .

– Nic, bydlaku – warkn ła. – Nic ode mnie nie wyci gniesz.

– Zabij ...

– Akurat – przerwała mu. – Tylko ja wiem, gdzie s pieni dze. Zabij mnie, a Bertone b dzie splukany. Tego chce?

Foley wpatrywał si w Kayl . Tak bardzo chciał j zabi , e czuł zapach krwi, ale zabijanie było przywilejem Bertone'a – sam tak to okre lił. Znów si gn ł po komórki .

– Zrobiła co z pieni dzmi – powiedział do Bertone'a – ale trzeba by faceta pokroju Gabriela, eby to z niej wydusi . – Słuchał chwil i kiwn ł głow . – Dobry plan. Do zobaczenia. – Rożł czył si .

Kayla stała niepokornie, co było wyrazem zarówno jej temperamentu, jak i strachu. Głównie strachu.

– Na kolana, suko – sykn ł Foley. – Czy mo e wolisz, ebym powyrywał ci nogi?

Powoli ukl kła.

Foley stan ł za ni .

Spi ła si , spodziewaj c si ciosu.

Tymczasem jej nadgarstki obj ła zimna stal i zatrzasn ła si na nich.

Kajdanki.

Serce podeszło jej do gardła. Starła si nie traci głowy, my le .

– Wstawaj! – rozkazał.

Ruszała si za wolno, wi c szarpn ł za kajdanki i ci gn c j za r ce, postawił na nogi, po czym pchn ł do drzwi.

Otwieraj. Je li krzykniesz, zabij tego, kto to usłyszy. I naprawd zrobi ci krzywd . Z rado ci .

Kayla wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi. Pusto. Winda zamknęła. Nie ma sensu krzycze .

– Dokąd idziemy? – spytała.

Jedyną odpowiedzią było kolejne pchnięcie. Zachwiała się, wyprostowała i spojrzała na cienny zegar. Czas minął.

## *Rozdział 62*

*Phoenix*

*Niedziela, 13.35*

Przed wejściem do banku Rand przybrał swobodnie minę zwykłego faceta, który szuka zwykłej dziewczyny. Wiedział, że gliniarze i ochroniarze uwielbiają zakazy. Uszanujesz je – zyskasz ich sympatię. Sprzeciwisz się – pójdziesz siedzieć.

– Hej, panie władzo! – zawołał, wchodząc do rodka. – Widział pan ładną dziewczynę, która się nazywa Kayla Shaw, jak wchodziła tu jakieś pięć minut temu? Jesteście cholernie spóźnieni na obiad.

Ochroniarz się uśmiechnął.

– Wszyscy szaleją za tą dziewczyną. I rozumiem, dlaczego. Jezu, co za nogi!

Rand zdobył się na uśmiech.

– Racja. Dokąd poszła?

– Na drugie piętro. Mówiła, że zaraz będzie wracała.

Rand podszedł do biurka strażnika i oparłszy się swobodnie o blat, zajrzał do księgi wejściowej. Zobaczył tylko nazwisko Kayli, a przy nim godzinę wejścia. Nie wychodziła.

– Pewnie nie mogła wejść na górę i cięgnęła stamtąd w stylu jaskiniowca – zagadnął.

– Nie, chyba że ma pan legitymację służbową banku American Southwest – odpowiedział strażnik.

– Cholera. Przepadnie nam rezerwacja.

– Przykro mi. Ale zaraz powinna być na dole. Ktoś z działu operacyjnego dzwonił przed chwilą i te jej szukał. Widać mieli umówione spotkanie, chociaż powiedziała, że nie będzie długo.

Czerwone mrówki na karku Randa zaczęły szaleć.

– Cholera. Nie wspominała, że ma się z kim spotkać.

– Może ma kogoś na boku – zasugerował strażnik z chytrym uśmiechem.

Rand wskazał księgę.

– Nie widzę, żeby był wpisany ktoś oprócz niej.

– Wie pan, jak to jest z tymi wielkimi dyrektorami. Wszedł na kartę z garażu. Powinni się do mnie zgłaszać. Powiedział, że przyjdzie, jak skończy z paną dziewczyną.

– A ma pan jego nazwisko? – spytał Rand.

Ochroniarz zeszywniał. Był przyzwyczajony, że to on zadaje pytania.

– Zawsze mam nazwiska.

Rand zdjął okulary przeciwsłoneczne, żeby ochroniarz mógł się przyjrzeć jego oczom. Gest był obliczony na zdobycie zaufania strażnika, ten jednak zmrużył oczy i Rand zorientował się, że chyba nie bije od niego ciepło i swoboda.

– Ale nie poda mi pan tego nazwiska – ciągnął Rand.

– Nie mam takiego obowiązku.

– Racja. Pana obowiązkiem jest ochrona pracowników, jak również samego banku.

Ochroniarz przyglądał mu się w milczeniu.

– Wić je li oka e się, że podczas pańskiej zmiany jest niktą ładna młoda pracownica, b dzie pan miał przerobane – ciągnął Rand.

– Do czego pan zmierza?

– Kayla mówiła mi, że od jakiego czasu ma problemy z pewnym pracownikiem banku, swoim szefem. Nie doniosła na tego kolesia z lepkimi łapami, bo nie chciała mu robić kłopotów. Prawda mówi c, martwi się, że to on teraz j d r czy na górze.

– Jak się nazywa ten mężczyzna?

– Foley.

Strażnik pokrcił głową.

– Nie to nazwisko.

– A może podał panu nieprawdziwe?

Ochroniarz sięgnął po księkę leżącą przed nim na biurku i przejechał kciukiem list pracowników. Odnalazł literę „H”, sprawdził wszystkie nazwiska i uniósł głowę.

– Sukinsyn mnie okłamał.

Rand rzucił się do windy.

Ochroniarz zaszedł mu drogę. Dłoń trzymał na pistolecie.

– Prosz się odsunąć – rozkazał. – Podejrzewam, że pan, Kayla Shaw i ten trzeci facet co knujecie.

Rand miał ochotę kopnąć ochroniarza w tyłek, ale się powstrzymał.

– Prosz zadzwonić do jej gabinetu. Je eli odbierze, proszę jej powiedzieć, żeby zamknęła się na klucz i nie wpuszczała nikogo, dopóki pan do niej nie dotrze.

Strażnik znalazł numer wewnętrzny Kayli w księce słuchowej. Odczekał pięć sygnałów.



– Nie odbiera, ale to nie znaczy, że ma problemy – powiedział, patrzcie Randowi w oczy. – A teraz niech pan wyjdzie na zewnątrz, a ja wezwę pomoc.

– Ja panu pomogę.

– Nie może pan. To wbrew zasadom. Proszę wyjść, im dłużej będzie pan tu stał, tym dłużej wszystko potrwa.

Rand odwrócił się, klęknął w mylnych, i podszedł do wyjścia. Kiedy otwierał ciężkie szklane drzwi, na miejsce parkingowe obok samochodu Kayli wjechał kabriolet mini cooper.

Rand dobiegł do auta. Zza kierownicy wyskoczył Faroe, nie otwierając drzwi.

– Jest w środku – powiedział Rand. – Jest jeszcze ktoś, kto wszedł na kartę magnetyczną.

– Bertone? – spytał Faroe.

– Raczej Foley. Przypuszczam, że ma broń.

– Słuszne przypuszczenie – odparł Faroe. – Ma słabość do broni.

Obok mini coopera zaparkował inny samochód St. Kilda. Wyskoczyło z niego dwóch dziarskich agentów w koszulkach i krótkich spodenkach.

Każdy miał na brzuchu saszetkę, która swobodnie mogła pomieścić pistolet.

– Ochroniarz w holu nas nie wpuści, ale możemy zastawić wszystkie wyjścia – powiedział Rand. – Wy dwaj idźcie za róg. Foley wszedł przez garaż dyrektorski. Najprawdopodobniej tamtędy będzie wychodził.

– Jesteście czarnym range-roverem – dodał Faroe.

– Ja zabezpieczę przejście w garażu – powiedział jeden z agentów. Wyciągnął ze swojej saszetki psi smycz. – Wiecie, „dalej, Muffin, chodź do tatusia, ty mały draniu”.

– Dobrze – zgodził się Rand. – Ale nie wkurzajcie ochroniarzy. Powiedziałem strażnikowi przy wejściu, że Kayla jest napastowana. To etatowy policjant z Phoenix. Nie zdziwiłbym się, gdyby zadzwonił po gliny. Wyglądał na zaniepokojonego.

Agenci skinęli głowami i ruszyli wawo w stronę garażu.

– Ja obstawię resztę – powiedział Faroe. – Od południowej i zachodniej strony mogą być ze dwa, trzy wyjścia. Z północnego Scottsdale jedzie już następna brygada. Wyluzuj, Rand. Zabezpieczamy je.

– A gdyby to Grace groziło niebezpieczeństwo?

Faroe nie odpowiedział. Pobiegnął obstawić wyjścia naprzeciwko garażu.

## ***Rozdział 63***

***Phoenix***

***Niedziela, 1341***

Foley zaprowadził Kayl do swojego gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Trwało to niecałe dwadzieścia sekund.

Popchnął ją na krzesło.

– Rusz się, a pocznij cię kula – ostrzegł.

Kayla siedziała nieruchomo. Jeszcze czuła w ustach smak metalu i piekło jej gardło, podrażnione kołosem lufy. Patrzyła, jak Foley podchodzi do biurka, otwiera szufladę i wyciąga z niej plik szarych teczek.

Jego opalona, gładko ogolona twarz wyglądała jak maska po miertwa. Rzucił teczkę na biurko, a później wsunął do swojej aktówki.

Teczki najbardziej dochodowych klientów.

Kayl cisnął go w ołdki. Tego rodzaju dokumenty nie miały prawa opuszczać banku. Nigdy. Najwyraźniej Foley zakłada, że tu nie wróci.

Spojrzał na nią.

– Pewnie sądzisz, że nie wpadła na to, żeby zabrać ze sobą dokumenty wszystkich podejrzanych klientów.

– Nie mam żadnych podejrzanych klientów. Odmawiałam im współpracy albo odsyłałam do ciebie, żeby ty odmówił.

– Czy już ci dziękuję za tę przysługę? Dochodowa sprawa dla banku. I dla mnie. Najbardziej cieszysz się z Jesusa Del Santos i Ramona Herrery Parra. Wiesz, kim byli, kiedy ich do mnie odsyłała?

– Nie.

– Del Santos był zastępcą gubernatora Jalisco, a Herrera szefem służb federalnych w północno-zachodnim Meksyku. Teraz obaj mają miliony kwoty na kontach w naszym banku.

– Jak wyprali ich pieniądze?

– Władza, złotko, władza i politycy.

Otworzył kolejną szufladę i wyjął płaską aluminiową kasetkę, w której mógł się znajdować aparat fotograficzny. Kiedy otwierał klamrę na pokrywie, na jego biurku zadzwonił telefon. Spojrzał na konsolę.

– To twoja linia – oznajmił. – Twój chłopak?

Spojrzał na zegarek.

– Szybko zaczynaj szuka – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

Telefon znowu zadzwonił. Foley otworzył kasetkę. Kayla dostrzegła, że jest wyłożona plastikowymi piankami, przyciętymi tak, aby ochroniły odpowiedni kształt. Telefon wciąż dzwonił. Jedno z pustych wycięć miało kształt pistoletu. W drugim leżał czarny metalowy cylinder. Domyśliła się, że to tłumik. Telefon dalej dzwonił.

Czarne ze srebrnym jest już niemodne, pomyślała. Ale nie powiedziała tego głośno. Telefon dzwonił. Foley zamocował tłumik na lufie i odłożył pistolet. Telefon dzwonił. Foley wziął z kasetki pełen magazynek i wrzucił go do kieszeni kurtki. Telefon dzwonił. Foley pozamykał szuflady na klucz. Telefon przestał dzwonić.

– Masz dwie minuty albo ci – oznajmił Foley. Wepchnął Kayli do ust zimną lufę tłumika. – Mojesz i ze mną albo zginiesz tutaj.

Wiedziała, że nie artuje. W tej chwili liczyło się dla niego jedno: wydostać się stąd.

– Pójdź z tobą – zdołała wykrztusić.

Wpatrywał się w nią przez kilka długich oddechów, a potem zdjął palec ze spustu.

– Zjedziemy windą. Zabiję każdego, na kogo się natkniemy: twojego chłopaka, strażnika czy sprzątaczkę.

Postanowiła, że wytrzyma do chwili, a Foley sprowadzi ją do garażu. Tam będzie Rand. I na pewno nie będzie się biernie przyglądał.

– Siedź cicho albo będzie miała narzekających ich krew, bez względu na to, kto pocierza za spust – ostrzegł Foley. – Zrozumiała?

Skinęła głową. Wziął teczkę i pchnął Kayl do drzwi. Przeszli szybko długim korytarzem, mijając windy dla pracowników i skręcili do windy dyrektorskiej, która mogła być zjechać bezpośrednio na podziemny parking. Foley sięgnął do przycisku.

Zza rogu dobiegł dźwięk windy pracowniczej, oznajmiając, że ktoś wjechał na górę.

Foley przycisnął Kayl do ściany. Oboje usłyszeli metaliczne pobrkiwanie po kluczy strażnika i lekkie stukanie butów o podłogę. Ochroniarz zapukał do drzwi.

– Kayla! Kayla Shaw! – Jego głos był zatrważający co wyrażały.

Taki bliski.

– Najpierw ty – wyszeptał Foley. – Potem on.

Taki daleki.

Strażnik otworzył drzwi jej gabinetu, wszedł i znowu ją zawołał. Po chwili wyszedł na korytarz, zamykając drzwi za sobą. Zatrzeszczała radiostacja.

– Recepcja, tu Wapner. Nie ma jej w pokoju. U Foleya te pusto. Mam sprawdzić wszystkie gabinety?

Zapadła cisza, po czym z krótkofalówki ochroniarza dał się słyszeć głos.

– Nie. Obejdź Wydział Operacyjny i zabezpiecz. Jeszcze nie wiemy, czy to prowokacja, czy rzeczywiście jest problem. Przetrzęniemy budynek piętro po piętrze, kiedy dotrą posiłki.

– Przyjść im – powiedział Wapner.

Foley i Kayla słyszeli, jak brzęk kluczy strażnika niknie w głębi korytarza. Winda na niego czekała. Jej drzwi zamknęły się z westchnieniem bardzo podobnym do tego, jakie wydała Kayla, gdy kryzys minął.

Foley wcisnął guzik windy dyrektorskiej i uświadomił sobie, że bardzo mu dobrze, kiedy Kayla jest uwięziona między metalowymi drzwiami a jego ciałem. Uśmiechnął się, zsunął pistolet między jej piersi i ujął jedną brodawkę w tłumik.

– Szkoda, że nie pozwoliła, abym się do ciebie dobrał – powiedział.

Przełknęła linę, chcąc opanować mdło ci.

Drzwi się otworzyły. Weszła do środka tyłem. Roze miał się i wcisnął przycisk piętra. Nie zdołała powstrzymać okrzyku przerażenia. Nie jechali do garażu. Jechali na dach. Nie udało jej się uciec. Był bezpieczny, Rand. Cokolwiek robisz, był bezpieczny.

Ona przestała już wierzyć, że wyjdzie z tego cało. W porównaniu ze spoconym palcem Foleya odsiadka w więzieniu federalnym wydawała się rajem. Przynajmniej byłaby żywa.

## ***Rozdział 64***

***Phoenix***

***Niedziela, 1345***

Kiedy Rand wszedł do budynku, strażnik w recepcji rozmawiał jednocześnie przez telefon i przez radiostację.

– Mówiłem, do cholery, że ma pan się trzymać z daleka – warknął. – Nie, nie pan – rzucił do słuchawki, po czym przytknął sobie do ramienia.

– Na zewnątrz jest trzech moich przyjaciół – powiedział Rand. – Dwaj w krótkich spodniach i koszulkach sprawdzają parking dyrektorski. Trzeci ma na oku wyjście naprzeciwko. W drodze jest kilku innych kumpli. Niech pan ich przez pomyłkę nie zastrzeli.

Ochroniarz spojrzął na Randa spod przymrużonych powiek.

– Jest pan gliniarzem ?

– Działamy prywatnie. Kayla wynajęła nas do ochrony.

– No to chyba spieprzyli cię sprawcy.

– Niech mnie pan wpuści na górę.

Strażnik pokręcił głową.

– Nie obchodzi mnie, czy jest pan pieprzonym tajniakiem. Nikt nie wejdzie do rodzaka. Mój szef cię kościł, kiedy się dowiedział, że wezwałem miejscową policję. Wiadomo powiedziałem mu, że dziewczyna zginęła.

– Bo zginęła.

– Niech mnie pan nie denerwuje, bo po wiesz kopanie na pańskim tyłku.

Rand opanował się resztkami sił.

– Jesteśmy w miejscu publicznym, ale jeśli się okaże, że Kayla ma kłopoty, urządzimy tu istne piekło. Wiadomo niech pan jej szuka, zanim my zaczniemy!

– Zaczniemy przeszukiwać wszystkie piętra, jak tylko zjawi się policja – odparł ochroniarz i palcem wskazał drzwi. – A teraz niech mi pan zejdzie z oczu!

Rand wiedział, że strażnik tylko szuka pretekstu, żeby go aresztować. Klnąc jak szewc, przeszedł przez hol i wyszedł na zewnątrz.

Słowo zalało jego twarz niczym ogień.

Nadjechał czwarty samochód. W stronę Randa biegła szczupła kobieta z dwiema krótkofalówkami. Jedną podała jemu.

– Jeff i Barney są w garażu – powiedziała. Znaleli range-rovera, który należy do twojego kompana z restauracji, Foleya.

– Trzeba im powiedzieć, żeby go obstawili.

– Już załatwione. Faroe zabezpieczył tyły. Będziemy mieli tych kobiet.

– Raczej zakładniczkami na dodatek bandy policjantów, którzy przez pięć godzin nie będą umieli się zorganizować.

Spojrzał gniewnie na szklane powłoki budynku, przemierzając wzrokiem szybę po szybie w nadziei, że zobaczy coś ciekawszego niż własny strach. Kobieta włączyła krótkofalówkę. Faroe zameldował, że tyły budynku są zabezpieczone.

Nikt nie widział Kayli.

Rand zobaczył zakrwawioną twarz brata, już spokojnie zapadając się w miarę.

Nie, to była twarz Kayli, twarz umierającej Kayli.

– Weś się w garaż – powiedziała agentka, chwytając go za rękę zdumiewająco silnymi palcami – albo zejść nam z drogi.

Spojrzał w jej piwne oczy.

– Jak masz na imię?

– Mary. Jestem snajperem.

– A gdzie masz karabin?

– Jestem na urlopie.

– No to co tu robisz, do cholery?

– Próbuję cię powstrzymać, żeby nie zaczął szaleć.

Wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

– Prawdziwy wojownik walczy najlepiej, kiedy uważa, że za chwilę będzie martwy – powiedziała Mary.

– Ulubione powiedzenie Faroe'a – stwierdził Rand z goryczą. – A co ma robić wojownik, kiedy boi się o kogoś innego?

Nie padła żadna odpowiedź poza tą, którą dała mu wcześniej: weś się w garaż.

Odwrócił wzrok od budynku i starał się znaleźć coś, na czym mógłby skupić uwagę. Nieopodal rosnęło drzewo z nagimi gałęziami. W pewnej chwili nadleciał jaskrawo ubarwiony koliber, przysiadł na chwilę i rozejrzał się dookoła, szukając kwiatów, rywali albo samiczek. Na jego zielonych piórach i czerwonym krawacie załapał słonca.

Kolibier kalifornijski. Gatunek znany z tego, że poszerza zasięg swojego terytorium, przekracza granice.

Powodzenia, ptaszku. Będzie go potrzebowa.

Kolibier odleciał, mienił się intensywnymi kolorami.

Rand odetchnął głębiej.

– Już – powiedział do Mary. – Uspokoilem się.

Przyjrzała mu się uważnie i skinęła głową. Wtedy usłyszał helikopter.

– Mowy nie ma. – Mary znów chwyciła go za rękę.

– Czemu? Bertone ma ponad pięćdziesiąt samolotów.

– W Afryce.

– Nie wszystkie.

Odgłos migłowca był wyraźny, ale Rand nie był w stanie dojrzeć maszyny. Odwrócił się i spojrzał na budynek banku. Na trawniku przed wejściem było dość miejsca, żeby dobry pilot poradził sobie z lądowaniem.

Mary podjęła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Przecież kryjemy. – Dotknęła saszetki na pasie. – Jeśli helikopter wylądował, przestrzel turbin.

Rand wpatrywał się w budynek. Nagłe olnienie było niczym lodowata fala.

– Chyba wylądował na dachu.

Rzucił się przed drzwi, a Mary włączyła radiostację i wódnym trzasku zaczęła podawać informacje.

Chwilę później helikopter wylądował na dachu. Drzwi komory ładunkowej się odsunęły.

Kiedy Rand dobiegł do holu, helikopter już odlatywał. Przechylił się ostro i poszybował na wschód. Za sterami siedział szczupły blondyn. To nie był Bertone. Rand dostrzegł w środku dwie postacie. Jedna leżała na podłodze. Druga pokazywała mu środkowy palec.

– Cholera. Gdybym miała karabin... – powiedziała Mary. Ale miała tylko pistolet i trzeszczaczkę krótkofalówek. Gdy Rand ruszył w stronę parkingu, znów cisnęła go za rękę i przytrzymała. – Faroe chce wiedzieć, jaki to helikopter. Numery identyfikacyjne, typ, wszystko...

– Hind, Mi-24. Bertone importuje je do ostrzeliwania.

– Słodko.

– O tak, Bertone jest słodki.

„Jest żywym trupem, dodał w myślach. Wyszarpnął rękę i pobiegł do dźwigni.

– Dokąd jedziesz?! – krzyknęła za nim Mary.

Nie odpowiedział.



## ***Rozdział 65***

***Phoenix***

***Niedziela, 13.50***

Rand walczył z niedzielnym popołudniowym korkiem na Scottsdale Road. Klucząc, manewrował między pasami, a w końcu o mało nie wpadł na policyjny patrol. Miał ochotę walnąć pięcią w przedni szyb, ale starał się być dobrym obywatelem i rozważnym kierowcą.

Radiowóz w końcu zjechał na autostradę. Rand wcisnął gaz do dechy. Kiedy przejeżdżał pod autostradą 101 na północ, w kierunku Cave Creek i Pleasure Valley, odezwała się jego komórka. Odebrał.

- Co jest? – spytał ostro.
- Co ty wyprawiasz, do cholery?! – ryknął Faroe.
- Jadę.
- Nie wkurzaj mnie. Dokąd jedziesz?
- Wolałbym nie wiedzieć.
- No to już wiem. Castillo del Cielo, tak?

Rand nie odpowiedział.

- Policz, czy zdązysz odsiedzieć przestępstwo, które popełnisz – burknął Faroe.
- Starannie zatrzymaj się.

Faroe zaklął pod nosem.

- Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Daj znać, jak będę mógł pomóc.
- Czy gliniarze dowiedzieli się czegoś w banku?
- Jak dotąd, nie. Staraj się namierzyć helikopter.
- Niczego nie znajdę. Pilotem nie był Bertone.
- Jesteś pewien? Przecież latał helikopterami, zanim mógł sobie pozwolić, żeby wynająć ludzi do czarnej roboty.
- Za szczupły. Długie włosy, nie ten kolor.
- Cholera! Jeden z naszych ludzi jest pracownikiem rejonowego oddziału Federalnego Związku Lotnictwa Cywilnego. Może będzie w stanie namierzyć maszynę.

– Pewnie kontroluj ich radary. Jeśli zobaczą helikopter w posiadłości, dam ci znać, ale w tym.

– No to po co tam jedziesz?

– Zapomniała? Wolałby nie wiedzieć.

– Poznała Mary. Właśnie nie bierzemy narządów jej pracy. Pamiętaj o tym.

– Dobrze.

Rand wyjął telefon i gnał jak szalony do zjazdu na drogę okrężną, która wiodła do domu Andre Bertone'a. Zatrzymał się na szczycie wysokiego wzgórza niedaleko bramy i przypatrywał się posiadłości. Widział garaż i samochód, który myślał kuloodporny limuzyn Eleny. Widział także i dowisko.

Puste.

Nie był zaskoczony. Foley zostawił za sobą tyle brudów, że Bertone nie zdołałby ich posprzątać, nawet wykorzystując swoje akredytacje dyplomatyczne.

Ale Elena była w domu.

Może był też Bertone.

Masz tu bydło, bydlaku.

Rand chwycił komórkę i wybrał numer Foley'a.

– Gdzie wysłała Mary? – spytał Joe.

– Jeszcze nie. Potrzebny mi helikopter. Sprawdź teorię Kayli, że Elena jest dobrą matką.

Faroe odetchnęła ciężko.

– Ma przylecieć normalnie czy dyskretnie?

– Z jak największym hukiem – odparł Rand. – Cholera, weź helikopter telewizyjny.

– Dobra.

– Naprawdę? – zdziwił się Rand.

– Mówiłem ci wczoraj.

– Powiedz jeszcze raz.

– Ekipa *wiata w godzinę* dostała od lokalnego orodka telewizyjnego migłowiec meteorologiczny. Kręć z niego ogólne ujęcie Phoenix, firm Bertone'a i jego posiadłości.

– Dzięki ci, Boże – powiedział Rand.

– Nie ma za co.

– Pójdiesz do piekła.

– A znasz kogo , kto nie pójdzie?

– Nie. Jestem na wzgórzu około pół kilometra na południe od domu. My lisz, e pilot jest na tyle dobry, eby mnie zabra , je eli nie dostan si do rodka?

– Spytaj Martina. Masz numer jego komórki?

## ***Rozdział 66***

***Nad Phoenix***

***Niedziela, 13.54***

Kayla widziała tylko czubki lśniących butów Foleya i słyszała tylko huk pracującego helikoptera. Wiedziała, że ma siniaki i zadrapania, ale nie czuła nic poza adrenaliną, która wezbrała w jej żyłach. Myślała z nienaturalną szybkością i jasnością. Teraz nie uciekniesz. Foley jest cieniem. Bertone – bezwzględny zabójca. Wiem pracuję nad Foleyem.

Johna odsunęła się od lufy pistoletu, który miała przy skroni. Nawet Foley nie był na tyle głupi, żeby strzelać w lecącym helikopterze.

– Nie ruszaj się, suko! – ryknął.

Pilot skrzywił się i zdjął słuchawki. Kayla wyszarpała włosy z nacisku Foleya, podciągnęła się do pozycji siedzącej i oparła o ciano. Kijanki obejmowały jej nadgarstki niczym obsceniczne bransoletki.

adnej broni w zasięgu ręki. Ani torebki. Ani telefonu komórkowego. Nawet pilniczka do paznokci.

Rzeczydomów wiły się pod nimi niczym serpentyny, kiedy pilot manewrował, omijając słupy napięcia, linie telefoniczne i estakady autostrad. Leciał tak nisko, że niemal ocierał się płozami o dachy.

Kayla zastanawiała się, co zrobiłby Bertone, gdyby zginęła w katastrofie.

Przynajmniej nie trwałoby to długo. Może powinna wyciągnąć ręce, przejść stery jak pasażerowie lotu 93 i rozbić się razem z samolotem. A może nie.

Mimo wszystko jest szansa, że wyjdzie z tego żywa, powiedziała sobie. Nikła, ale zawsze. Pasażerowie lotu 93 nie mieli takiej szansy.

Foley odpiął pasy, żeby podejść do swojego miejsca. Pilot złapał go za ramiona i pociągnął.

– *Niet!* – krzyknął tak głośno, że zagłuszył warkot silnika. Helikopter się zakołysał. Foley opadł na fotel. Kayla oparła głowę o wibrujący metal i myślała intensywnie. Jakie słabo ci ma Foley?

Chciwo? Tak, to na pewno. Głupota? Może. Ważne, czy uwierzy, że jestem skłonna mu się oddać, byle przeżyje. Czy on by to zrobił na moim miejscu?

Tak na pewno tak. Wiem uwierzy, jeżeli to zrobi

Kayla przygłodała się obu mężczyznom, czekając na sposobność, żeby kopnąć Foleya w jaja albo złamać mu nos swoim czołem. Tata uczył ją, że walczy naley tylko w ostateczności, ale wtedy robi się to ostro, bezwzględnie i wszelkimi chwytami.

Potrzebowała szansy. Jednej.

## ***Rozdział 67***

***Phoenix***

***Niedziela, 12.10***

Straznik przy bramie zmieniono; najwyraźniej Bertone wyszukiwał ludzi, którzy poza nim nie mieli żadnych powiązań. Młody człowiek wyglądał na Uzbeka, pociął się jak indyk na rożnie, a mierział jak zatłoczony paryski autobus w środku lata. Długo trzymał na rękach ci pistoletu, który sprawiał wrażenie równie groźnego i wysłużonego jak sam ochroniarz.

Rand opuszczył szybki.

– W jakiej sprawie? – spytał strażnik po angielsku z bardzo mocnym akcentem.

– Jestem tu na zaproszenie pani Bertone. Wygrałem konkurs malarski wczoraj wieczorem. Pani Bertone chce ze mną porozmawiać o innych obrazach.

– Chwileczkę.

Strażnik wycofał się i zadzwonił do domu. Powiedział coś, słuchał chwilę i odłożył słuchawkę. Kiedy wracał, ręce miał opuszczone wzdłuż ciała.

– Musi się pan umówić – poinformował Randa. – Pani Bertone jest bardzo zajęta rozmową z senatorem Stanów Zjednoczonych i nie ma teraz czasu dla jakiegokolwiek malarza. Niech pan przyjedzie jutro.

– Ach, tak.

– Proszę odjechać.

– A może pan przynajmniej podnieś bramę, abym mógł wjechać i zawrócić? – spytał Rand.

Ochroniarz zmrużył oczy.

– Tu ma pan drogę. – Wskazał wydzielony przed budką kłuk, na którym samochody mogły zawrócić.

– Aha. Kapuj.

Rand spojrzął na ogrodzenie obok bramy. Stanowił je rząd starych opon. Wycofał się, nie spuszczając wzroku ze strażnika i zaczął nawracać.

Ochroniarz wszedł do budki.

Rand skręcił ostro w prawo, wjechał na krawężnik i przyspieszył ostro. W ostatniej chwili znalazł przerwę między dwoma rzędami opon. Gdy wjechał w nią lewą stroną, oba prawe koła wystrzeliły. Wóz opadł ciężko na prawą stronę. Rand z całych sił chwycił kierownicę, zapanował nad kierowaniem i wyprostował auto.

Długo wjeżdżał szybko pod górę. Na pierwszym zakręcie długiego podjazdu Rand usłyszał odgłos naboju uderzającego w klapy bagażnika, tuż pod tylną szybę.

Chwilę później znalazł się poza zasięgiem strzału. Wjechał do gara u na przejazd prowadzący do domu. Kierowca stojący czołowo w garażu w cadillacu z tablicami kongresowymi gawędził z mężczyzną, który myślał na zewnątrz limuzynę Eleny. Wielkiego czarnego humvee Bertone'a, nie było. Obaj mężczyźni wlepili wzrok w Randa, gdy ten wyskoczył z dipa i pognął w stronę domu.

Przed kuchennymi drzwiami niemal staranował pokojówkę, która właśnie nie wynosiła mieci.

– Gdzie jest pan Bertone? – rzucił szorstko. – Proszę mnie do niego zaprowadzić.

Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

– *No es aquí* – zdołała wykrztusić.

Była za bardzo przerażona, żeby kłamać, więc Rand zadał kolejne pytanie:

– A gdzie jest pani Bertone?

– *En la casa*. – Wskazała szklanymi cianami wielkiego salonu, który wychodził na Dolinę Słoneczną. – *Con senator Rogers*.

Rand minął ją i pognął do głównego wejścia. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Zostawił je otwarte na oścież, skręcił w holu w lewo i wymacał telefon komórkowy przypięty do paska. Nie patrząc, wcisnął pierwszy numer z pamięci i zatrzymał się tuż przed drzwiami salonu.

Faroe zgłosił się po pierwszym sygnale.

– Przyłóż helikopter – powiedział Rand i wyłczył się, nie czekając na potwierdzenie.

Kiedy wparował do salonu, Elena przez chwilę wyglądała na zdezorientowaną, ale potem poznała go. Siedzący obok niej na kanapie przystojny blondyn sprawiał wrażenie zirytowanego tym nagłym wtargnięciem.

– Pan McCree, o ile sobie przypominam – powiedziała Elena z nutą pogardy w głosie.

Rand skinął głową.

– Nie spodziewałam się pana. Właśnie nie rozmawiam z senatorem, a to poufna rozmowa.

– To, co ja mam do powiedzenia, jest znacznie ważniejsze dla pani dzieci niż wszelkie pierdoły, które omawia pani z senatorem.

– Kim jest ten człowiek? – spytał senator, wstając z kanapy.

Robiłby wrażenie, gdyby nie był w szortach i różowej koszulce polo.

Elena nie wstała.

– To zabiegaj o uznanie artysty, któremu się wydaje, że skoro zdobył nagrodę, ma prawo być wobec mnie niegrzeczny.

– Jak minął strzał? – zainteresował się senator.

– Nie mam pojęcia. Zadzwoń po ochroniarza, go wyprowadzi. – Sięgnęła do telefonu na stole obok kanapy. Pulsująca taśma przy dekolcie jedwabnej bluzki zdradzała, że jej chłodny ton jest wymuszony. Niektórych emocji nie ukryje nawet najlepsza aktorka.

– Może sobie pani darować – powiedział Rand. – Ochroniarze już tu lecą.

Stanął przed senatorem i wyjrzał przez szklane drzwi. Od południa z dźwiękiem nadlatywał jaskrawo pomalowany helikopter. Było już widać kopułki obserwacyjnych kamer na dziobie.

– Ale – Rand odwrócił się do Eleny – powinna pani powiedzieć swoim ludziom, żeby nie wymachiwali broni, chyba nie chce pani stracić pozycji, jak zdołała sobie wypracować.

– Bro... moje dzieci... – Elena zerwała się na równe nogi.

– Dzieciom nic nie grozi – uspokoił ją Rand. – Ale jeśli chce pani, żeby nadal tak było, proszę siedzieć cicho i słuchać.

Elena opadła ciężko na kanapę.

– Chwileczkę, młody człowieku... – zaczął senator.

– Proszę się nie wtrącać – przerwał mu Rand. – Mój pan Bertone porwał moją narzeczoną. Jeśli Elena chce, żeby jej dzieciom nie zaszkodziła nawałnica, na jaką się zanosi, to mnie posłucha.

– Pan jest szalony – stwierdził senator.

– Czy by? A jak zachowywałby się pan przed kamerą, senatorze? – spytał Rand. – Niech się pan zastanowi, bo właśnie nadlatuje helikopter telewizyjny. Elena może okazać wyrozumiałą i mi pomóc albo w wiadomościach wieczornych pokazać jako dziewczynę gangstera. – Odwrócił się do Eleny. – Co by na to powiedziały pani dzieci, pani Bertone?

Położyła rękę na szyi, żeby ukryć zdradzący zdenerwowanie puls.

– Zgadzą się na wszystko. Proszę tylko nie wciągać do tego dzieci.

– To zależy od pani – odparł Rand.

Zza szyb dobiegał odgłos wielkiego wirnika helikoptera. Maszyna była na tyle blisko, że widać było logo stacji na czerwono-żółto-niebieskim kadłubie. Pilot zamrugał wiatłami i zatrzymał się pięćdziesiąt metrów za basenem, kierując kamerę na dom. Formalnie nie naruszał niczyjej przestrzeni powietrznej.

A jednak.

– Nie rozumiem... – powiedziała Elena spłoniętym głosem. – Przecież...

– ...nie zrobiłam nic złego – dokończył za nią Rand. – Proszę się trzymać tej wersji, kiedy dziennikarze zaczną pani pytać, co pani myśli o tysiącach ludzi, którzy zostali zabici po to, żeby pani mogła obnosić swój rozpieszczony tyłek po niebieskim zamku, który pani zaprojektowała.

Oczy Eleny otworzyły się szeroko. Objęła się i westchnęła. Rand nie odpuścił. Nie sprawiało mu to przyjemności, ale tylko tyle mógł zrobić, żeby dostać się do Bertone'a, dopóki Kayla żyje.

– To już koniec – oznajmił kategorycznie. – Pani mój jest przemyślnikiem broni. *wiat w*



*godzin jest* w stanie to udowodni. Bertone idzie na dno. Z hukiem. Pani może tylko zdecydować, czy pani i dzieci pójdziecie na dno razem z nim.

– O co tu, do cholery, chodzi? – spytał senator, odsuwając się od okien, jakby stanął w płomieniach.

Rand spojrzął na niego z ukosa.

– Senatorze, niech pan lepiej się dźmiata. Wyborcy z pańskiego okręgu nie byłiby zachwyceni, gdyby zobaczyli pana przyłapanego tete-a-tete z onym międzynarodowym przemytnikiem broni. Nie ma lepszych nagłówków niż krew, pieniądze i seks.

– To bezczelność! – wrzasnął senator.

– Nie – odparł Rand spokojnie. – Bezczelność jest to, że Kayla Shaw została porwana przez Andre Bertone'a, który bądziej torturował, żeby zdobyć magiczne słowo dające mu dostęp do wierzni miliarda dolarów umożliwiających wszczęcie wojny, która ma obalić legalny rząd na drugim końcu świata.

– Eleno? – spytał senator.

– Proszę, niech pan idzie – powiedziała. – Nie powinien pan być ... tutaj.

– Rozmawiałem z pani Bertone wyłącznie o darowiznach i strategii kampanii. – Senator spojrzął chłodno na Randa. – Jeśli w mediach pojawi się jakiegokolwiek inne insynuacje, urw panu ją. – Przeniósł gniewny wzrok na Elenę. – Gdzie jest Andre? Niech skończy z tymi bzdurami.

Elena spojrzała na niego obojętnie.

– Andre tu nie ma.

– No to go sprowadź. – Senator popatrzył na helikopter. – Zadzwoń do niego!

Na powierzchni basenu pod wpływem strumienia za migłowego tworzyły się fale. Ryk silnika sprawiał, że szklana ciana domu drżała.

Elena poderwała się z kanapy, dobiegła do rozsuwanych drzwi i otworzyła je z takim rozmachem, że niemal wyskoczyły z szyn.

Ze migłowca wychylił się kamerzysta w bejsbolowej czapeczce założył onej tyłem na przód i skierował obiektyw na kobietę w drzwiach.

– Wynocha się d! – krzyczała Elena. – Won! Nie macie prawa tu być! Wszystko niszczycie! Oskarżę was! Mój mąż was obraża... – Nagle dotarło do niej, że jest filmowana. Odwróciła się i zamknęła usta.

Senator zauważył kamerę w ręku Eleny. Upewniwszy się, że nie znajduje się w zasięgu obiektywu, wyjął z tylnej kieszeni spodni komórkę i wybrał numer. Nie patrzył nawet na pani domu, wybiegł z salonu. Jego głos nikt nie usłyszał, kiedy przelatywał w stronę wyjścia dla służby.

– Słuchaj, mamy problem. Złap naszych ludzi w lokalnej telewizji. Dowiedz się, co, do cholery...

Rand rozmawiał przez swoją komórkę z Faroe'em.

– Powiedz, żeby helikopter przeleciał nad parking.

– Kto ucieka?

– Tylko szczury. Jeden z nich to senator Stanów Zjednoczonych który jeździ do czar terenówk Caddy. Taka fotka spodoba się tym z Manhattanu.

Wyłączył telefon, z którego dobiegał donośny śmiech Faroe'a. Helikopter uniósł się nad dom, a parę chwil później zaczął krążyć nad parkingiem, żeby skądś wziąć cie. Elena spojrzała na Randa.

– Dlaczego? – spytała.

– Bo była w domu. Decyduj, Eleno. Dzieci albo mój. Co wybierasz?

## ***Rozdział 68***

***Phoenix***

***Niedziela, 1414***

Kayla zapała si ę stop o fotel pasa era i usiłowała zdj ąć koszulk , któr ę dał jej Rand. Napis na niebieskiej bawełnie głosił, e „ ycie jest pi kne”. Zgadzała si ę z t ą sentencj ą, cho ę mi kki materiał nosił plamy kurzu i krwi z jej rozci ętej wargi, a r ęce miała skute kajdankami.

Tak, było zdecydowanie pi ękniejsze ni ę druga opcja.

I naprawd ę chciała do y chwili, kiedy zobaczy, jak Foley połyka pistolet, który wcz ę niej wpychał jej do ust.

My ę o tym, gdy b ędzie próbowała uwie ść tego oble nego sukinsyna. Mo ę e wtedy zaczniesz si ę u miecha , zamiast rzuca ę si ę po jego włoskich butach.

Przygl ędała si ę Foleyowi zmru onymi oczami. Był spocony i rozsadzała go adrenalina. Ale nawet na chwil ę nie rozlu ęnił u cisku na pistolecie. Je ę eli znów wsadzi mi go do ust, b ędzie na tyle blisko, ebym mogła zrobi ę mu krzywd ę. Du ę krzywd ę. Wolałaby raczej złapa ę bro ę i go zastrzeli ę, ale wiedziała, e ma wi ększe szanse na prze ycie, udaj ę c przera on ę i gotow ę go zadowolili ę. Dopóki Foley nie domy ęli si ę prawdy, była dla niej szansa. Jedna.

Musi jej wystarczy ę.

## ***Rozdział 69***

***Phoenix***

***Niedziela, 1414***

– Nie mogą ci pomóc – upierała się Elena.

Nie spojrzała na Randa od chwili, kiedy senator czmychnął, zostawiając ją samą w obliczu tego, co się zdarzyło.

Nie bij jej, nic tym nie zdołasz, powtarzał w duchu jak mantrę jedyne słowa, które mogły go powstrzymać przed użyciem przemocy wobec upartej królowej pisknioci.

Pochodzi ze slamsów Sao Paulo, więc pewnie nie byłby w stanie zadać jej takiego bólu, którego by nie wytrzymała. Ale nie chciał tego sprawdzać.

Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na jej brodzie,

– Spójrz na mnie – rozkazał.

Zwróciła na niego oczy, wielkie i pełne łez, które jednak nie spływały.

Miał ochotę wcisnąć jej Oscara do gardła.

– Pójdiesz do więzienia, a twoje dzieci wyłudzisz w domu dziecka. Zostaną rozdzielone i oddane rodzinom, które mają mniej pieniędzy niż twoja słuca.

– Prawnicy – zdołała wycedzić Elena mimo elastycznego nacisku.

– Prawnicy kosztują – odparł. – A twój mąż jest splukany.

To zszokowało Elenę bardziej niż wszystko inne, co powiedział czy zrobił. Usiłowała się wyrwać, ale nadaremnie.

– Na koncie założonym przez Kayla było więcej miliarda dolarów – wyjął Rand. – Przełała jej na konto, którego Bertone nie ruszy. Jesteś doszczętnie splukana.

Jej skóra nabrała koloru popiołu.

– Nie! On ma tylko połowę tej sumy.

Rand się uśmiechnął.

– No to w takim razie będzie miał do czynienia z kilkoma naprawdę wkurzonymi współnikami. Jeśli mi pomożesz, ja pomogę ci ocalić dzieci i sumę wystarczającą na wygodne życie w Brazylii.

– Moi przyjaciele...

– Przeczytaj o tobie w jutrzejszej gazecie – uśmiechnął bezlitośnie. – "Elena Bertone, ona

mi dzynarodowego handlarza broni , została aresztowana wraz ze m em za spiskowanie w celu obalenia prawowitego rz du Kamd erii oraz miliardowe zyski z ropy naftowej otrzymanej za nielegaln bro ”.

– Jestem niewinna!

Rand w tpił, ale nie obchodziło go to.

– Je eli nie pomo esz mi odzyska Kayli, splami twoj reputacj krwi wszystkich niewinnych dzieci, które zgin ły w Afryce z broni dostarczonej przez Bertone'a. Twoje dzieci b d mogły odwiedza ci w wi zieniu, o ile b d pami ta , jak masz na imi . Wybór nale y do ciebie, Eleno. I to jedyny wybór, jaki ci został.

Przed domem znów pojawił si telewizyjny helikopter. Zatoczył koło, kr c c uj cia pod ró nym k tem.

Elena zatkała sobie uszy, eby nie słysze warkotu silnika.

– Ka im odlecie . W tym hałasie nie mog my le !

– Wyobra sobie, e jeste na froncie. Odgłos tego helikoptera to wiergot ptaka w porównaniu z rosyjskimi maszynami, które sprzedaje Andre.

Do salonu wbiegła Miranda.

– Mamo, mamo, co to za hałas?

Rand wyswobodził szcz k Eleny.

Elena przytuliła córk i popatrzyła na niego. Popatrzyła, zadr ała i poddała si . Nie mogła znie strachu Mirandy, który tak bardzo przypominał jej własny strach z dzieci stwa.

– Zrobi wszystko, co mog – powiedziała cicho.

Wcisn ł przycisk szybkiego wybierania na swojej komórce.

– Powiedz helikopterowi, eby odleciał. Elena b dzie współpracowa .

– Przyj łem – odpowiedział Faroe. – Ale zostan w pobli u.

Po kilku chwilach migłowiec przechylił si na prawo i oddalił o kilkadziesi t metrów. Ryk silnika troch przycichł.

– Gdzie jest twój m ? – spytał Rand.

Po twarzy Eleny spłyn ły łzy i zmieszały si ze łzami córki, któr pocieszała. Wzi ła gł boki oddech.

– W klubie – powiedziała cicho.

– Jakim klubie?

– Okr gowym Klubie Strzeleckim Arizony.

– Jest otwarty?

– Nie. W niedziel Andre wpuszcza tylko specjalnych go ci. Dzie wi ty, rozumiesz?

– Tak, Rozumiem. Ironia to jego drugie imi . Jak mog si tam dosta ?

– Nie mo esz. Tylko Andre ma klucze. Dwana cie hektarów otacza płot z siatki.

Rand znów wcisn ł szybkie wybieranie.

Faroe nie odebrał po pierwszym sygnale.

Po drugim te nie.

Ani po trzecim.

Jezu, Joe, to nie czas na kaw .

– Faroe – usłyszał wreszcie.

– Bertone jest w Okr gowym Klubie Strzeleckim Arizony.

– Ziemia Indian – powiedział Faroe. – Hokamowie. Mali, ale rz dz .

– No to miejscowi gliniarze odpadaj . A federalni?

– Pewnie mogliby co zdziała , ale St. Kilda nie mo e ci w tej chwili pomóc. Policja z Phoenix zgarn ła wszystkich podejrzanych o współprac z St. Kilda.

Rand zakł ł pod nosem.

– Na szcz cie gliniarze s mili – ci gn ł Faroe. – Grace ustawia ostrego, ale ci gle zdeorientowanego dowódc .

– Z jakim skutkiem?

– Gdy tylko si ruszymy, wsadz nas do ciupy.

– Banda kretynów.

– Kompletnych.

– Polec helikopterem. Gdyby mundurowi szukali pretekstu do wystawienia nakazu rewizji, niech zgłosz si do mnie. – Rand spojrział na Elen . – Elena Bertone ch tnie omówi spraw z ka dym stanowym czy federalnym s dzi , którego gliny zdecyduj si obudzi z poobiedniej drzemki.

Elena skin ła głow i kołysała córk , pocieszaj c i j , i siebie.

– Gdyby kto z odznak i pistoletem chciał wpa si pobawi do Gumowego Miasta, powiedz, e Kayla i ja mamy na sobie niebieskie d insy. Niech do nas nie strzelaj .

– Przyj łem.

Rand wył czył telefon i odwrócił si do Eleny.

– Gdzie Andre trzyma bro ?

## ***Rozdział 70***

***Nad Phoenix***

***Niedziela, 14.20***

Szare przedmioty zmieniały się w szarą pustynię. A asfaltowe jezdnie zastąpiły piaszczyste ścieżki. Między słupkami wbitymi w piasek i krewotaki ciągnęły się linie wysokiego napięcia. Helikopter obniżył się, wślizgnął pod przewody i znowu unosił się.

Szeroki uśmiech pilota powiedział Kayli, że facet lubi ryzyko. Potem na twarzy Foleya – on z kolei nie lubi.

Ona tego nie lubiła, ale wiedziała, że wszystko, co się teraz dzieje, jest lepsze od tego, co ją czeka, kiedy dorwie ją Bertone.

Nie myśl o tym. Kiedy nadarzy się sposobność, podczołgasz się w kajdankach i... zrobisz, co będzie trzeba.

Helikopter przechylił się na prawo, a potem nieznacznie na lewo. Ostre szarpnięcia nadały skórze Foleya paskudny zielonkawy odcień. Pilot albo tego nie zauważył, albo się nie przejął. Nie przestawał bawić się w berka z pustynią; muskał płozami czubki wyszczypanych krzaków, a spod migła, które z szerokim uśmiechem sunęły po krańcach katastrofy, unosiły się tumany pyłu.

Trzymaj tak dalej! Foley zaraz zacznie się rzucać po przedniej szybie. Ta myśl sprawiła, że jej wargi uniosły się w ponurym uśmiechu. Pilot ostrym łukiem okrążył kilka nagich, skalistych wzgórz. Poniżej pojawiła się asfaltowa droga. Helikopter leciał wzdłuż niej jeszcze chwilę, a potem nieopodal i mimo niczym motyl wylądował na asfaltowym parkingu.

Drzwi Okręgowego Klubu Strzeleckiego Arizony wyrastały z ciemnego prostokąta na zboczu wzgórza. Wiodły do nich szerokie betonowe schody.

Kayla poderwała się na nogi, oparła plecami o drzwi luku ładunkowego i rozsunęła je. Wytoczyła się na zewnątrz, obróciła i zdołała w miarę bezboleśnie wylądować na asfalcie. Wstała, rzuciła się do biegu i pędziła tak szybko, na ile pozwalały jej skute na plecach rany.

Prywatną drogą do klubu zastawiał czarny humvee.

Odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę czegoś, co wyglądało na tor przeszkód, starając się zyskać tyle czasu, ile tylko się da.

St. Kilda, do dzieła. Plan C jest całkiem niezły.

# ***Rozdział 71***

***Nad Phoenix***

***Niedziela, 14.22***

Martin podał Randowi słuchawki i zrobił mu miejsce na składanym fotelu.

– Co się dzieje? – spytał.

– Foley porwał Kayl – wyjął Rand. Kiedy siadał, w plecy wbiły mu się dwa pistolety. Miał nadzieję na coś potężniejszego, ale musiał zadowolić się podręczną bronią, którą znalazł przy łóżku Bertone'a. – Lec do klubu strzeleckiego Bertone'a. On sam już tam jest albo zaraz będzie.

– Gdzie lecimy? – spytał pilot.

Rand spojrzał na nazwisko wyszyte na jego mundurze. Lopez.

– Wiesz, gdzie jest rezerwat Hokamów?

– Jasne. Lekko po skosie na wschód. Kasyno, tor wyścigowy dla chartów i jaka forteca.

– Zawieź nas do fortecy. Jak najszybciej. To sprawa życia lub śmierci.

– Przyjmę.

Helikopter poderwał się z lądowiska, przechylił ostro i skierował na wschód. Kilka sekund później metalowy ptak wystrzelił w górniczym kierunku kula, po czym wyrównał poziom. Dachy domów i ulice znalazły się kilkaset metrów pod nimi. Pilot miał spokojną minę i pewne dłonie. Cały czas kontrolował wzrokiem wskazniki i przestrzeń powietrzną.

– Gdzie się nauczyłeś latać? – spytał Lopez Rand.

– W Kalifornii i Afganistanie.

– Wciąż strzelać potrafisz.

– Tak.

– Masz broń?

– A jak się dzisiaj? To Arizona.

– Miej ją pod ręką.

– Zawsze mam.

Zadzwoił telefon komórkowy Randa.

– Tak?



– Tu Steele. Masz komputer z łącznikiem satelitarnym?

Rand spojrział na laptopa Martina.

– Mogę skorzystać z czyjegoś.

– Wysłałem ci e-mailem adres strony klubu strzeleckiego i zdjęcia satelitarne terenu. Jest tylko jedna droga i jedno wejście. Ogrodzenie jest z siatki z drutem kolczastym. Teren wygląda jak poligon.

Rand bez słowa wziął komputer Martina i otworzył swoją skrzynkę mailową St. Kilda.

– Mam.

Powiększył zdjęcia satelitarne. Steele miał rację. Klub strzelecki mógłby uchodzić za bunkier wojskowy.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś? – spytał Steele.

– Paru nakazów i gliniarzy do współpracy.

– Pracujemy nad tym.

– No to jeszcze cudu – mruknął Rand.

– Dawno zamówiony.

Pół godziny się urwało.

Rand przejrzał stron internetowych Okręgowego Klubu Strzeleckiego Arizony. Znalazł fotografie odkrytych torów strzeleckich, usytuowanego przy nagich pustynnych wzgórzach niezadaszonego pomieszczenia do strzelania taktycznego i wielkich podwójnych drzwi, które prowadziły do samego wzgórza. Przyjrzał się też zdjęciom wnętrza klubu, przedstawiającym tory strzeleckie, sklepy z bronią i upominkami oraz salę dla członków klubu, którzy poza ostrą amunicją byli zainteresowani również strzeleniem sobie po głowach.

Na stronie internetowej wspomiano o luksusowym kompleksie terenów do strzelania taktycznego położonych z pomieszczeniem klubowym, ale nie było zdjęć.

To tam Bertone zabierze Kayla. Masywne, wyciszone ściany i całkowita prywatność – idealna na dawki staro-wieckich tortur.

Na samych drzwiach o tym skręciło go w głowie. Kayla jest bystra i błyskotliwa. Ale Bertone jest bezlitosny. Obedrze ją ze skóry jak banana.

– Ile jeszcze? – spytał pilota.

Lopez uniósł dwa palce.

Rand znów wyświetlił plany terenu i przez przednią szybę helikoptera samolotu ledził znajome formy krajobrazu. W odległości kilku kilometrów wznosiła się prosta fasada budynku klubu, wyróżniająca się wśród niesymetrycznej pustyni Arizony.

– Jakich dwóch kilometrów na południe od klubu, u podnóża zbocza, jest wyschnięte koryto ze stromymi brzołami – powiedział do pilota. – Widzisz?

Lopez uniósł kciuk.

– Wsad mnie tam – poprosił Rand. – Potem wzbij się na wysoko kilometr.

– Z takiej odległości nie nakręcimy dobrych zdjęć – zaprotestował Martin. – Faroe mówił, że z tej strzelaniny może być niezły materiał.

– W zasięgu ognia miałyby tak strzelaniny, żeby się nie pozbiarał – odparł pilot. – Helikopter nie jest opancerzony.

– E, tam – wtrącił się kamerzysta. – To przyszcz. Byłem w Faludze. Teraz wszystko inne to dla mnie arty.

Lopez spojrział na niego z politowaniem i pokręcił głową. Kiedy w grzechodzą kule i mier, nigdy nie ma artów.

– Ten klub ma w piwnicach więcej broni niż wszyscy irakijscy terroryści – powiedział Rand. – Trzymajcie się z daleka, dopóki nie zjawi się gliny i agenci. To nie powinno długo potrwać. – Mam nadzieję, dodał w myśli. – Potem może się zbliży i filmowa, co tylko chcecie.

Pilot zszedł niżej i od zachodu okrążył wzgórze, trzymając maszynę poza zasięgiem strzału.

Martin sięgnął po lornetki, żeby przyjrzeć się klubowi. Rand wyrwał mu je.

– Do cholery... – próbował protestować Martin. Jedno spojrzenie w oczy Randa zakończyło jego protesty. – No dobra. Jest twoja. Miłej zabawy.

Rand uniósł lornetki do oczu. Helikopter, który zabrał Kayla i Foleya z dachu budynku bankowego, stał na pustym parkingu. Jedyнным innym pojazdem był czarny humvee Bertone'a.

Rand zaczął przeczesywać teren. Nagle dostrzegł Kayla. Biegła jak szalona w stronę pustyni, oddalając się od helikoptera. Skuta kajdankami nie miała żadnych szans z doganiającym ją długowłosym mężczyzną z kałasznikowem na plecach. Chwytny, mocno uderzył i zaczął ciągnąć w stronę klubu.

– Dasz rad ich zgarnąć? – spytał Rand pilota, chociaż znał odpowiedź.

– Prędzej on nas zestrzeli albo zastrzeli – odparł Lopez.

– Jak mnie wysadzisz, miej na oku ich helikopter – rzucił Rand. – Gdyby odleciał, leć za nim. Wejdź na człotliwie awaryjnie i powiadom policję.

– A ty? – spytał pilot. – Zabrać ci, zanim za nimi polecę?

– Jeśli uda im się odlecieć, to znaczy, że jestem martwy.

Lopez chwycił dźwigni i wyregulował obroty. Helikopter opadł, zawisł na chwilę i osiadł na piaszczystym dnie koryta.

– Powodzenia – rzucił pilot do Randa, który wyskakiwał na płoz.

Kiedy Rand poczuł pod stopami miękki piach, migło wbiło o lepiący tuman kurzu. Pochylił się i zaczął się przedzierać przez chmur pyłu. Helikopter uniósł się i zawrócił w powietrzu, wykorzystując jako osłonę ciany koryta.

Zanim pył zdjął opa, Randju biegł. Obliczył, że ma niecał minut.

## ***Rozdział 72***

***Okręgowy Klub Strzelecki Arizony***

***Niedziela, 1424***

Kayla kopnęła pilota w kolano. Miała miękkie buty, więc kopniak nie był bolesny, ale mimo wszystko mężczyzna zaczął utykać. Zaklął i uderzył jej kolbę swojego karabinu. Pociemniało jej przed oczami.

Zamierzył się, żeby uderzyć jeszcze raz, lecz wielka dłoń odsunęła karabin.

– Do – warknął Bertone. – Musi być w stanie mówić.

Schylił się i bez najmniejszego wysiłku uniósł Kayla. Zaczęła biec w stronę drzwi klubu, jakby przez ramię przerzucony miał karabin, a nie kobietę.

Kayla uderzała głową o plecy Bertone'a. Z początku myślała, że w uszach huczy jej od krwi. Dopiero po chwili zorientowała się, że dźwięk dobiega z helikoptera. Nie widziała go, słyszała tylko odgłos migającego powietrza i warkot oddalającego się silnika.

Bertone przekręcił klucz w ogromnych drzwiach, otworzył je kopniakiem i wbiegł do rodka, zanim Kayla zdążyła zabić przypadkowy strzał.

Albo celowy.

Tak załatwiłby sprawę on, gdyby nie chciał, żeby powiedziała, gdzie jest warta miliarda dolarów.

– Weź moją hunwee – powiedział do pilota. – Zabij tego, kogo zostawili.

Pilot ruszył biegiem w parking, klepiąc się po kieszeniach, żeby sprawdzić, czy ma dodatkową amunicję. Drzwi fortecy zatrzasnęły się z hukiem.

## ***Rozdział 73***

***Okręgowy Klub Strzelecki Arizony***

***Niedziela, 1427***

Rand szedł wzdłuż piaszczystego wozu, a znalazł rozpadlinę w jego cianie. Wygramolił się z suchego, spłakanego koryta i wspiął na skarpę pod klubem. Przyczaiwszy się w cieniu krzaka, przeczesał wzrokiem teren, szukając ładów ruchu.

Głazy na wzniesieniu były pokryte ciemną pustynną roślinnością i porośnięte mchem. Wiosenne dzikie kwiaty już przekwitwały. Poza wiatrem nic się nie poruszało.

Rand wyjął z paska pistolet i sprawdził magazynek. W słoju znalazło osiem naboju, a w komorze był jeszcze jeden. Schował pierwszy pistolet i sprawdził drugi. To samo. Razem osiemnaście kulek przeciwko całemu arsenałowi Okręgowego Klubu Strzeleckiego Arizony. Wiąksze szanse miałyby w loterii stanowej.

Zmrużył oczy i przyjrzał się wzniesieniu, szukając najlepszej kryjówki. Po chwili znów był w ruchu pochyłony, podzielił się z całym sobą. Przystanął za sięgającym do ramienia skał, aby sprawdzić, czy na grani widać jaką postać.

Gdzie oni są, do cholery? Na pewno słyszeli odlatujący helikopter. Na pewno kogoś za nich posłali. A może torturują Kayla, aby wycisnąć z niego to, czego potrzebują, zanim ktoś im przeszkodzi?

Przebiegł do kolejnej osłony. W skałkę po jego lewej stronie trafiła kula, zasypując go odłamkami i pyłami. Błyskawicznie zrobił unik, schował się za inną skałkę i spojrzął tam, skąd strzelano.

Z kryjówki za głazem wyskoczył biały mężczyzna z długimi, rozwichrzonymi włosami i zaczął brutalnie walić w mechanizm kałacha. Najwyraźniej miał problem ze zwykle niezawodnym karabinem.

Następnym razem porzucił go wyczerpany, pomyślał Rand. Tej lekcji nauczył się w Afryce. Pył niszczy mechanizm bardziej niż woda.

Wyszedł z kryjówki i starannie namierzył cel, który znajdował się pięćdziesiąt metrów pod górą. W tych warunkach, strzelając z nieznanej broni, bardziej miał nadzieję, jak uda mu się wystraszyć faceta. Zaczął strzelać w stronę wzgórza. Kule wiszczały, uderzając w skały przy postaci.

Nagle mężczyzna rozpostarł ramiona i poleciał do tyłu. Jego karabin uderzył o skałę i zsunął się na ziemię. Rand patrzył i nasłuchiwał. Nikt nie ruszył w stronę mężczyzny. Nie rozległy się żadne strzały. Rand nie miał czasu, aby czekać, aż się upewni. Rzucił pistolet z pustym magazynkiem, wyjął drugi i pognął zrywką w górę wzniesienia. Nikt za nim nie strzelał.

Dobiegł do leżącego mężczyzny, który z jakimś tarzałem w piachu. Jego twarz była szkarłatna od krwi ciekącej z postrzałowej rany na łożysku głowy. Wyglądało to raczej na rykoszet niż na bezpośredni strzał.

Rand wsunął pistolet za pasek, podniósł z ziemi kałasznikowa, przeczytał i szybko rozejrzał się dookoła. Pusto. Młczyzna mamrotał coś po rosyjsku. Rand pochylił się i trzymał go lufą w policzek.

– Ilu ludzi w rodku?

Rosjanin otworzył oczy, błyszczyły mu i nieufne.

– Ilu? – Rand wycelował nad ran.

Młczyzna szarpnął się i chciał uciekać. Rand przytknął lufę do krocza Rosjanina.

– Ilu ludzi? Gdzie?

Na twarzy młczyzny pojawił się pot.

– Pierwszy strzał pójdzie w jaja – powiedział Rand. – Później przestrzeli ci kolana.

Rosjanin spojrzał mu w oczy.

– Dwóch – wychrypiął. – Bertone i jakiś rudy pedał. I dziewczyna.

Rand sięgnął pod plecy Rosjanina w poszukiwaniu broni, a potem zaczął obmacywać kieszenie. Nie znalazł kluczyków do auta ani dowodu, ale znalazł magazynek do kalacha. Zważył go w dłoni i sięgnął u siebie.

– Pełny. Dziękuję.

Rosjanin odwrócił wzrok.

Rand wstał i schował magazynek do kieszeni.

– To twój szczyt – powiedział. – Jeśli masz siłę, może zdołasz uciec, zanim pojawi się głiny.

Kiedy wycofywał się ostro nie, Rosjanin usiadł, później wstał i przeku tykał kilka kroków w dół wzgórza. Zatrzymał się i zgiął w pasie, jakby chciał wymiotować.

Rand zaczął wbiegać pod górę.

Niedobrze, bracie. Wystarczy, że jeden z nas jest martwy.

Odwrócił się w porę, by zobaczyć, że Rosjanin wyciąga z buta mały pistolet. Wyjął swój i strzelił. Rosjanin upadł i nie poruszył się więcej.

Rand już widział miernicę; nie mogła go nauczyć niczego nowego.

Pobiegnął w stronę strzelnicy.

## ***Rozdział 74***

***Okręgowy Klub Strzelecki Arizony***

***Niedziela, 14.30***

Bertone stał w drzwiach, nasłuchując kolejnego odgłosu strzału z kałasznikowa.

Cisza.

Najwyraźniej ostatnie słowo należało do pistoletu.

Klnąc na otaczających go nieudaczników, odwrócił się w stronę holu. Trzy metry od niego stał Foley. Przyciskał pistolet do szyi Kayli.

Była blada, w tętnicy na szyi dudniła jej krew. Miała szeroko otwarte oczy i obserwowała, cały czas obserwowała. Przysporzyła Bertone'owi nie lada kłopotów – spowolniła jego działania, zmarnowała mu czas, zakpiła z niego swoim milczeniem. Z radością ją zabije. Kiedy wydobędzie z niej hasło.

– Co się stało? – spytał Foley nerwowo.

– Jaki idiota dostał parę kulek.

Na posiniaczonej twarzy Kayli pojawił się lekki uśmiech.

– Co teraz? – spytał Foley.

Kayla odsunęła się od lufy, która wbijała się w jej szyję. Bertone wzruszył ramionami.

– Pilotuj lepiej niż on.

– Ale... – zaczął Foley.

– Milcz.

Foley skrzywił się i zamilkł.

Bertone rozważał prawdopodobieństwo, że mimo cięć i cуда z pewnością nieprzeciętnie inteligentnego hazardzisty. Szanse na to, że razem z oporną Kayl dostanie się do helikoptera, zanim ktoś go ustrzeli, były niewielkie. Prędzej uda mu się zastrzelić człowieka, który zabił pilota, kiedy przyjdzie po Kayl.

A wtedy poleci do Meksyku i spokojnie popracuje nad dziewczyną.

Wybiegł z holu i kilka chwil później wrócił z M-16.

– Ty obstawiasz przód – rozkazał, podając Foleyowi broń. – Pełen automat. – Wsunął dłoń we włosy Kayli, zacisnął palce i pociągnął. – Ona idzie ze mną.

## ***Rozdział 75***

***Okragowy Klub Strzelecki Arizony***

***Niedziela, 14.32***

Rand dostrzegł czarnego hunwee na szczycie wzniesienia, sto metrów od wejścia do strzelnicy. Teren między autem a klubem był gładki, bez żadnych zarostów i głązów. Idealna strefa zabijania.

A Bertone był dobry w strzelaniu ze wszystkiego, co mu wpadnie w ręce, głównie z karabinem snajperskim.

Randa przebiegł dreszcz, bo spodziewał się kuli, zanim zdąży usłyszeć odgłos karabinu. Wykorzystał maszynową sylwetkę samochodu jako osłonę, otworzył drzwi kierowcy. W stacyjce był kluczyk.

Wielki silnik odpalił, zwiększył obroty i zaczął wydawać zdrowy warkot. Rand wycofał, zawrócił i skierował pojazd w stronę klubu. Wcisnął gaz do dechy, chcąc sprawdzić, co humvee ma pod maską.

Miał sporo. Spod opon uniósł się pył, wir i piach. Nagle w przedni szyb uderzył pocisk, kilka centymetrów przed twarzą Randa. Skrzywił się i skulił za kierownicą. Kolejna kula została na szybie ład w postaci małego punkciku. Rand się rozejrzył.

– Dzięki, Bertone. Powinienem być sielony, a twoje ulubione auto jest kuloodporne.

Jechał ostro, przez mokłą, piaszczystą drogę. Dotarłszy na asfaltowy parking, przyspieszył, kierując się w stronę helikoptera, i w ostatniej chwili skręcił kierownicą. Tył hunwee wbił się w helikopter od strony pilota. Jedna płoza odpadła.

Zobaczmy, gdzie tym dolecisz, Bertone.

Pięćdziesiąt metrów przed Randem załamały się rude włosy. Foley.

Wykorzystał zarost jako osłonę, strzelał z karabinu dalekiego zasięgu z teleskopowym celownikiem. Duża prędkość, mały kaliber, pomyślał Rand. Pewnie M-16. Mam nadzieję, że ta szyba jest wytrzymała na miarę paranoi Bertone'a. Foley celował w przedni szyb humvee. Ołów uderzył w twarde szkło, pociski ze lizgiwały się ze wstęgiem. Później nastąpiła cisza.

No i co, masz następny magazynek? – pomyślał Rand.

Foley rzucił karabin na ziemię i z kabury przy pasku wyjął rewolwer. Dwie kule rozbiły szyb hunwee.

Rand jechał prosto na Foleya. Osłonił oczy na wypadek, gdyby szyba jednak się posypała.

Nie było więcej kul.

Zaryzykował szybki rzut oka. Foley biegł w stronę drzwi klubu.



Na pewno kuloodporne, pomyślał Rand. Zobaczymy, jak zniosie taran.

Drzwi zatrzasnęły się za Foleyem.

Rand wyjął z kieszeni składany nóż i rozłożył z białe ostrze. Nie chciał zostać przygnięty do siedzenia, gdyby wypadła poduszka powietrzna, a powietrze nie uszło z niej dostatecznie szybko.

Parada stopni wiodących do imponującego wejścia do strzelnicy spowolniła przed hunwee. Jechał z prędkością niecałych piętnastu kilometrów na godzinę, kiedy uzbrojona maska uderzyła w drzwi klubu. Poduszka powietrzna wyskoczyła z hukiem. Spełniwszy zadanie, w ciągu kilku sekund zaczęła tracić powietrze. Pomógł jej w tym Rand ostrzem noża.

Kiedy chował nóż do kieszeni, krótko zauważył Foleya za fontanną z ciemnego betonu. Stał przed bankierem przebiegł do długiego, szklanego pasa blatu, gdzie strzelcy rejestrowali się na tor i po prostu.

Rozpędzony hunwee wjechał na cokół fontanny i dopiero wtedy zahamował ze zgrzytem.

Przez kilka sekund jedynym odgłosem był plusk wody w fontannie. Po chwili w holu rozległ się ogłuszający huk broni maszynowej.

Kuloodporne szyby hunwee nie wytrzymały ciężkiego ostrzału z bliska. Rand padł na ziemię i kopniakiem otworzył drzwi kierowcy, kiedy przednia szyba rozprysła się w drobny mak. Wytoczył się na podłogę holu, ciągnąc ze sobą kałusznikowa. Strzały z broni maszynowej zatrzaśły korpusem hunwee. Rand przeczołgał się kilka metrów i przykucał za fontanną.

Kiedy, pod jakim padały kule, wskazywał, że leciały zza blatu recepcji. Odrywały kawałki betonu z podestu fontanny i odbijały się rykoszetem. Rand uwiadomił sobie, że ma do czynienia nie z przenośnym karabinem maszynowym, ale z bronią montowaną na wozach bojowych i używaną do ostrzeliwania stałych celów. Czy ten bydlak zrobił sobie za blat stanowisko strzeleckie?

Rand jeszcze raz zerknął nad betonową krawędź fontanny. Dostrzegł Bertone'a strzelającego z biodra z ciężkiej broni maszynowej M-60. Taka sztuczka wymagała siły, zręczności i jaj. Kolejna seria pocisków poleciała i odbiła się rykoszetem po holu, zostawiając po sobie dźwięczną ciszę. Rand usłyszał w zanku rosyjskich przekleństw, a po nich odgłos oddalających się kroków.

Wyprostował się z kałusznikowem na ramieniu, zwarty i gotowy zabić Bertone'a.

Wtedy dobiegł go krzyk Kayli, gdzieś z prywatnych pomieszczeń za biurem, w głębi korytarza. Rand cofnął palce ze spustu; obawiał się, że trafi w niego rykoszet albo kula, która przeszyje Bertone'a na wylot.

Foley wypadł zza betonowego słupa, uniósł rewolwer i strzelił. Siła pocisku cisnęła Randa na przedni zderzak hunwee. Za wiszczała kolejna kula, a on padł bezwładnie pod auto, chroniąc się za przednim kołem. Kałusznikowie stuknął o płytki.

– Trafiłem go! – ryknął Foley.

– Ile razy? – dobiegł z korytarza głos Bertone'a.

– Na pewno raz. Może dwa. Padł jak długi. Nic nie pobije magnum 44.

– Sprawdź – rozkazał Bertone.

Foley ruszył w stronę fontanny.

Nie dostrzegł żadnego ruchu, ale nie widział tego czegoś mierzwi. Pewnie jest po drugiej stronie fontanny, a może za humvee.

– Sprawdziłem. – Foley się rozejrzał. – Cholera, jestem niezły!

No i dobrze, dupku, pomyślał Rand mimo wszechogarniającego bólu. Nie lataj z tym pistoletem. Stój spokojnie i upajaj się swoją sławą.

Przetoczył się na zraniony prawy bok i zacisnął zęby, czując pulsujący ból. Karabin leżał tam, gdzie upadł, pomiędzy nim a oponą humvee.

Kilka centymetrów za daleko.

– Upewnij się – powiedział Bertone. – Strzel bydlakowi w łeb. A później przesłuchamy kobiety.

– Ty masz lepszy widok – uśmiechnął się Foley. – Stań za balustradą i strzel do niego z odległości.

– Zrób to z bliska albo zabij najpierw siebie, a potem jego.

Rand leżał nieruchomo pod osłoną koła, zaciskając zęby z bólu.

Kamizelka kuloodporna to dobra rzecz, ale o wiele lepiej byłoby, gdyby nie dostał z magnum 44. Miał przynajmniej dwa punkty obrażenia, a prawie nie, który strzelał, całkiem zdrętwiał.

Tłumiąc jęk, wyciągnął lewą rękę tak daleko, aby palcem wskazywał sięgnąć spustu kałacha.

Pod humvee ukazały się włoskie mokasyny Foleya i dwadzieścia centymetrów jego nóg. Szedł niepewnie, przyzwyczajony, że strzela do celów, które nie mogą odpowiedzieć ogniem.

Randowi wiatr zaczął wirować przed oczami. Ugryzł się w język, aby poczuć ból, który go otrzeźwi. Po chwili wiatr zaczął przybierać kształty bólu, nad którym był w stanie zapanować. Przesunął broń, tak że lufa znalazła się kilka centymetrów nad wyłożoną terakotą podłogą, i wycelował w stopy Foleya.

Dłwignia karabinu uderzyła o podłogę. Na ten dźwięk Foley zamarł na moment. Randowi to wystarczyło.

Odgłos wystrzału poniósł się echem po holu, a po nim rozległ się krzyk Foleya. Kiedy Rand zmienił pozycję i wycelował znowu, Foley runął na ziemię.

Kolejne trzy kule trafiły go w tors. Siła wystrzału szarpnęła jego ciało do tyłu, w kawałki szkła, które posypało się z drzwi.

Zapadła cisza. Słychać było tylko szemranie fontanny.

## *Rozdział 76*

*Okragowy Klub Strzelecki Arizony*

*Niedziela, 1435*

Kayla ledwie si powstrzymywała, eby nie krzykn i nie pobiec do miejsca, gdzie upadł Rand.

Na pewno yje, powtarzała sobie. Mo e jest ranny, ale yje. Nie umiera.

Gdyby w to nie wierzyła, rozsypałaby si na okruchy drobniejsze ni szyba z wej ciowych drzwi. I ka dym kawałkiem tego szkła usiłowałaby poder n gardło Bertone'owi.

– Zawołaj go – rozkazał Bertone, wykrcaj c r k , któr trzymał j za włosy, tak e musiała ukl kn .

– Foley? – sykn ła przez zaci ni te z by.

Szarpn ł j za głow .

– Foley nie yje. Tego drugiego. Twojego kochasia. Powiedz mu, e chc rozmawia .

To akurat chciała zrobi .

– Rand! – krzykn ła. – Bertone chce rozmawia .

Rand wzi ł płytki oddech, pó niej kolejny i podszedł do blatu. Nie martwił si , e jest na otwartej przestrzeni. Aby go zabi , Bertone sam musiałby si odsłoni .

Na t my l si u miechn ł.

– Słysz go st d doskonale! – odkrzykn ł.

Głos miał ochrypły od adrenaliny i bólu, ale Kayla tak si cieszyła, e go usłyszała, e zachwiała si pod wpływem ulgi.

We si w gar , upomniała si surowo. Daleko nam do uwolnienia si . Bro Foleya jest poza zasi giem, a ja nie zdołałabym nawet unie tego potwora, którego ma Bertone.

Mogła spróbować przechwyci bro , któr teraz trzymał, ale to byłby akt zupełnej desperacji.

Rand spojrział kilka razy w stron Foleya, a potem przesta zwraca na niego uwag . Połamane ko ci powinny potwornie bole , powinno by słycha j ki lub krzyki Foleya.

A jednak było cicho. miertelnie cicho.

– Opu r ce albo zabij Kayl ! – zawołał Bertone.

Rand roze miał si ponuro.

– Za du o znaczy dla ciebie ywa.

– Czego chcesz? – spytał Bertone.

Rand przełkn ł słowa, które cisn ły mu si na usta: całej i zdrowej Kayli – i powiedział co , co mógł zrozumie człowiek pokroju Bertone'a.

– Twojej mierci.

Kayla zadr ała i czekała na strzał, który j zabije. Nie padł. Bertone naprawd potrzebował jej ywej.

– Czemu? – spytał.

– Zabiłem mojego brata bli niaka.

Bertone zmarszczył czoło i westchn ł. Zemsta jest silniejsz motywacj ni miło czy chciwo . O wiele silniejsz . Ale tak jak wszystkim, mo na ni manipulowa .

– Kiedy? – zapytał. – Gdzie?

– Pi lat temu. W Afryce.

Bertone si u miechn ł. Cały urok emocji polega na tym, e mo na kogo przyprawi o wrzenie, samemu pozostaj c zimnym.

– W Afryce zabiłem wielu ludzi – powiedział. – B d bardziej precyzyjny.

– Transportowałem bro buntownikom z Kamd erii.

– A, byłem fotografem.

Rand nie ufał swojemu głosowi na tyle, eby odpowiedzie . Ku tykał dalej w stron balustrady, kln c w duchu ból, któiy sprawiał, e ledwie mógł oddycha .

– Mog sobie tylko wyobrazi , jak m czarni jest patrzeć na mier brata – rzucił Bertone kpi co. – Urywany oddech, zakrwawiony...

Kayla pchn ła go z całej siły, obawiaj c si , e sprowokuje Randa do czego głupiego. Bertone spojrział na ni jak na natr tn much . Odepchn ł od niechcenia. Kiedy Rand usłyszał jej stłumiony krzyk, był ju przy blacie. Luf kałasznikowa omiółł granitowy mur. Korytarz za balustrad był pusty.

Pomy lał, e odgłosy dobiegaj z pomieszczenia w gł bi korytarza, ale nie był pewien; pulsuj cy ból i wrz ca krew mog przyprawi o dezorientacj . Osun ł si na podłog i usiłował sobie przypomnie , co widział na planie klubu na laptopie Martina.

Przedsionek na ko cu korytarza. Prywatne pomieszczenia strzeleckie za nim.

Sprawdził karabin. Zostało mo e dziesi serii; do tego pistolet, który dała mu Elena i który nadal miał zatkn ty za paskiem. Próbował sobie przypomnie , ile strzałów oddał. Nie potrafił.

W gruncie rzeczy nie miało to wi kszego znaczenia. Niezale nie od tego, ile zostało mu pocisków, Bertone miał ich o wiele wi cej – cał strzelnic pełn amunicji.

Rand zdawał sobie sprawę, że powinien poczekać na facetów z bronią, którzy mu pomogą.

Ale jeżeli Bertone zorientuje się, do czego zmierza jego przeładowca, skupi całą swoją uwagę na Kayli. Niedobrze.

Rand dźwignął się na nogi i lufa karabinu omiótł hol. Musi przyspieszyć i odstrzelić go. Postanowił zaryzykować.

Wcisnął się na błądź i zeskoczył, padając na kolana w rogu holu. Stąd miał widok na cały korytarz. Musiał walczyć z falami zamroczenia, które zalewały go razem z pulsującym bólem.

Bertone lewą ręką objął Kaylę za szyję. Wykorzystując ją jako tarczę, pochylił się i przygotował do ostrej akcji za pomocą swojego glo-cka. Dostrzegłszy koniec lufy AK-47, widoczny zza rogu za biurkiem recepcji, strzelił szybko, nie celując dokładnie.

Rand odskoczył, kiedy pył z kawałka gipsu, który oderwał się od ciany, obsypał trzon karabinu. Czekał, w nadziei, że Bertone podejdzie bliżej albo wystawi głowę zza rogu. A wtedy go zabije.

Ale Bertone był na to za sprytny. Zaciął uścisk na szyi Kayli i odcisnął ją w mrok za odległymi drzwiami, gdzie znajdowały się prywatne pomieszczenia strzeleckie. Tam wydobył z niej jedyną informację, jakiej od niej potrzebował.

Kilka chwil później ciszę wstrząsnął krzyk Kayli.

## ***Rozdział 77***

***Okragowy Klub Strzelecki Arizony***

***Niedziela, 14:38***

Kand zmusił się do myślenia, chociaż chciał tylko biec przez korytarz i powstrzymać Bertone'a.

Wesłał się w garść, nakazał sobie. Myśl.

Krzyk był zbyt odległy, żeby dochodził z korytarza czy pomieszczenia za nim. Rand chwycił plik notatników z blatu recepcji i cisnął nimi w korytarz. Nikt nie strzelił. Czas postawił wszystko na jedną kartę.

Pod wpływem fali adrenaliny podniósł się na nogi i przebiegł przez korytarz, trzymając broń w gotowości. Na zamkniętych drzwiach poczekalni wieciało się czerwone wiałko ostrzegawcze. Pod nim widniał napis: „Pomieszczenie strzelania taktycznego. Strzelanie w toku”.

Rand odstrzelił zamek krótką serią. Drzwi wpadły do rodu. Zanurkował w otwór i wtoczył się za pierwszą osłonę, jak zobaczył, nie zwracając uwagi na ból, który mścił mu wzrok.

Rozejrzał się szybko, wpadając do strzelnicy. Pomieszczenie miało rozmiary boiska do koszykówki. Bez okien. Bez sufitu z labiryntem korytarzy i sal. Wiałło było tak silnie, że musiał dać sobie oswoić oczy. Tym razem krzyk Kayli był głębszy. Rand zacisnął zęby. Przepraszam, Kayla. Boże, przepraszam.

Oddychając najciszej, jak się da, zaczął się opierać o betonowy słup, próbując się zorientować, skąd dochodzi krzyk, który niósł się echem po pomieszczeniu. Gdzieś po lewej stronie, z głębi korytarza bez sufitów, zza zamkniętych drzwi dobiegł brzęk naboju uderzającego w beton.

Odstrzelony odłamek kopniakiem przez niego uderzył w stopę. Albo celowe posunięcie, żeby odwrócić jego uwagę od prawdziwego zagrożenia.

– Kayla! – krzyknął Rand i wtoczył się za kolejny słup.

Odpowiedziała zdławionym krzykiem, zanim Bertone zakrył jej usta. Dźwięk dobiegł z prawej strony Randa, z głębi wskiego korytarza utworzonego przez dwie dwumetrowe cianki działowe z kevlaru zaprojektowane tak, żeby zatrzymywały kule wystrzelone przez strzelców. Przyjrzał się korytarzowi. Dziewięć metrów od niego znajdowały się naprzeciwko siebie dwie pary drzwi.

Pięćdziesiąt procent szans, pomyślał Rand. Gdy sforsuje jedno, może się okazać, że strzelec czeka za drugim. Bertone na pewno nie zrobi tego, co może na przewidzieć. Zaatakuję z końca korytarza, kiedy będzie zajęty strzelaniem do pustych drzwi.

Odwrócił się i wszedł do strzeleckiego labiryntu z drugiej strony. Tylko w ten sposób mógł zaskoczyć Bertone'a. Przy każdym kroku nasłuchiwał krzyku Kayli.

Nic poza ciszą. O wiele za długi. Ale przynajmniej Bertone będzie musiał zostawić Kaylę w

spokoju. Jeszcze trzy kroki.

Na gładkiej betonowej posadzce po drugiej stronie ciany zaskrzypiała skórzana podeszwa. Ledwo Rand przebiegł trzy metry, rozległ się huk wystrzału z M-60. Najwyraźniej Bertone znalazł amunicję. Kule przeszły przez cianki działów w miejscu, gdzie wcześniej stał Rand.

Nie słyszał własnego oddechu, a to znaczyło, że Bertone również na chwilę został ogłuszony. Rand szybkim ruchem skręcił za róg labiryntu. Był tam kolejny długi, słabo oświetlony korytarz z kilkoma parami drzwi naprzeciwko siebie i przylegającym holom. Na końcu korytarza ku otwartemu sufitowi prowadziły stalowe schody, które nagle się skończyły. Idealna pułapka. Taktyczny koszmar. Obroć się na szczycie albo strzela z poziomu piętra do napastnika.

Rand skupił się na kopule podwieszanej u sufitu w połowie korytarza. Widział już takie sprzęty w wysokiej klasy systemach zabezpieczających na całym wiecie. Za kopułą pracowała wewnętrzna sieć kamer telewizyjnych. W pozostałych pomieszczeniach strzelniczych były podobne instalacje. Bertone monitoruje każdy mój krok. Sukinsyn.

Rand wszedł na radek korytarza, uniósł karabin lewą ręką, a prawą podtrzymywał kolbę. Oddał trzy strzały.

Gdy plastikowa kopuła eksplodowała prysznicem odłamków, wrócił za swoją osłonę.

Ze szczeliny w cianie korytarza wyjrzał czarny nochał karabinu maszynowego. Grad kul za wiszczał i odbił się od betonowej podłogi.

Pociski uderzyły w ciankę około metra od miejsca, w którym czołżył się Rand.

wietnie. Gdybym stanął i zachwycił się swoim robotem, zostałyby ze mnie zakrwawione flaki. Jak z Foleya.

Rand nasłuchiwał uważnie i zastanawiał się, jaki będzie kolejny krok Bertone'a.

## ***Rozdział 78***

***Okręgowy Klub Strzelecki Arizony***

***Niedziela, 1440***

Kayla szarpała się, usiłując zerwać tam, którą Bertone zakleił jej usta. Miejsca, w których pocił jej skórę, krwawiły i piekły. Jednak zwróciła na to uwagę, dopiero kiedy krew na dalszych przeszkodziła jej pozbyć się z poranionych ust knebla. Krew spływała po tam, którą miała skrępowane kostki.

Boże, Rand, Bertone widzi wszystko, co robisz. Słyszysz mnie? Krzycz!

Ale przez tam klejąc nie przedostawał się adenidowi. Oddychała ciężko przez nos – musiała się uspokoić, bo brakowało jej powietrza. Zdołała odwrócić się od ciany i rozejrzeć. Pierwszą rzeczą, jak zobaczyła, był pistolet, który Bertone zostawił na metalowym stole przy jednym z wielkich monitorów.

Na tak szansa nawet nie liczyła. Zaczęła walczyć, żeby skute kajdankami ręce znalazły się przed nią. Pracując nad tym, ledziła monitory. Na jednym nie było obrazu. Monitor obok niego ukazywał przyczajonego Bertone'a. Rand chodził po innym korytarzu z pistoletem w dłoni. Na piersi miał przewieszony karabin gotowy do użycia. Kayla, drąc na całym ciele, obserwowała, jak dwaj mężczyźni rozgrywają miertelną partię.

Rand najwyraźniej zorientował się, w którym miejscu czai się Bertone. Nie szedł dalej wzdłuż ciany, ale cofnął się i wrócił do labiryntu.

Dotarł do metalowych schodów i ostro zaczął się wspinać. W połowie drogi uniósł głowę, przebiegł do końca, chwycił sznur drutów i pociągnął.

Kolejna kamera wysiadła. Nie rozległy się żadne strzały.

Kayla patrzyła, jak Rand znika z monitorów. Spojrzała do góry na serie kładek i platform obserwacyjnych.

Nie było żadnej kamery, która mogłaby go namierzać. Energicznie pocierając kneblem o konsolę, Kayla zobaczyła, jak Rand pokonuje kładki płynnymi ruchami, przeszukując wzrokiem labirynt pod sobą. Zorientowała się, że ją dostrzegł.

Przerzucił karabin z piersi na plecy i przeczołgał się w stronę sali kontrolnej.

Bertone'a nie było w zasięgu wzroku.

Kayla zaczęła się wyrywać w stronę ciany monitorów, chcąc, żeby Rand na nie spojrział.

I spojrział. Pokazywały obrazy z kamer pracujących na torze taktycznym.

Kayla oddychała z trudem i obserwowała monitory niczym ptak przyglądający się w om.



Rand obserwował ją przez kilka cykli.

Bertone zakradał się od tyłu korytarzem przy końcu labiryntu, niosąc ciłki M-60, jakby był to karabinek szturmowy. Pocił się, ale nie sapał. Cholera, silny bydlak, pomyślał Rand. Trzeba będzie ołowiu, żeby go powalił. Zbliżył się do Kayli.

Zobaczyła go na monitorze, kierując się do ukrytych drzwi sali kontrolnej. Odskoczyła od konsoli, zanim wszedł. Zmusiła się, żeby nie patrzeć na kładki pod sufitem.

Bertone rzucił jej rozbawione spojrzenie. Krew na podłodze powiedziała mu wszystko o jej bezsensownej walce. Spojrzał na monitory.

Rand tkwił nieruchomo, trzymając się kładki. Znowu słyszał własny oddech, bo ogłuszenie wystrzałem z M-60 ustąpiło. Oznaczało to, że Bertone też go słyszy. Trudno będzie się poruszać po metalowej kładce, ale Rand był za daleko, żeby oddać celny strzał z cudzej broni. A Kayla była za blisko celu.

Bertone przyglądał się wszystkim monitorom przez całą sekwencję. Żadnego ruchu. Ustawił M-60 i znowu wsunął do szczeliny wychodzącej na korytarz.

Kayla odsunęła się od niego najdalej, jak mogła, chcąc zrobić Randowi dostatecznie dużo miejsca do strzału. Wiele się nauczyła, obserwując rykoszety na kamiennej podłodze holu. Zaszurała butami, zagłuszając odgłosy jego ruchów. Starła się ułatwić Randowi podchodzenie, nie robiąc jednak takiego hałasu, żeby Bertone ją uciszył, jak poprzednim razem, zanim znalazł tam.

Rand zbliżył się do sali kontrolnej. Dostrzegł glocka z rozbudowanym magazynkiem, który leżał na woskim stoliku między monitorami. Taki pistolet mógł robić za mały karabin maszynowy-dwadzieścia strzałów pół- lub całkiem automatycznych. Korzystając z osłony Kayli, podczołgał się do miejsca, gdzie kolejna kładka przecinała strzelnicę. Bertone nie ruszył się ze swojego miejsca.

Teraz, pomyślała Kayla. Czas się przekonać, czy zajęcia jogi rzeczywiście są coś warte.

To była jej ostatnia szansa. Jeśli Bertone ją przyłapie, zginie. Ale przecie i tak miał zamiar ją zabić. Tylko chciał, żeby najpierw trochę pokrzyżała.

Przesunęła się i wyciągnęła, a upadła. Spojrzała na monitor i zobaczyła, że Bertone się nie ruszył. Przeciwnie skute kajdankami ręce wzdłuż nóg i przełożyła przez nie stopy. Krew podziała jak oliwa. Nadal była skuta, ale teraz przynajmniej ręce miała przed sobą. Zsunęła knebel na tyle, żeby mogła oddychać swobodniej, i podciągnęła się do pistoletu, który zostawił Bertone. Ból w ramionach pulsował w rytm jej serca. Patrzyła na ekran. Bertone się nie ruszył.

Opadła na kolana i chwyciła pistolet. Nie był tak ciłki, na jaki wyglądał, ale domyślała się, że ma mocny odrzut. Nie był zabezpieczony. Ostro nie położyła glocka na podłodze obok siebie. Obserwując ekran, zaczęła uwalniać kostki. Tym razem krew jej przeszkadzała, bo lizgały jej się palce. Centymetr po centymetrze zdołała oderwać tam. Spojrzała w górę na kładki.

Rand uśmiechał się szeroko. Wskazał ręką, żeby odsunęła się z linii ognia, gdyby musiał strzelać, kiedy Bertone wejdzie do pomieszczenia. Znowu spojrzała na ekran. Pusty.

## ***Rozdział 79***

***Okręgowy Klub Strzelecki Arizony***

***Niedziela, 1444***

Bertone poruszał się z niesamowitą prędkością jak na mężczyznę jego postury. Zanim Kayla zdołała uchwycić ruch na kolejnym monitorze, był już na korytarzu na zewnątrz, celując z cichą broni w kładki.

Rand dostrzegł go jeszcze przed Kayl. Rzucił się na bok i starał się ustawić karabin do strzału. Nagle kałasznikowy wylizgnął mu się i wpadł w otwór poniżej. Rand przywarł do wspinaczkowej platformy obserwacyjnej, ciskając pistolet.

Znow ogłuszył go huk strzałów z M-60.

Grad kul łomotał obok niego, a on czołgał się do krawędzi stalowej platformy. Fragment metalu odbił się rykoszetem tak blisko niego, że pod brwi poczuł piekącą linię. Celując z pistoletu, pochylił się nad krawędzią na tyle, aby widzieć Bertone'a. Za daleko na pistolet. Ale nie za daleko na broń maszynową.

Kule migają obok Randa. Bertone zamienił platformę obserwacyjną w stalową koronkę. Pozostawanie na niej oznaczało samobójstwo, ale zejście na kładki – pewny śmierć. Nie zwracając uwagi na krew, która ciekła mu po twarzy, pochylił się nad krawędzią i wystrzelił dwa razy. Bertone odskoczył, a jego karabin się zakołysał. Rand nie przestawał strzelać, patrząc, jak lufa M-60 zmienia się w tunel śmierci, który chce go pochłonąć.

I który go pochłania.

Strzelał z pistoletu do Bertone'a. Równie dobrze mógłby bombardować drzewo, na jedno wychodziło. Z tej odległości mały pistolet nie miał szans.

Może Bertone ma kamizelkę kuloodporną?

Kayla wyszła z pomieszczenia kontrolnego i zbliżyła się na tyle, aby go trafić. Zaciśnięwszy zębami, wycelowała w tył głowy i pociągnęła za spust. Kule wypadały jednym strumieniem, a magazynek się opróżnił.

Dręko, odrzuciła glocka i odwróciła się od leżącego nieruchomo Bertone'a. Miała przechłapaną już twarz, a teraz jeszcze sobie poprawiała.

Jest skończona.

– Na pewno?

Spojrzał na to, co zostało z Andre Bertone'a.

– Tak, na pewno. Kamizelka kuloodporna chroni tylko to, co przykrywa.

Wspieraj c si o siebie, wyszli ze splamionej krwi strzelnicy.

## *Rozdział 80*

*Phoenix*

*Maj*

Kayla stała obok Randa i przyglądała się samotnemu kolibrowi, który pochylał się i pił, pochylał się i pił, niczym opierzona pompka, wciągając nektar z pojemnika podwieszanego na balkonie jej mieszkania. Kiedy ptak odfrunął w aksamitny zmierzch, Kayla westchnęła i wyprostowała się.

– Teraz jestem gotowa – powiedziała.

– Nie musisz.

– Ale chcę.

Nie sprzeciwiał się. Wiedział, jakie dręczą go koszmary. Pomagał jej przez nie przejść.

Ona pomagała mu pokonać jego widma.

Zatrzasnął drzwi na podwórko i torując sobie drogę przez pracownię malarską, w końcu zamienił się salon, podszedł do telewizora. DVD wysunęło kieszeń niczym srebrny język. Pochylił się, aby włożyć płytę.

– Jak twoje srebro? – spytała odruchowo.

– Zapytaj mnie za tydzień, kiedy znajdziemy się na zimnym Pacyfiku.

– Chcesz tu zostać?

– Nie, chyba że ty chcesz.

Pokręciła głową.

– Zawsze chciałam zobaczyć waszyngtońskie wyspy San Juan.

Wziął pilota i usiadł obok niej na kanapie.

– Gdyby zostawiła sobie zawartość konta babci, mogłaby mieć je na własność.

– Nie miałam ochoty nawet na premię od St. Kilda.

– Nie pochodziła z pieniędzy Bertone'a – powiedział Rand. Niezupełnie. Cholera, w dzisiejszym świecie czyste pieniądze to artefakt. – A na premię w pełni zasłużyła. Czy już ci dziękuję za uratowanie mojego życia?

– Owszem, za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz i kiedy się do mnie uśmiechasz. Jak te cię dziękuję.

Powiodł palcami po jej twarzy. Została jej mała blizna po sygnecie Foleya. Były też inne

blizny, wysoko na udach. W pierwszej chwili, kiedy je zobaczył, poczuł w ciekło . Pó niej zaczął traktowa je jak dowód odwagi wojownika, pi kniejszy ni doskonało . W ko cu pogodził si te z tym, e on yje, a Reed nie.

Wcisn ł przycisk pilota. Z ekranu u miechn ła si do nich przystojna twarz Brenta Thomasa. W tle wida było kamd eryjsk wiosk .

– „Dzi kuj , e s pa stwo ze mn . Jestem w Kamd erii, w Afryce. Wielu z pa stwa zapewne pami ta nasz marcowy program, w którym przedstawili my karier i upadek mi dzynarodowego przemytnika broni Andre Bertone'a. Wi kszo wstrz saj cych obrazów głodu i choroby powstało w tej wiosce”.

Kayla chciała odwróci wzrok, kiedy kamera przywoływała brutaln przeszło wioski, ale nie zrobiła tego. Odebrała ci k lekcj , która nauczyła j prawdy le cej w zało eniach St. Kilda Consulting: „Je li cywilizowani ludzie s zbyt wra liwi, eby stawi czoło złu, to zło pokona cywilizacj ”.

– „Dzi mam przyjemno podzieli si z pa stwem cudem odrodzenia. Wioski w całej Kamd erii doznaj przeobra enia dzi ki rzeszom widzów takich jak pa stwo”.

– I datkowi St. Kilda w wysoko ci dwustu milionów z groszami – dodał Rand, ujmuj c dło Kayli. – I dzi ki odwadze pewnej anonimowej pracownicy banku.

– Nie zapominaj o nieprawdopodobnym arty cie.

– O kim?

– O tobie.

– Co nieprawdopodobnego jest w...

– Cii. Nie słysz – przerwała mu Kayla.

– „...otwartego dzi szpitala. Dla wszystkich mieszka ców wioski badania i leczenie b d bezpłatne. Dzi ki hojno ci naszych telewidzów szkoła otrzymała wi cej pomocy naukowych, ni potrzebuje, wi c *wiat w godzin* przeka e je szkołom w s siednich wioskach. Najwi kszym dobrodziejstwem jest studnia. Dzi ki niej uda si wypleni wiele chorób, które n kały mieszka ców tej wioski”.

W kadrze pojawiły si roze miane dzieci, bawi ce si w miejscow odmian berka, kiedy ich matki ustawiały si z wiadrami w kolejce po zdumiewaj co czyst wod .

Potem pokazano inn scen , kolejny aspekt ycia odmienionego dzi ki kilkuset tysi com dolarów.

Kiedy Thomas znikn ł, Kayla wzi ła pilot i wył czyła telewizor.

– Doprawdy zadziwiaj ce, co mo e działa jeden program telewizyjny.

– Hej, Martin błagał ci , eby ...

– Sprzedała dusz za kilka chwil sławy, zanim znikn mi siniaki – uci ła. – Nie, dzi kuj . Rozumiem, czemu St. Kilda stroni od fleszy.

– Społeczeństwo potrzebuje publicznych przedstawień.

– Publicznego szamba również.

Rand poddał się ze miechem i posadził się sobie na kolanach.

– A skoro już o tym mowa, mylisz, że Elena oglądała program?

– Wtedy, żeby pokazywano go w Brazylii.

Pogłaskał nosem jej włosy. Nadal pachniała cynamonem i wanilią.

– Joe nie mógł się nadziwić, jak udało ci się przekonać Grace i Steele'a, żeby pozwolili Elenie uszczknąć kawałek pieczeni Bertone'a.

– To był bardzo cienki plasterzek. Mikroskopijny.

– Ale pieczeń była bardzo duża.

– Jej dzieci, tak jak dzieci z Kamdarii, nie zasługują na to. A nie da się ukarać Eleny, nie karząc przy okazji ich.

Kayla przytuliła się do Randa, ale przypomniawszy sobie o jego ranach i się wyprostowała.

Przyćmiła go z powrotem do piersi.

– Twoje srebro...

– Już zdrowe – odparł. – Nie były zmiażdżone, tylko pękły. Uratowała ją kuloodporna kamizelka Joego. Musz mu odkupić.

Kayla rozkoszowała się ciepłem bliskości Randa. Pocałowała go w kark.

– Zrobisz to?

– Czy kupi kamizelkę?

– Nie, czy będziesz dalej pracował dla St. Kilda.

– Nie wiem. Ale niezależnie od wszystkiego, będzie o malował. Za siebie i za Reeda.

– Szkoda, że go nie znałam.

– Kochałby cię tak samo jak ja.

– Mówimy o łódkowych trójkach?

– Nie to miałem na myśli.

– Na szczęście. Jeden taki jak ty w zupełności ci mi wystarczy.

Roze miał się i przytulił go mocniej. Patrzyli na zmierzch, który zamieniał się w noc.

– Rand?

– Hm?

– Je eli b dziemy mie syna, chc da mu na imi Reed.

Rand przytulił j jeszcze mocniej.

– B dziemy szcz liwi.